

STEPHEN
KING
CUJO



STEPHEN KING

CUJO

(PRZEŁOŻYŁ: JACEK MANICKI)

Względem cierpienia oni nigdy się nie mylili,
Ci Dawni Mistrzowie, dobrze rozumieli
Jego ludzki wymiar: że przytłacza,
Kiedy ktoś inny akurat je albo otwiera okno,
Albo po prostu idzie sobie zwyczajnie...
W. H. Auden, "Musee des Beaux Arts"

Stary Blue padł, i padł z takim fasonem,
Że zadrzała ziemia w ogródku za domem.
Srebrny szpadeł porwałem, grób mu wykopałem
I spuściłem go tam na złotym łańcuchu,
Z każdym ogniwem wywołując jego imię w duchu:
"Do nogi, stary Blue, dobry piesku, przyjdź tu".
Piosenka ludowa

Bzdura, tutaj wszystko jest w porządku.
Profesor od Chrupek Skarpa

Książkę tę poświęcam memu bratu Davidowi,
który przeprowadzał mnie za rączkę
przez West Broad Street
i który nauczył mnie robić bocianiki
ze starych wieszaków na ubrania.
Sztuczka ta była tak cholernie przemyślna,
że do dziś ją stosuję.
Kocham Cię, Davidzie.

Pewnego razu, nie tak dawno temu, małe miasteczko Castle Rock w Maine nawiedził potwór. Zabił kelnerkę Almę Frechette w 1970; kobietę o nazwisku Pauline Toothaker i uczennicę szkoły średniej Cheryl Moody w 1971; ładną dziewczynę o nazwisku Carol Dunbarger w 1974; nauczycielkę Ettę Ringgold jesienią 1975 - i na koniec maturzystkę Mary Kate Hendrasen wczesną zimą tego samego roku.

Nie był wilkołakiem, wampirem, upiorem ani żadnym innym tajemniczym stworem z zaklętego lasu, ani ze śnieżnych pustkowi; był zwyczajnym gliniarzem z problemami psychicznymi i seksualnymi i nazywał się Frank Dodd. Pewnemu znikom człowiekowi o nazwisku John Smith jakimś sposobem udało się ustalić jego nazwisko, ale zanim go ujęto, Frank Dodd - i może dobrze, że tak się stało - sam odebrał sobie życie.

Ten tragiczny finał wywołał, ma się rozumieć, pewien szok, ale miasteczko ogarnęła przede wszystkim radość, radość, że potwór, który nawiedzał sny tylu osób, nie żyje. Wraz z Frankiem Doddem pogrzebano miasteczkowe koszmary.

Jednak nawet w naszym oświeconym stuleciu, kiedy tak wielu rodziców uświadamia sobie, jak łatwo na całe życie okaleczyć psychikę dziecka, z pewnością znalazł się w Castle Rock jakiś rodzic lub babka, którzy przywoływali swe dzieci czy wnuki do porządku groźbą, że jeśli nie będą posłuszne, jeśli nie będą grzeczne, zabierze je Frank Dodd. I z pewnością zapadała wtedy martwa cisza, a spoglądały lękliwie w ciemne okna i wyobrażały sobie za nimi Franka Dodda w lśniącej, czarnej, winylowej pelerynie, Franka Dodda, który dusi... i dusi... i dusi.

"On tam jest - słyszę już szept babki, a wiatr zawodzi w kominie i węższy wokół pokrywki starego garnka na piecu.

- On tam jest, i jak nie będziecie grzeczne, to kto wie, czy nie zobaczycie jego twarzy zagląającej przez okno waszej sypialni, kiedy wszyscy w domu, oprócz was, będą już spali; kto wie, czy nie zobaczycie, jak uśmiechnięty, z lizakiem, którym zatrzymywał samochody, żeby przeprowadzić małe dzieci przez jezdnię, w jednej ręce i z brzytwą, którą odebrał sobie życie, w drugiej, wygląda na was w środku nocy ze ściennej szafy... a więc sza, dzieci... sza... sza...".

Ale dla większości mieszkańców miasteczka sprawa była zamknięta, i kropka. Niewątpliwie ten i ów nadal miał koszmarne sny, niewątpliwie zdarzało się i teraz, że to czy inne dziecko nie mogło zmrużyć w nocy oka, a opuszczony dom Dodda (bo jego matka zmarła wkrótce po nim na zawał serca) szybko zyskał sobie reputację nawiedzonego i zaczęto omijać go z dala; były to jednak zjawiska przejściowe - nieuniknione efekty uboczne serii bezsensownych morderstw. Mijał czas. Upłynęło pięć lat.

Potwora nie było, potwór nie żył. Frank Dodd dawno zgnił w trumnie.

Tylko że potwory nigdy nie umierają. Czy będzie to wilkołak, czy wampir, czy upiór, czy tajemniczy stwór z pustkowi.

Potwory nie umierają.

I potwór nawiedził Castle Rock znowu wiosną 1980 roku.

W maju tego roku czteroletniego Tada Trentona obudziła pewnej nocy, zaraz po dwunastej, potrzeba udania się do łazienki. Wstał z łóżka i ściągając po drodze spodenki od pizamy poczłapał zaspany w kierunku białego światła wlewającego się klinem przez uchylone drzwi. Wysusiał się za wszystkie czasy, spuścił wodę i wrócił do łóżka.

Przykrywał się właśnie kocem, kiedy nagle zauważył tego stwora w ściennej szafie.

Warował tuż przy podłodze, ogromne barki sterczały mu nad przekrzywionym łbem, a jego ślepia przypominały jarzące się bursztynowe dziury - coś jakby pół człowiek, pół wilk. Ślepia poruszyły się, śledząc Tada, który ze stającymi dęba włosami, z nieprzyjemnym uczuciem mrowienia w kroczu, oddychając z poświstem przez ściśnięte gardło, usiadł powoli na łóżku: obłąkane ślepia się śmiały, obiecywały straszną śmierć przy wtórze wrzasków, których nikt nie usłyszy.

Tad Trenton słyszał bulgotliwy warkot stwora; czuł jego zalatujący zgnilizną oddech.

Zakrył rączkami oczy, spazmatycznym haustem wciągnął powietrze w płuca i krzyknął.

Stłumiony okrzyk w sąsiednim pokoju. Ojciec.

Przestraszone: "Co to było?" - z tego samego pokoju. Matka.

Tupot nadbiegających stóp. Kiedy wpadali do pokoju, Tad odważył się zerknąć przez paluszki i zobaczył go tam, w szafie, warczącego, odgrążającego się, że owszem, przyszli, ale na pewno sobie pójdą, a wtedy...

Zapaliło się światło. Vic i Donna Trentonowie podeszli do łóżka i wymienili nad kredowobiałą twarzyczką i wytrzeszczonymi oczami synka zaniepokojone spojrzenia.

- A mówiłam, że trzy hot dogi to za dużo, Vic! - powiedziała, nie, wyrzuciła z siebie matka.

A wtedy tatuś przysiadł na łóżku i otaczając Tada ramieniem, zapytał, co się stało.

Chłopiec odważył się spojrzeć znowu w paszczę swojej szafy. Potwora nie było. Zamiast jakiejś wygłodniałej bestii, którą przed chwilą widział, zobaczył tylko dwie kupki niedbale rzuconych ciepłych koców z zimowej zmiany, których Donna

nie zdążyła jeszcze wynieść na strych. Leżały na krześle, na którym zwykł stawać Tad, kiedy potrzebował czegoś z najwyższej półki szafy. Zamiast kudłatego trójkątnego łba, przekrzywionego na bok w jakimś drapieżnym, taksującym skłonie, na wyższej z dwóch kupek ujrzał swojego pluszowego misia. Zamiast przepastnych, złowrogich, bursztynowych ślepi patrzyły na Tada przyjazne, brązowe, szklane paciorki, którymi obserwował świat jego miś.

- Co się stało, Tadder? - spytał znowu tatuś.

- Tam był potwór! - krzyknął Tad. - W mojej szafie! - I wybuchnął płaczem.

Teraz na łóżku usiadła także mamusia; rodzice zaczęli tulić go do siebie i uspokajać, jak umieli. Zapewniali go, że żadnych potworów nie ma; że to był tylko zły sen. Mamusia wyjaśniła, że często cienie potrafią wyglądać jak złe stwory, które czasami ogląda się w telewizji albo w komiksach, a tatuś powiedział, że wszystko jest w porządku, wszystko dobrze, że w ich miłym domku nic nie może wyrządzić mu krzywdy. Tad kiwał głową i przyznawał, że tak właśnie musiało być, chociaż wiedział, że tak nie było.

Ojciec wytłumaczył mu jeszcze, że w ciemności dwie nierówne kupki koców mogły wyglądać jak przygarbione ramiona, pluszowy miś jak przekrzywiony łeb i że światło padające z łazienki, odbijając się w szklanych oczkach misia, nadawało im wygląd ślepi prawdziwego, żywego zwierzęcia.

- Teraz patrz - zakończył tatuś. - Obserwuj uważnie, Tadder.

Tad obserwował.

Ojciec wziął dwie kupki koców i wszedł z nimi do ściennej szafy. Tad słyszał dobiegający stamtąd cichy stukot potracanych wieszaków na ubrania opowiadających w swoim wieszakowym języku o tym, co robi tatuś. To było zabawne i

chłopczyk uśmiechnął się. Mamusia zauważyła to i również się uśmiechnęła. Z ulgą.

Tatuś wyszedł z szafy, wziął pluszowego misia i włożył go w objęcia Tada.

- I ostatnia, co wcale nie znaczy, że najmniej ważna sprawa - powiedział, wykonując zamaszysty gest ręką i kłaniając się nisko, co tak spodobało się Tadowi i mamusi, że oboje zachichotali. - Krzesło.

Zamknął mocno drzwi szafy i przystawił do nich krzesło. Wróciwszy do łóżka Tada, nadal się uśmiechał, ale oczy miał poważne.

- W porządku, Tad?

- Tak - odrzekł chłopiec, po czym przewyciężając wstyd, wyrzucił z siebie: - Ale to tam było, tatusiu. Widziałem. Naprawdę.

- Wydawało ci się tylko, że coś widzisz - odparł tatuś i wielką, ciepłą dłonią pogłaskał Tada po włosach. - W twojej szafie nie było żadnego potwora. Potworów nie ma, synku. Istnieją tylko w bajkach i w twojej wyobraźni.

Tad przeniósł wzrok z ojca na matkę i z powrotem, szukając potwierdzenia w ich dużych, kochanych twarzach.

- Naprawdę?

- Naprawdę - zapewniła mamusia. - A teraz wstań i idź zrobić siusiu, kolego.

- Już robiłem. Właśnie dlatego się obudziłem.

- Dobrze, dobrze - powiedziała, bo rodzice nigdy nie wierzą dzieciom. - W takim razie zrób to dla mnie jeszcze raz, zgoda?

Rad nierad poszedł znów do łazienki.

- No i widzisz? - zauważyła z uśmiechem mama, patrząc jak wyciska z siebie cztery mizerne kropelki. - Coś tam jednak było.

Tad pokiwał zrezygnowany głową. Wrócił do łóżka. Opatulono go troskliwie i pożegnano całuskami.

Ale kiedy matka z ojcem ruszyli w kierunku drzwi, strach spowił Tada znowu niczym zimna błona pełna mgły. Niczym całun cuchnący nieuniknioną śmiercią. Oj, proszę, pomyślał - ale do głowy nie przychodziło mu nic więcej, tylko to: Oj proszę, oj proszę, oj proszę...

Ojciec, zupełnie jakby odebrał jego błagalną myśl, odwrócił się w progu i z ręką na wyłączniku światła powtórzył:

- Potworów nie ma, Tad.

- Tak, tatusiu - bąknął chłopiec, bo w tym momencie oczy ojca wydały mu się jakieś zatroskane, jakby tata sam nie był do końca przekonany i chciał, żeby ktoś go w tym utwierdził.

- Potworów nie ma. Nie licząc tego w mojej szafie, dodał w myślach.

Światło zgasło.

- Dobranoc, Tad - doleciał go ciepły, pieszczotliwy szept mamy i chłopiec wrzasnął w duchu: Uważaj, mamusiu, one zjadają panie! Na wszystkich filmach łapią panie, wynoszą je gdzieś i zjadają! Oj proszę, oj proszę, oj proszę...

Ale rodzice wyszli.

Czteroletni Tad Trenton leżał w swoim łóżku sparaliżowany strachem. Leżał przykryty kocem po samą brodę, tuląc do piersi pluszowego misia, a ze ściany spoglądał na niego Luke Skywalker; z drugiej ściany uśmiechała się szelmowsko wiewiórka stojąca na mikserze (Jeśli życie obdarza cię cytrynami, rób cytronetę! - radziło pucołowate, uśmiechnięte zwierzątko); trzecią ścianę okupowała pstra kompania z

"Ulicy Sezamkowej": Wielki Ptak, Bert, Ernie, Oscar, Grover.
Dobre totemy, dobra magia. Tylko to straszne zawrozcenie
wiatru, który ślizga się po czarnych rynnach na dachu! Nie
uśnie już tej nocy.

Ale po pewnym czasie paraliż zaczął stopniowo ustępować, a
napięte mięśnie rozluźniły się. Tad powoli odpływał w sen...

I naraz nowy dźwięk, bliższy niż zawrozcenie nocnego wiatru
za oknem, wyrwał go gwałtownie z półsnu i kazał szeroko
otworzyć oczy.

Zawiasy ściennej szafy.

Krrriiiiiiii...

Cichutki skrzyp, tak wysoki, że słyszany chyba tylko przez
psy i małych chłopców, którzy nie śpią w nocy. Drzwi szafy
otwierały się powoli i nieubłaganie; martwa paszcza
rozdziawiająca się cal po calu, a w niej ciemność.

W tej ciemności zaś czał się potwór. Warował w tym samym
miejszu co wcześniej. Uśmiechał się do Tada, ogromne barki
sterczały mu nad przekrzywionym łbem, a ślepiea ożywiane
szyderczą przebiegłością jarzyły się bursztynem. No i
widzisz, Tad? - wyszeptał. - Mówiłem ci, że sobie pójdą.
Zawsze w końcu odchodzą. A wtedy ja mogę wrócić. Lubię
wracać i lubię ciebie, Tad. Od tej pory będę chyba wracał co
noc i za każdym razem podejdem trochę bliżej twojego łóżka...
i jeszcze trochę bliżej... aż którejś nocy usłyszysz warczenie.
Czyjeś warczenie tuż obok, Tad, i to będę ja, i zanim zdązysz
ich zawołać, rzucę się na ciebie, a potem pożrę, i znajdziesz
się we mnie.

Tad wpatrywał się w stwora ze swojej szafy z hipnotyczną,
trwożną fascynacją. Było w nim coś... coś mgliście
znajomego. Coś, co jakby znał. I to było właśnie najgorsze:
jakby znał, ale nie wiedział skąd. Bo...

Bo ja jestem szalony, Tad. Jestem tutaj. Byłem tu cały czas. Kiedyś nazywałem się Frank Dodd i zabijałem panie, i może je potem zjadałem. Byłem tu przez cały czas, kręciłem się w okolicy, przykładając ucho do ziemi. Jestem potworem, Tad, starym potworem, i będę cię wkrótce miał. Będziesz czuł, jak się zbliżam... zbliżam...

Stwór z szafy przemawiał być może własnym, świszczącym oddechem Tada, a może jego głosem było zawroźnienie wiatru za oknem. Zresztą wszystko jedno. Chłopiec słuchał słów stwora sparaliżowany przerażeniem, bliski omdlenia (jednak zupełnie wybity ze snu); patrzył na ten skryty w mroku, warczący pysk, który jakby znał. Nie zaśnie już tej nocy - może już nigdy nie zaśnie.

Ale gdzieś między wpół do pierwszej a pierwszą w nocy Tad znowu odpłynął w sen. Płytki sen, w którym ścigały go niezdarne futrzaste stwory z białymi zębiskami.

Wiatr podtrzymywał długą konwersację z rynkami. Sierp białego wiosennego księżyca piął się po niebie. Gdzieś w oddali, na jakiejś nieruchomej, pogrążonej w mrokach nocy polanie albo na biegnącym między sosnami leśnym dukcie, zaszczeakał wściekle pies i znowu zapadła cisza.

A w ściennej szafie Tada Trentona czuwało coś o bursztynowych ślepiach.

- To ty przelożyłeś z powrotem te koce? - spytała Donna męża następnego ranka. Stała przy kuchence i smażyła bekon. Tad siedział w drugim pokoju przed telewizorem i oglądał "The New Zoo Revue", zajądając Błyskotki z trzymanej na kolanach miseczki. Pod handlową nazwą Błyskotki kryły się chrupki firmy Sharp, a chrupki Sharpa Trentonowie dostawali za darmo.

- Hmmmm? - mruknął pytająco Vic Trenton, zatopiony w lekturze działu sportowego gazety. Był przeflancowanym nowojorczykiem i jak dotąd z powodzeniem opierał się pokusie kibicowania drużynie Red Sox. Ale fakt, że Metsi rozpoczynają kolejny sezon klęską, sprawiał mu masochistyczną przyjemność.

- Koce. Te z szafy Tada. Znowu tam były. Krzesło też tam było, a drzwi znowu stały otworem. - Donna podeszła do stołu ze skwierczącym jeszcze bekonem na patelni. - To ty położyłeś te koce z powrotem na krzesło?

- Nie - mruknął Vic, przewracając stronę gazety. - Śmierdzi tam naftaliną, jak na zjeździe kulek na mole.

- Dziwne. Widocznie Tad sam musiał je przełożyć. Vic odłożył gazetę i spojrzał na żonę.

- O czym ty mówisz, Donna?

- Pamiętasz jego zły sen wczoraj w nocy...?

- Jakże mógłbym zapomnieć? Myślałem, że dzieciak umiera. Trzęsło nim jak w konwulsjach.

Pokiwała głową.

- Przywidziało mu się, że koce są jakimś... - Wzruszyła ramionami.

- ...straszydłem - dokończył za nią Vic i uśmiechnął się.

- Chyba tak. Dałeś mu pluszowego misia, a koce wniosłeś w głąb szafy, ale kiedy dzisiaj słałam mu łóżko, one znowu leżały na krzesle. - Roześmiała się. - Zajrzałam do środka i przez moment wydawało mi się...

- Teraz już wiem, po kim on to ma - mruknął Vic, sięgając znowu po gazetę. Przechylił przy tym głowę i mrugnął do żony wesoło. - Trzy hot dogi, jasny gwint.

Kiedy Vic odjechał już do pracy, Donna spytała Tada, dlaczego położył koce z powrotem na krześle, skoro w nocy tak go przestraszyły.

Chłopiec spojrział na nią i jego zazwyczaj pełna życia, wesoła buzia pobrała i przybrała wyraz czujności, jakby postarzała się. Przed nim leżała otwarta książeczka do kolorowania - "Wojny Gwiazdne". Zieloną kredką świecową kolorował właśnie Greedo w kosmicznej karczmie.

- To nie ja - mruknął.

- Ależ Tad, jeśli to nie ty ani nie tatuś, ani nie ja...

- Potwór to zrobił - wpadł jej w słowo Tad. - Potwór z mojej szafy.

Pochylił się znowu nad rysunkiem.

Donna patrzyła na synka zaniepokojona i trochę przestraszona.

Był inteligentnym chłopcem, może o trochę za bardzo wybujałej wyobraźni. To nie był dobry objaw. Wieczorem będzie musiała porozmawiać o tym z Vikiem. Będą musieli o tym poważnie porozmawiać.

- Tad, pamiętasz, co powiedział ojciec? - spytała. - Nie ma czegoś takiego jak potwory.

- W dzień może i nie ma - odparł i uśmiechnął się do niej tak rozbrajająco i szczerze, że cały jej niepokój przysł.

Poczochnęła go po włosach i pocałowała w policzek.

Chciała mimo wszystko porozmawiać z Vikiem, ale kiedy Tad był w ogródku zabaw dla dzieci, przyszedł Steve Kemp i zapomniała, a chłopiec tej nocy również zaczął krzyczeć.

Krzyczał, że to jest w jego szafie, potwór, potwór!

Drzwi szafy były uchylone, koce leżały na krześle. Tym razem Vic wyniósł je na strych i włożył do stojącej tam skrzyni.

- Zamknąłem go tam, Tadder - powiedział, całując synka. -
Załatwione. Teraz śpij i niech ci się przyśni coś miłego.

Ale Tad przez długi czas nie mógł zmrużyć oka, a kiedy powieki zaczęły mu wreszcie opadać, drzwi ściennej szafy uwolniły się z cichym, szyderczym szcękaniem od blokującej je zapadki i śmiertelna paszcza rozwarła się, odsłaniając śmiertelny mrok - śmiertelny mrok, w którym czaiło się coś futrzastego o ostrych zębach i pazurach, coś, co cuchnęło zepsutą krwią i mrocznym przeznaczeniem.

Cześć, Tad - wyszeptano to coś swoim wstrętnym głosem, i w okno zajrzał księżyc przypominający przecięte oko trupa.

Najstarszą żyjącą osobą w Castle Rock była tej późnej wiosny Evelyn Chalmers, zwana przez starszych mieszkańców miasteczka Ciotką Ewie, a "tym starym krzykliwym babskiem" przez George'a Mearę, który dostarczał jej pocztę - składającą się głównie z katalogów i ofert z "Reader's Digest" oraz z broszur Krucjaty Wiecznego Chrystusa zawierających modlitwy - i przy okazji wysłuchiwał jej niekończących się monologów. "Jedyne, do czego nadaje się to stare krzykliwe babsko, to przepowiadanie pogody" - zwykł mawiać George, kiedy był już po paru głębszych i siedział w kompanii swoich koleżków w Potulnym Tygrysie. Jak na bar była to nazwa zupełnie idiotyczna, ale ponieważ Castle Rock mogło się poszczycić tylko tym jednym lokalem, mieszkańcy chyba w końcu do niej przywykli.

Opinia George'a była powszechnie podzielana. Od dwóch lat, czyli od dnia, kiedy Arnold Heebert, który miał sto jeden lat i sklerozę tak zaawansowaną, że rozmowa z nim pod względem intelektualnego wyzwania przypominała gadanie do puszki po pokarmie dla kotów, dokładnie dwadzieścia pięć minut po sfajdaniu się po raz ostatni w spodnie zleciał z

werandy na tyłach Domu Starców w Castle Acres i skręcił sobie kark, Ciotka Ewie, jako najstarsza mieszkanka Castle Rock, była właścicielką przechodniej laski "Boston Post".

Nie była jednak nawet w przybliżeniu tak stetryczła jak Arnie Heebert i nawet w przybliżeniu tak sędziwa, chociaż, licząc sobie dziewięćdziesiąt trzy lata, nie należała już do najmłodszych. I pomimo że z upodobaniem wydzieriała się do zrezygnowanego (i często skacowanego) George'a Meary, kiedy ten przynosił jej pocztę, nie zgłupiała jeszcze na tyle, żeby stracić swój dom w ten sam sposób, co stary Heebert.

Miała rzeczywiście dar przepowiadania pogody. W miasteczku - wśród starszych ludzi, którzy przykładali wagę do takich rzeczy - krążyła zgodna opinia, że Ciotka Ewie nie myli się nigdy w trzech sprawach: na który tydzień lata wypadnie początek żniw, czy obrodzą (względnie nie obrodzą) borówki i jaka będzie pogoda.

Pewnego dnia na początku czerwca tego roku wyszła z domu, pałac herberta tareytona i wspierając się ciężko na swojej lasce od "Boston Post" (która przejdzie na Vina Marchanta, kiedy to wrzaskliwe stare babsko wykorkuje - mówił sobie George Meara - i krzyżyk ci na drogę, Ewie), podreptała do skrzynki pocztowej ustawionej na końcu podjazdu. Powitała gromkim głosem Mearę - własna głuchota najwyraźniej wzbudzała w niej przekonanie, że ze współczucia wszyscy inni również ogłuchli - a potem wrzasnęła, że będą mieli najgorętsze lato od trzydziestu lat. Gorący początek i gorący koniec, darła się Ewie co sił w płucach w sennej przedpołudniowej ciszy. I gorący środek.

- Naprawdę? - burknął George. - Co?

- Pytałem, czy naprawdę! - To też miała do siebie Ciotka Ewie: prowokowała rozmówcę, żeby wrzeszczał jak ona. Można było sobie zedrzyć struny głosowe.

- Pocałuję świnię w ryj i jeszcze się będę uśmiechać, jak nic! - krzyknęła. Popiół z jej papierosa posypał się George'owi Mearze na rękaw bluzy od munduru, który dopiero co odebrał z pralni chemicznej i dziś rano po raz pierwszy włożył; strzepnął go z rezygnacją. Ciotka Ewie nachyliła się do okna jego samochodu, żeby wrzeszczeć mu w same ucho. Jej oddech zalatywał kiszonymi ogórkami. - Wszystkie polne myszy powyłaziły z nor! Tommy Neadeau widział przy Moosuntic Pond jelenia ściągającego rogi, tam gdzie pokazał się pierwszy dzięcioł! Jak stopniał śnieg, to była pod nim trawa! Zielona trawa, Meara!

- Naprawdę, Ewie? - mruknął George, bo trzeba było coś odpowiedzieć. Zaczynała go boleć głowa.

- Co?

- Naprawdę, ciotko Ewie?! - ryknął George Meara. Ślina trysnęła mu z ust.

- A tak, tak! - odwrzasnęła ukontentowana Ciotka Ewie. - A wczoraj w nocy widziałam, jak błysnęło na zmianę pogody! Zły znak, Meara! Zły znak, kiedy wcześniej robi się upał! Tego lata ludzie będą padać z gorąca! Słońce będzie złe!

- Muszę już jechać, Ciotko Ewie! - huknął George. - Mam specjalną przesyłkę dla Beaulieuego!

Ewie Chalmers odrzuciła w tył głowę i zarechotała w wiosenne niebo. Rechotała tak, że o mało się nie zadławiła, a na przód jej podomki posypały się strzępki papierosowego popiołu. Wypluła niedopałek z ust. Upadł na drogę i dymił obok jednego z jej staromodnych trzewików - trzewików czarnych jak smoła i ciasnych jak gorset; trzewików na wieki.

- Masz specjalną przesyłkę dla Frenchy'ego Beaulieu? Toć on nie przesyłabizowałby nazwiska na własnym nagrobku!

- Muszę już jechać, Ciotko Ewie! - krzyknął pośpiesznie George i wrzucił bieg.

- Frenchy Beaulieu to największy jełop, jakiego Pan Bóg stworzył! - darta się Ciotka Ewie, ale teraz darta się już do tumanu kurzu, jaki pozostał po George'u Mearze; udało mu się zwiać.

Stała jeszcze z minutę przy swojej skrzynce pocztowej, odprowadzając Mearę wzrokiem. Nie było do niej żadnej korespondencji osobistej; ostatnio rzadko taka przychodziła. Większość z jej znajomych, którzy potrafili pisać, już nie żyła. Podejrzała, że wkrótce do nich dołączy. Miała złe przecucie w związku z nadchodzącym latem, przecucie napawające lękiem. Paplała o myszach opuszczających wcześniej swoje norki, o błyskawicach na wiosennym niebie, nie wspomniała jednak ani słówkiem o gorączce, którą wyczuwała tuż za horyzontem, przyczajonej tam niczym chude, lecz potężne zwierzę o wyleniającej sierści i czerwonych, gorejących ślepiach; nie powiedziała o swych rozpalonych, bezcienistych, spragnionych snach; nie powiedziała o porankach, podczas których do oczu bez żadnego powodu napływają łzy - łzy, które zamiast przynosić ulgę, pieką jak pot. W wietrze, który nie nadlatywał, węszyła obłąd.

- George'u Mearo, ty dupku żołądny - mruknęła, kładąc akcent na ostatnie dwa słowa.

Poczłapała z powrotem do domu, wspierając się na swej lasce od "Boston Post", którą wręczono jej na specjalnej uroczystości w ratuszu tylko za to, że dokonała

bezsensownego wyczynu pomyślnego zestarzenia się. Nie dziwota, pomyślała, że tę cholerną gazetę diabli wzięli.

Zatrzymała się na ganku i spojrzała w niebo, które wciąż miało wiosenną, pastelową barwę. Ale ona wyczuwała, że to nadciągają: coś gorącego, coś plugawego.

Przed rokiem, kiedy stary jaguar Vica Trentona nabawił się denerwującego klekotania gdzieś we wnętrzu tylnego lewego koła, właśnie George Meara poradził Vicowi, żeby odstawił wóz do znajdującego się na przedmieściach Castle Rock warsztatu Joego Cambera.

- Facet ma dosyć nietypowe podejście do klienta - powiedział Vicowi stojącemu przy swojej skrzynce na listy. - Określa z góry, ile będzie kosztować robota, załatwia ją, a potem liczy sobie za nią tyle, ile chciał na początku. Ciekawy sposób na robienie interesu, nie? - I z tymi słowami odjechał, pozostawiając Vica w niepewności, czy mówił poważnie, czy też powiedział właśnie jakiś zawołowany jankeski dowcip.

Vic zadzwonił jednak do Cambera i pewnego dnia, jeszcze w czerwcu (o wiele chłodniejszym od tego, który miał przyjść za rok) wybrali się tam wraz z Donną i Tadem. Było naprawdę daleko; Vic musiał się dwa razy zatrzymywać, żeby spytać o drogę, i od tamtego czasu nazywał te najdalsze peryferia miasteczka Wschodnim Zadupiem.

Kiedy wjeżdżał na podwórko Cambera, tylne koło klekotało głośniejsz niż kiedykolwiek. Tad, który miał wtedy trzy latka, siedział na kolanach u Donny i śmiał się głośno; jazda tatusiowym "bezdachowcem" zawsze wprawiała go w dobry humor, a i Donna była w wyśmienitym nastroju.

Na podwórku stał ośmio- czy może dziewięcioletni chłopiec i uderzał starą baseballową piłką jeszcze starszym baseballowym kijem. Piłka szybowała w powietrzu i odbijała

się o ścianę stodoły, w której zapewne, przemknęło przez myśl Vicowi, mieścić się warsztat Cambera.

- Cześć - powiedział chłopiec. - To pan nazywa się Trenton?

- Tak, ja - potwierdził Vic.

- Zawołam tatę - rzucił chłopiec i wszedł do stodoły.

Trójka Trentonów wysiadła z samochodu. Vic zaszedł jaguara od tyłu i przykucnął przy felernym kole. Czuł się trochę zbity z tropu. Może mimo wszystko należało oddać wóz do naprawy w Portland? Ten warsztat nie prezentował się obiecująco; Camber nie miał nawet wywieszzonego szyldu.

Medytacje Vica przerwała Donna, najpierw wołając go nerwowo po imieniu, a potem krzycząc: "Ó Boże, Vic!".

Podniósł się szybko i ujrzał ogromnego psa wylaniającego się ze stodoły. Przez moment miał absurdalne wątpliwości, czy to rzeczywiście pies, czy też może jakiś rzadki i brzydki rodzaj kucyka. Jednak kiedy zwierzę wyszło powoli z cienia zalegającego w wejściu do stodoły, zobaczył jego smutne oczy i rozpoznał bernardyna.

Donna odruchowo porwała Tada na ręce i cofnęła się, opierając o maskę jaguara, ale chłopiec zaczął się wiercić niecierpliwie w jej objęciach, domagając się postawienia z powrotem na ziemi.

- Chcę zobaczyć pieska, mamusiu... chcę zobaczyć pieska!

Donna rzuciła nerwowe spojrzenie Vicowi, również mocno zaniepokojonemu. I wtedy wrócił chłopiec. Podchodząc do Vica, minął psa i poczochnął go w przelocie po łbie. Pies zawachlował ospale imponującym ogonem i Tad zdwoił swe wysiłki, by wydostać się z ramion matki.

- Może go pani puścić - powiedział chłopiec. - Cujo lubi dzieci. Nic mu nie zrobi. - I zwracając się do Vica oznajmił: -

Tata już idzie. Umyje tylko ręce.

- W porządku - odparł Vic. - Cholernie wielkie psisko, chłopcze. Na pewno nie gryzie?

- Na pewno - zapewnił go chłopiec, ale kiedy Tad, nieprawdopodobnie malutki, podreptał w stronę psa, Vic przyłapał się na tym, że przysuwa się instynktownie do żony. Cujo stał z przekrzywionym łbem, a wielki pióropusz jego ogona kołysał się powoli tam i z powrotem.

- Vic... - zaczęła Donna.

- Wszystko w porządku - mruknął Vic, dodając w duchu: "mam nadzieję". Pies wyglądał na wystarczająco wielkiego, by połknąć Tada za jednym zamachem.

Mały zatrzymał się na chwilę, najwyraźniej straciwszy rezon. On i pies przyglądali się sobie.

- Piesku...? - bąknął niepewnie Tad.

- Cujo - odpowiedział chłopiec Cambera, podchodząc do nich. - Wabi się Cujo.

- Cujo - powtórzył Tad i pies, zbliżywszy się, zaczął lizać mu buzię zamaszystymi, dobrodusznymi, mokrymi pociągnięciami wielkiego jezora. Tad chichotał i próbował się bronić. Odwrócił się do matki i ojca, śmiejąc się w taki sam sposób jak wtedy, gdy któreś z nich go łaskotało. Postąpił krok w ich kierunku, lecz nóżki mu się zaplątały i upadł. Pies ruszył, stanął nad Tadem i Vic, który jedną ręką obejmował Donnę w talii, wyczuł, jak żona wstrzymuje spazmatycznie oddech. Zrobił krok w przód... i nagle zmarł. Zęby Cujo zatrzasnęły się na plecach koszulki Tada z wizerunkiem Człowieka-Pająka z przodu. Pies uniósł chłopczyka w powietrze - Tad wyglądał przez chwilę jak kociak w pyszczku mamy kotki - i postawił go na ziemi. Tad podbiegł do rodziców.

- Lubię tego pieska! Mamusiu! Tatusiu! Lubię tego pieska!
Chłopiec Cambera stał z rękami w kieszeniach dzinsów i obserwował to wszystko z umiarkowanym rozbawieniem.

- Tak, to miły pies - wykrztusił Vic. Serce wciąż jeszcze waliło mu jak młotem. Przez chwilę miał wrażenie, że pies chce Tadowi odgryźć głowę jak szmacianej lalce. - Nazywa się święty bernardyn, Tad - dorzucił.

- Święty... Bennard! - zawołał Tad i popędził z powrotem do Cujo, który siedział teraz w wejściu do stodoły i przypominał małą górę. - Cujo! Cuuuuuj!

Donna znowu zmartwiała.

- Och, Vic, czy nie sądzisz...

Ale Tad był już przy Cujo. Najpierw objął go wylewnie za szyję, a potem spojrzał mu z bliska w pysk. Kiedy Cujo siedział z wywieszonym różowym jęzorem, bijąc rytmicznie ogonem o ziemię, Tad, nawet stając na paluszkach, ledwie mógł mu zajrzeć w oczy.

- Sądzę, że się zaprzyjaźnili - powiedział Vic.

Tad włożył swoją małą rączkę w paszczę Cujo i zaglądał w nią, jak najmniejszy dentysta świata. Na ten widok Vicowi serce znowu podeszło do gardła, ale nim zdążył zareagować, malec biegł już ku nim.

- Piesek ma zęby - poinformował ojca.

- Tak - przyznał Vic. - Mnóstwo zębów.

Odwrócił się do chłopca, żeby spytać, skąd wzięło się imię Cujo, ale w tym momencie ze stodoły wyszedł właściciel warsztatu. Wycierał dłonie w kawałek szmaty, żeby nie usmarować klienta przy powitaniu.

Vic z miłym zaskoczeniem stwierdził, że Camber zna się na rzeczy. Przejechali się razem do domu u stóp wzgórza i z powrotem, wsłuchując się uważnie w klekotanie.

- Łożysko siada - stwierdził Camber. - Ma pan szczęście, że nie zatarło się jeszcze na dobre.

- Potrafi pan to naprawić? - spytał Vic.

- Nie ma sprawy. Jak pan ma ze dwie godzinki, mogę to zrobić na poczekaniu.

- Tak byłoby chyba najlepiej - przystał Vic. Spojrzał na Tada bawiącego się z psem. Chłopczyk rzucał najdalej jak potrafił (a nie było to daleko) baseballową piłkę syna Cambera, a bernardyn biegł po nią posłusznie i odnosił w pysku małemu. Piłka była niemożliwie ośliniona. - Pański pies zabawia mojego synka - powiedział.

- Cujło lubi dzieciaki - przyznał Camber. - Zechciałby pan wprowadzić wóz do stodoły, panie Trenton?

Pan doktor zaraz cię zbada, pomyślał Vic rozbawiony i wjechał jaguarem do środka. Okazało się, że naprawa zajęła tylko półtorej godziny, a należność pobrana przez Cambera była tak niewygórowana, że aż zaskakująca.

Tad biegał tego chłodnego, pochmurnego popołudnia, bez ustanku wołając psa po imieniu: "Cujło... Cuuujooo... tutaj, Cujło...". Przed samym odjazdem chłopiec Cambera (na imię miał Brett) podsadził synka Trentonów na Cujło i bernardyn z Tadem na grzbiecie statecznym krokiem przemierzył tam i z powrotem wysypane żwirem podwórko. Brett asekurował malca, idąc obok i obejmując go ramieniem w pasie. Kiedy Cujło mijał Vica, ten przechwycił jego spojrzenie... i gotów był przysiąc, że pies się uśmiecha.

Trzy dni po wrzaskliwej konwersacji George'a Meary z Ciotką Ewie mała dziewczynka w wieku Tada Trentona wstała ze swego miejsca przy śniadaniowym stole - który stał w kącie śniadaniowym schludnego domku w Iowa City w stanie Iowa - i oznajmiła:

- Oj, mamó, niedobrze mi. Chyba będę wymiotowała. Matka obejrzała się, nawet niespecjalnie zaskoczona.

Przed dwoma dniami starszego brata Marcy odesłano ze szkoły do domu z ostrymi objawami grypy żołądkowej. Brock już wydobrzył, ale tych koszmarnych dwudziestu czterech godzin, podczas których jego organizm zrzucił z obu stron swój balast, nikt mu nie odbierze.

- Jesteś pewna, słoneczko? - spytała córkę.

- Oj, tak... - jęknęła głośno Marcy i uciskając obiema rączkami brzusek wypadła na korytarz. Matka ruszyła za nią. Kiedy wychodziła z kuchni, córeczka zniknęła właśnie w drzwiach łazienki. O Boże, znowu to samo, pomyślała. Będzie cud, jeśli i ja tego nie złapię.

Słyszając pierwsze odgłosy wymiotowania, skręciła za małą do łazienki, myśląc już o tym, co trzeba zrobić potem: podać klarowne płyny, łóżko, nocnik, parę książeczek; Brock po powrocie ze szkoły wniesie jej do pokoju przenośny telewizor i...

Spojrzała i stanęła jak rażona gromem. Wszystkie myśli uleciały jej z głowy.

Umywalkę, do której wymiotowała czteroletnia dziewczynka, wypełniała krew; krwią spryskany był biały porcelanowy brzeg umywalki; krew skapywała na kafelki posadzki.

- Oj, mamusiu, niedobrze mi...

Mama zaczęła się odwracać, odwracała się, odwracała, a buzię wokół ust umazaną miała we krwi, która ściekała jej po brodzie i rozlewała się coraz większą plamą na przodzie niebieskiej sukienki, krew, Boże jedyny, Jezusie, Maryjo, Józefie święty, tyle krwi...

- Mamusiu...

I dziewczynka znowu zwymiotowała. Gęsta, krwawa masa tryskająca z jej ust zbryzgała wszystko wokół niczym złowróźbny deszcz. Matka porwała Marcy na ręce, wybiegła z nią z łazienki, dopadła telefonu w kuchni i wykręciła numer pogotowia.

Cujo zdawał sobie sprawę, że jest za stary na uganianie się za królikami.

Nie był bynajmniej staruszkciem, o nie, nawet jak na psa. Jednak licząc sobie pięć lat, dawno już wyrósł z wieku szczenięcego, kiedy byle motyl stanowił wystarczający pretekst do wszczęcia zawziętego pościgu przez las i łąki rozciągające się za domem i stodołą. Miał pięć lat i gdyby był człowiekiem, wchodziłby właśnie w pierwsze stadium wieku średniego.

Był piękny, wczesny poranek szesnastego czerwca i na żdźbłach trawy perliła się jeszcze rosa. Upały, które przepowiadała Ciotka Ewie George'owi Mearze, rzeczywiście nadeszły - był to najcieplejszy początek czerwca od lat - i o drugiej po południu Cujo będzie leżał w kurzu podwórka (albo w stodole, jeśli MEŻCZYŻNA pozwoli mu do niej wejść, co czynił czasami, kiedy pił, a ostatnio pił prawie na okrągło), robiąc ciężko bokami w prażącym słońcu. Ale to będzie później.

A ten królik, wielki, brązowy, tłusty królik, nie miał zielonego pojęcia, że Cujo tu jest, prawie na samym skraju północnego pola, milę od domu. Wiatr wiał ze złego kierunku z punktu widzenia Pana Królika.

Cujo podkładał się raczej dla zabawy niż z apetytu na świeże mięso. Królik skubał w najlepsze młodą koniczynę, którą promienie bezlitosnego słońca w ciągu miesiąca spieką na brąz. Gdyby spostrzegł psa i rzucił się do ucieczki już wtedy,

kiedy ten pokonał dopiero połowę dzielącej ich pierwotnie odległości, Cujo nie podjąłby pościgu. Jednak łepki i słuchy królika powędrowały w górę dopiero w momencie, kiedy Cujo znajdował się niespełna piętnaście stóp od niego. Przez chwilę królik ani drgnął; stał nieruchomo słupka ze śmiesznie wybałuszonymi ślepkami niczym wykuta w kamieniu rzeźba. A potem nagle zerwał się do ucieczki.

Pies ze wściekłym ujadaniem rzucił się w pogoń. Królik był bardzo mały i szybki, Cujo bardzo duży i powolny, ale perspektywa zdobyczy wpompowała dodatkową porcję energii w łapy psa. Zbliżył się do królika na tyle, że już-już go dosięgał. Królik skręcił ostro. Cujo zarył pazurami w darń, wyhamował, orząc ją aż do czarnej ziemi pod spodem, i zawrócił ociężale. Stracił z początku równowagę, ale szybko ją odzyskał. W powietrze wzbijały się z trzepotem skrzydeł ptaki spłoszone jego basowym, urywanym szczekiem. Cujo wyglądał, jakby się uśmiechał. Królik zygzakował przez jakiś czas, a potem śmignął jak strzała na wprost przez północne pole. Cujo pognął w ślad za nim, chociaż podejrzewał już, że tego wyścigu nie wygra.

Starał się jednak bardzo i już znowu doganiał królika, kiedy ten zanurkował raptem w małą norkę w skłonie niewysokiego, łagodnego pagórka. Wylot nory zarośnięty był wysoką trawą. Cujo bez chwili wahania wyciągnął swe wielkie brązowe cielsko jak futrzasty pocisk i wykorzystując siłę bezwładu, runął głową naprzód w otwór - i utknął w nim jak korek w szyjce butelki.

Joe Camber, pomimo że od siedemnastu lat był właścicielem farmy Siedem Dębów przy końcu Drogi Miejskiej Nr 3, nie miał pojęcia o istnieniu tej dziury. Odkryłby ją z pewnością, gdyby zajmował się uprawą roli, ale się nią nie zajmował. W

wielkiej czerwonej stodole nie było żywego inwentarza; wykorzystywał ją w charakterze warsztatu mechanicznego i składu blach karoserii samochodowych. Jego syn Brett buszował często po polach i po lesie za domem, ale on też nigdy nie natrafił na tę dziurę, chociaż kilka razy omal w nią przypadkiem nie wdepnął, co pewnie przypłaciłby złamaniem nogi w kostce. W słoneczne dni dziurę można było wziąć za cień; w dni pochmurne nikła zupełnie w zarastającej ją trawie. John Mousam, poprzedni właściciel farmy, wiedział o dziurze, ale nie przyszło mu jakoś do głowy, żeby wspomnieć o niej Joemu Camberowi, kiedy w 1963 roku sprzedawał mu swoje gospodarstwo. Być może powiedziała by o niej Camberowi, kiedy w 1970 żona Joego, Charity, powiła syna, ale zmarł wcześniej na raka.

Chwała Bogu, że Brett nigdy jej nie znalazł. Dla małego chłopca nie ma na świecie nic bardziej intrygującego niż dziury w ziemi, a ta prowadziła do niewielkiej naturalnej wapiennej pieczary. W najgłębszym miejscu pieczara miała około dwudziestu stóp głębokości i niewykluczone, że mały wścibski chłopiec mógłby się do niej wcisnąć, ześlizgnąć na samo dno i utknąć tam na dobre. W przeszłości zdarzało to się już rozmaitym małym zwierzętom. Po wapiennej ścianie pieczary łatwo było zjechać na dół, ale znacznie trudniej wgramolić się z powrotem na górę. Jej dno zaścielały kości świstaka, skunksa, paru wiewiórek i domowego kota. Kot nazywał się Pan Czyścioszek. Zginął Camberom przed kilkoma laty i doszli do wniosku, że albo przejechał go samochód, albo kocisko po prostu dało nogę. A on był tutaj, wraz z kosteczkami dużej polnej myszy, za którą się tu zapędził.

Ścigany przez Cujo królik, koziółkując i ślizgając się, zleciał na samo dno, i teraz dygotał tam jak w febrze z postawionymi słuchami i noskiem wibrującym z częstotliwością kamertonu, przerażony ujadaniem Cujo, które wypełniało małą przestrzeń. Nakładające się echa sprawiały, że zgiełk był taki, jakby na górze kłębiła się cała psia sfora.

Podziemna pieczara przyciągała też od czasu do czasu nietoperze - nigdy nie gnieździło się ich tu wiele, bo pieczara była mała, ale jej chropowate sklepienie stanowiło dla nich idealne miejsce do zawisnięcia głową w dół i przedrzemania tak do zmierzchu. Również przez wzgląd na te nietoperze szczęśliwie się złożyło, że Brett Camber nie znalazł pieczary, zwłaszcza tego roku. Tego bowiem roku brązowe owadożerne nietoperze, które tu mieszkaly, oblaź szczególnie złośliwy szczep zarazków wścieklizny.

Cujo zaklinował się w dziurze barkiem. Kopał wściekle zadnimi łapami, jednak bez żadnego efektu. Mógł się co prawda obrócić i wyczołgać na powierzchnię, ale uparł się, że dopadnie królika. Wyczuwał, że zwierzątko znalazło się w pułapce i wystarczy się tylko do niego dokopać. Wzroku nie miał specjalnie bystrego, w dodatku swoim masywnym ciałem blokował prawie całkowicie dopływ dziennego światła i nie zdawał sobie sprawy ze spadku otwierającego się tuż przed jego przednimi łapami. Wyczuwał wilgoć i wyczuwał nietoperzowe odchody, zarówno stare, jak i świeże... ale najważniejszy w tej chwili był zapach królika. Gorący i smakowity. Obiad na tacy.

Jego ujadanie spłoszyło nietoperze. Przeraziło je. Coś wtargnęło do ich domu. Rzuciły się z piskiem całą masą w stronę wyjścia. I wtedy ich sonary wykryły zagadkowy i

niepokojący fakt: wyjścia już nie było. Tam, gdzie do tej pory znajdowało się wyjście, czaił się napastnik.

Krążyły i szybowały w ciemnościach, a ich błoniaste skrzydła szeleściły niczym trzepocząca w podmuchach porywistego wiatru bielizna rozwieszona na sznurze. Na dnie jaskini kulił się, nie tracąc nadziei, królik.

Cujo poczuł uderzenia skrzydeł kilku nietoperzy o jedną trzecią swego cielska, którą zdołał do tej pory przecisnąć przez otwór, i przestraszył się. Nie podobał mu się ani ich zapach, ani odgłosy, jakie wydawały; nie podobało mu się dziwne, zdające się emanować z nich ciepło. Szczeknął głośniejsze i kłapnął na postrach zębami, żeby przepłoszyć stworzy krążące mu z piskiem wokół łba. Jego kły zatrzasnęły się na brązowoczarnym skrzydle. Chrupnęły delikatne kostki. Nietoperz odwinął się i ukąsił Cujo, rozcinając miękką skórę pokrywającą wrażliwy psi nos. Rozcięcie było długie, zakrzywione i przypominało kształtem znak zapytania. Zaraz potem nietoperz runął na wapienny stok i zdychając, zjechał po nim na dno pieczary. Ale zło już się stało; ukąszenie wściekłego zwierzęcia w okolicach głowy jest najbardziej niebezpieczne, wścieklizna bowiem atakuje centralny układ nerwowy. Psy, bardziej na nią wrażliwe od swych panów, nie mogą mieć nadziei na pełne uodpornienie nawet po przyjęciu szczepionki pod postacią nieaktywnego wirusa, którą aplikuje każdy weterynarz. A Cujo nigdy w życiu nie był szczepiony przeciw wściekliźnie.

Nie wiedząc o tym, ale mając jeszcze w pysku wstrętny smak niewidocznego stwora, którego przed chwilą ugryzł, Cujo doszedł do wniosku, że dalsza gra nie jest warta świeczki. Potężnym pchnięciem barków wyszarpnął tułów z dziury, wywołując przy tym małą piaskową lawinę. Otrząsnął się i z

sierści poleciały na wszystkie strony zbite grudki ziemi i cuchnące okruchy wapienia. Z nosa kapłała mu krew. Usiadł, wznosił łeb ku niebu i zawył żałośnie.

Nietoperze wysypały się przez dziurę małą brązową chmurą, wirowały przez kilka sekund w powietrzu oślepione jasnym czerwcowym słońcem, po czym umknęły z powrotem do swej sypialni.

Były głupimi stworzeniami i w ciągu tych dwóch, trzech minut zdążyły zupełnie zapomnieć o czekającym intruzie. Znowu zwisły głowami w dół i opatuliwszy swe drobne, szurze ciała skrzydłami, tak jak czynią to stare kobiety owijające się szalami, zasnęły.

Cujo oddalił się truchtem. Znowu się otrząsnął. Bezradnie potarł łapą nos. Krew już krzepła, ścinała się na gęstą papkę, ale nos nadal bolał. Psy potrafią odczuwać zażenowanie z siłą nieproporcjonalnie wielką do swej inteligencji i Cujo wstydził się za siebie. Nie miał ochoty wracać do domu. Gdyby tam wrócił, jedno z jego trójcy - MĘŻCZYZNA, KOBIETA albo CHŁOPIEC - zorientowałoby się, że coś sobie zrobił. Całkiem możliwe, że któreś z nich nazwałoby go BRZYDKIM PSEM. A on w tej chwili z pewnością sam uważał siebie za BRZYDKIEGO PSA.

Tak więc, zamiast wracać do domu, zbiegł nad strumień, który oddzielał teren Cambera od posiadłości Gary'ego Perviera, najbliższego sąsiada Camberów. Brodził pod prąd, pił łapczywie i tarzał się w wodzie - wszystko po to, by pozbyć się tego wstrętnego smaku z pyska, zmyć brud i wodnistozielony smród wapienia z sierści, splukać z siebie piętno BRZYDKIEGO PSA.

Samopoczucie stopniowo mu się poprawiało. Wszedł ze strumienia i otrząsnął się. Wodny prysznic utworzył na chwilę

w powietrzu tęczę o zapierającej dech w piersiach soczystości barw.

Poczucie, że jest BRZYDKIM PSEM i ból nosa powoli ustępowały. Ruszył truchtem w stronę domu, żeby zobaczyć, czy nie ma tam gdzieś CHŁOPCA. Przyzwyczał się do wielkiego żółtego autobusu szkolnego, który co rano przyjeżdżał po CHŁOPCA i odwoził go z powrotem wczesnym popołudniem, ale w tym tygodniu szkolny autobus z błyskającymi ślepiami i nadzieją rozwrzeszczanej dzieciarni nie przyjeżdżał. CHŁOPIEC był przez cały czas w domu. Zwykle siedział w stodole i robił różne rzeczy z MĘŻCZYZNĄ. Może dzisiaj żółty autobus znowu przyjedzie, a może nie. Cujło zapomniał o dziurze i wstrętnym smaku nietoperza. Nos prawie już nie bolał.

Biegł lekko, rozcinając piersią wysokie trawy północnego pola. Od czasu do czasu w powietrze wzbijał mu się spod łap jakiś spłoszony ptak, ale on nie podejmował pościgu. Dość już miał na dziś gonitw i nawet jeśli nie pamiętał o tym jego mózg, to na pewno pamiętało ciało. Był dorodnym bernardynem, miał pięć lat, ważył blisko dwieście funtów i w tej chwili, rankiem szesnastego czerwca 1980 roku, wkraczał we wstępne stadium wścieklizny.

Siedem dni później i trzydzieści mil od Castle Rock i farmy Siedem Dębów, na przedmieściach Portland, w restauracyjce noszącej nazwę Żółta Łódź Podwodna, spotkało się dwóch mężczyzn. Restauracyjka słynęła z bogatego wyboru piętrowych kanapek, pizz i dagwoodów. Pod ścianą w głębi stała maszyna do gry w mechaniczne kręgle. Wisząca nad kontuarem tabliczka głosiła, że kto da radę wepchnąć w siebie dwa Koszmarki Żółtej Łodzi Podwodnej, w nagrodę nie płaci;

poniżej, w nawiasach, dopisano: PŁACISZ, JEŚLI PUŚCISZ PAWIA.

Vic Trenton przepadał za wielkimi kanapkami z klopsem serwowanymi w Żółtej Łodzi, ale podejrzewał, że ta dzisiejsza przyprawi go jak nic o ostry atak nadkwasoty.

- Wygląda na to, że Żółta Łódź straci klienta, co? - zwrócił się do swojego towarzysza, który z wyraźnym brakiem entuzjazmu przyglądał się kanapce z duńską szynką. Był nim Roger Breakstone, a kiedy on patrzył na jedzenie bez entuzjazmu, wiadomo było od razu, że zanoszą się na jakiś kataklizm. Roger ważył dwieście siedemdziesiąt funtów i kiedy siedział, nie było mu widać kolan. Pewnego razu, gdy Vic z Donna baraszkowali w łóżku, chichocząc jak para dzieciaków na biwaku, Donna zwierzyła się, mężowi: "Myślałam, że Rogerowi odstrzelili kolana w Wietnamie".

- Sprawa przedstawia się bryndzowato - przyznał Roger. - Przedstawia się tak cholernie bryndzowato, że nawet byś nie uwierzył, Vic.

- Naprawdę sądzisz, że ta podróż cokolwiek rozwiąże?

- Może i nie - odmruknął Roger. - Ale jeśli nie pojedziemy, to stracimy Sharpa na mur-beton. Może da się coś jeszcze uratować. Jakoś to odkręcić. - Wgryzł się w kanapkę.

- Trzeba by zamknąć na te parę dni interes, a to może nas uderzyć po kieszeni.

- A według ciebie nie jesteśmy jeszcze walnięci po kieszeni?

- Fakt, jesteśmy. Ale wiszą nam przecież te zdjęcia w Kennebunk Beach do reklamówki dla Book Folks...

- Lisa może to obskoczyć.

- Nie jestem taki do końca przekonany, czy Lisa potrafi poradzić sobie sama ze sobą, a co dopiero mówić o obskoczeniu Book Folks - zauważył Vic. - Ale jeśli nawet

założymy, że się z tym upora, to przecież jesteśmy jeszcze w lesie z Twoimi Ulubionymi Borówkami... mamy kłopoty z Casco Bank... no i czeka cię jeszcze to spotkanie z prezesem Głównego Związku Pośredników od Nieruchomości...

- Oho, z nim to ty się spotkasz.

- Jeszcze czego - obruszył się Vic. - Dostaję wysypki na samą myśl o tych czerwonych portkach i białych butach. Wciąż mam ochotę zaglądać do szafy i sprawdzać, czy nie znajdę tam faceta z tablicami reklamowymi na piersiach i plecach.

- To wszystko pryszcz, i dobrze o tym wiesz. Z żadnego z nich nie wyciągamy nawet jednej dziesiątej tego, co z Sharpa. Co tu dużo gadać. Znasz smarkacza Sharpa i wiesz, że będzie chciał rozmawiać z nami dwoma. Bukować ci miejsce czy nie?

Na samą myśl o dziesięciu dniach poza domem - pięciu w Bostonie i pięciu w Nowym Jorku - Vica oblewał zimny pot. Przez sześć lat pracowali z Rogerem w Agencji Ellisona w Nowym Jorku. Vic miał teraz dom w Castle Rock, a Roger i Althea Breakstonowie mieszkali w sąsiednim, odległym o mniej więcej piętnaście mil Bridgton.

Vic postrzegał tamten okres jako epizod, do którego nie warto wracać pamięcią. Dopiero kiedy przenieśli się z Donną do Maine, poczuł, że na dobre ożył, że odkrył, po co został stworzony. Teraz nachodziło go chorobliwe wrażenie, że przez te ostatnie trzy lata Nowy Jork tylko czekał, żeby dostać go z powrotem w swoje kleszcze. Samolot, lądując, nie trafi na pas startowy i pochłonie go rycząca ognista kula płonącego paliwa. Albo na moście Triborough dojdzie do karambolu, w którym ich checker zostanie zgnieciony w krwawy żółty akordeon. Bandyta, zamiast tylko pomachać na postrach swoim pistoletem, zrobi z niego użytek. Ekspłoduje rurociągiem

gazowy, a jego skróci o głowę kłapa włazu studzienki kanalizacyjnej lecąca w powietrzu niczym śmiercionośne, dziewięćdziesięciofuntowe frisbee. Cokolwiek. Jeśli tam wróci, miasto go zabije.

- Rog - powiedział, odkładając ledwie nadgryzioną kanapkę z klopsiem - czy przyszło ci kiedy do głowy, że świat się wcale nie zawali, jeśli naprawdę stracimy Sharpa?

- Świat się nie zawali - przyznał Roger, lejąc buscha po ścianie wysokiej szklanki - ale co z nami? Jasny gwint, mam na głowie jeszcze siedemnaście lat spłacania dwudziestoletniej hipoteki i bliźniaczki, które rwą się do Bridgton Academy. A ty masz swoją hipotekę, swojego dzieciaka i tego starego sportowego jaguara, w którym zatrzęsiesz się kiedyś na śmierć.

- Tak, ale jest jeszcze lokalna przedsiębiorczość...

- Lokalna przedsiębiorczość leży! - wykrzyknął gwałtownie Roger i odstawił z hukiem szklankę piwa.

Grupka czterech mężczyzn przy sąsiednim stoliku, trzech w koszulkach tenisowych i czwarty w spłowiałym podkoszulku z napisem DARTH VADER JEST PEDAŁEM na piersi, zaczęła bić brawo.

Roger machnął do nich niecierpliwie ręką i pochylił się do Vica.

- Dobrze wiesz, że do niczego nie dojdziemy, robiąc kampanie dla Twoich Ulubionych Borówek i pośredników od nieruchomości. Jeśli stracimy Sharpa, pójdziemy na dno bez jednej zmarszczki. Z drugiej strony, jeśli damy radę utrzymać chociaż część kontraktu z Sharpem przez najbliższe dwa lata, to znajdziemy się w kolejce do budżetu Departamentu Turystyki, może nawet uda nam się uszczknąć coś z loterii stanowej, jeśli do tego czasu nie sprowadzą jej na psy.

Smaczne kąski, Vic. Będziemy mogli zrobić pa, pa Sharpowi i jego zasranym chrupkom, i wszystko dobrze się skończy. Duży zły wilk będzie musiał iść poszukać sobie obiadu gdzie indziej; małe świnki będą w domu.

- Pod warunkiem, że zdołamy coś uratować - zauważył Vic. - A prawdopodobieństwo tego jest mniej więcej takie jak to, że Cleveland Indians zdobędą tej jesieni puchar World Series.

- Wydaje mi się, że nie zaszkodzi spróbować, stary.

Vic milczał zamyślony, wpatrując się w swoją czerstwiejącą kanapkę. To było stanowczo niesprawiedliwe, ale z niesprawiedliwością mógłby się jeszcze jakoś pogodzić. Najbardziej dobijała go zwariowana absurdalność całej sytuacji. Spadło to na nich jak grom z jasnego nieba, jak mordercze tornado, które znika, pozostawiając po sobie zygzakowaty pas zniszczeń. Wszystko przemawiało za tym, że on, Roger i ich agencja reklamowa Ad Worx znajdują się wśród jego ofiar bez względu na to, jak postąpią; czytał to z okrągłej twarzy Rogera, która nie była tak ponura od czasu, kiedy oboje z Altheą stracili swojego synka, Timothy'ego. Przyczyną zgonu chłopca był tak zwany zespół śmierci łożeczkowej. Trzy tygodnie potem Roger załamał się i płakał jak bóbr, zakrywając twarz dłońmi w geście jakiegoś straszliwego, beznadziejnego żalu, a patrzącemu na to Vicowi krajało się serce. Nie było wtedy dobrze. Ale panika, którą dostrzegął teraz w oczach Rogera, też nie wróżyła niczego dobrego.

W reklamowym interesie podobne tornada uderzają od czasu do czasu z nienacka. Duże firmy, takie jak Agencja Ellisona, która obraca milionami, potrafią je przetrwać. Małe, w rodzaju Ad Wora, po prostu nie mają szans. Mieli jeden koszyk z mnóstwem małych jajeczek i drugi, w którym

spoczywało jedno wielkie jajo - kontrakt z Sharpem - i teraz nie wiadomo było tylko, czy stracą to wielkie jajo w całości, czy może przynajmniej uda się upichcić z niego jajecznicę. To nie była ich wina, ale agencje reklamowe nadają się wyśmienicie na chłopców do bicia.

Los po raz pierwszy połączył Vica z Rogerem w parę przed sześcioma laty, przy okazji zespołowej realizacji pewnego zlecenia, kiedy obaj pracowali jeszcze w Agencji Ellisona, i od tamtego czasu już się nie rozstawali. Vic, wysoki, chudy i spokojny, stanowił idealne jin dla tłustego, wesołego i wylewnego jang Rogera Breakstone'a. Rozumieli się zarówno na gruncie osobistym, jak i zawodowym.

Tamto pierwsze wspólne zlecenie nie było niczym specjalnym, polegało na opracowaniu dla jakiegoś czasopisma kampanii reklamowej popularyzującej Fundację na rzecz Dzieci z Porażeniem Mózgowym. Zaproponowali czarno-białą planszę przedstawiającą małego chłopca z nóżkami zakutymi w wielkie, okrutne szyny, stojącego w strefie autu przy pierwszej linii bazowej boiska baseballowego Małej Ligi. Chłopiec miał na głowie czapkę Metsów, a jego twarz - Roger zawsze utrzymywał, że projekt zyskał akceptację właśnie dzięki wyrazowi twarzy dziecka - wcale nie była smutna, lecz raczej rozmarzona. Właściwie to nawet szczęśliwa. Podpis głosił: BILLY BELLAMY NIGDY NIE ZAGRA W BASEBALL. A pod spodem: BILLY CIERPI NA PORAŻENIE MÓZGOWE. I jeszcze niżej, małą pochyloną czcionką: A może podasz nam pomocną dłoń?

Datki na Fundację zauważalnie podskoczyły. Skorzystała ona, skorzystali Vic i Roger. Zespół Trenton-Breakstone wystartował i szedł za ciosem. Zaliczyli jeszcze z pół tuzina

udanych kampanii. Vic rzucał najczęściej ogólne koncepcje, Roger zajmował się ich dopracowywaniem.

Dla korporacji Sony zaprojektowali plakat z uśmiechniętym mężczyzną w urzędniczym garniturze, siedzącym po turecku na pasie zieleni przedzielającym jezdnie szesnastopasmowej superautostrady i trzymającym na kolanach wielkie radio Sony. Napis głosił: POLICE BAND, THE ROLLING STONES, VIVALDI, MIKE WALLACE, THE KINGSTON TRIO, PAUL HARVEY, PATTI SMITH, JERRY FALWELL. A pod spodem: HELLO, L.A.

Reklama dla Voita, producenta sprzętu pływackiego, przedstawiała mężczyznę będącego skrajnym przeciwieństwem rasowego surfingowca z Miami. Modelem prężącym się w wyzywającej postawie na złotej plaży jakiegoś tropikalnego rajy był wytatuowany pięćdziesięciolatek z brzuszyskiem piwożłopa, o sflaczałych mięśniach rąk i nóg, z pomarszczoną blizną na udzie. Ten zaprawiony w bojach rycerz fortuny trzymał w ramionach parę płetw Voita. CZŁOWIEKU - głosił napis na plakacie - JA ŻYJĘ Z NURKOWANIA. JA SIĘ NIE OBCYNDALAM. Pod spodem było jeszcze więcej tekstu, który Roger nazywał zwyczajnym ble-ble, ale slogan wyróżniony tłustą czcionką naprawdę chwycił. W oryginale brzmiał on: JA SIĘ NIE OPIERDALAM - ale Vicowi i Rogerowi nie udało się przekonać do tego ludzi Voita. Szkoda, sprzedaliby pewnie o wiele więcej płetw.

Potem był Sharp.

Kiedy stary Sharp po blisko dwudziestoletniej współpracy z miejscową, clevelandzką agencją reklamową zwrócił się bez przekonania do Agencji Ellisona, jego firma zajmowała dwunastą pozycję na liście Wielkiego Amerykańskiego

Piekarnictwa. Była większa od Nabisco sprzed drugiej wojny światowej, jak z upodobaniem podkreślał stary. Jego syn z równym upodobaniem podkreślał, że od zakończenia drugiej wojny światowej upłynęło już trzydzieści lat.

Realizację kontraktu - zawartego z początku na sześciomiesięczny okres próbny - powierzono Vicowi Trentonowi i Rogerowi Breakstone'owi. Pod koniec tego okresu Sharp awansował na rynku ciast-ciasteczek-i-chrupek z miejsca dwunastego na dziewiąte. W rok później, kiedy Vic z Rogerem postanowili rozkręcić własny interes i przenieśli się do Maine, firma Sharpa wspięła się na miejsce siódme.

Opracowana przez nich kampania była szeroko zakrojoną operacją. Dla Ciasteczek Sharpa wymyślili Sharpstrzelca, nadętego szeryfa z Dzikiego Zachodu, którego sześciostrzałowiec strzelał nie kulami, lecz ciasteczkami - zależnie od widzimi się ludzi od efektów specjalnych w jednych wideoklipach były to Chock Chippersy, w innych Ginger Snappiesy, w jeszcze innych Oh Those Oatmealsy. Klipy kończyły się zawsze scenką, w której smutny Sharpstrzelec stoi z wyciągniętymi rewolwerami na stosie ciasteczek. "No, źli faceci już się wynieśli - oznajmiał co dzień milionom Amerykanów - ale zostały mi ciasteczka. Najlepsze ciasteczka na całym Zachodzie... i chyba wszędzie indziej". Potem wbija zęby w ciasteczko. Jego mina sugeruje, że doświadcza gastronomicznego ekwiwalentu pierwszego chłopięcego orgazmu. Ekran ciemnieje.

Ciasta gotowe - szesnaście różnych odmian, od zwykłego placka poprzez kruszonkę do sernika - reklamował filmik nazywany przez Vica klipem George'a i Gracie. Ekran rozjaśnia się i widzimy George'a i Gracie wychodzących z szykownego przyjęcia, na którym stół bufetowy ugina się pod

ciężarem wszelkich możliwych delikatesów. Kolejne ujęcie przedstawia zaniedbane, małe, odpychające mieszkanie. Jest jasno oświetlone. George siedzi przy prostym kuchennym stole przykrytym obrusem w kratę. Gracie wyjmuje z zamrażalnika starej lodówki Placek (albo Kruszonkę, albo Sernik) Sharpa i stawia go na stole. Oboje są jeszcze w wieczorowych strojach. Uśmiechają się do siebie, z ich oczu wycieka ciepło, miłość i zrozumienie; dwoje ludzi w pełnej harmonii. Ekran ciemnieje i na czarne tło wypływa slogan: SA TAKIE CHWILE, KIEDY PRAGNIESZ TYLKO SHARPA. W całym klipie nie pada ani jedno słowo. Właśnie on zdobył nagrodę Clio.

Zdobył ją też Profesor od Chrupek Sharpa, ogłoszony przez handlowców "wywołującą największy oddźwięk reklamą wyprodukowaną dla programów dziecięcych". Vic i Roger uważali go za swoje szczytowe osiągnięcie - ale to właśnie Profesor od Chrupek odbijał im się teraz czkawką.

W morzu adresowanych do dzieci animowanych filmików reklamowych zachwalających gumę do żucia, zabawki przygodowe, lalki i konkurencyjne chrupki Profesor od Chrupek Sharpa, grany przez aktora charakterystycznego w zaawansowanym wieku średnim, wyróżniał się swoją bezpretensjonalnością i śmiałym nawiązaniem do reklam dla dorosłych.

Na ekranie pojawia się opustoszała sala lekcyjna szkoły podstawowej. Widownia zasiadająca w sobotnie ranki przed telewizorami, by obejrzeć "Godzinę Królika Bugsa" i "The Drac Pack", jest z taką scenografią oswojona. Profesor od Chrupek Sharpa ma na sobie garnitur, sweter z wycięciem w serek i rozpiętą pod szyją koszulę. Zarówno pod względem powierzchowności, jak i sposobu mówienia jest

umiarkowanie autorytatywny; Vic i Roger przeprowadzili rozmowy z blisko czterdziestoma nauczycielami i chyba półtuzinem psychologów dziecięcych, i na tej podstawie doszli do wniosku, że z takim właśnie typem człowieka większość dzieci czuje się najlepiej, choć niewiele z nich ma podobnego rodzica.

Profesor od Chrupek siedzi na biurku nauczycielskim, co ma sugerować pewną nieformalność - młody widz może zakładać, że pod szarozielonym tweedem kryje się dusza prawdziwego kumpla - ale mówi powoli i bardzo poważnie. Nie poucza jednak. Nie onieśmiela. Nie mizdrzy się. Nie przymila ani nie nadyma. Zwraca się do milionów widzów ubranych w bawełniane koszulki, zajadających się chrupkami, oglądających w sobotni rano rysunkowe filmy, tak jakby byli dorosłymi ludźmi.

"Dzień dobry, dzieci - zaczyna - to reklama chrupek. Słuchajcie mnie uważnie. Wiem dużo o chrupkach, bo jestem Profesorem od Chrupek Sharpa. Chrupki Sharpa - Błyskotki, Kakaowe Misie, Bran-16 oraz Pełnoziarnista Mieszanka Sharpa - to chrupki o najlepszym smaku w całej Ameryce. Możecie je śmiało jeść. - Chwila ciszy i Profesor od Chrupek Sharpa uśmiecha się... a kiedy się uśmiecha, wiadomo już na pewno, że ta dusza prawdziwego kumpla rzeczywiście w nim jest. - Mnie możecie wierzyć, bo ja to wiem. Wasza mama też wie, ale pomyślałem sobie, że może i wy chcielibyście to wiedzieć".

W tym momencie w kadrze pojawia się młody człowiek, który wręcza Profesorowi od Chrupek Sharpa miszkę Błyskotek, Kakaowych Misiów czy czegokolwiek. Profesor grzebie w nich przez chwilę, a potem spogląda prosto w oczy

każdego w całym kraju, kto siedzi akurat przed telewizorem, i mówi: "Bzdura, tutaj wszystko jest w porządku".

Stary Sharp nie chciał się zgodzić na tę ostatnią kwestię sugerującą jakoby, że z jego chrupkami mogłoby być coś nie w porządku. Vic i Roger przekonali go do niej w końcu, ale bynajmniej nie racjonalnymi argumentami. Zresztą samo tworzenie reklam nie było racjonalnym interesem. Często robiło się coś, co wydawało się właściwe, lecz to wcale nie oznaczało, że wie się dlaczego. Vic i Roger czuli, że ostatnia kwestia Profesora ma siłę, która jest prosta i potężna zarazem. Przynosiła ostateczny, pełny komfort, zapewnienie całkowitego bezpieczeństwa. "Ja cię nigdy nie skrzywdzę", implikowała. W świecie, w którym rodzice się rozwodzą, w którym starsze dzieci tłuką cię czasem na kwaśne jabłko bez żadnego racjonalnego powodu, w którym przeciwna drużyna Małej Ligi tarza się czasem ze śmiechu po twoim rzucie, w którym dobrzy faceci nie zawsze wygrywają tak jak w telewizji, w którym nie zawsze zapraszają cię na przyjęcia urodzinowe, w świecie, w którym tyle rzeczy nie jest takie jak powinno, zawsze będą Błyskotki i Kakaowe Misie, i Mieszanka Pełnoziarnista, i nigdy nie zawiedziesz się na ich smaku. "Bzdura, tutaj wszystko jest w porządku".

Z niewielką pomocą ze strony syna Sharpa (później Roger powiedział: "można by pomyśleć, że to ten smarkacz samodzielnie wymyślił i napisał tę reklamę") koncepcję Profesora od Chrupek zatwierdzono i klip zaczął się pojawiać w sobotnie poranki oraz podczas emisji takich cotygodniowych bloków programowych jak "Star Blazers", "U.S. of Archie", "Hogan's Heroes" oraz "Gilligan's Island". Spośród wszystkich wyrobów Sharpa Chrupki wykazały największy skok sprzedaży, a sam Profesor od Chrupek stał

się amerykańską instytucją. Wypowiadana przez niego kwestia: "Bzdura, tutaj wszystko jest w porządku" - zaczęła funkcjonować na prawach jednego z tych narodowych powiedzonek, które oznaczają z grubsza to samo, co "tylko spokój może nas uratować" i "nie gorączkuj się".

Vic i Roger, podjąwszy decyzję o rozkręceniu własnego interesu, przestrzegali ściśle protokołu i nie podejmowali żadnych rozmów ze swoimi dotychczasowymi klientami, dopóki ich związki z Agencją Ellisona nie zostały formalnie - i za obopólnym porozumieniem - rozwiązane. Sześć pierwszych miesięcy w Portland upłynęło im wszystkim w niepewności jutra i nerwowej atmosferze. Tad, synek Vica i Donny, miał dopiero roczek. Donna, która bardzo przeżywała rozstanie z Nowym Jorkiem, była na przemian to przybita, to rozdrażniona, to znów przestraszona. Roger miał stary wrzód - efekt kilkuletnich wojen reklamowych toczonych w Nowym Jorku - i kiedy stracili z Altheą dziecko, ten wrzód się odnowił, przekształcając go w pokątnego popijacza gelusilu. Altheą, na ile to było możliwe w tych okolicznościach, nadrabiała miną, ale Donna zauważyła, że z jednego słabego drinka, który żona Rogera zwykła wypijać przed kolacją, zrobiły się dwa przed i trzy po kolacji. Obie rodziny, razem i osobno, spędzały już wcześniej wakacje w Maine, ale ani Vic, ani Roger nie zdawali sobie sprawy, ile drzwi zamyka się przed "ludźmi spoza stanu", jak nazywali nowych przybyszów starzy mieszkańcy.

Roger twierdził, że poszliby niechybnie na dno, gdyby Sharp nie zdecydował się nadal korzystać z ich usług. W siedzibie jego firmy w Cleveland nie doszło ostatecznie do zmiany stanowisk. Stary upierał się przy Vicu i Rogerze, a smarkacz (obecnie już czterdziestolatek) chciał z nimi zerwać,

argumentując nie bez pewnej racji, że to szaleństwo zdawać się na dwuosobową agencję reklamową oddaloną o sześćset mil od Nowego Jorku. Faktu, że Ad Wora utrzymywała stosunki z nowojorską firmą zajmującą się analizą rynku, smarkacz zdawał się zupełnie nie zauważać, zdawał się również nie zauważać kampanii, jakie Vic i Roger w ciągu ostatnich kilku lat robili dla innych firm.

- Gdyby lojalność była papierem toaletowym - mówił z goryczą Roger - korciłoby cholernie, żeby podtrzeć nią sobie dupy, stary.

Ale wtedy wkroczył stary Sharp i dał im margines czasu, którego tak rozpaczliwie potrzebowali.

- Dawaliśmy sobie jakoś radę przez czterdzieści lat, współpracując z tutejszą agencją reklamową - powiedział - a skoro ci dwaj chłopcy zdecydowali wynieść się z tamtego bezbożnego miasta, to tylko dobrze o nich świadczy.

O to chodziło: stary przemówił. Smarkacz się zamknął. I przez ostatnie dwa i pół roku Ciasteczkowy Sharpstrzelec dalej strzelał, George i Gracie dalej jedli Ciasta Sharpa w swoim nieprzytulnym mieszkanku, a Profesor od Chrupek Sharpa dalej zapewniał dzieci, że tutaj wszystko jest w porządku. Faktyczną produkcją klipów reklamowych zajmowało się małe, niezależne studio z Bostonu, nowojorska firma analizy rynku świadczyła kompetentnie swoje usługi, a Vic lub Roger trzy czy cztery razy do roku latali do Cleveland na naradę z Carrollem Sharpem bądź jego smarkaczem - który zdążył już zdecydowanie posiwieć na skroniach. Całą resztę kontaktów na styku klient-agencja prowadzono za pośrednictwem poczty i telefonu. Procedura była może trochę dziwna i z pewnością niewygodna, ale chyba działała dobrze.

I wtedy pojawiły się Malinowe Zingersy.

Chociaż Zingersy weszły na rynek dopiero przed jakimś dwoma miesiącami, w kwietniu 1980 roku, słuchy o nich dochodziły Vica i Rogera już od pewnego czasu. Większość chrupek Sharpa była lekko dosładzana albo w ogóle niesłodzona. Pełnoziarnista Mieszanka, wkład Sharpa do produkcji "naturalnych" przetworów zbożowych, odniosła spory sukces. Jednak Malinowe Zingersy wymierzone były w ten bardziej łasy na słodczyce sektor rynku; były przeznaczone dla tych konsumentów przetworów zbożowych, którzy kupują chrupki w rodzaju Hrabia Czekuła, Frankenmalinki, Szczęśliwe Zakłęcia i podobne słodzone produkty śniadaniowe, plasujące się gdzieś między chrupkami i cukierkami.

Na przełomie lata i jesieni 1979 roku w Boise w stanie Idaho, w Scranton w Pensylwanii oraz w ukochanym miasteczku Rogera, czyli w Bridgton w stanie Maine, rozproszono z sukcesem pierwszą sondażową partię Zingersów. Roger, wzdrygając się, powiedział Vicowi, że odpędzałby od nich swoje bliźniaczki dziesięciostopowym kijem, chociaż tak naprawdę był rad, dowiedziawszy się od Althei, że dziewczynki aż piszczały, kiedy wypatrzyły Zingersy na półce w Gigeure's Market.

- Więcej w nich cukru niż ziarna i wyglądają jak odpryski farby ze ściany remizy strażackiej - stwierdził.

Vic pokiwał wtedy głową i odparł niewinnie, nie zdając sobie sprawy, że wymawia to w złą godzinę:

- Kiedy pierwszy raz zajrzałem do pudełka, myślałem, że jest pełne krwi.

- No i co ty na to? - zapytał powtórnie Roger. Podczas gdy Vic przebiegał myślą przygnębiające pasmo ostatnich wydarzeń, zdążył już zmęczyć pół swojej kanapki. Vic był

coraz bardziej przekonany, że w Cleveland stary Sharp i jego starzejący się smarkacz znowu szykują się do wycięcia im jakiegoś numeru.

- Chyba lepiej będzie spróbować - powiedział. Roger poklepał go po ramieniu.

- Męska decyzja - pochwalił. - Ale teraz coś zjedz. Vic nie był jednak głodny.

Zaproszono ich do Cleveland na jakąś "pilną naradę", która miała się odbyć trzy tygodnie po czwartym lipca - większość regionalnych przedstawicieli handlowych i dyrektorów Sharpa bawiła na urloпах i trzeba było aż tyle czasu, żeby ich wszystkich zebrać razem. Jeden z punktów porządku dziennego dotyczył bezpośrednio Ad Worx: "Ocena dotychczasowej współpracy" - napisano w liście. A to według Vica oznaczało, że smarkacz wykorzystuje wpadkę z Zingersami, żeby się ich wreszcie pozbyć.

Mniej więcej trzy tygodnie po entuzjastycznym - choć nacechowanym powagą - zaopiniowaniu Malinowych Zingersów na oczach całego kraju przez Profesora od Chrupek Sharpa ("Bzdura, tutaj wszystko jest w porządku"), przywiozła do szpitala swoją pociechę pierwsza matka, bliska hysterii i pewna, że dziecko ma krwotok wewnętrzny. Dziewczynka, zaatakowana zapewne przez jakiegoś niezbyt groźnego wirusa, zwymiotowała czymś, co jej matka wzięła początkowo za krew.

Bzdura, tutaj wszystko jest w porządku.

Wydarzyło się to w Iowa City w stanie Iowa. Następnego dnia doszło do siedmiu podobnych przypadków. Jeszcze następnego do dwudziestu czterech. Rodzice dzieci dotkniętych wymiotami lub biegunką czym prędzej wieźli je do szpitala, przekonani, że to krwotok wewnętrzny. Wkrótce

zjawisko przybrało rozmiary epidemii - liczba przypadków wzrosła do setek, potem do tysięcy. W żadnym z nich wymioty czy biegunka nie były następstwem spożycia chrupek, ale w atmosferze rosnącego skandalu jakoś to przeoczono.

Bzdura, tu na pewno wszystko jest w porządku.

Epidemia rozprzestrzeniła się na cały kraj. Przyczyną okazał się barwnik do żywności, który nadawał Zingersom ich zingersowy, czerwony kolor. Sam barwnik był nieszkodliwy, ale to również przeoczono. Coś jednak było nie w porządku i ciało ludzkie, zamiast przyswajać czerwony barwnik, po prostu przepuszczało go przez siebie. Feralny barwnik zastosowano tylko w jednej partii chrupek, ale była to potężna partia. Pewien lekarz powiedział Vicowi, że gdyby dziecko, które zmarło po zjedzeniu dużej miski Malinowych Zingersów, poddano sekcji zwłok, stwierdzono by, że przewód pokarmowy ma czerwony jak znak stopu. Efekt ten był zdecydowanie przejściowy, ale to również przeoczono.

Roger zaparł się, że jeśli już mają iść na dno, to pójdą, waląc ze wszystkich dział. Zaproponował maratonowe konferencje z przedstawicielami firmy Image-Eye z Bostonu, która produkowała klipy reklamowe. Chciał porozmawiać z samym Profesorem od Chrupek Sharpa, który tak wczuł się w rolę, że cała ta historia załamała go psychicznie. Potem poleciliby do Nowego Jorku, żeby pogadać z ludźmi od marketingu. Miały to być prawie dwa tygodnie w bostońskim hotelu Ritz-Carlton i w nowojorskim UN Plaza, dwa tygodnie, które Vic i Roger spędzą jak na szpilkach, przetrawiając na bieżąco efekty swych zabiegów i jak za starych dobrych czasów urządzając burze mózgow. Roger miał nadzieję zmontować w ten sposób kontrofensywę, która zada bobu staremu Sharpowi i jego

smarkaczowi. Zamiast jechać do Cleveland z podgolonymi karkami przygotowanymi na spadające ostrze gilotyny, pojawią się tam z gotowymi planami batalii mającej na celu odwrócenie skutków afery z Zingersami. Takie były założenia teoretyczne. Obaj jednak zdawali sobie sprawę, że szansę mają raczej nikłą.

Vic miał też inne problemy. Od jakichś ośmiu miesięcy czuł, że między nim a żoną coś zaczyna, się powoli psuć, że oddalają się od siebie. Kochał ją wciąż, a Tada wprost uwielbiał, ale sytuacja z trochę niepokojącej zrobiła się zupełnie zła, i przeczuwał, że jeśli tak to zostawi, będzie jeszcze gorzej. Ta podróż, wielka wyprawa z Bostonu przez Nowy Jork do Cleveland, trafiająca się akurat w okresie, kiedy powinni więcej ze sobą przebywać, robić coś wspólnie, nie była może najlepszym pomysłem. Kiedy ostatnio przyjrzał się twarzy Donny, dostrzegł coś obcego czającego się pod jej płaszczynami, załamaniem i obłościami.

Nocami, kiedy nie mógł zasnąć, a ostatnio takich nocy było coraz więcej, nie dawało mu spokoju pytanie, czy wzięła sobie kochanka. Nie sypiali już ze sobą zbyt często, to fakt. Czy to zrobiła? Miał nadzieję, że nie.

Nie miał jednak pewności. I nie chciał jej mieć. Bał się, że gdyby jej nabral, ich małżeństwo by się rozpadło. Nadal nie widział poza Donną świata, pozamałżeńskiej przygody nigdy nawet nie rozważał, i wiele mógłby żonie wybaczyć, ale nie przyprawiania rogów pod jego własnym dachem. Nikt nie chce nosić takich rogów: wyrastają z uszu i dzieciaki śmieją się na ulicy z takiego śmiesznego mężczyzny. A on...

- Co mówisz? - bąknął, otrząsając się z zadumy. - Nie dosłyszałem, Rog.

- Powiedziałem: "Te cholerne czerwone chrupki". W cudzysłowie. To dokładnie moje słowa.

- Tak - mruknął Vic. - Wypiję za nie. Roger uniósł swoją szklanicę pilsnera.

- No to w górę serca - powiedział. Vic wypił.

Jakiś tydzień po tej niewesołej rozmowie Vica z Rogerem Gary Pervier siedział na zachwaszczonym trawniku, mając za sobą swój dom i Wzgórze Siedmiu Dębów, przed sobą zaś Drogę Miejską Nr 3, i popijał śrubokręta, na który w dwudziestu pięciu procent składał się mrożony sok pomarańczowy Bird's Eye, a w siedemdziesięciu pięciu wódka Popov. Siedział w cieniu wiązu przechodzącego ostatnie stadia szerzącej się w okolicy holenderskiej choroby tego gatunku drzew, pod tyłkiem miał postrzępione taśmy nabytego w systemie sprzedaży wysyłkowej Searsa i Roebucka zniszczonego krzeselka ogrodowego. Pił popova, bo popov był tani. Zaopatrzył się w jego solidny zapas podczas swego ostatniego wypadu po trunek do New Hampshire, gdzie gorzała była tańsza. W Maine popov też był tani, ale jednak ciut droższy niż w New Hampshire, stanie, który słynął z tego, co najlepsze w życiu - z dobrej loterii stanowej, taniej gorzały, tanich papierosów i atrakcji turystycznych w rodzaju Santa's Village i Six-Gun City. New Hampshire było wspaniałym miejscem. Ogrodowe krzeselko wbijało się powoli nogami w zapuszczony trawnik, wyciskając w darni głębokie doły. Dom za trawnikiem również chylił się ku upadkowi; była to szara, obłaząca z farby rudera z zapadniętym dachem. Okiennice trzymały się na słowo honoru. Krzywy komin czepiał się nieba jak pijany płotu. U niektórych gałęzi dogorywającego wiązu do tej pory dyndały bezwładnie gonty zerwane poprzedniej zimy przez

ostatnią wielką burzę. "Nie jest to Tadż Mahal - mawiał czasami Gary - ale ja na to sram".

W ten piekielnie upalny późnoczerwcowy dzień Gary miał już porządnie w czubie. Nie był to u niego stan zbytnio odbiegający od normy. Gównno go obchodziło, czy istnieje jakiś Roger Breakstone. Gównno go obchodziło, czy istnieje jakiś Vic Trenton. Gównno go obchodziło, czy istnieje jakaś Donna Trenton, a gdyby nawet ją znał, to gównno by go obchodziło, że drużyna gości trafia piłkami w jej rękawicę. Znał tylko Camberów i ich psa Cujo, rodzinę mieszkającą na wzgórzu, przy końcu Drogi Miejskiej Nr 3. Lubił sobie popić z Joem Camberem i choć dosyć mgliście, to jednak zdawał sobie sprawę, że Joe Camber przebył już porządny kawałek drogi do alkoholizmu. Była to droga, którą Gary sam od dawna wytrwale kroczył.

- Zwyczajny pijanica, ale ja na to sram! - zwierzył się ptakom i dachówkom na toczonym chorobą wiązie. Pociągnął ze szklaneczki. Pierdnął. Pacnął jakiegoś robala. Słońce i cień cętkowały mu twarz. W wysokim zielsku za domem ledwo było widać wypatroszone wraki samochodów. Bluszcz rosnący po zachodniej stronie domu niewiarygodnie się rozplecił i wybujał, niemal przykrywając budynek. Spośród chaszczy wyzierało tylko jedno okno, które skrzyło się w słoneczne dni niczym brudny diament. Przed dwoma laty Gary w pijackim szale dźwignął biurko stojące w jednym z pokoi na piętrze i wyrzucił je przez okno - teraz nie pamiętał już dlaczego. Później własnoręcznie wstawił wybite szyby, bo kiedy nadeszła zima, cug się robił taki, że mało jaj nie urwało, ale biurko nadal leżało dokładnie tam, gdzie spadło. Jedna wysunięta szuflada sterczała z niego jak wywalony język.

W 1944 Gary Pervier, podówczas dwudziestolatek, w pojedynkę zdobył niemiecki bunkier we Francji, a dokonawszy tego Wyczynu, poprowadził niedobitki swojego oddziału jeszcze dziesięć mil dalej i dopiero tam padł podczas szarży na gniazdo karabinów maszynowych, ugodzony sześcioma pociskami. Został za to nagrodzony przez wdzięczną ojczyznę najwyższym odznaczeniem, Distinguished Service Cross. W 1968 kazał Buddy'emu Torgesonowi z Castle Falls przerobić medal na popielniczkę. Buddy własnym uszom nie wierzył. Gary powiedział mu wtedy, że kazałby go przerobić na muszlę klozetową, żeby mógł w niego (i na niego) srać, ale jest za mały. Buddy rozpowiedział tę historię, i może Gary'emu o to właśnie chodziło - a może nie.

Tak czy inaczej, okoliczni hipisi oszaleli z podziwu. W lecie sześćdziesiątego ósmego większość z nich siedziała ze swoimi nadzianymi rodzicami na wakacjach w Lakes Region, odpoczywając przed rozpoczynającym się we wrześniu rokiem szkolnym. Potem mieli wrócić do college'ów - zapewne po to, by podjąć dalsze studia nad Protestem, Piwkiem i Piczką.

Kiedy Gary kazał przerobić swój DSC na popielniczkę Buddy'emu Torgesonowi, który w wolnych chwilach wykonywał prace spawalnicze na zamówienie, a zatrudniony był na etacie w Castle Falls Esso (wszystkie te stacje należały obecnie do Exxon, ale Gary srał na to), cała ta historia trafiła na łamy wychodzącej w Castle Rock gazety "Call". Artykuł wysmażył miejscowy dziennikarzyna, który zinterpretował decyzję Gary'ego jako gest antywojenny. I od tej chwili u Gary'ego, przy Drodze Miejskiej Nr 3, zaczęli się pojawiać hipisi. Większość z nich chciała powiedzieć Gary'emu, że jest

"odlotowy", inni - że jest "rodzajem twardego", a jeszcze inni - że jest, "kurwa, wspaniały".

Gary pokazywał im wszystkim to samo: swojego winchestera .30, i kazał im wszystkim wynosić się do diabła. Z jego punktu widzenia wszyscy oni byli zbieraniną długowłosych, dupowatych, sflaczałych kutasów-mineciarzy. Mówił im, że rozpirzy ich bebechy od Castle Rock po Fryburg i gówno go obchodzi, czy pójdzie za to siedzieć. Po jakimś czasie przestali przychodzić, i tak się skończyła cała ta sprawa z DSC.

Jeden z niemieckich pocisków odstrzelił Gary'emu Pervierowi prawe jądro; felczer znalazł większą jego część rozbryzniętą na siedzeniu żołnierskich gaci Gary'ego. Większość drugiego ocalała i czasami jeszcze całkiem przyzwoicie mu stawał. Co wcale nie znaczyło - jak często powtarzał Joemu Camberowi - żeby mu na tym specjalnie zależało. Wdzięczna ojczyzna nadała Gary'emu Distinguished Service Cross. Wdzięczny personel szpitala w Paryżu wypisał go w lutym 1945 z zaświadczeniem o osiemdziesięcioprocentowej utracie zdrowia do renty i z poślacaną blaszką w plecaku. Wdzięczne rodzinne miasteczko urządziło czwartego lipca 1945 roku paradę na jego cześć - miał już wtedy nie dwadzieścia, ale dwadzieścia jeden lat, mógł głosować, włosy siwiały mu na skroniach i czuł w kościach wszystkie siedemset dni spędzone na froncie. Wdzięczni radni miasteczka zwolnili posiadłość Perviera z podatku od nieruchomości aż do śmierci właściciela. Był z tego zadowolony, bo inaczej straciłby dach nad głową już dwadzieścia lat temu. Morfinę, z której zdobywaniem zaczął mieć trudności, zastąpił wysokoprocentowym trunkiem, po czym przystąpił do realizacji swego życiowego celu, czyli powolnego

przenoszenia się na tamten świat w możliwie najsympatyczniejszy sposób.

Teraz, w roku 1980, miał pięćdziesiąt sześć lat, był zupełnie siwy i zgryźliwszy od byka z korbą w dupie. Jedynymi chyba żywymi stworzeniami, które jako tako jeszcze tolerował, byli Joe Camber, jego chłopak Brett i wielki bernardyn Bretta, Cujo.

Odchylił się w tył na dogorywającym krzeselku ogrodowym, omal się przy tym nie przewracając, i pociągnął ze szklaneczki kolejny łyk śrubokręta. Szklaneczkę miał za darmo z restauracji McDonalda. Na jej ścianie widniał wizerunek jakiegoś purpurowego zwierzaka, czegoś nazywanego Grymaskiem. Gary często jadał u McDonalda w Castle Rock, gdzie jeszcze można było dostać taniego hamburgera. Hamburgery były dobre. Ale co się tyczy Grymaska... i Burmistrza McCheese'a... i Monsieur Ronalda Pieprzonego McDonalda... Gary srał na nich wszystkich.

Przez wysoką trawę po jego lewej ręce przedzierał się jakiś wielki brązowy kształt i w chwilę później na zapuszczonym przedpolu domu Gary'ego pojawił się Cujo odbywający jedną ze swych wycieczek. Zobaczył Gary'ego i szczechnął uprzejmie. Potem podszedł, merdając ogonem.

- Cujo, ty stary sukinsynu - powiedział Gary. Odstawił śrubokręta i zaczął metodycznie przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu psich biszkoptów. Zawsze miał pod ręką kilka takich dla Cujo, staromodnego, podpalanego, kudłatego dobrego psa.

Znalazł dwa biszkopty w kieszonce koszuli i pokazał je.

- Poproś, pies. Poproś.

Bez względu na to, jak podle się czuł czy jak bardzo był rozdrażniony, widok tego dwustufuntowego psa stojącego słupka jak królik zawsze go bawił.

Cujo poprosił i Gary zauważył krótkie, ale paskudnie wyglądające, gojące się już zadrapanie na nosie psa. Rzucił mu biszkopty, które miały kształt kości, i Cujo zręcznie przechwycił je w powietrzu. Jednego upuścił sobie między przednie łapy i zajął się drugim.

- Dobry pies - pochwalił go Gary, wyciągając rękę, żeby poklepać Cujo po łbie. - Dobry...

Z głębi krtani Cujo dobył się warkot. Był to dudniący, rezonujący dźwięk. Cujo spojrzał na Gary'ego i coś zimnego wyzierającego z psich oczu sprawiło, że człowieka przeszedł dreszcz. Cofnął szybko rękę. Z psem tak wielkim jak Cujo lepiej było nie zadzierać. Chyba że przez resztę życia chciało się podcierać sobie tyłek hakiem.

- Co w ciebie wstąpiło? - spytał Gary. Nigdy, przez wszystkie te lata, przez które Cujo był u Camberów, nie słyszał, żeby pies warczał. Prawdę mówiąc, nie bardzo chciało mu się wierzyć, że stary Cujo na niego warknął.

Pies machnął lekko ogonem i podszedł do Gary'ego, nadstawiając łeb do pogłaskania, jakby zawstydzony swoim chwilowym uchybieniem.

- No, tak już lepiej - mruknął Gary, czochojąc psie futro. Przez cały ostatni tydzień zdrowo przygrzewało, a jeśli wierzyć George'owi Mearze, który słyszał to od Ciotki Ewie Chalmers, nadciągały jeszcze większe upały. Przypuszczał, że to właśnie przez to. Psy znoszą skwar jeszcze gorzej niż ludzie i chyba nie ma na to rady, że kundle bywają czasami rozdrażnione. Ale swoją drogą dziwnie było słuchać, jak Cujo

tak warczy. Gdyby Joe Camber mu to powiedział, Gary by nie uwierzył.

- Idź po drugiego biskopta - powiedział Gary, pokazując palcem.

Cujo odwrócił się, podszedł do biskopta, podniósł go - z pyska ściekła mu długa nitka śliny - i upuścił. Spojrzał przepaszająco na Gary'ego.

- Co ty, nie chcesz zreć? - spytał z niedowierzaniem Gary. - Co ty?

Cujo znowu podniósł biskopta i zjadł go.

- Tak już lepiej - pochwalił Gary. - Od upału tak szybko nie zdechniesz. Ja też od niego nie zdechnę, ale cholernie źle mi robi na moje hemoroidy. Tak, tylko patrzeć, jak robią się takie wielkie jak te pieprzone piłki golfowe, wiesz? - Pacnął moskita. Cujo położył się przy krzeselku Gary'ego, a Gary sięgnął znowu po swojego śrubokręta. Zbliżała się pora, żeby wejść do środka i odświeżyć się, jak mawiały cipki z wiejskiego klubu.

- Trzeba wejść odświeżyć dupę - mruknął Gary. Zamaszystym gestem wskazał na dach swego domu i lepka mieszanina soku pomarańczowego z wódką wychlapała mu się na spalone słońcem, żylaste przedramię. - Popatrz tylko na tę budę, Cujo, stary druhu. Rozpierała się. A wiesz co? Ja na to sram. Niech się wali, a ja nawet nie pierdnę. Wiesz?

Cujo merdnał od niechcenia ogonem. Nie rozumiał, co mówi CZŁOWIEK, ale rytm jego słów był znajomy, a ton głosu kojący. Wysłuchiwał podobnych monologów wiele razy na tydzień, od kiedy... no, od kiedy pamiętał, od zawsze. Lubił tego CZŁOWIEKA, który zawsze miał jedzenie. Tylko ostatnio nie miał jakoś apetytu. Skoro jednak CZŁOWIEK chce, żeby jadał, będzie jadał. Potem się tu położy - tak jak teraz

- i będzie słuchał tej kojącej mowy. Ogólnie rzecz biorąc, nie czuł się najlepiej. Warknął na CZŁOWIEKA nie dlatego, że było mu gorąco, ale właśnie dlatego, że nie czuł się zbyt dobrze. Przez moment - przez jedną krótką chwilę - koczyło go nawet, żeby ugryźć CZŁOWIEKA.

- Wygląda na to, żeś wsadził kinola w jeżyny - mruknął Gary.

- Czegoś tam szukał? Świstaka? Królika?

Cujo machnął leniwie ogonem. W wybujałych krzakach rzępoliły świerszcze. Zdziczałe kapryfolium za domem wabiło ospałe osy. Tego letniego popołudnia w życiu Cujo wszystko powinno być w najlepszym porządku, ale jakoś nie było. Wcale nie czuł się dobrze.

- Temu kmiotkowi z Georgii¹ wszystkie zęby mogą powypadać, a ja mam to w dupie, i temu Ray-Gunowi² też - wybełkotał ni z gruszki, ni z pietruszki Gary i wstał chwiejnie. Krzeselko ogrodowe przewróciło się i złożyło. -
Przepraszam, piesku.

Wszedł do domu i przyrządził sobie następnego śrubokręta. Kuchnia była jednym wielkim śmietniskiem; wokół rozerwanych zielonych toreb na śmieci, pustych puszek i pustych flaszek po trunkach roiły się rozbzyczone muchy. Ale Gary'emu to nie przeszkadzało.

Kiedy z nowym drinkiem w dłoni wyszedł znowu przed dom, Cujo już tam nie było.

Ostatniego dnia czerwca Donna Trenton wróciła z centrum Castle Rock (miejscowi nazywali je "centralną ulicą", ale ona tego akurat maineizmu jeszcze nie podchwyciła), gdzie w ogródku zabaw dla dzieci zostawiła Tada, i zrobiła trochę zakupów w dziale spożywczym Agway Market. Była zgrzana i zmęczona i widok sfatygowanej furgonetki Ford Econoline Steve'a Kempa z krzykliwymi pustynnymi krajobrazami

wymalowanymi na burtach wyzwolił w niej niespodziewanie furie.

Od rana dusiła w sobie złość. Vic poinformował ją przy śniadaniu o czekającej go podróży, a kiedy powiedziała, że nie chce zostawać sama z Tadem na te dziesięć dni, dwa tygodnie czy sam Bóg raczy wiedzieć ile, wyjaśnił dokładnie, o co idzie gra. Zasiał w niej strach, a ona nie lubiła się bać. Aż do dzisiejszego ranka traktowała całą tę aferę z Malinowymi Zingersami z przymrużeniem oka - jako dobry pretekst do strojenia sobie żartów z Vica i Rogera. Nawet do głowy jej nie przyszło, że taka absurdalna sprawa może mieć tak poważne konsekwencje.

Potem Tad zaczął marudzić, że nie chce iść do ogródka zabaw, bo w ostatni piątek jakiś większy chłopiec popchnął go tam i przewrócił. Ten większy chłopiec nazywał się Stanley Dobson i Tad bał się, że dzisiaj Stanley Dobson znowu go popchnie. Na boisku Legionu Amerykańskiego, gdzie urządzony był ogródek zabaw, płakał i czepiał się jej, i musiała odrywać od swej bluzki jego paluszki, odginając każdy z osobna. Czuła się przy tym bardziej jak nazista niż kochająca mamusia: "Zostaniesz w ogródku, ja? Ja, meine Mutter!" Czasami Tad wydawał jej się taki mały, taki bezbronny. Ale czy wszystkie dzieci muszą być nad wiek rozwinięte i zaradne? Paluszki miał umazane czekoladą i na bluzce pozostały ich ślady. Przypominały jej odciski unurzanych we krwi rąk, które widywała czasami na ilustracjach w brukowych czasopismach detektywistycznych. Jakby tego wszystkiego było mało, w drodze z marketu do domu jej pinto zaczął się dziwnie zachowywać. Szarpał i krztusił się, jakby dostał ataku samochodowej odmiany

czkawki. Potem trochę mu przeszło, ale w każdej chwili mogło się to zdarzyć znowu i...

...i na dodatek przypalała się jeszcze Steve Kemp.

- Nie, nic z tego - mruknęła pod nosem, chwyciła torbę z zakupami i wysiadła.

Była ładną, ciemnowłosą, wysoką kobietą, miała szare oczy i dwadzieścia dziewięć lat. Pomimo nieznośnego upału, wymazanej przez Tada bluzki i lepiących się do bioder i pośladków szarych szortów udawało jej się jakoś zachować pozory świeżości.

Wbiegła po schodkach na ganek i weszła do środka. Steve siedział w living-roomie w fotelu Vica i pił piwo Vica. Palił papierosa - chyba własnego. Telewizor był włączony, a na ekranie rozgrywały się właśnie dramaty "Szpitala Ogólnego".

- A oto i księżniczka - powiedział Steve z krzywym uśmiechem, który kiedyś wydawał jej się tak czarujący i interesująco niebezpieczny. - Myślałem już, że się ciebie nie doczekam...

- Wynoś się stąd, sukinsynu - mruknęła z odrazą i przeszła do kuchni. Postawiła torbę na blacie i zaczęła wyjmować z niej sprawunki.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio była równie wściekła - do tego stopnia, że żołądek kurczył się w zaciśnięty, burczący węzeł. Może podczas którejś z tych niekończących się kłótni z matką, którejś z tych strasznych awantur przed wyjściem do szkoły. Kiedy Steve stanął za nią i otoczył ogorzałymi ramionami jej odsłoniętą kibić, zareagowała całkowicie instynktownie: z całych sił dźgnęła go łokciem pod żebra. Steve grał często w tenisa i jej łokciowi wydało się, że uderza w kamienny mur powleczonej warstwą twardej gumy.

Odwróciła się i spojrzała w jego uśmiechniętą, brodatą twarz. Miała prawie sześć stóp wzrostu i w butach na wysokim obcasach przewyższała Vica, jednak Steve był dużo wyższy.

- Nie słyszałaś, co powiedziałam? Masz stąd wyjść!

- A niby dlaczego? - zdziwił się. - Małego nie ma... wyszywa sobie właśnie paciorkami przepaskę na biodra... albo zestrzeliwuje jabłka z głów radców... czy co tam oni wyprawiają... a mężulek haruje w pocie czoła w biurze... To najlepsza pora dla najładniejszej w Castle Rock Hausfrau oraz dla osiadłego tu poety i bywalca kortów tenisowych, żeby wygrać na wszystkich dzwoneczkach seksualnego zespolenia kuranty miłosnej symfonii.

- Zauważyłam, że zaparkowałeś na podjeździe - warknęła Donna. - Dlaczego od razu nie powiesz na swoim gruchocie wielkiej tablicy: PIEPRZĘ DONNĘ TRENTON - czy coś w tym stylu?

- Mam wszelkie powody po temu, by parkować na podjeździe - odparł Steve, wciąż się uśmiechając. - Przywiozłem to biurko. Wygląda jak nowe.

- Wstaw je na ganek. Dalej sama sobie poradzę. Ja tymczasem wypiszę ci czek.

Jego uśmiech przyblakł jakby. Donnie wydało się, że maska powierzchownego uroku Steve'a obsunęła się trochę i spod spodu wyzierał teraz prawdziwy człowiek. Był to człowiek, który wcale jej się nie podobał, człowiek, który ją przerażał, kiedy łączyła go w myślach ze sobą. Okłamywała Vica, mydliła mu oczy, żeby pójść do łóżka ze Steve'em Kempem. Jakże pragnęła, aby to, co odczuwała teraz, było zwyczajnym dochodzeniem do siebie; jak po ataku silnej gorączki. Jeśli spojrzało się faktom w oczy, widać było jak na dłoni, że Steve Kemp - poeta, wędrowny renowator mebli, wypłatacz

wiklinowych foteli, niezły amatorski tenisista i wspaniały popołudniowy kochanek - jest kupą gówna.

- Nie wyglupiaj się - mruknął.

- O tak, nie do wiary, żeby ktoś odtrącił przystojnego, wrażliwego Stevena Kempa - zadrwiła. - To z pewnością żart. Ale ja nie żartuję. A więc, zrobisz tak, przystojny, wrażliwy Stevenie Kemp: postawisz biurko na ganku, weźmiesz czek i wynocha.

- Nie mów w taki sposób do mnie, Donna. - Jego dłoń przesunęła się na jej pierś i zacisnęła. Zabolało. Oprócz złości zaczęła odczuwać lęk. Ale czyż nie bała się przez cały czas? Czy nie było to częścią tego perwersyjnego dreszczyku emocji, z jakim to robiła?

Odtrąciła jego rękę.

- Nie zaczynaj ze mną, Donna. - Już się nie uśmiechał. - Jest za gorąco.

- Ja? Ja z tobą zaczynam? To ty tu byłeś, kiedy wróciłam.

Strach przed nim podsycił jeszcze bardziej jej gniew. Nosił gęstą, czarną brodę, która zarastała mu policzki, i nagle dotarło do niej, że chociaż widziała z bliska jego penis - miała go w ustach - to tak naprawdę nigdy nie przyjrzała się jego twarzy.

- Chcesz przez to powiedzieć - syknął - że trochę cię swędziało, ale jest już porządnie wydrapana, a więc spierdalaj, tak? I gówno cię obchodzi, co ja czuję.

- Nie chuchaj na mnie tym piwkiem - powiedziała i odepchnęła go, chcąc wstawić mleko do lodówki.

Nie spodziewał się tego. Stracił równowagę i żeby ją odzyskać, cofnął się o krok. Czoło porały mu zmarszczki, na policzki wystąpił ciemny rumieniec. Takiego widziała go czasami na kortach tenisowych za budynkami Bridgton

Academy. Kiedy przepuszczał łatwą piłkę. Obserwowała kilka razy, jak gra - wliczając w to te dwa sety, w których bez trudu rozniósł jej zasapanego, słaniającego się na nogach męża - i zdarzyło jej się przy paru okazjach widzieć, jak przegrywa. Jego reakcja wzbudziła w niej uczucie skrajnego zażenowania. Opublikował sporo wierszy w kilkunastu małych czasopismach oraz tomik poezji "W pogoni za zachodem słońca", wydany przez oficynę z Baton Rouge o nazwie Prasa nad Garażem. Był absolwentem Drew w New Jersey i miał własne, jasno sprecyzowane zdanie o sztuce współczesnej, o zbliżającym się referendum na temat broni jądrowej, o filmach Andy'ego Warhola - a stratę piłki przyjmował tak, jak Tad wiadomość, że już pora do łóżka.

Teraz dopadł jej, chwycił za ramię i brutalnym szarpnięciem obrócił twarzą do siebie. Karton z mlekiem wysunął się Donnie z ręki i pękł przy zderzeniu z podłogą.

- No i zobacz, coś narobił - syknęła. - Mógłbyś trochę uważać, narwańcu.

- Słuchaj, nie dam się popychać. Czy...

- Wynoś się stąd! - wrzasnęła mu w twarz. Kropelki jej śliny opryskały mu policzki i czoło. - Jak mam cię przekonać, że nie jesteś tu mile widziany? Narysować ci to? Idź, uszczęśliw sobą jakąś inną kobietę!

- Ty tania, brandzłowata dziwko - wycodził. Głos miał złowrogi, wyraz twarzy odpychający. Nie puszczał jej ramienia.

- I nie zapomnij zabrać tego swojego biurka. Wyrzuć je gdzieś po drodze na śmieci - dodała Donna.

Wyrwała mu się i sięgnęła po szmatkę przewieszoną przez kran kuchennego zlewu. Ręce miała rozdygotane, żołądek

zaciśnięty i zaczynała ją boleć głowa. Przemknęło jej przez myśl, że pewnie zaraz zwymiotuje.

Uklękła i wzięła się za wycieranie rozlanego mleka.

- Wydaje ci się, że jesteś nie wiadomo kim - powiedział. - Pamiętasz, jak ci było dobrze? Lubiłaś to. Wołałaś o jeszcze.

- Przyznaję, to jedno potrafię robić, ogierze - odparła, nie podnosząc wzroku. Opadające włosy zasłaniały jej twarz i była z tego rada. Nie chciała, żeby widział, jaka jest blada i zdruzgotana. Podejrzewała, że gdyby przejrzała się teraz w lustrze, ujrzałaby tam odrażającą, obleśną wiedźmę. - Wyjdź stąd, Steve. Nie zamierzam tego powtarzać.

- A jeśli nie wyjdę, to co? Zadzwonisz po szeryfa Bannermana? Jasne. Powiesz tak zwyczajnie: "Cześć, George, mówi żona Biznesmena. Facet, z którym się pieprzyłam na boku, nie chce wyjść. Może byłbyś tak dobry i podjechał tutaj, żeby go wykopać za drzwi?" Tak to załatwisz?

Donna poczuła, że ogarnia ją coraz większy strach. Zanim wyszła za Vica, była bibliotekarką w zespole szkół Westchester i jej osobistym koszmarem było powtarzanie dzieciakom - najgłośniejszym, jak potrafiła, na granicy krzyku - że prosi, aby natychmiast się uciszyły. To zawsze skutkowało - przynajmniej na tyle, by zdołała dotrzeć jakoś do końca przerwy - ale gdyby nie posłuchały? Co by było, gdyby zupełnie ją zignorowały? Co by jej wtedy pozostało? To pytanie napawało ją przerażeniem. Przerażało ją, że w ogóle trzeba zadawać takie pytanie, nawet sobie samej, w nocnych ciemnościach. Bała się podnosić zbyt głośno i robiła to tylko w ostateczności. Bo wtedy raptownie, ze zgrzytem zatrzymywała się cała cywilizacja. To była ta granica, gdzie kończy się asfalt, a zaczyna bity trakt. Gdyby dzieciaki nie

posłuchały podniesionego głosu, w odwodzie pozostałby tylko krzyk.

Teraz czuła taki sam strach. Na pytanie Steve'a mogła odpowiedzieć jedynie, że jeśli się do niej zbliży, będzie krzyczeć. Ale czy rzeczywiście by to uczyniła?

- Wyjdź - powiedziała cicho. - Proszę cię. To skończone.

- A jeśli ja uznam, że nieskończone? A jeśli przyjdzie mi ochota zgwałcić cię tu na podłodze, w tej cholernej kałuży mleka?

Uniosła głowę i spojrzała na niego poprzez gąszcz włosów. Twarz miała wciąż bladą, oczy szeroko rozwarte.

- Wtedy będziesz musiał stoczyć walkę. A jeśli nadarzy mi się sposobność, żeby urwać ci jaja albo wydłubać oko, nie zawaham się.

Przez krótką chwilę, zanim zdążył zapanować nad twarzą, wydawało się jej, że dostrzega w nim niezdecydowanie. Wiedział, że jest zwinna i silna. Wygrywał z nią co prawda w tenisa, ale musiał się przy tym porządnie napocić. O jądra i oczy mógł być prawdopodobnie spokojny, ale mogła mu przecież poorać paznokciami twarz. To tylko kwestia tego, jak daleko się posunie. W panującej w kuchni atmosferze wyczuła coś nieprzyjemnego, jakiś powiew dżungli, i uświadomiła sobie z przerażeniem, że to zmieszany odór jej strachu i jego wściekłości. Wydzielał się z porów ich skóry.

- Zabiorę biurko z powrotem do warsztatu - powiedział. - Może przyślesz po nie swojego przystojnego mężulka, co? Ucielibyśmy sobie miłą pogawędkę.

Z tymi słowami wyszedł, zatraskując za sobą drzwi prowadzące z living-roomu na ganek z taką siłą, że omal nie wyleciała z nich szyba. W chwilę później silnik jego furgonetki zaryczał na jałowym biegu, ale ten ryk opadł zaraz

do zwyczajnego warkotu, kiedy Steve wrzucił jedynekę. Samochód wyrwał spod domu z piskiem opon.

Donna kończyła powoli wycieranie mleka z podłogi, wyzymając od czasu do czasu szmatę do zlewu z nierdzewnej stali. Obserwowała strużki mleka ściekające do otworu spustowego. Dygotała na całym ciele - częściowo ze zdenerwowania, częściowo z ulgi. Puściła mimo uszu pogroźkę Steve'a sugerującego, że powie o wszystkim Vicowi. Jedyne, o czym potrafiła teraz myśleć, to ciąg zdarzeń, który doprowadził do tej odrażającej sceny.

Była przekonana, że uwikłała się w ten romans ze Steve'em Kempem prawie mimowolnie. Przypominało to eksplozję ścieków z podziemnej rury kanalizacyjnej. Podobna rura ściekowa, jak sądziła, biegła pod nienagannie utrzymanym trawnikiem niemal każdego amerykańskiego małżeństwa.

Nie chciała przenosić się do Maine i była przerażona, kiedy Vic wystąpił z tą propozycją. Pomimo że spędzali tam urlopy, uważała ten stan za leśne odludzie, miejsce, gdzie w zimie tworzą się dwudziestostopowe zaspasniegu, które odcinają ludzi od świata. Przerażała ją sama myśl o wywiezieniu ich dziecka na taką głęboką prowincję. Wyobrażała sobie - i opowiadała te wizje Vicowi - gwałtowne burze śnieżne, które uziemiają jego w Portland, a ją w Castle Rock. Myślała i mówiła o Tadzcie połykającym w takiej sytuacji całe opakowanie pastylek albo parzącym się o piec, albo robiącym sobie Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Jej opór umacniała jeszcze niechęć do opuszczenia Nowego Jorku, którego nerwową atmosferę tak lubiła.

Ale wiedziała, że nic z tego wszystkiego nie było jeszcze najgorsze. Najgorsze było dręczące przeświadczenie, że Ad Wora nie rozwinie skrzydeł i będą musieli wracać z

podkulonymi ogonami. Nie stało się tak do tej pory tylko dlatego, że Vic z Rogerem urabiali sobie ręce po łokcie. Oznaczało to jednak samotne siedzenie w domu przy dziecku. Nie wiedziała, co zrobić z czasem.

Bliskich przyjaciół mogłaby zliczyć na palcach jednej ręki. Była przekonana, że ci, których ma, pozostaną przyjaciółmi na zawsze, pójdą za nią do piekła, ale nawiązywanie nowych przyjaźni nie przychodziło jej łatwo ani szybko. Nosila się z myślą potwierdzenia w Maine swego dyplomu - Maine i Nowy Jork uznawały wzajemnie dyplomy swoich uczelni, co sprowadzało się właściwie do wypełnienia określonych formularzy. Poszła więc do kuratorium i uzyskała tyle, że umieszczono jej nazwisko na liście zastępczej pedagogów szkoły średniej w Castle Rock. Pomysł był do niczego i szybko go zarzuciła, przemnożywszy sobie parę liczb na kieszonkowym kalkulatoru. Koszty benzyny i opłacenia opiekunki do dziecka pożarłyby większość z dwudziestu dolarów dziennie, jakie mogłaby maksymalnie wyciągnąć.

I tak stałam się Wspaniałą Amerykańską Gospodynią Domową, pomyślała ponuro pewnego dnia ostatniej zimy, patrząc, jak zacinający deszcz ze śniegiem spływa po grubych szybach wychodzących na ganek okien. Siedzę w domu, podtykam Tadowi parówki, fasolkę, grzanki z serem i zupkę Campbella na lunch i czerpię energię do życia z "As the World Turns" i "The Young and Restless". Mogłaby odwiedzać sąsiadkę, Joanie Welsh, która miała dziewczynkę mniej więcej w wieku Tada, ale jej towarzystwo wpływało na nią przygnębiająco. Joanie była o trzy lata starsza od niej i ważyła dziesięć funtów więcej. Zdawała się nie przejmować tymi dziesięcioma funtami nadwagi. Mówiła, że podoba się

taka mężowi. I była w pełni usatysfakcjonowana tym, co oferowało jej Castle Rock.

Czara goryczy powoli się przepełniała. Donna zaczęła robić Vicowi awantury o głupstwa, tłamsząc w sobie poważniejsze żale, bo te trudno jej było zdefiniować, a jeszcze trudniej wyartykułować. Na przykład to, że prześladowuje ją poczucie straty, lęku i starzenia się. Że dręczy ją samotność i strach przed samotnością. Że słyszy w radiu piosenkę, którą pamięta jeszcze ze szkoły, i nagle bez powodu wybucha płaczem. Że zazdrości Vicowi, bo jego życie to codzienna walka o zbudowanie czegoś, bo on jest błędnym rycerzem z rodzinnym herbem na tarczy, podczas gdy jej życie to dogłądanie Tada, zabawianie go, kiedy się nudzi, wysłuchiwanie jego marudzenia, przyrządzanie mu posiłków i przekąsek. Przypominało to życie w okopach. Za dużo było w nim czekania i nasłuchiwania.

Ale przez cały ten czas żyła nadzieją, że wszystko się jakoś unormuje, kiedy Tad podrośnie; uświadomienie sobie, że nie ma co na to liczyć, nappełniło ją zimnym przerażeniem. W zeszłym roku trzy przedpołudnia w tygodniu Tad spędzał w żłobku Jacka i Jill, tego zaś lata pięć popołudni w ogródku zabaw. Kiedy go nie było, dom wydawał się okropnie pusty. Niewypełniane przez Tada drzwi przeciągały się i ziewały; schody rozdziawiały paszcze bez jej synka w spodenkach od pizamy, siedzącego w ich połowie przed południową drzemką i oglądającego sennie którąś ze swoich książeczek z obrazkami.

Drzwi były paszczami, schody gardzielami, puste pokoje pułapkami.

Szorowała więc podłogi, które wcale nie wymagały szorowania. Oglądała w telewizji mydlane opery. Myślała o

Stevie Kempie, z którym flirtowała trochę, od kiedy zeszłej jesieni zajechał do miasteczka swoją furgonetką z tablicami rejestracyjnymi Wirginii i otworzył mały zakład renowacji mebli. Przyłapywała się na tym, że siedzi przed telewizorem i nie ma pojęcia, co się dzieje na ekranie, bo myśli o kontraście, jaki tworzy ciemna opalenizna Steve'a z bielą jego stroju tenisowego, albo jak pracują jego pośladki, kiedy szybko się porusza. I w końcu musiała coś z tym zrobić. A dzisiaj...

Poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, i zatykając usta dłońmi, rzuciła się w stronę łazienki. Zwróciła wszystko, co zjadła. Popatrzyła na to, co z niej wyleciało, i z jękiem wymiotowała jeszcze raz.

Kiedy żołądek trochę się uspokoił (na odmianę nogi znowu zaczęły dygotać - coś za coś), przejrzała się w łazienkowym lustrze. W zimnym świetle jarzeniówki jej twarz przypominała zastygłą, odpychającą maskę. Skórę miała białą, oczy podkrążone. Zobaczyła, jak będzie wyglądała na starość, ale najbardziej przerażało ją podejrzenie, że gdyby był tu teraz Steve Kemp, to chybaby mu uległa, gdyby tylko przytulił ją, pocałował i powiedział, że nie musi się niczego bać, że czas jest mitem, a śmierć snem, że wszystko jest dobrze.

Opuściła głowę i rozplakała się.

Charity Camber siedziała na podwójnym łóżku, które dzieliła ze swym mężem Joem, i wpatrywała się w coś, co trzymała w rękach. Wróciła właśnie ze sklepu, tego samego sklepu, którego stałą klientką była Donna Trenton. Dłonie, stopy i policzki miała zdrętwiałe i zimne, zupełnie jakby za długo jeździła z Joem na skuterze śnieżnym. Ale przecież jutro już pierwszy lipca; skuter śnieżny stoi od dawna w szopie na

tyłach domu i przykryty pieczolowicie brezentową płachtą czeka na następną zimę.

To nie może być. To jakaś pomyłka.

Ale to nie była pomyłka. Sprawdziła już parę razy, i to nie była żadna pomyłka.

No, ale przecież na kogoś musi zawsze wypaść, prawda? Tak, naturalnie. Na kogoś. Ale żeby na nią?

Słyszała, jak Joe wali w coś w garażu. Dźwięk był wysoki i donośny, przebijał się przez gorące powietrze popołudnia niczym młot kujący cienki metal. Ucichł na chwilę i padło stłumione: "Cholera!".

Młot uderzył jeszcze raz i nastąpiła dłuższa przerwa. Potem ciszę zmącił wrzask jej męża: "Brett!".

Zawsze kulila się w sobie, kiedy podnosił w ten sposób głos, krzycząc na ich chłopca. Brett kochał bardzo ojca, ale Charity nigdy nie była pewna, co czuje do syna Joe. Raz, jakieś dwa lata temu, miała koszmarne sen, sen, którego chyba nigdy nie zapomni. Śniło jej się, że mąż wbija widły prosto w pierś Bretta. Zęby przeszły chłopca na wylot i wypchnęły mu koszulkę na plecach jak maszty podtrzymujące namiot. "Smarkacz nie przychodzi, kiedy na niego wrzeszczę", wyjaśnił jej mąż ze snu i ocknęła się ze wzdrygnięciem przy boku swego realnego męża, który leżał przy niej w bokserskich spodenkach, pogrążony w piwnym śnie. Przez okno wlewała się księżycowa poświata, padając na łóżko, powódź zimnego, obojętnego blasku, i przekonała się wtedy, jak namacalny może być strach - przekonała się, że jest potworem o poźółkłych kłach, stworzonym przez rozgniewanego Boga, by pożerał nieostrożnych i nieprzystosowanych. W trakcie ich małżeństwa Joe tylko kilka razy podniósł na nią rękę, jednak to wystarczyło. Nie

była może geniuszem, ale jej matka nie wychowała nikogo na głupca. Teraz robiła, co Joe kazał, i rzadko mu się przeciwstawiała. Podejrzewała, że Brett również przyjął tę taktykę. Ale czasami bała się o chłopca.

Podeszła do okna akurat w momencie, kiedy Brett przebiegał przez podwórko i wpadał do stodoły. Po piętach deptał mu zgrzany i osowiały Cujo.

Stłumione: "Przytrzymaj mi to, Brett".

Jeszcze bardziej stłumione: "Już, tato".

Znowu rozległo się walenie, ten bezlitosny, lodowaty dźwięk: Bing! Bing! Bing! Wyobraziła sobie Bretta przykładającego coś do czegoś - może przecinak do zatartego łożyska albo szpikulec do zakleszczonej śruby. Mąż z pall mallem zwisającym z kącika wąskich warg, w bawełnianej koszulce z podwiniętymi rękawami, robi zamach pięcioletowym młotem. I jeśli jest pijany... jeśli ma trochę rozregulowany celownik...

Usłyszała w wyobraźni rozdzierający krzyk Bretta, któremu młot rozgniała dłoń na czerwonej miazgę, i skrzyżowała ramiona na piersiach, żeby odpędzić tę straszną wizję.

Spojrzała znowu na to, co trzymała w ręku, i zaczęła się zastanawiać, jak to wykorzysta. Najbardziej na świecie pragnęła pojechać do Connecticut i zobaczyć się z siostrą Holly. To już szósty rok od tamtego spotkania latem siedemdziesiątego czwartego - pamiętała je dosyć dobrze, bo poza tym miłym weekendem było to dla niej złe lato. W siedemdziesiątym czwartym zaczęły się te nocne problemy z Brettem - niepokój, złe sny i coraz częstsze przypadki chodzenia we śnie. W tym samym roku Joe zaczął porządnie popijać. Niespokojne noce Bretta i jego somnambulizm w końcu minęły, ale Joe pił dalej.

Brett miał wtedy cztery latka; teraz skończył już dziesięć i nawet nie pamiętał ciotki. Holly była od sześciu lat zamężna. Miała synka, któremu dała imię po mężu, i córeczkę. Charity nie widziała jeszcze żadnego ze swoich siostrzeńców, jeśli nie liczyć kolorowych fotografii, które Holly od czasu do czasu przysyłała w listach.

Bała się już prosić Joego o ten wyjazd. Miał dosyć wysłuchiwania jej naprzykrzań i gdyby jeszcze raz poruszyła ten temat, mógłby ją uderzyć. Mijało już sześć miesięcy od czasu, kiedy ostatni raz zapytała go, czy nie mogliby zrobić sobie małych wakacji i pojechać do Connecticut. Joe nie był amatorem podróży. Podobało mu się w Castle Rock. Raz do roku z tym starym opojem, Garym Pervierem, i paroma swoimi kumplami robił wypad na północ, do Moosehead na jelenie. W listopadzie zeszłego roku chciał zabrać z sobą Bretta. Nie zgodziła się. Tupnęła nogą i nie bacząc na ponure pomruki Joego i zbolale spojrzenie Bretta, nie ustąpiła. Ani myślała puszczać chłopca z tą bandą, żeby przez dwa tygodnie słuchał sprośnych żartów i patrzył, w jakie zwierzęta mogą się zmienić mężczyźni, kiedy piją całymi dniami i tygodniami, a w przerwach włączają się z nabitymi strzelbami po lesie. Nabite strzelby, nabuzowani mężczyźni, tylko patrzeć, jak wydarzy się jakieś nieszczęście i nic tu nie pomogą te fluoryzujące pomarańczowe czapki i kurtki. Ale ofiarą nie będzie Brett. Każdy, byle nie jej syn.

Młot walił miarowo, rytmicznie. Nagle przestał. Odprężyła się trochę. Młot zaczął znowu walić.

Podejrzewała, że wcześniej czy później Brett jednak z nimi pojedzie, i to będzie dzień, kiedy go straci. Dołączy do ich paczki i od tej chwili ona będzie już tylko kuchennym popychadłem. Tak, ten dzień w końcu nadejdzie, zdawała

sobie z tego sprawę i bardzo nad tym bolała. Ale przynajmniej odsunęła go o jeszcze jeden rok.

A w tym roku? Czy w listopadzie uda jej się zatrzymać go przy sobie w domu? Może nie. Tak czy owak, lepiej będzie - niczego to nie rozwiąże, ale przynajmniej będzie lepiej - jeśli najpierw pojedzie z Brettem do Connecticut. Zabierze go i pokaże, jak niektórzy...

...niektórzy...

Och, powiedz to, choćby tylko do siebie.

(jak żyją niektórzy przyzwoici ludzie)

Gdyby tak Joe puścił ich samych... Ale nie było nawet co o tym marzyć. Joe mógł jeździć, gdzie chciał, sam czy z kolegami, ale jej nie było wolno, nawet z Brettem uczepionym spódnicy. To była jedna z podstawowych reguł ich małżeństwa. Nie mogła się jednak opędzić od myśli, że o wiele lepiej byłoby im tam bez niego siedzącego w kuchni Holly, żłowiącego piwo i mierzącego Jima, męża Holly, tymi swoimi bezczelnymi brązowymi oczami. Lepiej by było nie patrzeć, jak nie może się doczekać wyjazdu, i siedzieć tam, dopóki Jim i Holly sami nie zaczną okazywać, że nie mogą się doczekać, kiedy sobie wreszcie pojedą...

Ona i Brett. Tylko ich dwoje.

Mogliby pojechać autobusem.

W listopadzie zeszłego roku chciał zabrać Bretta ze sobą na polowanie...

Może by tak zawrzeć układ, pomyślała.

Przeszedł ją zimny dreszcz, ścinając szpik kostny we włókno szklane. Czy naprawdę gotowa jest przystać na taki układ? On puści ich autobusem do Stratford, ona z kolei pozwoli mu zabrać Bretta na jesieni do Moosehead...

Pieniądzy by starczyło - teraz by starczyło - ale same pieniądze tego nie załatwią. Joe zabierze wszystko, i tyle jej będzie widziało. Chyba że dobrze by to rozegrała. Po prostu dobrze rozegrała.

Jej umysł zaczął pracować szybciej. Walenie dolatujące ze stodoły ustało. Ujrzała Bretta wybiegającego stamtąd truchtem i doznała ulgi. Jakieś przeczucie podpowiadało jej, że jeśli chłopcu stanie się kiedyś coś naprawdę niedobrego, to dojdzie do tego właśnie w tej mrocznej budzie o przesiąkniętej starym smarem, posypanej trocinami podłodze z desek.

Istnieje jakiś sposób. Musi istnieć jakiś sposób. Jeśli tylko odważy się zaryzykować.

Trzymała w rękach los loterii. Stała zamyślona w oknie, obracając kawałek papieru na wszystkie strony.

Steve Kemp wrócił do swojego warsztatu w nastroju, który można by określić jako stan ekstatycznego rozjuszenia. Jego warsztat znajdował się na zachodnich przedmieściach Castle Rock, przy Drodze Nr 11. Wynajął go od farmera, który miał ziemię zarówno w Castle Rock, jak i w sąsiednim Bridgton. Farmer nie był zwyczajnym cepem: był supercepem.

Większość miejsca w warsztacie zajmowała kadź do usuwania starych powłok z mebli - kocioł z blachy falistej tak wielki, że można by w nim chyba ugotować za jednym zamachem cały zastęp misjonarzy. Wokół niego, niczym stado małych satelitów na orbicie wielkiej planety, przycupnęły sprzęty, które klienci oddali Steve'owi do renowacji: biurka, serwantki, chińskie kredensiki, półki na książki, stoły. W powietrzu unosił się zapach pokostu, odczynnika do usuwania starych powłok i oleju lnianego.

W podniszczonej torbie lotniczej TWA Steve miał czyste rzeczy na zmianę: zamierzał przebrać się w nie po przeleceniu tej rajcownej cipki. Teraz ze złością cisnął torbę przed siebie. Odbiła się od przeciwległej ściany i wylądowała na blacie serwantki. Podszedł tam i strącił ją, a kiedy spadała, kopnął. Uderzyła o sufit i pacnęła bokiem na podłogę jak zdechły świstak. Steve stał dysząc ciężko, wciągając w płuca zawiesziste zapachy i patrząc nie widzącymi oczyma na trzy fotele, które obiecał wypleść przed końcem tygodnia. Kciuki zatknął za pasek, pozostałe palce zwinął w pięści i wydał dolną wargę. Wyglądał jak dzieciak boczący się po połajance.

- Kurwa mać! - wysyczał i podszedł do torby lotniczej. Zamierzył się nogą, jakby znowu chciał ją kopnąć, ale rozmyślił się i podniósł torbę z podłogi. Przeciął szopę i wszedł do przylegającego do niej trypokojowego domku. W domku było jeszcze goręcej. Przeklęty lipcowy upał. Pada na mózg. W kuchni piętrzyły się stopy brudnych naczyń. Nad zieloną plastikową torbą na śmieci, pełną puszek po wołowinie i tuńczyku, unosiła się rozbzyczana chmara much. Dominującym w living-roomie sprzętem był wielki, stary czarno-biały telewizor marki Zenith, który wygrzebał kiedyś na wysypisku śmieci w Naples. Na odbiorniku spał jak zabity duży wykastrowany pręgowany kocur o imieniu Bernie Carbo.

Sypialnia była miejscem, gdzie oddawał się twórczości literackiej. Stało tam rozbebeszone łóżko na kółkach z pościelą sztywną od zaschniętej spermy. Bez względu na to, ile kobiet zaliczył (a w ciągu ostatnich dwóch tygodni nie miał ich wcale), namiętnie się masturbował. Masturbacja była w jego przekonaniu oznaką kreatywności. Naprzeciwko łóżka stało jego biurko, a na nim wielka, staroświecka maszyna do

pisania marki Underwood. Po obu jej stronach leżały kupki maszynopisów. Stos maszynopisów, jedne w pudełkach, inne ściągnięte gumkami, piętrzył się też w kącie. Pisał dużo i przenosił się często z miejsca na miejsce, tak więc jego podstawowym bagażem były maszynopisy - w przeważającej części były to wiersze, trochę opowiadań, surrealistyczna sztuka, której bohaterowie wypowiadają dziewięć słów na krzyż, oraz powieść, atakująca zaciekle wszystko i wszystkich. Mijało już pięć lat od czasu, kiedy zabawił w jednym miejscu na tyle długo, żeby się do końca rozpakować. W grudniu poprzedniego roku, goląc się pewnego dnia przed lustrem, zauważył w brodzie pierwsze pasemko siwizny. Odkrycie to wpędziło go w dziką depresję, z której nie mógł się otrząsnąć przez wiele tygodni. Od tamtej pory nie tknął brzytwy, jakby w obawie, że to czynność golenia powoduje w jakiś sposób pojawianie się siwizny. Miał trzydzieści osiem lat. Starał się nie myśleć, że jest już tak stary, ale czasami świadomość tego wypełzała niespodziewanie z zakamarków podświadomości. Fakt, że do czterdziestki brakuje mu niespełna siedmiuset dni, napawał go zgrozą. Zawsze uważał, że kto jak kto, ale on nigdy nie będzie miał czterdziestu lat.

A to suka, powtarzał sobie co chwila w duchu. A to suka.

Od czasu, kiedy jako uczeń pierwszej klasy szkoły średniej po raz pierwszy dał się zaciągnąć do łóżka kiepskiej imitacji zalotnej Francuzki, rzucił już wiele kobiet, ale sam został odtrącony zaledwie dwa, najwyżej trzy razy. Był dobry w wyczuwaniu zbliżającego się zerwania i zawsze pierwszy wycofywał się ze związku. Był to jego manewr taktyczny, coś jak zbombardowanie kogoś damą pikową w grze w omnibus³. Wychodził z założenia, że trzeba to robić, póki jeszcze dmucha się dziwkę, żeby samemu nie zostać wydmuchanym.

Człowiek ma wtedy lepsze samopoczucie. Tak samo jak wtedy, kiedy nie myśli o swoim wieku. Wyczuwał, że Donna pomalu pasuje, ale miał ją za kobietę, którą można bez większego trudu, przynajmniej przez jakiś czas, manipulować za pomocą kombinacji bodźców psychologicznych i seksualnych. Bądź też uciekając się do zastraszenia, jeśli chciało się być bezwzględny. To, że tym razem się zagapił, rozwścieczyło go - poczuł się znieważony.

Zrzucił z siebie ubranie, cisnął na biurko portfel i drobne, wszedł do łazienki i wziął prysznic. Wyszedł spod niego w nieco lepszym nastroju. Ubrał się z powrotem, wciągając dzinsy i spłowiałą koszulkę, które wyjął z torby lotniczej. Pozbierał drobne, wsypał je do przedniej kieszeni i popatrzył na portfel. Wysunęło się z niego kilka wizytówek. Było ich tam tyle, że wciąż się wysypywały.

Steve Kemp miał naturę chomika. Do drobiazgów, które zawsze przechowywał, należały między innymi wizytówki. Bardzo dobrze nadawały się na zakładki do książek, a ich niezadrukowana odwrotna strona była w sam raz na zapisanie adresu, numeru telefonu czy zrobienie krótkiej notatki. Czasami, gdy zdarzyło mu się zajrzeć do jakiegoś firmowego sklepu albo kiedy zaczepił go agent ubezpieczeniowy, brał nawet po kilka. Nie zapomniał też nigdy poprosić z szerokim, przymilnym uśmiechem o wizytówkę każdego urzędnika, z jakim przyszło mu się zetknąć.

Pewnego razu, w okresie, kiedy grzali się jeszcze z Donną ostro i na całego, zauważył na telewizorze wizytówkę jej męża. Donna brała wtedy prysznic czy coś w tym rodzaju. Wziął sobie tę wizytówkę. Sam właściwie nie wiedział po co. Oddech chomika.

Otworzył teraz portfel i zaczął wertować wizytówki - wizytówki agentów Prudentiala z Wirginii, pośredników w handlu nieruchomościami z Kolorado i kilkunastu biznesmenów. Przez chwilę wydawało mu się, że posiał gdzieś wizytówkę Przystojnego Mężulka, ale wsunęła się po prostu pomiędzy dwa dolarowe banknoty. Wyłowił ją stamtąd i obejrzał. Biały kartonik z niebieskim nadrukiem wykonanym modnymi małymi literami. Pan Biznesmen Człowiek Sukcesu. Skromna, ale robiąca wrażenie:

roger breakstone ad wora victor trenton

1633 congress Street

telex: ADWORX portland, maine 04001 tel (207) 799-8600

Wyciągnął kartkę z ryzy taniego papieru kserograficznego i zrobił sobie miejsce na biurku. Spojrzał przelotnie na maszynę do pisania. Nie. Czcionka każdej maszyny jest tak samo charakterystyczna, jak odcisk palca. To felerne małe "a" zdradziło nicponia, inspektorze. Narada ławy przysięgłych trwała tylko tyle, ile trzeba na wypicie herbaty.

Nie przewidywał, żeby w sprawę wmieszana została policja - nic z tych rzeczy, nie ma obawy - ale ostrożność nie zawadzi.

Tani papier dostępny w każdym sklepie z artykułami biurowymi, maszyna wykluczona.

Z puszki po kawie stojącej na rogu biurka wybrał cienkopis i nagryzmolił wielkimi drukowanymi literami:

CZEŚĆ, VIC

NICZEGO SOBIE MASZ ŻONKĘ.

Z ROZKOSZĄ RZNAŁEM JĄ, AŻ WIÓRY LECIAŁY.

Przerwał i zamyślił się, postukując pisakiem o zęby. Nie dało się zaprzeczyć, że Donna była atrakcyjną kobietą i jej mąż mógł potraktować to, co dotąd napisał, jako zaczepkę czy odwet odrzuconego adoratora. Napisać można wszystko, a wysłanie komuś listu kosztuje mniej niż filiżanka kawy. Ale musi być coś... zawsze coś się znajdzie. Co by to mogło być? Uśmiechnął się nagle; kiedy się uśmiechał, rozjaśniła mu się cała twarz i nietrudno było odgadnąć, dlaczego od tej kiepskiej imitacji zalotnej Francuzki poczynając, nie miał nigdy kłopotów z kobietami. Pochylił się znowu nad kartką.

CO CI PRZYPOMINA TO ZNAMIE
TUŻ NAD JEJ WŁOSAMI ŁONOWYMI?
BO MNIE ZNAK ZAPYTANIA.
A MOŻE TY MASZ JAKIEŚ PYTANIA?

Tyle wystarczy; co za dużo, to niezdrowo, jak zwykła mawiać jego matka. Znalazł kopertę i włożył do niej kartkę z tekstem. Wsunął tam też wizytówkę i zaadresował kopertę, również drukowanymi literami, na biuro Vica. Po chwili zastanowienia postanowił okazać temu żalosnemu jełopowi odrobinę litości i pod adresem dopisał: DO RĄK WŁASNYCH.

Położył list na parapecie okna i odchylił się wygodnie na oparcie krzesła. Samopoczucie miał już zupełnie dobre. Był pewien, że dziś wieczorem spłynie na niego literackie natchnienie.

Jakaś ciężarówka z tablicami rejestracyjnymi innego stanu skręciła w jego podjazd. Pikap ze wspaniałą hoosierowską

szafą na skrzyni. Ktoś zrobił dobry interes na garażowej wyprzedaży. Szczęściarz.

Steve wstał i skierował się w stronę drzwi do warsztatu. Chętnie weźmie od nich pieniądze i tę hoosierowską szafę, ale szczerze wątpił, czy znajdzie czas, by wywiązać się ze zlecenia. Po wysłaniu tego listu konieczna będzie pewnie zmiana klimatu. Ale nie za wielka i nie tak od razu. Czuł, że musi się pokręcić w okolicy na tyle długo, by złożyć jeszcze co najmniej jedną wizytę Humorzastej Panience... oczywiście po wcześniejszym upewnieniu się, że w pobliżu nie ma Przystojnego Mężulka. Grał z nim kiedyś w tenisa i facet nie zrobił na nim wrażenia chojraka - chudy, silne okulary, gówniany bekhend - ale nigdy nie wiadomo, kiedy taki Przystojny Mężulek wyjdzie z nerw i zrobi coś antyspołecznego. Wielu Przystojnych Mężulków trzyma w domu broń palną, toteż przed przystąpieniem do akcji trzeba będzie przeprowadzić dokładne rozpoznanie terenu. Pozwoli sobie jeszcze na tę jedną jedyną wizytę, a potem definitywnie schodzi ze sceny. Wpadnie może na trochę do Ohio. Albo do Pensylwanii. Albo do Taos w Nowym Meksyku. Ale nie mógł sobie odmówić przyjemności pokręcenia się tu jeszcze przez jakiś czas (w bezpiecznej odległości, ma się rozumieć), żeby być świadkiem eksplozji.

Kierowca ciężarówki i jego żona zaglądali do warsztatu, wypatrując gospodarza. Steve podszedł do nich uśmiechnięty, z rękami w kieszeniach dzinsów. Kobieta natychmiast odwzajemniła uśmiech.

- Witam państwa, czym mogę służyć? - spytał, postanawiając jednocześnie, że wyśle list, kiedy tylko pozbędzie się tej pary. Tego wieczoru, kiedy słońce, czerwone, okrągłe i gorące, chowało się za zachodnim horyzontem, Vic Trenton z koszulą

związaną rękawami w pasie zaglądał pod maskę pinta swojej żony. Donna stała obok w białych szortach oraz bezrękawniku w czerwonej kratę i wyglądała bardzo młodo i świeżo. Była boso. Tad w samych kąpielówkach kursował jak szalony tam i z powrotem po podjeździe na swoim trójkołowym rowerku, wyobrażając sobie najwyraźniej, że jest Ponchem i Johnem z CHiPS w jednej osobie i rywalizuje zaciekle z Darthem Vaderem.

- Pij swoją mrożoną herbatę, bo ci się lód rozpuści - upomniwała Vica Donna.

- Mhm.

Szklanka stała na brzegu komory silnika. Vic upił dwa łyki i odstawił ją na ślepo. Przewróciła się i spadła prosto w ręce jego żony.

- Ho, ho - mruknął z uznaniem. - Ładny chwyt. Donna uśmiechnęła się.

- Po prostu wiem, co możesz zrobić, kiedy jesteś myślami gdzie indziej. Spójrz. Ani kropelki nie uрониłam.

Przez chwilę uśmiechali się do siebie oczami - dobry moment, pomyślał Vic. Może mu się tylko wydawało albo było to jego pobożne życzenie, ale ostatnio zdarzało się jakby więcej takich dobrych momentów. Za to mniej ostrych słów. Mniej cichych okresów ziejących chłodem albo raczej - co gorsza - obojętnością. Nie wiedział, co jest przyczyną tej odmiany, ale było mu przyjemnie.

- Istny wiejski klub sportowy - powiedział. - Musisz jeszcze nad sobą popracować, ale może będą z ciebie ludzie, mała.

- No więc, co jest z tym moim samochodem, panie trenerze?

Na podjeździe leżał wymontowany filtr powietrza. "Nie widziałem jeszcze takiego frisbee" - stwierdził przed chwilą Tad, objeżdżając go na swoim rowerku. Vic pochylił się

znowu nad silnikiem i trzonkiem śrubokręta postukał bezradnie w gaźnik.

- Coś z gaźnikiem. Chyba zawór iglicowy się zacina.

- To coś poważnego?

- Nie tak bardzo - odparł - ale może cię uziemić, jeśli zechce mu się zatrzcć na dobre. Zawór iglicowy steruje dopływem paliwa do gaźnika, a bez paliwa nie pojedziesz. To tak jak z konstytucją, kochanie.

- Tatusiu, pobujasz mnie na huśtawce?

- Tak, za chwileczkę.

- Dobrze! To ja tam będę czekał!

Tad zostawił rowerek i puścił się biegiem na znajdujący się za domem placyk huśtawkowo-gimnastyczny, który zeszłego lata w robocze dni tygodnia, pracując wieczorami po kolacji, a w weekendy od rana przy wtórze dobywających się z tranzystorowego radia porykiwań sprawozdawców sportowych relacjonujących mecze Boston Red Socks i racząc się obficie dżinem z tonikiem, urządził Vic. Tad miał wówczas trzy latka i podpierając brodę, siedział na klapie zamykającej wejście do piwnicy albo na schodkach z tyłu domu. Podał coś czasem, ale przeważnie tylko patrzył w milczeniu. Zeszłe lato. Dobre lato, nie tak nieludzko upalne jak obecne. Wszystko wskazywało wtedy, że Donna się w końcu przystosowała i zrozumiała, że Maine, Castle Rock, Ad Worx... że to wszystko dla ich dobra.

Potem przyszła ta zła passa, a najgorsze w niej było to nieznośne przecucie, że sprawy mają się gorzej, niż mu się wydaje. Przedmioty w domu zaczęły zmieniać nieznacznie położenie, jakby przesuwały je czyjeś obce ręce. Dokonał idiotycznego - czy aby na pewno idiotycznego? - spostrzeżenia, że Donna za często zmienia pościel. Pewnej

nocy eksplodowało mu w głowie, odbijając się nieprzyjemnym echem, pytanie ze znanej bajki: Kto sypia w moim łóżeczku?

Teraz wyglądało na to, że nadeszła odwilż. Gdyby nie ta zwariowana afera z Malinowymi Zingersami i nie ta przeklęta podróż, która wisi mu nad głową, pomyślałby nawet, że może znowu zanosić się na całkiem przyjemne lato. Zresztą kto wie, czy rzeczywiście takim się nie okaże. Czasami się wygrywa. Nie wszystkie nadzieje są płonne. Wierzył w to, choć ta wiara nigdy nie została rzetelnie przetestowana.

- Tad! - krzyknęła Donna i chłopiec zatrzymał się jak wryty. - Wróć i wstaw rowerek do garażu.

- Mamusiuuu!

- Bez dyskusji, monsieur.

- Myj się - powtórzył Tad i roześmiał się, zasłaniając buzię rączkami. - A ty nie wprowadziłaś swojego samochodu, mamusiu.

- Bo mój samochód naprawia tatuś.

- Tak, ale...

- Zrób, jak mówi mama, Tadder - wtrącił się Vic, podnosząc z ziemi filtr powietrza. - Zaraz tam do ciebie przyjdę.

Tad dosiadł znowu rowerka i wjechał do garażu, naśladowując przy tym głośne, falujące wycie karetki pogotowia.

- Po co go z powrotem montujesz? - spytała Donna. - Nie naprawisz tego?

- To precyzyjna robota - odparł Vic. - Nie mam odpowiednich narzędzi. Prawdopodobnie jeszcze bardziej bym go doprawił.

- Cholera - mruknęła markotnie i kopnęła w oponę. - Takie rzeczy nie powinny się zdarzać przed upływem okresu gwarancyjnego, prawda? - Pinto miał na liczniku niewiele

ponad 20 000 mil i dopiero za sześć miesięcy miał być naprawdę ich.

- Z tym też jak z konstytucją - powiedział Vic. Umieścił filtr powietrza z powrotem na wspornikach i dokręcił śrubę motylkową.

- Chyba odprowadzę go do South Paris, kiedy Tad będzie w ogródku zabaw. Ale skoro ty wyjeżdżasz, będę musiała wypożyczyć od nich na czas naprawy jakiś zastępczy wóz. Dojadę do South Paris, Vic?

- Jasne. Ale nie musisz. Odstaw go do warsztatu Joego Cambera. To tylko siedem mil, a Joe jest solidny. Pamiętasz, jak siadło mi łozysko w kole jaguara? Ściągnął je na wyciągu z majstrowanym z pociętego starego słupa telefonicznego i policzył sobie tylko dziesięć dolców. Do licha, gdybym pojechał z tym do warsztatu w Portland, zdarliby ze mnie skórę.

- Ten facet działa mi na nerwy - mruknęła Donna. - W dodatku był wtedy pod dobrą datą.

- Dlaczego działa ci na nerwy?

- Za bardzo mi się przyglądał. Vic roześmiał się.

- Kochanie, nie da się ukryć, że w twoim przypadku jest na co popatrzeć.

- Dziękuję - burknęła. - Nie każda kobieta lubi, kiedy rozbierają ją wzrokiem. To peszy... - Urwała niespodziewanie i zapatrzyła się w posępną czerwoną zorzę rozlewającą się na zachodzie. Po chwili znowu spojrzała na Vica. - Niektórzy mężczyźni patrzą w taki sposób, że mam wrażenie, jakby w głowach przewijał im się film "Porwanie Sabineek"... ze mną w roli głównej.

Doznał dziwnego, nieprzyjemnego uczucia, że Donna mówi o kilku rzeczach jednocześnie - znowu. Ale wolał nie wnikać w

to dzisiaj, kiedy wreszcie zdołał się wyczołgać spod miesięcznej kupy gówna.

- Kotku, on jest prawdopodobnie całkowicie nieszkodliwy. Ma żonę, dziecko...

- Tak, prawdopodobnie - odparła.

Założyła jednak ręce i zacisnęła dłonie na łokciach w charakterystycznym u niej geście zdenerwowania.

- Posłuchaj - powiedział Vic - w tę sobotę sam odprowadzę do niego twojego pinto i zostawię go, jeśli będzie trzeba, zgoda? Ale przypuszczam, że naprawi to na poczekaniu. Wypiję z nim parę piw i pobawię się z jego psem. Pamiętasz tego bernardyna?

Donna uśmiechnęła się.

- Pamiętam nawet, jak się wabił. Tak oblizywał Tada, że o mało go nie przewrócił. Widziałeś to?

Vic skinął głową.

- A przez resztę popołudnia Tad biegał za nim, wołając "Cuuujooo... chodź tu, Cuuuujo".

Roześmieli się oboje.

- Czasami tak mi cholernie głupio - powiedziała Donna. - Gdybym umiała jeździć wozem z ręczną skrzynią biegów, mogłabym przecież używać twojego jaguara, dopóki nie wrócisz.

- Nie poradziłabyś sobie z nim. Jest trochę narowisty. Trzeba do niego czule przemawiać. - Zatrzasnął maskę pinta.

- Ooch, ty gapo! - jęknęła. - Tam była szklanka z twoją mrożoną herbatą!

Zrobił tak komicznie zaskoczoną minę, że wybuchnęła śmiechem. Zawtórował jej, i po chwili zataczali się ze śmiechu, podtrzymując jedno drugie, jak para pijaków. Tad wyjrzał z otwartymi szeroko oczami zza domu, żeby

sprawdzić, co się dzieje. Przekonawszy się, że poza tym, że rodzice zachowują się jak pomyleni, właściwie nic im nie jest, również zachichotał.

W tym samym mniej więcej czasie, niecałe dwie mile od nich, Steve Kemp wrzucał do skrzynki pocztowej swój list.

Zapadł zmierzch, upał nieco zelżał i pierwsze ćmy zaczynały szyć ściegi w powietrzu nad podwórkiem na tyłach domu. Vic bujał synka na huśtawce.

- Wyżej, tatusiu! Wyżej!

- Jeszcze trochę wyżej, a wywiniesz pełną beczkę, kolego.

- No to zanurkuj, tato! Zanurkuj!

Vic pchnął mocno Tada, posyłając huśtawkę wysoko w niebo, na którym zapalały się właśnie pierwsze gwiazdy, i przebiegł pod spodem. Tad zapiszczał z zachwytu, odrzucając w tył główkę z rozwianą czupryną.

- Fajnie było, tatusiu! Zanurkuj jeszcze!

Vic przebiegł jeszcze raz pod huśtawką, tym razem od przodu, a Tad pofrunął w nieruchomą, parną noc.

Ciotka Ewie mieszkała niedaleko i piski radosnego przerażenia wydawane przez Tada były ostatnimi dźwiękami, jakie słyszała, umierając: skapitulowało serce, jedna z jego kruchych ścianek rozerwała się nagle (i prawie bezboleśnie), kiedy siedziała w swym kuchennym fotelu z filiżanką kawy w jednej i mocnym herbertem tareytonem bez filtra w drugiej ręce; odchyliła się na oparcie, w oczach jej pociemniało, skądś doleciał krzyk dziecka i przez chwilę miała wrażenie, że to krzyk wesoły, ale kiedy gasła, pchnięta zniemacka stanowczym, lecz życzliwym ciosem, przemknęło jej jeszcze przez myśl, że to dziecko krzyczy ze strachu, z cierpienia - i z tą myślą odeszła; i taką znajdzie ją nazajutrz jej siostrzenica Abby, z ostygłą jak ona kawą, z wałeczkiem popiołu z

wypalonego papierosa, z dolną sztuczną szczęką sterczącą z pomarszczonych ust niczym zębaty rygiel.

Tad siedział z Vikiem na werandzie na tyłach domu, chociaż powinien właściwie szykować się już do spania. Vic pił piwo, Tad mleko.

- Tatusiu...?

- Słucham?

- Szkoda, że musisz wyjechać w przyszłym tygodniu.

- Przecież wrócę.

- Wiem, ale...

Tad spuścił głowę, usiłując powstrzymać łzy. Vic położył mu dłoń na karku.

- Ale co, kolego?

- Kto będzie odmawiał słowa, które odpędzają Potwora z szafy? Mamusia ich nie zna! Tylko ty je umiesz!

Łzy znalazły ujście i potoczyły się po buzi Tada.

- Tylko o to ci chodzi? - spytał Vic.

Słowa na Potwora (Vic nazwał je początkowo Katechizmem na Potwora, ale ponieważ Tad miał trudności z wymówieniem tej nazwy, skrócił ją i uprościł) powstały gdzieś pod koniec wiosny, kiedy Tada zaczęły nawiedzać złe sny i nocne lęki. Twierdził, że coś czai się w jego ściennej szafie; rzekomo drzwi tej szafy otwierały się czasami w nocy i widział w środku to coś, coś o żółtych ślepiach chcące go pożreć. Donna podejrzewała, że może to jakieś przywidzenia zainspirowane książką Maurice'a Sedaka "Gdzie kryją się dzikie stwory". Vic zastanawiał się głośno w obecności Rogera (lecz nie powtarzał tego Donnie), czy Tad nie zasłyszał gdzieś czasem ubarwionej opowieści o serii morderstw popełnionych swego czasu w Castle Rock i nie uroił sobie, że morderca - który stał się czymś w rodzaju miejscowego straszdyła - żyje sobie w

najlepsze w jego szafie, Roger przyznał, że to całkiem możliwe; z dzieciakami wszystko jest możliwe.

Po kilku tygodniach tych problemów z Tadem również Donna zaczęła zdradzać pewne objawy wiary w duchy; któregoś ranka z jakimś nerwowym śmiechem zwierzyła się Vicowi, że czasami wydaje jej się, że rzeczy w szafie Tada są poprzekładane. Vic skwitował to stwierdzeniem, że to pewnie sprawka Tada. "Nie rozumiesz - odparła Donna. - On już tam nie wchodzi, Vic... za żadne skarby. Boi się". I dodała, że czasami, po kolejnym koszmarnym śnie, który wrywa ze snu przerażonego Tada, wydaje jej się, że w szafie rzeczywiście brzydko pachnie. Jak gdyby zagnieździło się tam jakieś dzikie zwierzę. Vic wszedł zaintrygowany do szafy i pociągnął nosem. Zrodziło się w nim niejasne podejrzenie, że może Tad, odprawiając jakiś niewytłumaczalny senny rytuał, wchodzi do swojej ściennej szafy i oddaje tam mocz. Ale nie wywęszył nic prócz naftaliny. Szafa, ograniczona z jednej strony otynkowaną ścianą, a z drugiej murem z gołej cegły, miała jakieś osiem stóp głębokości. Była wąska jak pullmanowski wagon. Nie mieszkał w niej żaden strach i wchodząc tam Vic z całą pewnością nie przeniósł się do Narnii⁴. We włosy wczepiło mu się tylko parę pajęczyn, i to wszystko.

Z początku Donna radziła Tadowi, żeby walczył z nocnymi lękami, myśląc o dobrych snach, potem namawiała go, żeby się modlił. Pierwszą sugestię Tad odrzucił, twierdząc, że stwór z szafy kradnie mu myśli o dobrych snach; na drugą odparł, że modlitwy są nieskuteczne, ponieważ Pan Bóg nie wierzy w potwory. Donnie puściły wtedy nerwy - częściowo może dlatego, że sama zaczynała się już bać szafy Tada. Pewnego razu, kiedy wieszala tam koszulki synka, drzwi zamknęły się za nią cicho i dobre czterdzieści sekund

wymacywała sobie drogę do wyjścia. Czowała tam wtedy jakąś woń - woń czegoś rozpalonego i złego. Przypominała jej trochę zapach potu Steve'a Kempa po stosunku. To skojarzenie zdenerwowało ją i oznajmiła Tadowi ostrym tonem, że ponieważ nie ma niczego takiego jak potwory, powinien zapomnieć o całej sprawie, przytulić pluszowego misia i spać.

Vic albo umiał wczuć się głębiej, albo lepiej pamiętał z dzieciństwa drzwi własnej ściennej szafy, które otwierały swoją idiotyczną paszczę na zawiasach, odsłaniając ciemną noc, miejsce, gdzie wiszące ubrania zmieniały się czasami w powieszonych ludzi. Pamiętał jeszcze cienie, które podczas czterech wlokących się niemiłosiernie godzin przedświtu potrafią rzucać na ścianę uliczne lampy, i trzaski, które wydaje osiadający dom, ale które może - ale tylko może - powodować coś skradającego się w ciemnościach.

To właśnie on zaproponował Katechizm na Potwora, czyli po prostu Słowa na Potwora, co jako tytuł w zupełności wystarczało, jeśli ktoś miał cztery lata i nie przywiązywał większej wagi do semantyki. Tak czy owak, były to tylko prymitywne zaklęcia na odpędzenie złego. Vic wymyślił je pewnego dnia podczas przerwy na lunch i ku pomieszaney z niepokojem uldze Donny zadziałały, kiedy zawiodły jej własne próby stosowania psychologicznych metod proponowanych na Kursie Efektywnego Rodzicielstwa i wreszcie zaprowadzenia żelaznej dyscypliny. Vic wypowiadał je każdego wieczoru jak błogosławieństwo nad łóżkiem Tada, który leżał nagi pod kocem w parnej ciemności.

"Sądziś, że to będzie działało także później?" - spytała wtedy Donna. Z jej głosu przebijało zarówno rozbawienie, jak i rozdrażnienie. Było to w połowie maja, kiedy napięcie

między nimi osiągnęło niebezpiecznie wysoki poziom. "Ludzie od reklamy nie przywiązują wagi do tego, co będzie później - odparł Vic. - Ich interesuje jak najszybszy efekt. A ja jestem przecież jednym z nich".

- Nie będzie miał kto odmawiać Słów na Potwora, a to niedobrze, to bardzo niedobrze - wyszeptał Tad, z zakłopotaniem ocierając łzy z policzków.

- Posłuchaj - powiedział Vic - mam je zapisane. Bez tego nie mógłbym ich wypowiadać co wieczór tak samo. Wykaligrafuję je na kartce i przypnę do ściany w twoim pokoju. I mama może ci je co wieczór odczytywać, kiedy mnie nie będzie.

- Naprawdę? Zrobisz to?

- Jasne. Przecież powiedziałem.

- Nie zapomnisz?

- Nie ma mowy. Zrobię to jeszcze dziś wieczorem. Tad zarzucił ojcu rączki na szyję i Vic przytulił go mocno.

Wieczorem, kiedy Tad już zasnął, Vic zakradł się cicho do jego pokoju i przypiął pinezką do ściany kartkę papieru. Przypiął ją tuż obok Wielce Cudownego Kalendarza Tada, gdzie malec nie mógł jej przeoczyć. Na kartce, wykaligrafowane dużymi, wyraźnymi literami, widniały SŁOWA NA POTWORA:

Potwory, trzymajcie się z dala od tego pokoju!

Nie macie tu nic do roboty.

Niech żaden potwór nie wchodzi pod łóżko Tada!

Nie zmieściecie się tam.

Niech żaden potwór nie chowa się w szafie Tada!

Za ciasno tam.

Niech żaden potwór nie zagląda przez okno Tada!

Nie ma się tam czego trzymać.

A kysz wszystkie wampiry, wszystkie wilkołaki, wszystko, co gryzie.

Nie macie tu nic do roboty.

Przez całą tę noc żaden nie tknie Tada, żaden go nie skrzywdzi.

Nie macie tu nic do roboty.

Vic patrzył na kartkę przez dłuższy czas, powtarzając sobie, by przed wyjazdem jeszcze przynajmniej ze dwa razy powiedzieć Donnie, żeby czytała to dziecku każdego wieczoru.

Wychodząc, zauważył, że drzwi ściennej szafy są uchylone. Zamknął je starannie i wyszedł z pokoju synka.

Dużo później tego samego wieczoru drzwi znowu się otworzyły. Błyskawice przecinające sporadycznie upalną noc tatuowały wnętrze szafy szalonymi cieniami.

Ale Tad się nie obudził.

Nazajutrz, za piętnaście siódma rano, furgonetka Steve'a Kempa wyjechała tyłem na Drogę Nr 11 i ruszyła w kierunku Drogi Nr 302. Tam Steve miał skręcić w lewo i pojechać przez stan na południowy wschód do Portland. Zamierzał zatrzymać się na jakiś czas w portlandzkim klubie YMCA5.

Na desce rozdzielczej furgonetki piętrzyła się równa kupka listów zaadresowanych tym razem nie ręcznie, ale na maszynie. Maszyna do pisania spoczywała wraz z całym majdanem Steve'a w przedziale bagażowym furgonetki. Zwinięcie interesu w Castle Rock, włączając w to spakowanie Berniego Carbo, który drzemał teraz w swoim pudełku przy tylnych drzwiach, zajęło mu raptem półtorej godziny. Podróżowali z Berniem bez bagażu.

Adresy wystukane na kopertach zdradzały rękę profesjonalisty. Jakkolwiek by oceniać efekty tych szesnastu lat uprawiania twórczości literackiej, maszynistką Steve był teraz z pewnością świetną. Zatrzymał się przy tej samej skrzynce pocztowej, do której poprzedniego wieczoru wrzucił anonimowy liścik do Vica Trentona, i wepchnął do niej wszystkie koperty. Gdyby zamierzał opuścić stan, nie zawracałby sobie głowy regulowaniem zaległego czynszu za warsztat i dom, ale ponieważ jechał tylko do Portland, przezorniej było załatwić wszystko jak należy. Tym razem stać go było na uczciwość, bo w małym otworze w głębi schowka na rękawiczki tkwiło zwinięte w ciasny rulonik ponad sześćset dolarów w gotówce.

Poza zaległym czynszem zwracał też paru osobom zadatki, jakie pobrał od nich na poczet poważniejszych prac renowacyjnych. Do każdego czeku dołączony był uprzejmy liścik, w którym bardzo przepraszał za sprawienie kłopotu, ale niestety matka nagle i poważnie zachorowała (każdy prawdziwy Amerykanin nabierze się na historyjkę z mamusią). Ci, z którymi podpisał umowy na wykonanie usługi, mogą odebrać swoje meble z warsztatu - klucz leży na półce nad drzwiami wejściowymi, zaraz na prawo, a potem niech będą tak uprzejmi i odłożą klucz na to samo miejsce. Dziękuję, dziękuję, jeszcze raz przepraszam, ble ble ble, pocałujcie mnie w dupę. Będzie trochę szumu, ale żadna afera się z tego nie wykluje.

Kiedy wrzucił listy do skrzynki, ogarnęło go przyjemne poczucie satysfakcji, że tyłek ma dobrze zabezpieczony. Odjechał w stronę Portland, podśpiewując do wtóru z Grateful Dead "Cukiereczka". Rozpędził furgonetkę do czterdziestu pięciu mil na godzinę; jeśli ruch nie będzie zbyt

duży, zdąży może dojechać do Portland, na tyle wcześnie, by wynająć kort w Tennis of Maine. Ogólnie rzecz biorąc, dzień zapowiadał się niezłe. Jeśli Pan Biznesmen nie dostał jeszcze jego listowej bombki, to na pewno odbierze ją dzisiaj. Doskonale, pomyślał Steve i roześmiał się głośno.

O wpół do ósmej, kiedy Steve Kemp myślał o korcie tenisowym, a Vic Trenton przypomniał sobie właśnie, że ma zatelefonować do Joego Cambera w sprawie znarowionego pinto żony, Charity Camber przygotowywała śniadanie dla syna. Joe wyjechał pół godziny temu do Lewiston z nadzieją, że na którymś z tamtejszych autoszrotów albo w składzie z używanymi częściami uda mu się zdobyć przednią szybę do camaro z siedemdziesiątego drugiego roku. Pasowało to doskonale do planów, które bez pośpiechu i rozważnie snuła Charity.

Postawiła przed synem talerz jajecznicy na bekonie i usiadła obok chłopca. Brett zerknął na nią z lekkim zdziwieniem znad czytanej książki. Po podaniu mu śniadania matka przystępowała zwykle do odprawiania codziennego porannego rytuału i jeśli odzywało się do niej za wiele, zanim dopiła drugą filiżankę kawy, potrafiła być szorstka.

- Mogę z tobą chwilkę porozmawiać, Brett?

Umiarkowane zdziwienie chłopca przeszło nieomal w osłupienie. Jego małomówna z natury i zazwyczaj spokojna matka była wyraźnie podekscytowana.

- Pewnie, mamó - powiedział, zamykając książkę.

- Czy chciałbyś... - odchrząknęła i zaczęła od nowa: - Co byś powiedział, gdybyśmy tak pojechali do Stratford w Connecticut odwiedzić ciotkę Holly i wuja Jima? I twoich kuzynów?

Brett uśmiechnął się. Tylko dwa razy w życiu był poza granicami Maine, ostatnio z ojcem w New Hampshire, w Portsmouth. Pojechali tam na aukcję używanych samochodów, na której Joe kupił forda z pięćdziesiątego ósmego roku z zupełnie jeszcze zdrowym silnikiem.

- Jasne! - odparł z zapalem. - A kiedy?

- Myślałam o poniedziałku - powiedziała. - Tym po weekendzie, czwartego. Wybralibyśmy się na tydzień. Pojechałbyś?

- No chyba! Ale wydawało mi się, że tata ma nagrane mnóstwo roboty na przyszły tydzień. Musiałby...

- Nie mówiłam jeszcze o tym ojcu.

Uśmiech rozjaśniający twarz Bretta zgasł. Nadział na widelec kawałek bekonu, włożył go do ust i zaczął żuć.

- Wiem, że tata obiecał Richiemu Simmsowi, że wymontuje silnik z jego international harwestera. A pan Miller ze szkoły ma przyprowadzić swojego forda, bo poszła w nim skrzynia biegów. I...

- Pomyślałam sobie, że możemy pojechać tylko we dwójkę - przerwała mu Charity. - Greyhoundem z Portland.

Brett popatrzył sceptycznie na talerz. Za drzwiami z siatką wychodzącymi na werandę na tyłach domu pojawił się Cujo. Wgramolił się powoli po schodkach i z cichym pomrukiem zwałił w cieniu na deski. Popatrzył na CHŁOPCA i KOBIECĘ znużonymi oczami w czerwonych obwódkach. Czuł się teraz bardzo źle, naprawdę bardzo źle.

- O rany, mamó, nie wiem...

- Nie mów "o rany". To tak samo, jakbyś przeklinał.

- Przepraszam.

- Chciałbyś pojechać? Gdyby ojciec się zgodził?

- No pewnie! Myślisz, że nas puści?

- Zobaczymy. - Patrzyła w zamyśleniu przez okienko nad zlewem.

- Jak daleko jest do Stratford, mamó?

- Zdaje się, że jakieś trzysta pięćdziesiąt mil.

- O ra... znaczy się, ojej, to kawał drogi. Czy...

- Brett...

Spojrzał na nią uważnie. W jej głosie i na jej twarzy było znowu to dziwne napięcie.

- Słucham, mamó?

- Możesz mi powiedzieć, czego ojciec potrzebuje do warsztatu? Co najbardziej chciałby mieć?

W oczach Bretta zabłysła iskierka zrozumienia.

- No, zawsze potrzebuje kluczy nastawnych... i chciał nowy komplet łożysk... i przydałaby mu się nowa maska do spawania, bo w starej pękła szybka...

- Nie, ja pytam o coś dużego. Drogiego.

Brett zastanawiał się chwilę, a potem powiedział:

- No, tak najbardziej to chyba chciałby mieć nowy wyciąg łańcuchowy Jorgena. Wyjąłby ten stary silnik z internationala Richiego Simmsa gładko jak gów... no, gładko. - Zarumienił się i mówił szybko dalej: - Ale ty mu go nie kupisz, mamó. Od groma kosztuje.

Kosztuje od groma. Określenie Joego na wysoką cenę. Nienawidziła tego powiedzonka.

- Ile?

- No, w katalogu podają, że tysiąc siedemset dolarów, ale tata mógłby go chyba wydebić od pana Belasco z Portland Machinej po cenie hurtowej. Tata mówi, że pan Belasco się go boi.

- I ty uważasz, że to w porządku? - spytała ostro. Brett wyprostował się na krześle trochę przestraszony jej

wybuchem. Nie przypominał sobie, żeby matka tak się zachowywała. Nawet rozwalony na werandzie Cujo zastrzygł niemrawo uszami. - No? Uważasz tak?

- Nie, mamó - bąknął, ale Charity wiedziała, że kłamie, i zrobiło jej się przykro. W mniemaniu Bretta fakt, że potrafiło się tak kogoś nastraszyć, żeby sprzedał ci coś po cenie hurtowej, świadczył o sprycie życiowym. Wyłowiła nutkę podziwu w jego głosie. Chce być taki jak on, pomyślała. Imponuje mu tatuś, którego ludzie się boją. O mój Boże.

- Zastraszanie ludzi to żadna sztuka - powiedziała ostro. - Wystarczy donośny głos i trochę tupetu. Nie ma w tym niczego chwalebego. - Machnęła na Bretta ręką. - No, jedz te jajka. Nie będę na ciebie krzyczała. To chyba przez ten upał. Zaczął jeść, przygaszony i zjeżony, popatrując na nią od czasu do czasu. Ten poranek naszpikowany był ukrytymi minami.

- Ciekawe, ile wynosiłaby ta cena hurtowa? Tysiąc trzysta dolarów? Tysiąc?

- Nie wiem, mamó.

- A ten Belasco dałby własny transport? Przy takim dużym zakupie?

- Mhm, chyba tak. Gdybyśmy mieli tyle pieniędzy. Wsunęła rękę do kieszeni podomki. Był tam los loterii.

Numery na tym losie - zielony 76 i czerwony 434 - zgadzały się z numerami wylosowanymi przed dwoma tygodniami przez Komisję Loterii Stanowej. Sprawdziła to już kilkanaście razy, bo nie chciało jej się wierzyć. W tamtym tygodniu, tak jak w każdym innym, od kiedy w 1975 roku ruszyła loteria stanowa, zainwestowała kolejne pięćdziesiąt centów i tym razem wygrała pięć tysięcy dolarów. Nie

odebrała jeszcze wygranej, ale od dnia szczęśliwego losowania ani na chwilę nie rozstawała się z losem.

- Mamy tyle pieniędzy - powiedziała. Brett wybałuszył na nią oczy.

Kwadrans po dziesiątej Vic, nie znoszący lury podawanej w biurze, wymknął się z Ad Wora i udał za róg do Bentleya na poranną kawę. Przez cały ranek pracował nad reklamą dla Ferm Jajczarskich Decoster. Szło jak po grudzie. Nienawidził jajek od dzieciństwa, kiedy to matka z niewzruszoną miną wpychała mu je na siłę w gardło cztery razy w tygodniu. Najlepsze hasło, jakie do tej pory wykoncypował, brzmiało: JAJKA MÓWIĄ KOCHAM... BEZSZWOWO. Niezbyt odkrywczе. Słowo "bezzwowe" podsunęło mu pomysł fotografii trikowej, która przedstawiałaby jajko zapięte na zamek błyskawiczny, opasujący je w połowie wysokości. Koncepcja graficzna była niezła, ale do czego prowadziła? Nie potrafił podążyć tym tropem dalej. Trzeba będzie spytać Tada, pomyślał, kiedy kelnerka stawiała przed nim kawę i jagodziankę. Tad lubi jajka.

Oczywiście to nie reklama jajek wprawiała go w tak podły nastrój. To ta konieczność wyjazdu na dwanaście dni. No, ale trzeba było jechać. Roger go przekonał. Muszą tam być i bronić się zębami i pazurami.

Dobry, stary, gadatliwy Roger. Vic kochał go niemal jak brata. Roger z największą chęcią wyskoczyłby z nim tu na dół, do Bentleya, na kawę, ale tym razem Vic chciał być sam. Chciał pomyśleć. Poczynając od poniedziałku spędzą ze sobą w pocie czoła blisko dwa tygodnie, a to w zupełności wystarczy, nawet takim bratnim duszom jak oni.

Skierował znowu myśli na wpadkę z Malinowymi Zingersami. Czasami przeprowadzony na spokojnie, prawie

beznamiętny przegląd niekorzystnej sytuacji może rzucić na nią jakieś nowe światło. Trzeba spojrzeć na sprawę pod innym kątem.

Niedobrze się stało i Zingersy wycofano z rynku. Niedobrze, ale bywało przecież gorzej - choćby ta afera z puszkowanymi grzybami. Od Zingersów nikt nie zachorował ani nie umarł i nawet konsumenci rozumieją, że jakaś firma może od czasu do czasu strzelić gafę. Weźmy na przykład to potknięcie ze szklankami McDonalda sprzed trzech lat. Stwierdzono, że farba na szklankach zawiera niedopuszczalnie wysoką domieszkę ołowiu. Szklanki szybko wycofano. Podzieliły los takich produktów wypełniających promocyjny śmietnik, jak Speedy Alka-Seltzer i osobista faworytka Vica, guma do żucia Big Dick.

Szklanki z ołowiem nadszarpane trochę opinie korporacji McDonalda, ale przecież nikt nie oskarżył Ronalda McDonalda o próbę otrucia swojej dziecięcej klienteli. I nikt też nie oskarżał o nic Profesora od Chrupek Sharpa, chociaż wszyscy komicy, od Boba Hope poczynając i na Stevie Martinie kończąc, używali sobie na nim ile wlezie, a Johnny Carson - pochrząkując znacząco poświęcił Malinowym Zingersom cały monolog, rozpoczynając nim jeden z wieczornych programów z cyklu "The Tonight Show". Nie trzeba dodawać, że z kapelusza wyciągnięta została reklama z Profesorem od Chrupek Sharpa. Nie trzeba też dodawać, że aktor grający Profesora szalał, widząc, że na nim skupiają się ataki krytyki.

"Potrafię sobie wyobrazić gorszą sytuację" - stwierdził Roger, gdy opadły pierwsze fale wstrząsowe i centrala międzymiastowa przestała łączyć trzy razy na dzień błyskawiczne rozmowy między Portland i Cleveland. A kiedy

Vic chciał się dowiedzieć, jaką na przykład, mruknął z kamienną twarzą: "Taką, w jakiej byśmy się znaleźli, pracując dla Bon Vivant Vichysoisse".

- Jeszcze kawy, proszę pana?

Vic podniósł wzrok na kelnerkę. Chciał podziękować, w końcu jednak skinął głową.

- Poproszę, ale tylko pół filiżanki - powiedział.

Naląła mu i odeszła. Vic w zadumie mieszał kawę łyżeczką. Panika na punkcie skutków dla zdrowia była na szczęście krótkotrwała. Uspokoiły ją szybko emitowane w telewizji i publikowane na łamach gazet wypowiedzi lekarzy, którzy jak jeden mąż zapewniali, że barwnik jest zupełnie nieszkodliwy. Podobny przypadek miał już kiedyś miejsce: u stewardes z komercyjnych lotniczych linii zaczęły występować dziwne pomarańczowe odbarwienia skóry - okazało się, że powoduje je barwnik ścierający się z pomarańczowych kamizelek ratunkowych, które demonstrowały pasażerom przed każdym startem. Parę lat wcześniej barwnik żywności stosowany przy produkcji parówek wywoływał efekt wewnętrzny podobny do powodowanego przez Malinowe Zingersy.

Prawnicy starego Sharpa wytoczyli producentowi barwnika proces o wielomilionowe odszkodowanie. Sprawa będzie się prawdopodobnie ślimaczyć ze trzy lata, a potem sąd oddali pozew. Ale proces odegra swoją rolę: opinia publiczna zostanie uświadomiona, że za błąd - całkowicie przypadkowy i zupełnie nieszkodliwy, nie jest odpowiedzialna firma Sharp Company.

Niemniej jednak akcje Sharpa poleciały na Wielkiej Tablicy na łeb, na szyję. Od tamtego czasu odrobiły zaledwie połowę tego spadku. Kiedy Zingersy objawiły swe zdradliwe czerwone oblicze, odnotowano również gwałtowny spadek

sprzedaży chrupków, ale tutaj sytuacja szybko wróciła do normy. A Pełnoziarnista Mieszanka Sharpa sprzedawała się nawet lepiej niż kiedykolwiek.

A więc wszystko było tu w porządku, prawda?

Nie wszystko. Oj, nie wszystko.

Nie było w porządku z Profesorem od Chrupek Sharpa. Biedny facet nigdy już nie wróci. Po panice przyszedł czas kpin i Profesora z jego trzeźwym podejściem i scenerią szkolnej klasy obśmiano bezlitośnie.

George Carlin w swoim monologu wygłaszanym w nocnym klubie: "Tak, to zwariowany świat. Zwariowany świat". Carlin pochyła na chwilę głowę nad mikrofonem, medytuje, potem znowu ją unosi. "Chłopaki Reagana robią w telewizji swoją główną kampanię, tak? Rosjanie wysuwają się przed nas w wyścigu zbrojeń, straszą. Rosjanie produkują tysiące rakiet, tak? No więc Jimmy jedzie do telewizji, żeby uspokoić naród, i mówi: «Rodacy, Amerykanie, przędj cała amerykańska młodzież zesra się pewnego dnia na czerwono, niż Rosjanie wyprzedzą nas w wyścigu zbrojeń»".

Widownia wybucha gromkim śmiechem.

"No to Ronnie łapie za telefon i dzwoni do Jimmy'ego. Panie prezydencie, pyta, co Amy6 jadła na śniadanie?"

Huragan śmiechu na widowni. Carlin czeka. Potem cichym, znaczącym tonem wygłasza właściwą pointę:

"Bzdura... tutaj wszystko jest w porządku".

Widownia ryczy z zachwytu i bije dzikie brawa. Carlin kręci ze smutkiem głową. "Czerwone gówno, kurczę. Hmmm. Pogrzebmy w nim trochę".

Tu tkwił problem. George Carlin był problemem. Bob Hope był problemem. Johnny Carson był problemem. Steve Martin był problemem. Każdy fryzjer w Ameryce był problemem.

A teraz z innej beczki: akcje Sharpa spadły o dziewięć, a odbiły się tylko o cztery i ćwierć punkta. Akcjonariusze zaczną się domagać czyjejś głowy. Zastanówmy się... kogo im damy? Po pierwsze, kto wyjechał z tym genialnym pomysłem na Profesora od Chrupek Sharpa? Może ci faceci byliby najbardziej jadalni?

Nieważne, że zanim nastąpiła ta wpadka z Zingersami, Profesor służył wiernie przez cztery lata. Nieważne, że kiedy Profesor od Chrupek Sharpa (i jego krewniacy - Ciasteczkowy Sharpstrzelec oraz George i Gracie) wkraczali na scenę, akcje Sharpa stały o trzy i ćwierć punkta niżej niż obecnie.

To wszystko nieważne. Ważny za to jest sam fakt podania do publicznej wiadomości, że Sharp zrywa współpracę z Ad Worx - samo to prawdopodobnie sprawi, że akcje podskoczą o dalsze półtora do dwóch punktów. A kiedy rozpocznie się nowa kampania reklamowa, inwestorzy uznają to za znak, że firma ma już najgorsze za sobą i akcje mogą się wspiąć o kolejny punkt.

Oczywiście to tylko teoria, myślał Vic, mieszając bezwiednie słodzik w kawie. I nawet gdyby okazała się faktem, obaj z Rogerem byli zdania, że osiągnięty w ten sposób krótkotrwały zysk będzie dla Sharpa bardziej niż wątpliwy, jeśli nowa kampania reklamowa, montowana naprędce przez ludzi nieznających tak jak Vic i Roger firmy Sharpa ani konkurencyjnego rynku przetworów zbożowych, nie przyniesie pożądanego efektu.

I nagle ujrzał problem w nowym świetle. Stało się to zupełnie niespodziewanie. Znieruchomiał z filiżanką kawy w połowie drogi do ust. Wyobraźnia podsunęła mu wizję dwóch mężczyzn - być może byli to on z Rogerem, być może stary

Sharp i jego starzejący się smarkacz - zasypujących grób. Machali zawzięcie łopatami. Lampa migotała nierówno pośród wietrznej nocy, mżył drobny kapuśniaczek. Obaj grabarze co chwila rzucali za siebie ukradkowe spojrzenia. Był to nocny pogrzeb, potajemny pochówek pod osłoną ciemności. Grzebali w tajemnicy Profesora od Chrupek Sharpa, i to było nie w porządku.

- Nie w porządku - mruknął na głos.

Jasne, że nie w porządku. Bo jeśli grzebali go pośród głuchej nocy, nigdy nie wypowie słów, które musi wypowiedzieć: że przeprasza.

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki pióro Pentela, wziął z podstawki serwetkę i napisał na niej szybko:

Profesor od Chrupków Sharpa musi wystąpić z przeprosinami.

Spojrzał na to. Litery powiększały się, zatracając ostrość, w miarę jak atrament wsiąkał w serwetkę. Pod tym pierwszym zdaniem dopisał:

Przyzwoity pogrzeb.

A jeszcze niżej:

Pogrzeb W ŚWIETLE DNIA.

Wciąż jeszcze nie był do końca pewien, co to znaczy; więcej w tym było metafory niż sensu, ale tak właśnie objawiały się jego najlepsze pomysły. Coś w tym jednak było. Był o tym przekonany.

Cujo leżał w półmroku na posadzce garażu. Było tu gorąco, ale na zewnątrz jeszcze bardziej. I światło na zewnątrz było za jasne. Jeszcze nigdy takie nie było; prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie zwracał uwagi na natężenie światła. Teraz było inaczej. Bolał go łeb. Bolały mięśnie. Od jasnego światła

bolały oczy. Było mu gorąco. A nos nadal ómił w miejscu zadrapania.

Ómił i ropiał.

MEŻCZYŻNA gdzieś pojechał. Wkrótce po jego odjeździe pojechali gdzieś CHŁOPIEC i KOBIEITA. Został sam. CHŁOPIEC wystawił dla Cujo wielki talerz jedzenia i Cujo trochę z niego skubnął. Ale jego samopoczucie, zamiast się od tego poprawić, jeszcze się pogorszyło.

Nagle dał się słyszeć warkot ciężarówki skręcającej w podjazd. Cujo wstał i podszedł do wrót stodoły. Wiedział już, że to ktoś obcy. Zarówno ciężarówkę MEŻCZYŻNY, jak i samochód rodzinny rozpoznawał po głosie silnika. Stał w progu i wystawił łeb w jaskrawy blask rażący boleśnie oczy. Ciężarówka wtoczyła się tyłem na podjazd i zatrzymała. Z kabiny wysiedli dwaj mężczyźni i podeszli do żaluzjowych drzwi zamkniętej skrzyni ładunkowej. Jeden z nich popchnął je w górę. Piekielny łoskot, jaki temu towarzyszył, poraził uszy Cujo. Zaskomlał i wycofał się w błogosławiony mrok.

Ciężarówka przyjechała z Portland Machineę. Przed trzema godzinami Charity Camber weszła ze swym wciąż oszołomionym synem do głównego kantoru Portland Machineę przy Brighton Avenue i własnoręcznie wypisała czek, którym zapłaciła za nowy wyciąg łańcuchowy Jorgena - okazało się, że cena hurtowa wynosi dokładnie 1241 dolarów i 71 centów razem z podatkiem. Zanim udała się do Portland Machineę, wstąpiła do Stanowego Sklepu Monopolowego przy Congress Street, żeby wypełnić formularz zgłoszenia loteryjnej wygranej. Brett, któremu zabroniła wchodzić tam ze sobą, czekał z rękami w kieszeniach na chodniku przed sklepem.

Urządник poinformował Charity, że czek Komisji Loteryjnej otrzyma pocztą. Kiedy? Najdalej za dwa tygodnie. Będzie

opiewał na sumę, jaka pozostanie po potrąceniu podatku, który wyniesie około ośmiuset dolarów. Taka wysokość podatku wynikała z zadeklarowanego przez nią rocznego dochodu Joego.

Ale nawet potrącenie podatku z góry nie rozgniewało Charity. Przez cały czas, kiedy urzędnik szukał numeru losu w swoim wykazie, wstrzymywała oddech, bo wciąż nie mogła uwierzyć, że naprawdę jej się to przydarzyło. Urzędnik skinął w końcu głową i złożył gratulacje. To wszystko się nie liczyło. Najważniejsze, że może wreszcie odetchnąć, że nie jest już odpowiedzialna za bezpieczeństwo losu. Wrócił do trzewi Komisji Loteryjnej. Jej Czek Nadejdzie Poczta - cudowna, magiczna formułka-zaklęcie.

Obserwując, jak wymiętoszony los, zwiotczały od jej nerwowego potu, jest przypinany do formularza, który wypełniła, i umieszczany wraz z nim w specjalnej teczce, doznała lekkiego skurczu w żołądku. Pani Fortuna ją wybrała. Po raz pierwszy i może ostatni w jej życiu ciężka muślinowa zasłona drgnęła lekko, odsłaniając na moment jasny, wspaniały świat, który skrywała. Charity była kobietą praktyczną i w głębi ducha zdawała sobie sprawę, że chociaż nienawidzi swego męża bardziej niż trochę i bardziej niż trochę się go boi, to jednak zestarzeją się przy sobie i w końcu on umrze, pozostawiając ją ze swoimi długami i - do tego nie chciała się przyznać nawet w głębi ducha, ale bała się tego bardzo - kto wie, czy nie z synem, którego zdąży do cna zepsuć.

Gdyby jej nazwisko zostało wylosowane z wielkiego bębna podczas przeprowadzanego dwa razy do roku Superciągnięcia, gdyby wygrała dziesięć razy po te pięć tysięcy dolarów, które wygrała teraz, zastanowiłaby się może,

czy nie odgarnąć zdecydowanie tej nieprzezroczystej muślinowej zasłony, nie wziąć syna za rękę i nie poprowadzić go w świat, który rozciąga się za Drogą Miejską Nr 3 i Warsztatem Cambera, Nasza Specjalność Auta Zagraniczne, i za Castle Rock. Może jechałaby wtedy z Brettem do Connecticut z twardym postanowieniem, że spyta siostrę, ile kosztowałoby małe mieszkanie w Stratford.

Ale to było tylko drgnięcie kurtyny. Zaledwie drgnięcie. Widziała Panią Fortunę przez jeden króciutki moment - tak cudowną, zagadkową i niepojętą, jak jasna wróżka z bajki tańcząca pod kapeluszami grzybów w rosistym świetle poranka... Można ją zobaczyć raz, i tylko raz. Kiedy więc los zniknął jej z oczu, poczuła skurcz w żołądku, pomimo że ten kawałek papieru spędzał jej ostatnio sen z powiek. Wiedziała, że choćby przez resztę życia kupowała co tydzień los loterii, to i tak nigdy już nie wygra więcej niż dwa dolary naraz.

Nieważne. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Jeśli ma się choć trochę oleju w głowie.

Potem poszli do Portland Machine i wypisała tam czek, powtarzając sobie w pamięci, że w drodze powrotnej musi zatrzymać się w banku i przelać na konto stosowną sumę z rachunku oszczędnościowego, żeby czek miał pokrycie. Po piętnastu latach małżeństwa mieli z Joem na rachunku oszczędnościowym nieco ponad cztery tysiące dolarów. Pokrywało to mniej więcej w trzech czwartych ich ogromne zadłużenie, jeśli nie liczyć obciążonej hipoteki farmy. Oczywiście nie miała prawa tego nie liczyć, ale zawsze to robiła. O hipotece nie potrafiła myśleć inaczej, jak w kategoriach spłaty poganiającej spłatę. Uszczknie teraz z tych oszczędności tyle, ile jej potrzeba, a rachunek uzupełni się

potem czekiem Komisji Loteryjnej. Stracą tylko oprocentowanie za dwa tygodnie.

Człowiek z Portland Machine, Lewis Belasco, obiecał, że każe dostarczyć wyciąg jeszcze tego popołudnia, i dotrzymał słowa.

Joe Magruder i Ronnie DuBay umieścili wyciąg łańcuchowy na pneumatycznym podnośniku, który po chwili z cichym westchnieniem sprężonego powietrza opuścił się płynnie w kurz podjazdu.

- Niezły zakup jak na starego Joego Cambera - mruknął Ronnie.

Magruder pokiwał głową.

- Jego żona powiedziała, żeby to wstawić do stodoły. Joe ma tam swój warsztat. Lepiej się dobrze przyłóż, Ronnie. To ciężkie draństwo.

Joe Magruder złapał z jednej strony, Ronnie z drugiej, po czym, posapując i postępując z wysiłku, na wpół wciągnęli, na wpół wnieśli wyciąg do stodoły.

- Postawmy to na chwilę - zakomenderował Ronnie. - Nie widzę, cholera, gdzie idę. Niech nam najpierw oczy przywykną do ciemności, bo jeszcze się na co nadziejemy.

Postawili wyciąg z głuchym tąpnięciem. Raptowne przejście z jasności słonecznego popołudnia w mrok panujący w stodole niemal kompletnie oślepiło Joego. Rozróżniał tylko niewyraźne zarysy jakichś dużych przedmiotów - samochód na kobyłkach, stół warsztatowy, coś jakby belki wznoszące się ku poddaszu.

- Mamy go zwalić... - zaczął Ronnie i urwał nagle.

Z ciemności zalegających za samochodem ustawionym na kobyłkach doszedł niski, gardłowy bulgot. Ronnie poczuł, jak

pot, którym był zlany, oziębia się gwałtownie i jak jeżą mu się włoski na karku.

- O kurde, słyszałeś to? - szepnął Magruder. Ronnie spojrzął na kolegę. Widział go już całkiem wyraźnie. Z wytrzeszczonych oczu Joego wyzierał strach.

- Słyszałem.

Niski bulgot przypominał pomruk potężnego zaburtowego silnika motorówki pracującego na jałowym biegu. Ronnie nie miał wątpliwości, że pies zdolny do wydania takiego odgłosu musi być duży. A kiedy duży pies wydaje taki odgłos, to najczęściej ma w tym jakiś interes. Nie widzieli tabliczki z napisem UWAGA ZŁY PIES, kiedy tu podjeżdżali, ale tym kołkom z wiochy czasem nie chciało się ich ustawiać. W Bogu nadzieja, że zwierzę, z którego gardzieli dobywa się ten bulgot, jest na łańcuchu.

- Byłeś tu już kiedy, Joe?

- Raz. To bernardyn. Wielki, skurczybyk, jak chałupa. Ale wtedy się tak nie zachowywał. - Joe przełknął głośno ślinę. - O Boże. Zobacz tam, Ronnie.

Choć oczy Ronniego przywykły już częściowo do ciemności, wszystko, co teraz widział, miało jakiś widomy, prawie nadprzyrodzony charakter. Wiedział, że nie wolno nigdy okazywać strachu przed psami - bestie potrafią go wyczuć, jakby się z człowieka wydzielał - ale mimo to zaczął bezwiednie dygotać. Nie potrafił się opanować. Ten pies, stojący w głębi stodoły za samochodem na kobyłkach, był potworem. To był na pewno bernardyn: tego gęstego, brązowego futra i szerokich barków nie można było nie rozpoznać nawet po ciemku. Łeb miał spuszczone i wlepił w nich nieruchome, zapadnięte ślepie błyszczące nieprzejednaną wrogością. Nie był na łańcuchu.

- Cofamy się powoli - wymamrotał Joe. - Niech ci nie strzeli do łba, żeby biec.

Zaczęli się wycofywać w kierunku wyjścia. Pies ruszył wolno za nimi. Stąpał na sztywnych łapach; właściwie nie stąpał, ale się skradał. Wyraźnie gotował się do ataku. Łeb trzymał wciąż nisko, bulgot w gardle nie zmieniał tonu. Postępował krok w krok za nimi.

W odczuciu Joego Magruderera najgorszy moment nastąpił wtedy, kiedy przekroczyli próg i wyszli tyłem na zalane słońcem podwórze. Jasność oszołomiła go i oślepiła. Przestał widzieć psa. Gdyby ten rzucił się teraz na niego...

Wyciągając za siebie rękę, namacał burtę ciężarówki, odwrócił się na pięcie i dał nura do kabiny.

Ronnie DuBay poszedł za jego przykładem. W paru skokach dopadł drzwi od strony pasażera i przez ciągnący się w nieskończoność moment szarpał się z klamką. Wczepiał się w nią rozpaczliwie, wciąż słysząc za plecami ten niski bulgot, tak bardzo przypominający pracę osiemdziesięciokonnego silnika Evinrude. Drzwi nie ustępowały. Tylko patrzeć, jak pies odgryzie mu tyłek. W końcu natrafił kciukiem na przycisk blokady i drzwi się otworzyły. Sapiąc jak lokomotywa, wgramolił się do kabiny.

Spojrzał w boczne lusterko i ujrzał w nim psa stojącego nieruchomo w otwartych wrotach stodoły. Zerknął na Joego, który siedział za kierownicą i uśmiechał się głupawo. Ronnie także wykrzywił drżące wargi w nieszczerym uśmiechu.

- Pies jak pies - bąknął.

- Pewnie. Poszczeka, poszczeka, ale nie ugryzie.

- Jasne. To co, wracamy tam? Wypadałoby wtaszczyć ten wyciąg trochę dalej.

- Weź się pieprz.

- Sam się pieprz.

Obaj wybuchnęli nerwowym śmiechem. Ronnie wyciągnął papierosy.

- Może byśmy tak już ruszyli?

- Jestem za - zgodził się Joe i zapuścił silnik.

- Ten pies się chyba zbiesił - mruknął jakby do siebie Ronnie, kiedy byli w połowie drogi do Portland.

Joe prowadził z łokciem wystawionym za okno. Zerknął na Ronniego.

- Miałem cykora i nie będę się tego wypierał. Z małymi psiakami w podobnej sytuacji, kiedy nikogo nie ma w domu, człowiek się nie opieprza. Kopa w jaja i po krzyku, nie? Ale ludzi, którzy nie trzymają na łańcuchu takiego wielkiego psa, to bym wieszał. Założę się, że ten sukinsyn ważył ze dwieście funtów.

- Może by zadzwonić do Joego Cambera? - zasugerował Ronnie. - Opowiedzieć mu, co się stało? Bo jeszcze mu co odgryzie. Jak myślisz?

- Czym to ostatnio Joe Camber tak ci się przypodobał? - spytał z uśmiechem Joe Magruder.

Ronnie pokiwał refleksyjnie głową.

- Fakt, tylko ty mi tak obciążasz druta.

- Mnie ostatnio obciążała twoja stara. Ale też nieźle było.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

Nikt nie powiadomił Cambera. Kiedy Ronnie i Joe wrócili do Portland Machine, zbliżała się pora zamknięcia interesu. Pora opierdalania. Piętnaście minut zeszło im na wypełnianiu karty drogowej. Na zaplecze przyszedł Belasco, żeby zapytać, czy Joe Camber był w domu i osobiście odebrał przesyłkę. Ronnie DuBay zapewnił go, że tak, oczywiście. Belasco, który był palantem pierwszej wody, zmył się. Joe Magruder złożył

Ronniemu życzenia miłego weekendu i udanego pieprzonego Święta Czwartego Lipca. Ronnie powiedział, że zamierza wałnąć się do wyrka i nie wstawać z niego aż do niedzieli wieczór. Podbili karty zegarowe i wyszli.

Obaj przypomnieli sobie o Cujo dopiero wtedy, kiedy przeczytali o nim w gazecie.

Vic spędził większość popołudnia przed przedłużonym weekendem na obgadywaniu z Rogerem szczegółów czekającej ich podróży. Roger przejawiał taką dbałość o detale, że zakrawało to na paranoję. Rezerwację biletów na samolot i miejsc w hotelu załatwił przez agencję. Samolot do Bostonu odlatywał z Portland Jetport w poniedziałek o siódmej dziesięć rano. Vic zaproponował, że o wpół do szóstej podjedzie po Rogera swoim jaguarem. Osobiście uważał, że to o wiele za wcześnie, ale znał Rogera i jego małe dziwactwa. Rozmawiali o podróży, świadomie unikając innych tematów. Pomysły, jakie przyszły mu do głowy podczas przerwy na kawę, Vic zachowywał na razie dla siebie. Serwetka spoczywała bezpiecznie w kieszeni jego sportowej marynarki. Roger stanie się bardziej komunikatywny, kiedy będą już w drodze.

Vic postanowił, że wyjdzie dzisiaj z biura wcześniej, ale przedtem wpadnie jeszcze do siebie i przejrzy popołudniową pocztę. Lisa, jego sekretarka, wybyła już na świąteczny weekend. Cholera, że też nie można znaleźć sekretarki, która dotrwałaby w pracy do wybicia piątej, nie mówiąc już o nadgodzinach. Zdaniem Vica był to jeszcze jeden przejaw upadku Zachodniej Cywilizacji. Prawdopodobnie właśnie teraz Lisa - która miała zaledwie dwadzieścia jeden lat, była piękna i płaska jak deska - wbita w obcisłe dzinsy i ściśnięta mikroskopijnym stanikiem, włącza się w potok pojazdów

sunący autostradą międzystanową na Old Orchard albo Hamptons. Szerokiej drogi, disco-Liso, pomyślał Vic i uśmiechnął się.

Na podkładce na jego biurku leżała jedna nieotwarta koperta. Zobaczył najpierw dopisek DO RĄK WŁASNYCH, widniejący pod adresem, a potem sam adres - nagryzmołony ręcznie drukowanymi literami. Sięgnął zaintrygowany po kopertę.

Przez chwilę obracał ją w palcach z uczuciem nieokreślonego niepokoju, który uznał za oznakę przemęczenia. Gdzieś w zakamarkach podświadomości zrodziła się słabiutka, ledwie uchwytna pokusa przedarcia listu na pół, potem jeszcze raz na pół i jeszcze raz, i wyrzucenia strzępków do kosza na śmieci.

Nie uległ jej jednak, otworzył kopertę i wyciągnął ze środka pojedynczą kartkę.

Znowu drukowane litery.

Prosta treść - sześć krótkich zdań - była jak cios pięścią pod serce. Osunął się na swój fotel, z ust wyrwało mu się ciche, spazmatyczne westchnienie, jakie wydaje człowiek, któremu nagle braknie tchu. Przez jakiś czas miał w głowie tylko biały szum. Nic nie rozumiał - nie mógł pojąć, objąć tego umysłem. Gdyby w tej chwili do gabinetu wszedł Roger, pomyślałby pewnie, że jego kumpel ma atak serca. I w pewnym sensie był to atak serca: Vic miał twarz białą jak papier, usta szeroko otwarte, a pod oczami wystąpiły mu sinawe półksiężycy.

Przeczytał tekst jeszcze raz. Potem jeszcze raz.

Z początku jego wzrok przyciągnęło pierwsze pytanie:

CO CI PRZYPOMINA TO ZNAMIEŃ TUŻ
NAD JEJ WŁOSAMI ŁONOWYMI?

To jakaś pomyłka, pomyślał półprzytomnie. O tym wiem tylko ja... no, jeszcze jej matka. I ojciec. Potem, zdruzgotany,

poczuł pierwsze ukłucia igiełek zazdrości: przecież zasłania to nawet jej bikini... jej skąpe bikini.

Przesunął dłonią po włosach. Odłożył list i jeszcze raz przesunął po włosach obiema dłońmi. Ale to nokautujące, zapierające dech w piersiach uczucie nadal go nie odstępowało. Zupełnie jakby serce nie pompowało krwi, lecz powietrze. Miotaly nim strach, ból i oszołomienie. Jednak z tych trzech doznań dominującym, przyćmiewającym pozostałe, był przerażający strach.

List gapił się na niego prowokująco i krzyczał:

Z ROZKOSZĄ RZNAŁEM JA, AŻ WIÓRY LECIAŁY.

Jego wzrok skupił się teraz na tej linijce i nie chciał się od niej oderwać. Usłyszał za oknem huk samolotu startującego z Jetport, wznoszący się, cichnący w dali, kierujący się ku nieznanym miejscom przeznaczenia, i powtórzy! w myślach: Z ROZKOSZĄ RZNAŁEM JA, AŻ WIÓRY LECIAŁY. Wulgarnie, jakież to wulgarnie. Tak, proszę pana, tak, proszę pani, tak, oczywiście. Jak cięcie tępym nożem. RZNAŁEM JA, AŻ WIÓRY LECIAŁY - ależ to działa na wyobraźnię. Ani krzty finezji. Jak pryśnięcie po oczach z pistoletu na wodę napełnionego kwasem akumulatorowym.

Spróbował zebrać rozbiegane myśli

(Z ROZKOSZĄ)

nie potrafił jednak

(RZNAŁEM JA, AŻ WIÓRY LECIAŁY)

po prostu nie potrafił.

Jego wzrok przesunął się bezwiednie na ostatnią linijkę. Zaczął ją odczytywać raz po raz, starając się wtłoczyć sobie jakoś sens tych słów do mózgu. Obezwładniające uczucie strachu nie odstępowało go ani na chwilę.

A MOŻE TY MASZ JAKIEŚ PYTANIA?

Tak. Nagle miał całe mnóstwo pytań. Z tym tylko, że chyba na żadne z nich nie chciał poznać odpowiedzi.

Przez myśl przemknęło mu jeszcze jedno: co będzie, jeśli Roger nie wyszedł jeszcze do domu? Często przed wyjściem wsuwał głowę do gabinetu Vica, jeśli zobaczył tam światło. Dzisiaj, zważywszy na czekającą ich podróż, mógł to tym bardziej uczynić. Uświadomienie sobie takiej ewentualności sprawiło Vica w panikę i wywołało absurdalne wspomnienie chwil, które jako nastolatek spędzał w łazience na masturbacji, umierając za każdym razem ze strachu, że wszyscy w domu wiedzą, co on tam robi. Roger, wchodząc tu, od razu by się zorientował, że coś jest nie tak. Nie chciał tego. Wstał i podszedł do okna wychodzącego na rozciągający się sześć pięter niżej parking dla pracowników biur mających swą siedzibę w budynku. Miejsce, gdzie stała zawsze jasnożółta honda civic Rogera, było puste. A więc pojechał już do domu.

Vic nastawił ucha. W biurach Ad Worx było cicho jak makiem zasiał. Nie było słychać nawet dozorecy, starego pana Steigmeyera, który o tej porze, pobrzękując kluczami, dokonywał zazwyczaj obchodu piętra. Uświadomił sobie, że wychodząc, będzie musiał się podpisać w książce obecności w holu. Będzie musiał...

Nagle ciszę zmaćił jakiś dźwięk. Vic nie od razu pojął, co to takiego. Dopiero po chwili go rozpoznał. Kwilenie. Żalodne skamlenie zwierzęcia z przetrąconą łapą. Patrzył wciąż przez okno na opuszczające parking samochody. Widział je poprzez warstewkę lez najpierw podwójnie, potem już potrójnie.

Dlaczego tak cholernie się boi?

Zaświtało mu w głowie słowo "absurd". Zdradzony, pomyślał. Zostałem zdradzony.

Kwilenie nie ustawało. Próbował zacisnąć siłą woli krtań, lecz nie pomogło. Opuścił głowę i wczepił się palcami w kratkę konwektora biegnącą pod oknem na wysokości jego pasa. Zaciskał je coraz mocniej, aż poczuł ból, a metal zatrzeszczał protestacyjnie.

Kiedy ostatni raz płakał? Płakał tej nocy, kiedy urodził się Tad, jednak wtedy był to płacz ulgi. Płakał, kiedy po rozległym zawale serca i po trzydniowej zaciętej walce o życie zmarł tata, i tamte łzy, przelane w wieku siedemnastu lat, były podobne do tych teraz - tak samo piękane, nie chciane; przypominały bardziej krwawienie niż płacz. Ale gdy ma się siedemnaście lat, łatwiej jest płakać, łatwiej krwawić. Siedemnastolatek jest przygotowany, że w życiu czeka go zarówno jedno, jak i drugie.

Zdławił szloch. Myślał, że to już koniec, lecz nagle wyrwał mu się z piersi cichy skowyt - chrapliwe, falujące zawodzenie. Przez głowę przemknęło pytanie: czy to ja? Boże, czy to ja tak skowyczę?

Łzy znów popłynęły mu po policzkach. Usłyszał swój kolejny chrapliwy jęk, i jeszcze jeden. Ścisnął z całych sił kratkę konwektora i płakał.

Czterdzieści minut później siedział w Deering Oaks Park. Zatelefonował do domu i powiedział Donnie, że wróci później. Zapytała, dlaczego i czemu ma taki zmieniony głos. Powiedział jej tylko, że będzie w domu przed zmrokiem, żeby nie czekała na niego z kolacją i nakarmiła Tada. Zanim zdążyła jeszcze o cokolwiek zapytać, odłożył słuchawkę.

Teraz siedział w parku.

Łzy niemal do cna wypaliły strach. Pozostał tylko obrzydliwy żużel gniewu. To był następny poziom w tej geologicznej kolumnie wiedzy. Ale określenie "gniew" tu nie pasowało.

Był wściekły. Miotła nim furia. Zupełnie jakby coś go użądliło. Podświadomie zdawał sobie sprawę, że powrót w tym stanie do domu byłby dla niego niebezpieczny... niebezpieczny dla nich trojga.

Tak przyjemnie byłoby pokryć dotychczasowe spustoszenia następnymi; z przyjemnością (tak, spójrzmy prawdzie w oczy) rąbnąłby teraz Donnę w tę jej rozpaplaną twarz.

Siedział nad stawem, po którym pływały dzikie kaczki. Po drugiej stronie grupa nastolatków grała z zapalem we frisbee. Zauważył, że wszyscy grający - cztery dziewczyny i dwóch chłopców - są na wrotkach. Wrotki robiły tego lata furorę. Dostrzegł młodą dziewczynę w wysokiej czapce kucharskiej pchającą wózek z precelkami, orzeszkami ziemnymi i napojami w puszkach. Twarz miała pogodną, świeżą i niewinną. Jeden z chłopców grających we frisbee rzucił do niej dysk; chwyciła go zgrabnie i odrzuciła graczom. W latach sześćdziesiątych, pomyślał Vic, żyłaby pewnie w jakiejś komunie i pracowicie obierała krzaki pomidorów ze szkodników. Teraz jest prawdopodobnie udziałowcem jakiegoś dobrze prosperującego małego biznesu.

Kiedyś przychodzili tu od czasu do czasu z Rogerem zjeść lunch. Było to w pierwszym roku. Potem Roger zauważył, że chociaż staw wygląda malowniczo, zalatuje od niego odorem zgnilizny... a mała chatka na głazie pośrodku stawu nie jest pomalowana na biało, lecz obfajdana przez ptaki. Kilka tygodni później Vic zauważył ścierwo rozkładającego się szczura, pływające przy brzegu stawu pomiędzy zużytymi kondomami i opakowaniami po gumie do żucia. Potem chyba już tu nie przychodzili.

Jasnoczerwone frisbee szybowało po niebie.

Powróciła wizja wyzwalająca w nim gniew. Nie potrafił jej odpędzić. Była wulgarna, jak dobór słów anonimowego korespondenta, ale nie udało mu się od niej uwolnić. Ujrzał ich, jak pieprzą się w sypialni, którą dzielił z Donna. Jak pieprzą się na ich łóżku. To, co widział na ekranie swej wyobraźni, było tak samo dosadne, jak te ostre pornosy wyświetlane w State Theater przy Congress Street. Ona jęczała zroszona potem. Każdy mięsień miała napięty. W jej pociemniałych oczach malował się ten sam wygłodniały wyraz, który pojawiał się tam zawsze, kiedy było jej dobrze. Znał ten wyraz, znał tę pozę, pamiętał te odgłosy. Sądził - do tej pory sądził - że tylko jemu dane było oglądać ją taką i słuchać. Od tej strony nie znali jej nawet matka ani ojciec.

Potem oczami wyobraźni ujrzał penisa tego mężczyzny - jego kutasa - jak się w nią wciska. "W siodło" - to określenie przyplątało się nie wiadomo skąd i jęło kołatać idiotycznie po głowie. Ujrzał ich, jak pieprzą się przy akompaniamencie piosenki Gene'a Autry'ego: Znowu jestem w siodle, tam gdzie przyjaciel jest przyjacielem...

Ciarki przeszły mu po plecach. To skojarzenie doprowadzało go do wściekłości. Do furii.

Frisbee osiągnęło pułap swego toru i zaczęło opadać. Vic śledził wzrokiem jego lot.

Tak, podejrzewał coś. Ale podejrzzenia to nie to samo co pewność; teraz miał wreszcie tę pewność. Mógłby napisać esej o różnicy między podejrzaniem a pewnością. Wszystko to jeszcze bardziej okrutnym czynił fakt, że powoli zaczął uważać swoje podejrzzenia za bezpodstawne. Zresztą nawet gdyby takie nie były, to przecież nie może zranić coś, o czym się nie wie, prawda? Jeśli człowiek przechodzi przez ciemny pokój, pośrodku którego ziele wielka, głęboka dziura, i mija

ją ocale, to nie wie, że omal do niej nie wpadł. Nie ma powodu, by się bać. Przynajmniej dopóki światło pozostaje zgaszone.

Tak, tylko że on nie wpadł do takiej dziury. On został w nią wepchnięty. Jak ma w tej sytuacji postąpić? Zraniona, posiniaczona i wyjąca częśćka jego "ja" nie miała najmniejszego zamiaru udowodniać swej "dorosłości" i przyjmować do wiadomości, że podobne faule zdarzają się w mnóstwie małżeństw z winy jednej albo obu stron. Tu chodzi o moją żonę, pomyślał, to ją ktoś pieprzy

(tam, gdzie przyjaciel jest przyjacielem)

kiedy tylko się odwrócę, kiedy Tada nie ma w domu...

Znowu ruszył kalejdoskop podsuwanych przez wyobraźnię wizji: zmięta pościel, zwarte w uścisku, napięte ciała, ciche jęki. Wulgarnie odżywki tłoczyły się niczym ciżba gapiów na miejscu wypadku: piczka, cipka kosmata, wykręcić z nią numerek, spuścić się, pieprzę-ci-ja-pieniądze-pieprzę-ja-za-szczyty-ale-jak-ciebie-pieprzę-to-już-istne-szczyty, mój grześ w twoim błotku, na boku i z doskoku, na raka, na stojaka, na podłodze, na stole, ależ ja cię pierdolę...

Moją żonę! - pomyślał udręczony, zaciskając dłonie w pięści.

Moją żonę!

Jednak nawet ta jego gniewna, zraniona częśćka przyznawała - choć niechętnie - że nie może wrócić do domu i tak po prostu stłuc Donny. Mógłby jednak zabrać Tada i odejść. Pal licha wyjaśnienia. Niech spróbuje go zatrzymać, jeśli ma tyle tupetu. Nie sądził, by jej go starczyło. Zabrać Tada, zamieszkać w motelu, wynająć adwokata. Przeciąć gładko tę nić i nie oglądać się za siebie.

Ale czy Tad się nie przestraszy, jeśli porwie go ni stąd, ni zowąd i zabierze do motelu? Czy nie będzie pytał, co się

stało? Ma tylko cztery latka, jednak to wystarczy, by się zorientował, że dzieje się coś bardzo, bardzo złego. No i do tego ta podróż - Boston, Nowy Jork, Cleveland. Vic miał ją teraz gdzieś, było mu już wszystko jedno; jeśli o niego chodziło, stary Sharp i jego smarkacz mogli sobie skoczyć na księżyc. Ale to nie tylko jego sprawa. Ma współnika. Wspólnik ma żonę i dwoje dzieci. Nawet teraz, cierpiąc tak bardzo, Vic zdawał sobie sprawę, że do jego obowiązków należy przynajmniej bierne uczestnictwo w staraniach o utrzymanie tego kontraktu - a tym samym ratowanie Ad Wora.

Nie dawało mu też spokoju następne pytanie: właściwie dlaczego chce zabrać Tada i odejść, nie wysłuchawszy nawet, co Donna ma na ten temat do powiedzenia? Z obawy, że jej puszczanie się na prawo i lewo zdemoralizuje - Tada? Raczej nie. Chciał tak postąpić, bo nie ulegało dla niego wątpliwości, że poprzez Tada zrani ją najpewniej i najgłębiej - tak głęboko, jak ona raniła teraz jego. Ale czy naprawdę pragnie posłużyć się swoim synkiem w ten sposób? Chyba nie.

I kolejne pytanie.

Ten list. Zastanów się przez chwilę nad tym listem. Nie nad jego treścią, nie nad tymi sześcioma linijkami żrącego plugastwa; zastanów się nad samym faktem zaistnienia tego listu. Dlaczego kochanek Donny go wysłał?

Czyżby został odrzucony?

Próbował wytłumaczyć to sobie jakoś inaczej i nic nie przychodziło mu do głowy. Czy to Z ROZKOSZĄ RZNAŁEM JA, AŻ WIÓRY LECIAŁY nie jest czasem klasycznym przykładem reakcji psa ogrodnika? Jeśli nie możesz czegoś mieć, naszczyj na to, żeby ktoś inny również nie chciał tego tknąć. Pozbawione logiki, ale jakże

satysfakcjonujące. Do tego wyjaśnienia pasowała również nowa, lżejsza atmosfera w domu, to niemal namacalne odprężenie promieniujące z Donny. Odtrąciła tamtego mężczyznę, a on odegrał się na niej, wysyłając anonimowy list do męża.

I ostatnie pytanie: Czy to cokolwiek zmienia?

Ponownie wyjął list z kieszeni marynarki i obracał go w dłoniach, nie rozkładając. Obserwował czerwone frisbee szybujące po niebie i zachodził w głowę, co, u licha, ma teraz zrobić.

- Co to jest, do cholery? - spytał Joe Camber.

Stał w progu i patrzył na żonę. Charity nakrywała mu do stołu. Ona i Brett już zjedli. Joe wrócił z ciężarówką pełną rozmaitych rupieci, chciał wprowadzić wóz do garażu i zobaczył, co tam na niego czeka.

- To wyciąg łańcuchowy - odparła. Bretta wysłała do kolegi, Dave'a Bergerona. Nie chciała, żeby kręcił się w pobliżu, jeśli sprawy przybiorą zły obrót. - Brett mówił, że chciałeś taki. Wyciąg łańcuchowy Jorgena, powiedział.

Joe wszedł do kuchni. Był chudym, kościstym mężczyzną o wydatnym wąskim nosie. Poruszał się cicho i zwinnie, zielony filcowy kapelusz zsunięty na tył głowy odsłaniał cofającą się linię włosów. Czoło miał umazane smarem, zalatywało od niego piwem. Mierzył ją twardym spojrzeniem małych niebieskich oczu. Należał do ludzi, którzy nie lubią niespodzianek.

- Gadaj, o co chodzi, Charity - warknął.

- Siadaj. Kolacja ci ostygnie.

Jego ręka wyprysnęła niczym tłok. Silne palce zacisnęły się na jej ramieniu.

- Co ty, cholera, kombinujesz? Gadaj, powiedziałem.

- Nie mów tak do mnie, Joe Camberze. - Bolało bardzo, ale zaparła się, że nie da mu tej satysfakcji i nie dopuści, by wyczytał to z jej twarzy lub oczu. Pod wieloma względami był jak zwierzę i chociaż podniecało ją to w młodości, dawno już przestało. W ciągu tych lat małżeńskiego współżycia zauważyła, że jeśli pozuje na odważną, czasami udaje jej się zyskać przewagę. Nie zawsze, ale czasami.

- Gadaj, Charity, co ty, cholera, kombinujesz?!

- Siadaj i jedz, to ci powiem - odparła cicho.

Usiadł, a ona postawiła przed nim talerz. Na talerzu leżał stek z polędwicy.

- Od kiedy to stać nas, żeby jeść jak Rockefellerowie? - spytał. - Coś mi się widzi, że się będziesz zaraz gęsto tłumaczyć.

Postawiła przed nim kawę i dołożyła przekrojonego pieczonego ziemniaka.

- Nie przyda ci się ten wyciąg?

- Nie powiedziałem, że mi się nie przyda. Ale za cholerę mnie na niego nie stać. - Zaczął jeść, nie spuszczać z niej ani na chwilę wzroku. Wiedziała, że teraz jej nie uderzy. Musiała wykorzystać swoją szansę, póki jest jeszcze stosunkowo trzeźwy. Jeśli w ogóle jej przyłoży, to później, kiedy opity wódką i rozsadzany urażoną męską dumą wróci od Gary'ego Perviera.

- Wygrałam na loterii - oznajmiła, siadając naprzeciw męża. Szczęki mu znieruchomiały, lecz po chwili znów podjęły swą pracę. Wsunął sobie do ust widelec z nadzianym kawałkiem steku.

- No jasne - wymamrotał. - A jutro stary Cujo zesra się złotymi guzikami. - Wskazał widelcem na psa, który snuł się apatycznie tam i z powrotem po werandzie. Brett nie chciał

go zabrać do Bergeronów, bo ci trzymali w klatce króliki, które doprowadzały Cujo do szału.

Charity sięgnęła do kieszonki fartucha, wyjęła stamtąd kopię wypełnionego przez agenta formularza zgłoszenia wygranej i podała ją przez stół mężowi.

Camber rozprostował dokument krótkopalczystą dłonią i przebiegł go wzrokiem od góry do dołu. Jego oczy zatrzymały się na liczbie.

- Pięć... - zaczął i usta zamknęły mu się z mlaśnięciem. Charity obserwowała go w milczeniu. Nie uśmiechnął się. Nie obszedł stołu i nie pocałował jej. Dla człowieka o jego mentalności, pomyślała gorzko, uśmiech losu to tylko powód do upatrywania jakiegoś podstępu.

W końcu podniósł na nią wzrok.

- Wygrałaś pięć tysięcy dolarów?

- Tak. Minus podatek.

- Dawno grasz na loterii?

- Co tydzień kupuję los za pięćdziesiąt centów... i nie waż mi się tego wypominać, Joe Camberze, bo ci wyliczę, ile przepuszczasz na swoje piwsko.

- Nie rozpuszczaj gęby, Charity - warknął. Wlepił w nią nieruchome spojrzenie jasnoniebieskich oczu. - Nie rozpuszczaj gęby, bo ci zaraz może spuchnąć. - Zabrał się znowu do steku, a ona odprężyła się trochę pod nieruchomą maską, w jaką zastygła jej twarz. Po raz pierwszy odważyła się postawić twardo temu tygrysowi i nie oberwała za to. Przynajmniej nie od razu. - Kiedy dostaniemy tę forszę?

- Czekaj przyjdzie najdalej za dwa tygodnie. Wyciąg kupiłam za pieniądze z naszego rachunku oszczędnościowego. Ten formularz zgłoszenia jest tak samo pewny, jak złoto. Tak powiedział agent.

- Ty kupiłaś ten wyciąg?

- Spytałam najpierw Bretta, co według niego najbardziej chciałbyś mieć. To prezent.

- Dzięki. - Jadł dalej.

- Ja zrobiłam ci prezent - podjęła. - Teraz twoja kolej, zgoda, Joe?

Nie przerywał jedzenia i nie spuszczał z niej wzroku. Nic nie odpowiedział. Oczy miał zupełnie bez wyrazu. Jadł w kapeluszu zsuniętym wciąż na tył głowy.

- Chciałabym wyjechać na tydzień. - Mówiła bez pośpiechu, obojętnym tonem, świadoma, że okazywanie zbytniego zaangażowania byłoby błędem. - Z Brettem. Do Connecticut, odwiedzić Holly i Jima.

- Nie - burknął i jadł dalej.

- Moglibyśmy pojechać autobusem. Zatrzymalibyśmy się u nich. Nie wyszłoby drogo. Zostałoby jeszcze dużo pieniędzy. Tych z wygranej. Podróż nie wyniosłaby nawet jednej trzeciej tego, co wyciąg. Zadzwoiłam już na dworzec autobusowy i spytałam, ile kosztuje bilet w obie strony.

- Nie. Potrzebuję tu Bretta do pomocy.

Zacisnęła w zimnej, rozpierającej furii splecione pod stołem dłonie, ale jej twarz pozostała opanowana i gładka.

- W czasie roku szkolnego jakoś się bez niego obywasz.

- Powiedziałem nie, Charity - burknął i z gorzką pewnością zauważyła, że sprawia mu to przyjemność. Zorientował się, jak bardzo jej zależy i jak starannie to zaplanowała. Rozkoszował się jej bólem.

Wstała i podeszła do zlewu; nie miała tam nic do roboty, ale potrzebowała trochę czasu na dojście do siebie. Z wysoka mrugała do niej odległa wieczorna gwiazda. Puściła wodę.

Porcelana dawno zdążyła już zżółknąć. Ich woda, podobnie jak Joe, była twarda.

Chyba trochę zawiedziony tym, że tak szybko ustąpiła, Camber podjął:

- Chłopak musi się nauczyć jakiejś odpowiedzialności. Nic mu się nie stanie, jeśli pomoże mi tego lata, zamiast przesiadywać od rana do wieczora u Bergerona.

Zakręciła wodę.

- Ja go tam posłałam.

- Ty? Po co?

- Bo spodziewałam się, że tak to się może potoczyć - powiedziała, odwracając się do niego. - Ale zapewniłam go, że kiedy zobaczysz ten wyciąg i dowiesz się o pieniądzach, to się zgodzisz.

- Gdybyś była mądrzejsza, nie mąciłabyś chłopakowi we łbie - odparł Joe. - Na drugi raz lepiej się zastanów, zanim coś chlapiesz. - Uśmiechnął się do niej z pełnymi ustami i sięgnął po chleb.

- Gdybyś chciał, mógłbyś pojechać z nami.

- No jasne. Powiem tylko Richiemu Simmsowi, żeby w tym roku położył lachę na pierwszy pokos. A tak w ogóle, to po co ty chcesz do nich jechać? Z tego, co sam widziałem i co o nich opowiadałaś, wychodzi, że to para mimoz. Lubisz ich tak bardzo chyba dlatego, że sama chciałabyś być do nich podobna. - Podnosił stopniowo głos, jedzenie zaczynało mu wypadać z ust. Kiedy stał się taki, kładła uszy po sobie i ustępowała. Ale dzisiaj tego nie robi. - A już najbardziej to chciałabyś chłopaka wychować na taką mimozę. Zdaje się, że chętnie byś go nastawiła przeciwko mnie. Może nie?

- Dlaczego nigdy nie nazywasz go po imieniu?

- Zamknij wreszcie jadaczkę, Charity - wycedził, gromiąc ją wzrokiem. Rumieniec wypelzł mu na policzki i rozlał się po czole. - Przestań mnie wkurzać.

- Nie - oznajmiła. - To jeszcze nie koniec. Zdumiony, upuścił widelec.

- Co? Coś ty powiedziała?

Podeszła do niego, po raz pierwszy w ich małżeństwie pozwalając sobie na luksus gniewu. Ale ten gniew się nie uzewnętrzniał, płonął i kotłował się w środku. Nie odważyła się krzyknąć. Krzyk z pewnością położyłby kres wszelkiej dyskusji. Nie podniosła głosu.

- Wiem, że myślisz tak o mojej siostrze i jej mężu. Ale spójrz na siebie. Siedzisz i żresz brudnymi łapami, nie zdjawszy nawet kapelusza. Nie chcesz tam puścić Bretta, żeby nie zobaczył, jak żyją inni. A ja nie chcę, żeby zobaczył, jak się zachowujecie, ty i twoi koleżkowie, kiedy zostawić was samym sobie. To dlatego nie puściłam go z tobą na polowanie w listopadzie.

Urwała, a on siedział nieruchomo z nadgryzioną kromką chleba w ręce i z brodą błyszczącą od tłuszczu ze steku. Pomyślała, że od rzucenia się na nią powstrzymuje go tylko kompletne zaskoczenie.

- Zawrę z tobą układ - podjęła. - Kupiłam ci ten wyciąg i chcę ci oddać resztę pieniędzy... ale jeśli dalej zamierzasz być niewdzięcznikiem, to zaproponuję ci coś jeszcze. Ty puścisz go ze mną do Connecticut, a ja pozwolę mu jechać z tobą do Moosehead, kiedy zacznie się sezon polowań na jelenie. - Czowała, jak przenika ją chłód i całe ciało pokrywa się gęsią skórką, zupełnie jakby przed chwilą zaproponowała zawarcie paktu samemu diabłu.

- Powiniennem obić cię pasem - mruknął oszołomiony. Zwracał się do niej jak do dziecka, które nie dostrzega jakiegoś bardzo prostego związku przyczyny ze skutkiem. - Zabiorę go na polowanie, jak mi się zachce i kiedy mi się zachce. Nie rozumiesz tego? To mój syn, na miłość boską. Jak mi się zachce i kiedy mi się zachce. - Uśmiechnął się zadowolony, że tak to zgrabnie zabrzmiało. - No... dotarło?

Wytrzymała jego wzrok bez drgnięcia powieki.

- Nie - powiedziała twardo. - Nigdzie go nie zabierzesz. Zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło.

- Nie dopuszczę do tego - ciągnęła nieustraszenie. Instynkt kazał jej się cofnąć, ale to byłby koniec. Jeden fałszywy ruch, najmniejsza oznaka rezygnacji, i rzuci się na nią.

Odpinał już pas.

- Chyba ci jednak wygarbuję skórę, Charity - mruknął z ubolewaniem.

- Zrobię wszystko, żeby do tego nie dopuścić - powtórzyła, ignorując jego groźbę. - Pójdę do szkoły i powiem, że jest na wagarach. Pójdę do szeryfa Bannermana i zgłoszę, że go porwano. Ale przede wszystkim... przede wszystkim postaram się tak nastawić Bretta, żeby sam nie chciał z tobą jechać.

Wywłókł pas ze szlufek spodni i ujął go za koniec. Sprzączka na drugim końcu kołysała się tam i z powrotem tuż nad podłogą.

- Dopóki nie skończy piętnastu lat, będziesz mógł go zabierać z tą zgrają opojów tylko wtedy, kiedy ja na to pozwolę - powiedziała hardo. - No, uderz mnie tym pasem, jeśli chcesz, Joe Camberze. To i tak niczego nie zmieni.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Nagle wydało jej się, że Joe odpłynął gdzieś myślami. Oczy mu się zamglily, zrobiły jakieś nieobecne. Widywała go już takim. Coś mu przyszło do głowy, znalazł jakiś nowy element, który trzeba pracowicie wpasować w równanie. Modliła się, żeby - cokolwiek to było - wypadło po jej stronie znaku równości. Nigdy jeszcze tak mu się nie postawiła i teraz przestraszyła się swojej śmiałości.

Ni stąd, ni zowąd Camber uśmiechnął się.

- Patrzcie ją, jaka krewka.

Milczała. Zaczął wsuwać pas z powrotem w szlufki spodni.

Wciąż się uśmiechał, wzrok miał nadal nieobecny.

- To może i wygodzić potrafisz jak te krewkie Meksykaneczki?

Nadal się nie odzywała, gotowa na wszystko.

- A gdybym pozwolił wam jechać; to co? Może byśmy tak wykręcili numerek?

- Co to znaczy?

- To znaczy, że dobrze - odparł. - Możecie jechać. Ruszył przez kuchnię szybkim, zwinnym krokiem, a ją przeszedł dreszcz na myśl, jak szybko i mocno mógłby ją okładać pasem. I kto by go powstrzymał? Co mężczyzna robi ze swoją żoną albo swojej żonie - to ich prywatna sprawa. Nic by nie mogła poradzić, nic powiedzieć. Ze względu na Brett. Ze względu na własną godność.

Jego dłoń spoczęła na jej ramieniu. Zsunęła się na pierś.

Zacisnęła. - Chodź - mruknął. - Podjarałem się.

- Brett...

- Przed dziewiątą nie wróci. No, chodź. Jak ja mówię, że można, to można. Wypada chyba podziękować, co?

Zanim zdążyła ugryźć się w język, wyrwało jej się:

- Zdejmij kapelusz.

Rzucił go niedbale przez kuchnię, nie patrząc nawet, gdzie spadnie. Uśmiechał się. Zęby miał zupełnie żółte. Dwa przednie w górnej szczęce były sztuczne.

- Gdybyśmy mieli już tę forszę, moglibyśmy się pieprzyć na wyrku zasypanym zielonymi - wymruczał. - Widziałem raz coś takiego w kinie.

Zaprowadził ją na górę. Bała się, że da upust swojemu okrucieństwu, ale nic takiego się nie stało. Brał ją jak zwykle, pośpiesznie i brutalnie, ale okrutny nie był. Nie zadawał jej z rozmysłem bólu, i tego wieczoru, chyba po raz dziesiąty czy jedenasty, od kiedy byli małżeństwem, przeżyła orgazm. Oddawała mu się z zamkniętymi oczami, czując, jak jego broda wbija się jej w wierzch głowy. Zdusiła w sobie krzyk, który cisnął się jej na usta. Gdyby krzyknęła, stałby się nieufny. Nie była pewna, czy wiedział, że to, co zawsze jest udziałem mężczyzn, przytrafia się też czasami kobietom.

Niedługo potem (i wciąż jeszcze na godzinę przed powrotem Bretta od Bergeronów) zostawił ją, nie mówiąc, dokąd się wybiera. Pewnie na dół, do Gary'ego Perviera, gdzie zacznie się libacja. Leżała na łóżku i zadawała sobie pytanie, czy to, co uzyskała, było warte tego, co zrobiła i co mu obiecała. Łzy zapiekły ją pod powiekami, ale je powstrzymała. Leżała na łóżku zesztywniała, z rozszerzonymi oczami. Tuż przed wejściem Bretta, którego powrót obwieściło najpierw szczekanie Cujo, a potem trzaśnięcie drzwi od podwórka, w całej swej obojętnej glorii wszedł księżyc. Księżyc ma wszystko w nosie, pomyślała Charity, ale ta myśl nie przyniosła jej żadnego ukojenia.

- O co chodzi? - spytała Donna niepewnym głosem.

Siedzieli oboje w living-roomie. Vic wrócił do domu, kiedy Tad szedł już spać i od tamtej pory upłynęło dobre pół

godziny. Mały spał teraz w swoim pokoju na piętrze, drzwi znajdującej się tam ściennej szafy były szczelnie zamknięte, a Słowa na Potwora wisiały przy łóżku przypięte do ściany pinezką.

Vic wstał i podszedł do okna, za którym rozpościerała się ciemność. Ona wie, pomyślał posępnie. Może nie ma jeszcze stuprocentowej pewności, ale zaczyna się domyślać. Przez całą drogę do domu usiłował zdecydować, czy wygarnąć jej to w oczy, przeciąć wrzód, wylać całą żółć i spróbować jakoś z tym żyć, czy może udawać, że nic się nie stało. Po wyjściu z parku Deering Oaks podarł list i jadąc do domu Drogą Nr 302 wyrzucił strzępki przez okno. Trenton-śmiecuch, pomyślał. Teraz nie miał już wyboru. Widział blade odbicie Donny w ciemnej szybie, biały owal twarzy w żółtym blasku lampy.

Odwrócił się do niej, czując całkowitą pustkę w głowie.

On wie, pomyślała Donna. Nie po raz pierwszy zresztą w ciągu ostatnich trzech godzin, które były trzema najdłuższymi godzinami w jej życiu. Wyczuła to z jego głosu, kiedy zadzwonił, żeby uprzedzić, że będzie w domu później. Z początku zareagowała paniką - trzepotliwą paniką ptaka uwięzionego w garażu. Obezwładniona strachem podała Tadowi kolację. Usiłowała przewidzieć, co może się stać, ale nie była w stanie rozumować logicznie. Teraz zmyję naczynia, pomyślała. Potem je wytrę. Potem odstawię do szafki. Potem poczytam trochę Tadowi. Potem po prostu pozęgluję poza krawędź świata.

Panikę wkrótce wyparło poczucie winy. Poczucie winy ustąpiło miejsca przerażeniu, a po jakimś czasie przerażenie przemieniło się w fatalistyczną apatię. Przez tę apatię przebijała jednak pewna ulga. Wydało się. Ciekawe, czy maczał w tym palce Steve, czy Vic sam się domyślił?

Przypuszczała, że to raczej Steve, ale jakie to miało teraz znaczenie? Dobrze, że Tad jest już w łóżku i śpi sobie smacznie. Ale jaki będzie poranek? Ta myśl cofnęła ją z powrotem do panicznego strachu. Zrobiło jej się niedobrze, poczuła się zgubiona.

Vic odwrócił się do niej spod okna.

- Dostałem dzisiaj list - powiedział. - Niepodpisany list.

Głos mu się załamał. Przeszedł znowu nerwowo przez pokój, a ona pomyślała ni z tego, ni z owego, jaki z niego przystojny mężczyzna i że szkoda, że tak wcześnie zaczął siwieć. Niektórym młodym mężczyznom było z tym do twarzy, lecz Vic będzie wyglądał na przedwcześnie postarzałego i...

Ale czemu myśli teraz o jego włosach? Przecież ma poważniejsze zmartwienia niż jego włosy.

Bardzo cicho, słysząc drżenie swego głosu, wyrzuciła wszystko z siebie niczym jakieś ohydne lekarstwo - zbyt gorzkie, by można je było przełknąć.

- Steve Kemp. Człowiek, który odnawiał biurko do twojego gabinetu. Pięć razy. Nigdy w naszym łóżku, Vic. Nigdy.

Vic wyciągnął rękę po paczkę winstonów leżącą na stoliczku przy sofie, lecz strącił ją na podłogę. Podniósł papierosa, wyjął jednego i zapalił. Ręce dygotały mu jak w febrze. Nie patrzyli na siebie. To niedobrze, pomyślała Donna. Powinniśmy na siebie patrzeć.

- Dlaczego? - zapytał.

- Czy to ważne?

- Dla mnie ważne. Nawet bardzo ważne. Chyba że chcesz odejść. Jeśli tak, to rzeczywiście mniejsza z tym. Jestem wściekły jak diabli, Donno. Próbuję... próbuję nad tym panować, bo choćbyśmy mieli już nigdy więcej szczerze nie rozmawiać, to teraz musimy się na to zdobyć. Chcesz odejść?

- Spójrz na mnie, Vic.

Uczył to z wielkim wysiłkiem. Może i był aż tak wściekły, jak twierdził, ale ona widziała w jego twarzy tylko cierpienie i lęk. Nagle, z siłą ciosu boksterską rękawicą lądującego na wargach, uświadomiła sobie, jak mało brakuje, by cały świat usunął mu się spod nóg. Agencja ledwie zipała i jakby tego było mało, teraz, niczym obrzydliwy deser po wstrętnym głównym daniu, zwała mu się jeszcze na głowę małżeński kryzys. Doznała nagłego przyływu ciepłego współczucia dla tego mężczyzny, którego czasami nienawidziła, a czasami, przynajmniej przez ostatnie trzy godziny, bała się śmiertelnie. Spłynęło na nią coś w rodzaju objawienia. Miała nadzieję, że zawsze będzie myślał, że uczucie, jakie nim miota, to wściekłość, a nie... nie to, co zdradzała jego twarz.

- Nie chcę odejść - powiedziała. - Kocham cię. Wydaje mi się, że w ciągu tych ostatnich kilku tygodni odkryłam to na nowo. Przez chwilę miała wrażenie, że mu ulżyło. Podeszedł znowu do okna, potem wrócił do kanapy. Usiadł ciężko i spojrzał na nią.

- No więc dlaczego?

Poczucie objawienia rozplynęło się w jakimś nieokreślonym, frustrującym gniewie. "Dlaczego". Typowo męskie pytanie. Muszę wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś. Jakby była samochodem, w którym zacina się zawór iglicowy i silnik zaczyna prychać i kasłać, albo robotem, któremu coś się poprzestawiało na taśmach z programem i zaczął serwować klopsy na śniadanie, a jajecznicę na obiad. Może kobiet wcale nie doprowadzają do szału sprawy związane z seksem, przyszło jej nagle do głowy - może to ta irytująca męska dążność do racjonalizacji wszystkiego?

- Nie wiem, czy potrafię ci to wytłumaczyć. Obawiam się, że zabrzmiałoby głupio, nieprzekonująco i trywialnie.

- Spróbuj. Czy dlatego, że... - Odchrząknął i miała wrażenie, że spluwa w dłonie, a potem wszystko dokumentnie popsuł (znowu ta przeklęta dążność do racjonalizacji). - Czy to dlatego, że cię nie zaspokajam? Dlatego?

- Nie - burknęła.

- To dlaczego? - spytał bezradnie. - Na litość boską, dlaczego?

W porządku... sam się o to prosisz, pomyślała.

- Ze strachu - wyrzuciła z siebie. - Chyba przede wszystkim ze strachu.

- Ze strachu?

- Kiedy Tad wychodził do przedszkola, zaczynałam się bać. Tad był jak... jak to się mówi...? jak biały szum. Jak to, co się wydobywa z głośnika telewizora, który nie jest dobrze dostrojony do odbieranej stacji.

- Przecież on nie chodził do całodziennego przedszkola - zauważył natychmiast Vic i wyczuła, że gotów jest wybuchnąć gniewem, zarzucić jej, że próbuje zważyć całą winę na Tada. Kiedy się zdenerwuje, mogą paść słowa, które nie powinny zostać wypowiedziane, przynajmniej jeszcze nie teraz. Rzucają między sobą czymś, co jest bardzo kruche. Łatwo to upuścić.

- I właśnie chyba w tym rzecz - powiedziała szybko. - Nie chodził do całodziennego przedszkola. Przez większość dnia miałam go przy sobie. Kiedy szedł do ogródka zabaw... zostawałam sama... - Spojrzała na Vica. - Cisza wydawała mi się wtedy bardzo głośna. Zaczęłam się bać. W przyszłym roku pójdzie do przedszkola. Codziennie pół dnia zamiast po pół dnia przez trzy dni w tygodniu. Za dwa lata będzie poza

domem cały dzień przez pięć dni w tygodniu. Pozostaną godziny, które trzeba będzie czymś wypełnić...

- A więc wpadłaś na pomysł, żeby wypełnić ten czas, pieprząc się z kimś? - spytał gorzko.

Jego słowa dotknęły ją, ale nie podnosząc głosu, ciągnęła ponuro swe wyjaśnienia, najlepiej jak umiała:

- Nie chciałam działać w Komitecie Bibliotecznym czy Komitecie Szpitalnym. Nie chciałam prowadzić kiermaszów domowych wypieków ani pilnować, żeby nie wszyscy przyrządzali tę samą potrawkę z Hamburger Helper na sobotnią kolację. Nie chciałam oglądać wciąż tych samych przygnębionych twarzy ani wysłuchiwać na okrągło tych samych plotek o tym, co kto robi w miasteczku. Nie chciałam używać sobie na reputacji kogokolwiek.

Słowa tryskały z niej teraz wartkim strumieniem. Nawet gdyby chciała, nie byłaby w stanie ich powstrzymać.

- Nie chciałam sprzedawać w Tupperware i nie chciałam być domokrążcą w sieci Amwaya, i nie chciałam organizować przyjęć dobroczynnych. I nie mam ochoty zapisywać się do Strażników Wagi. Ty...

Zawiesiła na ułamek sekundy głos, chwytając się myśli, która jej właśnie przyszła do głowy.

- Ty nic nie wiesz o pustce, Vic. Niech ci się nawet nie wydaje, że wiesz. Jesteś mężczyzną, a mężczyźni walczą o byt. Mężczyźni walczą o byt, kobiety walczą z kurzem. Odkurzasz puste pokoje i słyszysz czasami, jak za oknem gwiżdże wiatr. Tylko że czasami wydaje ci się, że ten wiatr wieje w tobie, rozumiesz? Puszczasz więc płytę Boba Segera albo J.J. Cale'a czy kogo tam i dalej słyszysz ten wiatr, i przychodzą ci do głowy różne myśli, pomysły, nic mądrego, ale przychodzą. No więc czyścisz toalety i zlew, a pewnego

dnia zachodzisz do jednego z tych sklepików z antykami, szukając porcelanowych figurek, bo przypomniało ci się, że matka miała całą półkę takich figurek i że ciotki też je miały, i miała je babcia.

Przyglądał się jej uważnie. Minę miał tak szczerze zakłopotaną, że poczuła, jak zalewa ją fala rozpacz.

- Ja mówię o odczuciach, nie o faktach! - krzyknęła.

- Tak, ale dlaczego...

- Właśnie ci mówię dlaczego! Usiłuję ci powiedzieć, że doszło do tego, że spędzałam przed lustrem mnóstwo czasu, by widzieć na bieżąco, jak zmienia się moja twarz. Zdałam sobie sprawę, że nikt nie weźmie mnie już za nastolatkę ani nie każe pokazać prawa jazdy, kiedy zamówię w barze drinka. Zaczęłam się bać, bo mimo wszystko się starzałam. Tad pójdzie wkrótce do przedszkola, a to znaczy, że potem pójdzie do podstawówki, potem do szkoły średniej...

- Chcesz przez to powiedzieć, że wzięłaś sobie kochanka, bo poczułaś się staro? - Patrzył na nią zaskoczony i chętnie by go uściskała za to, co powiedział, bo chyba po części tak właśnie było; Steve Kemp uznał ją za atrakcyjną i oczywiście ujął ją tym. Przede wszystkim dlatego podjęła ten flirt. Ale nie był to bynajmniej najważniejszy powód.

Wzięła Vica za ręce i spojrzała mu prosto w oczy. Przemknęło jej przez myśl, że chyba - że na pewno - nie będzie już tak szczerą wobec żadnego mężczyzny.

- To było coś więcej. To była świadomość, że nie można już czekać dłużej ani na dorosłość, ani na pogodzenie się z tym, co się ma. To była świadomość, że z dnia na dzień kurczą się możliwości wyboru. Dla kobiety zdanie sobie z tego sprawy jest ciosem. Jestem twoją żoną, zgoda. Ale ty chodzisz do pracy i nawet kiedy jesteś w domu, myślami dalej tam tkwisz.

Jestem też matką. Ale z roku na rok coraz mniej nią jestem, bo z każdym rokiem świat zabiera mi kolejną matą częśćką Tada...

Mężczyźni... oni wiedzą, że żyją. Mają poczucie własnej wartości. Nigdy nie udaje im się osiągnąć ostatecznego celu i to ich załamuje, i może dlatego tylu mężczyzn umiera przedwcześnie, nie zaznawszy szczęścia, ale wiedzą, co to znaczy być dorosłym. Nie przejmują się specjalnie, kończąc trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Nie słyszą tego wiatru, a jeśli go nawet słyszą, chwytają kopię i pochylają ją przeciw niemu, wyobrażając sobie, że to wiatrak albo jakaś inna pieprzona przeszkoda, którą trzeba pokonać.

A wiesz, jak reagują kobiety? Jak ja reaguję? Ucieczką. Od samego początku bałam się dźwięków rozlegających się w tym domu, kiedy nie było Tada. Raz... wiesz, to zupełnie wariactwo... zmieniałam w jego pokoju pościel i wspominałam swoje przyjaciółki ze szkoły średniej. Zastanawiałam się, co się z nimi dzieje, gdzie teraz są. Myślnami byłam zupełnie gdzie indziej. I nagle drzwi szafy Tada otworzyły się, a ja... krzyknęłam i wybiegłam z pokoju. Nie wiem dlaczego... domyślałam się tylko. Przez sekundę miałam wrażenie, że z szafy Tada wyjdzie zaraz Joan Brady bez głowy, w poplamionym krwią ubraniu i powie: "Zginęłam w wypadku samochodowym, kiedy miałam dziewiętnaście lat i wracałam z pizzerii Sammy'ego, i mam to gdzieś".

- Jezu, Donna - wykrztusił Vic.

- Przestraszyłam się, i tyle. Tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy coś mnie podkusiło, żeby obejrzeć porcelanowe figurki, i kiedy przyszło mi do głowy, żeby zapisać się na kurs garncarstwa albo jogi, albo czegoś w tym rodzaju. A jedynym miejscem, do którego można uciec od przyszłości,

jest przeszłość. No i tak... i tak zaczęłam flirtować ze Steve'em. Bo to właśnie oznaczało powrót do przeszłości.

Spuściła wzrok i ukryła twarz w dłoniach. Jej słowa dochodziły teraz stłumione, ale wciąż zrozumiałe:

- Czułam się tak, jakbym znowu chodziła do szkoły. To było jak sen. Głupi sen. On był dla mnie jak biały szum. Zagłuszał ten poświst wiatru. Było fajnie. Przynajmniej na początku, na etapie flirtu. Seks... z tym było już gorzej. Miałam orgazmy, ale nie sprawiały mi przyjemności. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego. Może dlatego, że przez cały ten czas wciąż kochałam ciebie i zdawałam sobie sprawę, że uciekam... - Spojrzała znowu na Vica. Płakała. - On też ucieka. Zrobił sobie z tego sposób na życie. Jest poetą... przynajmniej tak siebie nazywa. Czemu on mi o sobie nie naopowiadał! Prowadzi wędrowny tryb życia, wydaje mu się, że wciąż jeszcze chodzi do szkoły i protestuje przeciwko wojnie w Wietnamie. To chyba dlatego mój wybór padł na niego. Wydaje mi się, że wiesz już wszystko. Wstrętna historyjka, ale prawdziwa.

- Najchętniej obiłbym mu gębę - mruknął Vic. - Poczulbym się chyba lepiej, gdybym mógł mu rozkwasić nos.

Uśmiechnęła się blado.

- Wyjechał. Po kolacji, przed twoim powrotem, wybraliśmy się z Tadem po mleko. W oknie jego warsztatu wisi tabliczka: DO WYNAJĘCIA. Mówiłam ci, że to koczownik. Koczownik i poeta.

- W jego liście nie było ani trochę poezji - stwierdził ponuro Vic. Spojrzał na nią przelotnie i znowu spuścił wzrok. Chciała dotknąć jego twarzy, ale cofnął głowę. Zabolało ją to bardziej niż cokolwiek, zabolało bardziej, niż skłonna była uwierzyć. Poczucie winy i strach powróciły lodowatą, przygniatającą

falą. Ale już nie płakała. Przemknęło jej przez myśl, że przez długi czas nie uroni już łzy. Rana i towarzyszący jej wstrząs były zbyt wielkie.

- Vic - powiedziała cicho. - Przepraszam. Sprawiałam ci ból, więc przepraszam.

- Kiedy to przerwałaś?

Opowiedziała mu o wypadkach w dniu, kiedy wróciła do domu i zastała tu Steve'a, nie wspominając jednak o swoim lęku, że może ją rzeczywiście zgwałcić.

- A więc ten list był formą odwetu.

Odgarnęła włosy z czoła i skinęła głową. Twarz miała bladą i ściągniętą. Pod oczami widniały purpurowe plamy.

- Chyba tak.

- Chodźmy do sypialni - powiedział. - Późno już. Oboje jesteśmy zmęczeni.

- Chcesz się ze mną kochać? Pokręcił powoli głową.

- Nie dzisiaj.

- Rozumiem. Podeszli do schodów.

- I co teraz będzie, Vic? - spytała, kiedy wchodzili na górę.

Pokręcił znów głową.

- Po prostu nie wiem.

- Mam napisać pięćset razy kredą na tablicy "Już nigdy tego nie zrobię" i poddać się karze aresztu domowego? Rozwiedziemy się? Przejdziemy nad tym do porządku dziennego? No? - To nie były początki hysterii, czuła się tylko zmęczona, ale mimowolnie podniosła głos. Najgorszy był ten wstyd, wstyd, że została zdemaskowana i że to dla niego taki cios. Nienawidziła go tak samo jak siebie za to, że tak ją cholernie zawstydził, bo nie poczuwała się do winy za zaistnienie okoliczności, które doprowadziły ją do tej ostatecznej decyzji - o ile można to było nazwać decyzją.

- Musimy jakoś przez to przebrnąć - mruknął. - Ta sprawa... -
Spojrzał na nią błagalnie. - Był tylko on, prawda?

To było niewybaczalne pytanie, pytanie, którego nie miał prawa zadawać. Zostawiając go samego na dole, wbiegła po schodach, zanim zdążyły się z niej wylać te wszystkie głupie pretensje i oskarżenia, które ją przepełniały. Niczego by nie rozwiązały, zmąciłyby tylko tę odrobinę szczerości, na jaką zdołali się wobec siebie zdobyć.

Tej nocy niewiele oboje spali. Vic miał zadzwonić do Joego Cambera i spytać, czy naprawi znarowionego pinto runabouta żony, ale zupełnie wyleciało mu to z głowy.

Co się tyczy Joego Cambera, to siedział właśnie na jednym z rozlatujących się ogrodowych krzesełek, porozstawianych gdzie popadnie na zapuszczonym trawniku przed domem Gary'ego Perviera. Popijali z Garym pod gwiazdami wódkę z martini ze szklanek od McDonalda. W ciemnościach migotały robaczki świętojańskie, a masy kapryfolium czepiające się płotu otaczającego posiadłość Gary'ego wypełniały parną noc swoją odurzającą, ciężką wonią.

Normalnie w taką noc Cujo uganiałby się za ćmami, poszczekując od czasu do czasu i bawiąc obu mężczyzn, jednak dziś wieczorem leżał między nimi z pyskiem złożonym na przednich łapach. Myśleli, że śpi, ale on nie spał. Po prostu leżał, czując łamanie w kościach i powracający falami, ćmiący ból we łbie. Nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje ani co go czeka w najbliższej przyszłości - coś przytępiało instynkt, który mu to zwykle podpowiadał. Kiedy zasypiał, miewał paskudne sny. W jednym z nich rzucił się na CHŁOPCA, rozerwał mu gardło i wywlókł z brzucha parującego kłab wnętrzości. Obudził się z tego snu, skamłając, wstrząsany okropnymi drgawkami.

Bez przerwy chciało mu się pić, ale od jakiegoś czasu ze wstrętem omijał swoją miskę z wodą, a kiedy już pił, woda smakowała jak opiłki żelaza. Od wody bolały go zęby i żgający ból przeszywał oczy. Leżał na trawie, nie dbając ani o robaczki świętojańskie, ani w ogóle o nic. Głosy MĘŻCZYŹN dobiegały do niego niczym dudnienie gdzieś z wysoka. Niewiele go obchodziły - czuł tylko własną, coraz większą udrękę.

- Boston! - prychnął Gary Pervier i zarechotał. - Boston! Co, u diabła, chcesz robić w Bostonie? I skąd ci przyszło do łba, że mnie będzie stać na to, żeby się tam z tobą telepać? Nie starczyłoby mi chyba nawet na przejazd do Norge. Czekał dopiero na czek.

- Nie chrzań, śpisz przecież na forsie - mruknął Joe Camber. Był już porządnie pijany. - Wystarczy, jak pogrzebiesz trochę w sienniku, i sprawa załatwiona.

- Tam są same pluskwy - burknął Gary i znowu zarechotał. - Roi się tu wszędzie od nich, a ja na to sram. Może jeszcze po jednym?

Joe podstawił szklanę. Gary miał niezbędne składniki obok swojego krzeselka. Wymieszał drinka wprawną, pewną ręką nałogowego pijaka.

- Boston! - prychnął znowu, wręczając Camberowi szklanę. - Zabawić się, co, Joey? - dorzucił przekornie. W całym Castle Rock, a może i na całym świecie, tylko Gary'emu mogło ująć na sucho nazwanie Cambera Joeyem. - Zabalować, co? Nie pamiętam, żebyś się kiedy wybrał dalej niż do Portsmouth.

- Byłem parę razy w Bostonie - obruszył się Joe. - Lepiej uważaj, Perwersie, bo cię poszczuję moim psem.

- Nie dałbyś rady poszczuć tego kundla nawet na wrzeszczącego czarnucha z brzytwą w garści - powiedział

Gary. Opuścił rękę, żeby poczochnąć futro Cujo. - A co na to twoja żona?

- Ona nic nie wie. Nie musi.

- Co ty powiesz?

- Jedzie z chłopakiem do Connecticut odwiedzić siostrę i tego frajera, za którego tamta wyszła. Nie będzie ich z tydzień. Wygrała trochę gotówki na loterii. Mówię ci to, bo i tak się dowiesz. W radiu walą po nazwiskach.

- Trafiała coś na loterii, naprawdę?

- Pięć tysięcy dolarów.

Gary gwizdnął. Cujo zastrzygł niespokojnie uszami.

Joe zrelacjonował Gary'emu, co Charity opowiedziała mu przy kolacji, pomijając milczeniem sprzeczkę i dając wyraźnie do zrozumienia, że to od niego wyszedł pomysł układu, jaki zawarli z żoną: chłopak jedzie z nią na tydzień do Connecticut, a potem na jesieni do Moosehead, z nim i jego kumplami.

- Kobita za próg, a ty w dyrdy do Bostonu, stary nicponiu, żeby samemu przepuścić trochę z tej wygranej - mruknął Gary. Klepnął Joego w ramię i roześmiał się. - Tak, dobry z ciebie numer, nie ma co.

- A co se będę żałował? Nawet nie wiem, kiedy ostatnio miałem wolny dzień. Nie pamiętam. Nie mam na ten tydzień specjalnie dużo do roboty. Myślałem, że zejdzie mi z półtora dnia na wywalaniu silnika z internationala Richiego, na regulacji zaworów i w ogóle, ale jak mam teraz wyciąg, to uwinę się z tym w cztery godziny. Każę mu go przyprowadzić jutro z rana i po południu będzie po robocie. Mam jeszcze klienta ze skrzynią biegów, ale to tylko nauczyciel z podstawówki. Może zaczekać. Tych paru innych tak samo. Zadzwoń do nich i powiem, że biorę sobie mały urlopik.

- Co chcesz robić w tym Fasolowie?
- Wybiorę się może na Fenway na mecz Zdechłych Skarpetek. Zайдę na Washington Street...
- Na pole bitwy! Jasny gwint, byłem tam! - Gary parsknął śmiechem i klepnął się po kolanie. - Obejrzyj sobie jakieś świńskie przedstawionko i uważaj, żeby nie złapać syfa!
- W pojedynkę nie będzie zabawy.
- No, gdybyś pożyczył mi trochę forsy, dopóki nie dostanę mojego czeku, to chyba mógłbym się z tobą wybrać.
- To by się dało załatwić - przystał Joe. Gary był opojem, ale długi traktował poważnie.
- Chyba od czterdziestu lat nie miałem kobity - powiedział refleksyjnie Gary. - Straciłem we Francji większą część swojej wiernej fabryczki spermy. To, co zostało, czasami działa, czasami nie. Może być ubaw, jeśli się okaże, że jednak mam jeszcze tego tryka w zagrodzie.
- Może - bąknął Joe. Zaczynał mu się plątać język, a w uszach szumiało. - Ale nie zapominaj o baseballu. Wiesz, kiedy ostatni raz byłem na Fenway?
- Nie.
- W ty-siąc dzie-więć-set sześć-dzie-sią-tym ós-mym - wyrecytował Joe, pochylając się i akcentując każdą sylabę dźgnięciem palca wskazującego w przedramię Gary'ego. - Zanim dzieciak mi się urodził. Grali z Tygrysami i przerznęli, szmaciarze, sześć do czterech. Norm Cash posłał im w ósmej rozgrywce piękną piłkę.
- Kiedy chcesz jechać?
- Chyba w poniedziałek o trzeciej po południu. Rano podrzucę żonę i chłopaka do Portland na dworzec Greyhounda. Całą resztę ranka i przedpołudnie będę miał na załatwianie tego, co muszę załatwić.

- Bierzesz osobowy czy ciężarówkę?

- Osobowy.

Oczy Gary'ego zrobiły się maślane i rozmarzone.

- Gorzała, baseball i dziwki - wymruczał. Poprawił się na krzeselku. - Niech mnie diabli.

- To jak, jedziesz ze mną? - Jadę.

Joe wydał okrzyk radości i roześmieli się obaj. Żaden nie zauważył, że Cujo uniósł łeb i cicho zawarczał.

Poniedziałkowy poranek zaświtał perłową szarością; mgła była tak gęsta, że Brett Camber nie widział ze swego okna dębu rosnącego z boku domu, a do tego dębu nie było nawet trzydziestu jardów.

Cały dom pogrążony był jeszcze we śnie, ale jemu nie chciało się już spać. Wyruszał w podróż i na myśl o tym wszystko w nim wibrowało. Tylko on i matka. To będzie udana wyprawa, czuł to, i w głębi siebie, gdzieś na dnie podświadomości, cieszył się, że ojciec z nimi nie jedzie. Wreszcie będzie mógł być sobą: nie będzie już musiał dostosowywać się do tego tajemniczego ideału męskości, który osiągnął ojciec, ale którego istoty on nawet jeszcze nie zaczynał rozumieć. Czuł się wspaniale - niewiarygodnie wspaniale i niewiarygodnie rzeško. Żał mu było wszystkich tych, którzy nie wybierają się w podróż tego pięknego mglistego poranka. Niebawem, skoro tylko mgła się rozwieje, rzeški poranek przekształci się w kolejny skwarny dzień. Brett planował sobie, że w autobusie zajmie miejsce przy oknie i będzie przez nie wyglądał całą drogę, od dworca Greyhounda przy Spring Street do samego Stratford. Wczoraj wieczorem długo nie mógł zasnąć, a teraz nie ma jeszcze nawet piątej... ale jak zaraz nie wstanie z łóżka, to go rozsadzi albo co.

Zachowując się najciszej jak potrafił, wciągnął dzinsy, koszulkę z napisem Castle Rock Cougars, parę białych sportowych skarpet i włożył swoje kedy. Zszedł na palcach na dół i nasypał sobie miskę Kakaowych Misiów. Próbował jeść cicho, ale był przekonany, że chrzęst gryzionych chrupek, który słyszał w głowie, rozlega się w całym domu. Usłyszał, jak tata pomrukuje i przewraca się na drugi bok na podwójnym łóżku, które dzielił z mamą. Zazgrzytały sprężyny. Brett zastygł. Po krótkim zastanowieniu wyszedł z drugą miską Kakaowych Misiów na werandę na tyłach domu, starając się jak najciszej zamknąć za sobą drzwi.

Gęsta mgła wyklarowała wszystkie letnie wonie, a powietrze już się ogrzało. Na wschodzie, tuż nad nieco ciemniejszą nieregularną smugą, która zaznaczała rząd sosen na końcu pastwiska, zobaczył słońce. Kiedy wspięło się po niebie trochę wyżej, okazało się, że jest małe i jasnosrebrzyste jak księżyc w pełni. Ciężka, niemal namacalna wilgoć tłumiała dźwięki. Mgła rozwieje się około ósmej, może dziewiątej, ale ta wilgoć pozostanie.

Na razie jednak Brett patrzył na biały, tajemniczy świat i chłonał jego uroki: silny zapach trawy, którą za tydzień będzie już można kosić, nawozu, róż matki. Wychwytywał nawet ulotny aromat tryumfującego kapryfolium - fali napierających, chwytanych wici, pod którą nikł z wolna płot wytyczający granice posiadłości Gary'ego Perviera.

Odstawił miskę z chrupkami i ruszył w kierunku skrytej we mgle stodoły. W połowie podwórka obejrzał się przez ramię i stwierdził, że dom zbladł do rozmytego zarysu. Jeszcze kilka kroków i mgła pochłonięła go całkowicie. Brett został sam pośród bieli i tylko z góry patrzyło na niego maleńkie srebrne słońce. Czuł zapach kurzu, rosy, kapryfolium, róż.

Nagle usłyszał warczenie.

Serce podskoczyło mu do gardła i z napinającymi się mięśniami instynktownie cofnął się o krok. Wilk, przemknęła mu przez głowę pierwsza paniczna myśl, niczym dziecku, które za sprawą czarów znalazło się nagle w bajce. Rozejrzał się przerażony dookoła. Widać było tylko biel.

Z mgły wyłonił się Cujo.

Kiedy Brett go zobaczył, ścisnęło mu się gardło. Pies, z którym dorastał, pies, który zaprzężony w szelki zmajstrowane przez Joego w warsztacie ciągnął cierpliwie wózek z wrzeszczącym, rozpromienionym, pięcioletnim Brettem dookoła podwórka, pies, który podczas roku szkolnego każdego popołudnia, słońce czy słońce, obowiązkowo czekał przy skrzynce na autobus... tamten pies prawie zupełnie nie przypominał ubłoconej, skołtunionej zjawy materializującej się powoli z porannej mgły. Wielkie, smutne oczy bernardyna były teraz małe, przekrwione, tępe: przypominały bardziej oczy świni niż psa. Futro miał pozlepiane brązowawozielonym szlamem, jakby wytarzał się w jakimś bagnie. Marszczył nos, odsłaniając zęby w strasznym sztucznym uśmiechu, który przejął Bretta paralizującą grozą. Chłopiec czuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

Spomiędzy zębów Cujo ściekała leniwie gęsta biała piana.

- Cujo? - wyszeptał Brett. - Cujus...?

Cujo patrzył na CHŁOPCA, ale już go nie poznawał - jego wygląd, odcienie szarości jego ubrania (nie potrafił rozróżnić kolorów, przynajmniej nie w ludzkim pojmowaniu tej zdolności) ani jego zapach z niczym mu się już nie kojarzyły. Widział przed sobą potwora na dwóch nogach. Cujo był chory i wszystko wydawało mu się teraz potworne. We łbie huczało

mu od tępej żądy mordy. Pragnął gryźć, szarpać, rwać. Widział już niemal siebie, jak rzuca się na CHŁOPCA, powala go na ziemię, oddziera ciało od kości, chłepcze tętniącą jeszcze krew pompowaną przez umierające serce.

I wtedy potworna postać przemówiła, i Cujo rozpoznał głos. To był CHŁOPIEC, CHŁOPIEC, a CHŁOPIEC nie wyrządził mu nigdy żadnej krzywdy. Kochał kiedyś CHŁOPCA i gdyby było trzeba, oddałby za niego życie. Tego uczucia pozostało na tyle dużo, by odeprzeć wizję mordy do czasu, kiedy zgęstnieje do konsystencji otaczającej ich mgły.

- Cujo? Co ci jest, piesku?

Obudziła się w nim ta resztkę psa, jakim był, zanim nietoperz zadrapał mu nos, i chore, niebezpieczne zwierzę oparło się po raz ostatni, zdusiło w sobie mordercze instynkty. Cujo zawrócił i powłócząc nogami, rozpląnął się we mgle. Piana kapiąca mu z pyska rozpryskiwała się na ziemi. Przeszedł w ocieżały trucht w nadziei, że ucieknie chorobie, ale ona biegła z nim krok w krok, wzniecając w nim nieprzejednaną nienawiść i żądzę zabijania. Runął w wysoką tymotkę i zaczął się tarzać, gryząc trawę i przewracając oczami.

Świat był obłądnym morzem zapachów. Potrafił określić źródło każdego z osobna.

Zaczął znowu warczeć. Stanął na łapy i powłókł się głębiej w mgłę, która zaczynała już rzednąć - wielki, ważący blisko dwieście funtów pies.

Kiedy Cujo rozpląnął się z powrotem we mgle, Brett jeszcze z piętnaście minut stał zdezorientowany pośrodku podwórka. Cujo był chory. Może zjadł trutkę na gryzonie albo coś w tym rodzaju. Brett wiedział o wścieklicznie i gdyby zobaczył świstaka, lisa czy kolczatkę wyglądającą podobnie, domyśliłby się, że to wściekliczna - ale nawet przez myśl mu

nie przeszło, że jego pies mógł się nabawić tej okropnej choroby. Trutka na gryzonie - to wyjaśnienie wydawało mu się najbardziej prawdopodobne.

Należałoby powiedzieć o tym ojcu. Ojciec wezwałby weterynarza. Albo może sam coś by zaradził, jak wtedy, przed dwoma laty, kiedy obcęgami powyrywał Cujo z nosa igły kolczatki, obruszywszy wcześniej każdą na wszystkie strony, żeby się przy wyciąganiu nie ułamała i nie została w ranie, bo wtedy nos zaczęłyby ropieć. Tak, trzeba będzie powiedzieć tacie. Tata coś poradzi, tak jak wtedy, kiedy Cujus pochorował się po wołowej konserwie.

Ale co z wyjazdem?

Nie trzeba było Brettowi mówić, że matka wywalczyła zgodę na tę podróż jakimś desperackim fortelem albo dzięki szczęściu, ewentualnie w sposób będący kombinacją jednego i drugiego. Jak większość dzieci wyczuwał emocjonalne napięcia między rodzicami i niczym wytrawny przewodnik znający wszystkie zakręty i meandry górskiego strumienia zdawał sobie sprawę, jak z dnia na dzień może się zmienić bieg tych emocjonalnych prądów. Wyczuwał, że chociaż tata się zgodził, uczynił to niechętnie i bez przekonania. Do momentu, kiedy ojciec wysadzi ich wreszcie przed dworcem autobusowym i odjedzie, ta podróż będzie wisiała na włosku. A jeśli mówiąc tacie, że Cujo jest chory, podsunie mu pretekst do zatrzymania ich w domu?

Stał nieruchomo na środku podwórka. Pierwszy raz w życiu stanął przed koniecznością dokonania takiego wyboru. Poczul się rozdarty psychicznie. Po chwili obszedł stodołę, żeby poszukać Cujo. Przywoływał go cicho. Rodzice jeszcze spali, a wiedział, jak poranna mgła potrafi nieść głos. Nie znalazł jednak psa... i miał szczęście, że nie znalazł.

Budzik wyrwał Vica ze snu za piętnaście piąta. Wstał, wyłączył dzwonek i półprzytomny zwał się po schodach do łazienki, przeklinając w duchu Rogera Breakstone'a, który nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że w hali odlotów Portland Jetport można się zjawić dwadzieścia minut przed odprawą, jak to czyni każdy normalny pasażer linii lotniczych. To nie w stylu Rogera. Roger był człowiekiem przewidującym. Zawsze można przecież złapać gumę, utknąć w korku, zostać zaskoczonym przez powódź albo przez trzęsienie ziemi, I wreszcie mogą sobie upatrzeć pas startowy 22 na miejsce lądowania kosmici.

Wziął prysznic, ogolił się, połknął codzienną porcję witamin i wrócił na górę do sypialni, żeby się ubrać. Wielkie podwójne łóżko było puste. Westchnął cicho. Weekend, przez który przebrnęli właśnie z Donną, nie należał do przyjemnych... właściwie to mógł z ręką na sercu powiedzieć, że do końca życia nie chce mieć drugiego takiego. Silili się na zachowanie normalnych, zadowolonych min - przez wzgląd na Tada - ale Vic czuł się jak uczestnik balu maskowego. Świadomość napinania się mięśni twarzy przy każdym uśmiechu była nieznośna.

Spali razem, jednak po raz pierwszy ich królewskie łóżko wydawało się Vicowi za ciasne. Leżeli każde na boku, przedzieleni nieprzekraczalnym pasem ziemi niczyjej. Przez całą noc z piątku na sobotę i noc z soboty na niedzielę nie zmrużył oka, obsesyjnie uwrażliwiony na każde poruszenie Donny, na szelest nocnej koszuli ocierającej się o jej ciało. Zaczął się zastanawiać, czy ona też nie śpi po tamtej stronie pustki, która ich rozdziela.

Tej nocy, nocy z niedzieli na poniedziałek, spróbowali zrobić coś z tym pustym miejscem pośrodku łóżka. Zbliżenie było

umiarkowanie udane, może tylko trochę wymuszone - ale przynajmniej żadne z nich nie płakało, kiedy już było po wszystkim (z jakiegoś niejasnego powodu Vic był przekonany, że jedno z nich powinno się popłakać). Nie miał jednak pewności, czy to, co robili, można nazwać miłością.

Włożył letni, przewiewny garnitur - szary jak świt za oknem - i podniósł z podłogi dwie walizki. Jedna była o wiele cięższa od drugiej. Zawierała większość dokumentacji Chrupek Sharpa. Wszystkie projekty graficzne miał Roger.

Donna robiła w kuchni gofry. Nastawiony czajnik zaczynał już syczeć i prychać parą. Zarzuciła na siebie jego stary niebieski flanelowy szlafrok. Twarz miała napuchnięta, jakby sen zmęczył ją, zamiast zregenerować.

- Czy samoloty latają w taką pogodę? - spytała.

- Wypogodzi się. Już widać słońce. - Pokazał je palcem, a potem pocałował ją lekko w kark. - Niepotrzebnie wstawiaś.

- Nie ma sprawy. - Uniosła wieko gofrownicy i wprawnie przerzuciła wafel na talerz. - Wolałabym, żebyś nie wyjeżdżał. - Głos miała przygaszony. - Zwłaszcza teraz, po dzisiejszej nocy.

- Nie było tak źle, prawda?

- Ale nie tak, jak dawniej - powiedziała Donna. Gorzki uśmiech wypłynął na jej wargi i zaraz znikł. Przez chwilę ubijała drucianą trzepaczką gofrowe ciasto, a potem wylała całą jego łyżkę na płytę grzejną gofrownicy i zamknęła ciężkie wieko. Ssssss. Zalała wrzątkiem dwie torebki ekspresowej herbaty Red Rose i przeniosła filiżanki - jedną z napisem VIC, drugą z napisem DONNA - na stół. - No, jedz tego gofra. Są truskawkowe konfitury, jeśli masz ochotę.

Wyjął konfitury z szafki i usiadł. Rozprowadził po gofrze warstewkę margaryny i obserwował przez chwilę, jak się

roztapia i wypełnia małe kwadratowe zagłębienia w jego powierzchni.

Konfitury były od Smuckera. Lubił konfitury Smuckera. Nasmarował nimi obficie gofra. Smakowało wspaniale, ale on nie był głodny.

- Pójdiesz na dziwki w Bostonie albo w Nowym Jorku? - spytała. - Wyrównasz rachunki? Wet za wet?

Drgnął - może się nawet zarumienił. Był zadowolony, że stoi odwrócona plecami, bo czuł, że mogłaby z jego twarzy wyczytać więcej, niżby sobie tego życzył. Myśl, żeby zamiast zwyczajowego dolca napiwku wcisnąć chłopcu hotelowemu w garść dziesiątkę i spytać go o to i owo, rzeczywiście przemknęła mu przez głowę. Wiedział, że Roger tak kiedyś zrobił.

- Będę zbyt zajęty, żeby znaleźć czas na coś takiego.

- Na śmietankę zawsze znajdzie się miejsce.

- Chcesz mnie zdenerwować, Donna? O co ci chodzi?

- O nic. No jedz, jedz. Nie pojedziesz przecież o pustym żołądku.

Usiadła ze swoim gofrem. Nie posmarowała go margaryną. Odrobina Vermont Maid Syrup, i to wszystko. Jak dobrze się znamy, pomyślał.

- O której masz być u Rogera? - spytała.

- Umówiliśmy się na szóstą.

Znowu się uśmiechnęła, ale tym razem był to uśmiech ciepły i czuły.

- On rzeczywiście wziął sobie do serca ten styl życia rannego ptaszka, prawda?

- Owszem. Dziwię się, że jeszcze nie zadzwonił, żeby się upewnić, czy wstałem.

W tej chwili zadzwonił telefon.

Spojrzeni na siebie przez stół i po chwili znaczącego milczenia oboje wybuchnęli śmiechem. Był to niezwykle moment, z pewnością bardziej niezwykle od wyrachowanego kochania się w ciemnościach tej nocy. Zauważył, jak ładne są jej błyszczące oczy. Były szare jak poranna mgła za oknem.

- Odbierz szybko, bo jeszcze Tadder się obudzi - powiedziała. Podniósł słuchawkę. To był Roger. Zapewnił Rogera, że już wstał, ubrał się i jest w bojowym nastroju. Punkt szósta będzie u niego. Odłożył słuchawkę, zadając sobie pytanie, czy powie kiedyś Rogerowi o Donnie i Stevie Kempie. Prawdopodobnie nie. Nie dlatego, żeby obawiał się jakiegoś dosadnego komentarza; z pewnością niczego takiego by od niego nie usłyszał. Ale Roger, nawet gdyby przysiągł, że nie powie nic Althei, najpewniej by się przed nią wygadał. A Vic podejrzewał, że Althei trudno byłoby zachować dla siebie tak soczysty temat dla babskich plotek.

- Poczciwy stary Roger - mruknął, siadając znowu przy stole. Spróbował się uśmiechnąć, ale czuł, że mu to nie wyszło. Moment spontaniczności przeminął.

- Czy do jaguara zmieści się bagaż twój i Rogera?

- Pewnie - odparł. - Będzie musiał. Ich samochodu potrzebuje Althea, a twój jest... o cholera, zupełnie zapomniałem zadzwonić do Joego Cambera w sprawie twojego pinto.

- Miałaś parę innych spraw na głowie - powiedziała. W jej głosie pobrzmiwała smutna ironia. - Nic się nie stało. I tak nie zamierzałam odwozić dzisiaj Tada do ogródka zabaw. Ma katar. Jeśli ci to odpowiada, przez resztę lata mogę go trzymać w domu. Pakuję się w kłopoty, kiedy go tu nie ma.

Łzy dławily ją, ściskając krtań i zniekształcając głos, i Vic nie wiedział, co powiedzieć ani jak zareagować. Patrzył

bezradnie, jak wyciąga chusteczkę higieniczną, wydmuchuje nos i ociera oczy.

- Jak uważasz - bąknął poruszony. - Jak ci wygodniej. Zadzwonił do Joego Cambera - zmienił pośpiesznie temat. - On zawsze jest u siebie i nie sądzę, żeby naprawa zajęła mu więcej niż dwadzieścia minut. Nawet gdyby musiał montować nowy gaź...

- Będziesz myślał o tym w podróży? - przerwała mu. - O tym, co z nami będzie? Ze mną i z tobą?

- Tak - przyznał.

- Dobrze. Ja też się zastanowię. Chcesz jeszcze gofra?

- Nie, dziękuję.

Cała ta rozmowa zaczęła nabierać surrealistycznego charakteru. Zapragnął być już daleko stąd. Nagle czekająca go podróż wydała mu się bardzo potrzebna i bardzo atrakcyjna. Uciec od tego bagna. Znaleźć się od niego jak najdalej. Poczul przyływ podniecenia. W wyobraźni ujrzał pasażerską deltę przebijającą się przez rzadniejącą mgłę i wypryskującą w czysty błękit.

- Mogę prosić o gofra?

Obejrzeni się oboje zaskoczeni. W korytarzu stał Tad w swojej żółtej piżamie, owinięty czerwonym kocem zarzuconym na ramionka, trzymając za ucho pluszowego kojota. Wyglądał jak mały Indianin.

- Mogę ci zaraz upiec - powiedziała zdumiona Donna. Tad nie należał raczej do rannych ptaszków.

- Telefon cię obudził, Tad? - spytał Vic. Tad pokręcił głową.

- Wstałem wcześniej, żeby się z tobą pożegnać, tatusiu. Naprawdę musisz jechać?

- Tylko na krótko.

- Wcale nie na tak krótko - mruknął ponuro Tad. - Zaznaczyłem w swoim kalendarzu kółeczkiem dzień, w którym wracasz. Mama pokazała mi który to. Będę zaznaczał każdy dzień, a ona będzie mi odmawiać co wieczór Słowa na Potwora.

- No więc wszystko w porządku, prawda?

- Będziesz telefonował?

- Co drugi wieczór - obiecał Vic.

- Co każdy wieczór - poprosił Tad. Wspiął się Vicowi na kolana i postawił swojego kojota obok jego talerza. Chwycił gofra i zaczął go chrupać. - Co każdy wieczór, tatusiu.

- Nie mogę co każdy wieczór - powiedział Vic, przypominając sobie napięty harmonogram, który Roger przedstawił mu w piątek, przed przyjściem listu od Steve'a.

- Dlaczego nie możesz?

- Bo...

- Bo twój wujek Roger jest okropnie wymagającym szefem - wtrąciła Donna, stawiając na stole talerz z gofrem dla Tada. - Chodź tu i jedz. Przyniosę ci kawę. Tatuś zadzwoni do nas jutro wieczorem z Bostonu i o wszystkim opowie.

Tad zajął swoje miejsce u szczytu stołu. Leżała tam duża plastikowa podkładka pod talerz z napisem TAD.

- Przywieziesz mi jakąś zabawkę?

- Może. Jeśli będziesz grzeczny. I może zadzwonię jeszcze dzisiaj wieczorem, żeby cię uspokoić, że dotarłem do Bostonu cały i zdrowy.

- Umowa stoi. - Vic obserwował z fascynacją, jak Tad wylewa na swojego gofra mały ocean syropu. - A co to będzie za zabawka?

- Zobaczymy - odparł Vic. Patrzył, jak chłopczyk pałaszuje z apetytem gofra. Nagle przypomniało mu się, że Tad lubi

jajka. Pod wszelkimi postaciami. Jajecznice, sadzone, gotowane na miękko i twardo. Przepadał za nimi. - Tad?

- Co, tatusiu?

- Gdybyś chciał namówić ludzi do kupowania jajek, to co byś im powiedział?

Tad zastanowił się.

- Powiedziałbym im, że jajka są smaczne - oświadczył po chwili.

Vic poszukał wzrokiem oczu żony i po raz drugi poczuli się tak jak wtedy, kiedy zadzwonił telefon. Ale tym razem roześmieli się telepatycznie.

Pożegnali się jak gdyby nigdy nic. I tylko Tad, który nie orientował się, na jakim włosku wisi ich przyszłość, płakał.

- Będziesz o tym myślał? - spytała jeszcze raz Donna, kiedy Vic wsiadał do jaguara.

- Tak.

Jednak jadąc do Bridgton po Rogera myślał głównie o tych dwóch momentach ich niemal idealnej łączności. Dwa na jeden poranek to całkiem niezłe. Ale by to osiągnąć, trzeba było ośmiu czy dziewięciu przeżytych wspólnie lat, mniej więcej jednej czwartej czasu, jaki spędził na ziemskim padole. Skoro już się zainwestowało ten czas, trzeba teraz postępować rozważnie. Tak, zastanowił się nad tym. Było im ze sobą dobrze i chociaż teraz kilka kanałów się zablokowało, zapchało Bóg jeden wie jaką ohydą (a część tej ohydy może jeszcze żyje), mnóstwo innych zachowywało chyba nadal drożność i znajdowało się w stosunkowo dobrym stanie.

Trzeba to będzie dogłębnie przemyśleć - ale może lepiej nie wszystko naraz. Czasem niepotrzebnie wyolbrzymia się pewne sprawy.

Włączył radio i zaczął myśleć o nieszczęsnym, poczciwym Profesorze od Chrupek Sharpa.

Joe Camber podjechał pod główne wejście terminalu Greyhounda w Portland za dziesiątą ósmą rano. Mgła się rozwinęła i sprzężony z termometrem zegar cyfrowy na dachu Casco Bank & Trust wskazywał już 23 stopnie Celsjusza.

Joe prowadził w kapeluszu nasuniętym buńczucznie na oczy, gotów zwymyślać każdego, kto włączy się przed nim do ruchu albo zajędzie mu drogę. Nie cierpiał jeździć po mieście. Zaplanował już sobie, że kiedy pojedą z Garym do Bostonu, to na cały czas pobytu zostawi wóz na parking. Będą jeździli wszędzie metrem, o ile uda im się rozszyfrować jego labirynt, albo jeśli się im to nie uda, będą chodzili pieszo.

Charity włożyła na drogę swój najlepszy kostium - spodnie i żakiet w kolorze spokojnej zieleni, a do tego białą bawełnianą bluzkę z zabotem. W uszach miała kolczyki, które wprawiły Bretta w lekkie osłupienie. Nie pamiętał, żeby matka kiedykolwiek wkładała kolczyki, chyba że do kościoła.

Przydybał ją samą, kiedy podawszy tacie owsiankę na śniadanie, poszła na górę, żeby się przebrać. Joe przeważnie milczał, zagadnięty, odpowiadał monosylabowymi pomrukami i w końcu uciął konwersację całkowicie, nastawiając radio na stację WCSH, żeby wysłuchać wiadomości sportowych. Obawiali się oboje, że to milczenie może być zapowiedzią niszczącego wybuchu i nagłej zmiany stanowiska w sprawie ich wyjazdu.

Charity miała już na sobie spodnie od kostiumu i wkładała właśnie bluzkę. Brett zauważył, że matka ma na sobie stanik w barwie brzoskwini, i to również wprawiło go w osłupienie. Nie podejrzewał, że miała jakąś bieliznę w kolorze innym niż biały.

- Mamo... - zaczął z przejęciem. Odwróciła się do niego powoli.

- Powiedział ci coś?

- Nie... nie. Chodzi mi o Cujo.

- O Cujo? Co z Cujo?

- On jest chory.

- Jak to chory?

Opowiedział jej, jak wyszedł z miseczką Kakaowych Misiów na werandę od podwórka, jak wkroczył w mgłę i jak nagle z tej mgły wyłonił się Cujo z czerwonymi, dzikimi oczami i pianą kapiącą z pyska.

- I nawet nie szedł prosto - dokończył Brett. - Jakby się zataczał. Chyba lepiej powiedzieć o tym tacie.

- Nie! - syknęła Charity i schwyciła go za ramię tak silnie, że aż zabolalo. - Nie rób tego!

Spojrzał na matkę zaskoczony i przestraszony. Rozluźniła uścisk i powiedziała już trochę spokojniejszym tonem:

- Po prostu wystraszyłeś się, kiedy tak niespodziewanie wyszedł na ciebie z mgły. Prawdopodobnie nic mu nie jest.

Brett szukał odpowiednich słów, by opisać, jak strasznie wyglądał Cujo, i jak przez chwilę wydawało mu się, że chce się na niego rzucić. Ale nie mógł znaleźć słów, które by to oddawały. A może tylko nie chciał ich znaleźć.

- Jeśli nawet coś się z nim dzieje - podjęła Charity - to z pewnością nie jest to nic poważnego. Może jakiś skunks puścił mu w nos bąka...

- Nie czułem żadnego skun...

- Może się zziąjał, goniąc świstaka czy królika. Mógł też wpaść w tej mgle do bagna. Albo najeść się pokrzyw.

- Może - bąknął bez przekonania Brett.

- Ojciec tylko czeka na coś takiego - powiedziała. - Już go słyszę, jak mówi: "Chory? No ale to twój pies, Brett. Sam się nim zajmij. Mam za dużo roboty, żeby się jeszcze chrzanić z twoim kundlem".

Brett pokiwał markotnie głową. Dokładnie to samo podejrzewał, a umacniał go jeszcze w tym podejrzaniu ponury nastrój ojca jedzącego śniadanie przy wiadomościach sportowych wylewających się na kuchnię z nastawionego na cały regulator radia.

- Jeśli go po prostu zostawisz, będzie się snuł za ojcem, i ojciec się nim zajmie - powiedziała Charity. - Kocha go prawie tak samo jak ty, chociaż nigdy się do tego nie przyzna. Gdy zobaczy, że coś jest nie w porządku, zawiezie go do South Paris do weterynarza.

- Tak. Chyba tak zrobi. - Słowa matki brzmiały przekonująco, ale Brett nadal czuł się jakoś nieswojo.

Charity schyliła się i pocałowała syna w policzek.

- Jeśli chcesz, to wieczorem możemy zatelefonować do taty. Co ty na to? Kiedy będziesz z nim rozmawiał, spytasz niby od niechcenia: "Karmisz mojego psa, tato?" - i wtedy się wszystkiego dowiesz.

- Tak, mam - odparł Brett. Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością, a ona odwzajemniła jego uśmiech, wydając w duchu westchnienie ulgi: problem został rozwiązany. Ale przewrotny los chował w zanadrzu jeszcze jeden powód do niepokoju i do chwili, kiedy Joe podprowadził wreszcie rodzinny wóz kombi tyłem pod schodki werandy i zaczął w milczeniu ładować do bagażnika ich cztery podróżne torby (do jednej z nich Charity włożyła potajemnie wszystkie albumy ze zdjęciami), czas dłużył im się niemiłosiernie. Tego nowego powodu do niepokoju dostarczał Cujo, który w

każdej chwili mógł pojawić się na podwórzu i przed samym odjazdem narobić im kłopotów.

Ale Cujo się nie pokazał.

Joe opuścił tylne drzwi country squire'a, podał Brettowi dwie małe torby, a dwie duże dźwignął sam.

- Kobieto, zabierasz tyle tych bambetli, że zaczynam się zastanawiać, czy zamiast do Connecticut nie wypuszczasz się czasem do Reno dla przeprowadzenia zaocznego rozwodu.

Charity i Brett uśmiechnęli się niepewnie. Zabrzmiało to jak żart, ale z Joem Camberem nigdy nic nie było wiadomo.

- To by dopiero było - bąknęła z niepewnym uśmiechem Charity.

- I tak bym was dorwał i ściągnął z powrotem moim nowym wyciągiem - powiedział Joe, również się uśmiechając. Zsunął sobie na tył głowy zielony kapelusz. - To co, chłopcze, zaopiekujesz się mamusią? Brett skinął głową.

- Tak, uważaj na nią - dodał Joe i zmierzył chłopca wzrokiem.

- Robi się z ciebie prawdziwe chłopisko. Pewnie nie dasz staremu buziaka na do widzenia.

- Dam, tatusiu - powiedział Brett. Objął mocno ojca i pocałował go w porośnięty szczecinę policzek, wyczuwając przy tym kwaśny odór potu i przetrawionej, wczorajszej wódki. Zaskoczyła go i zakłopotwała siła uczucia, jakim darzył ojca. To uczucie objawiało się jeszcze czasami, zawsze w najmniej oczekiwanym momencie (choć przez ostatnie dwa lata coraz rzadziej, o czym matka nie wiedziała i w co by nie uwierzyła, nawet gdyby jej powiedział). Była to miłość, która nie miała nic wspólnego z codziennym stosunkiem Joego Cambera do niego i matki; było to coś ślepego, biologicznego, coś, od czego nigdy się nie uwolni, fenomen z mnóstwem iluzorycznych odniesień, które zostają

człowiekowi na całe życie: zapach papierosowego dymu, wspomnienie odbicia dwuostrzowej brzytwy w lustrze, spodnie przewieszane przez poręcz krzesła, niektóre przekleństwa.

Ojciec odwzajemnił uścisk, a potem zwrócił się do Charity. Wsunął jej palec pod brodę i uniósł nieco głowę. Z peronów skrytych za przysadzistym budynkiem z cegły dobiegł odgłos rozgrzewanego silnika autobusu - niski, głuchy grzmot diesla.

- Bawcie się dobrze - powiedział Joe.

Oczy Charity wypełniły się łzami. Otarła je szybko niemal gniewnym gestem.

- Dziękuję - odmruknęła.

Twarz Cambera przyjęła nagle zdecydowany, zawzięty wyraz, zupełnie jakby opadła na nią przyłbica rycerskiego hełmu. Znowu był typowym wieśniakiem.

- Łapmy się za te torby, chłopcze! W tej to chyba jest ołów...
Jezu święty, jaka ciężka.

Stał przy nich, dopóki nie oznakowano wszystkich toreb, oglądając dokładnie każdą etykietę i nie zwracając najmniejszej uwagi na wyraz rosnącego rozbawienia na twarzy bagażowego. Obserwował potem bagażowego, który podwiózł torby na wózk do autobusu i wsunął je do komory ładunkowej. Dopiero wtedy odwrócił się znowu do Bretta.

- Wyjdź ze mną przed budynek - rzucił.

Charity odprowadziła ich wzrokiem. Usiadła na jednej z twardych ławek, otworzyła torebkę, wyjęła z niej chusteczkę do nosa i zaczęła ją skubać nerwowo. To byłby cały Joe, gdyby życzywszy jej dobrej zabawy próbował namówić chłopca, żeby wrócił z nim do domu.

Kiedy ojciec i syn znaleźli się na chodniku przed budynkiem dworca autobusowego, Joe zaczął:

- Pozwól, chłopcze, że dam ci dwie rady. Prawdopodobnie nie zechcesz ich posłuchać, chłopakom zawsze się wydaje, że są najmądrzejsi, ale to chyba nigdy nie powstrzymało ojców od ich udzielania. Pierwsza jest taka: ten facet, do którego jedziecie, ten Jim, to zwyczajna kupa gówna. Pozwalam wam na ten wypad, bo masz już dziesięć lat, a w wieku dziesięciu lat odróżnia się łajno od róży. Przypatrz mu się, a sam się przekonasz. Nic nie robi, tylko siedzi na tyłku w biurze i przekłada papierki. Przez takich ludzi świat ma tylko kłopoty, bo mają mózgi odłączone od rąk. - Na policzki Joego wystąpił blad różowy rumieniec. - To zwyczajna kupa gówna. Przypatrz mu się, a zobaczysz, że przyznasz mi rację.

- Dobrze - obiecał Brett. Głos miał cichy, ale opanowany. Joe Camber uśmiechnął się pod nosem.

- Druga rada, to trzymaj się za kieszeń.

- Nie mam żadnych pie...

Camber podsunął mu zmięty pięciodolarowy banknot.

- Masz, trzymaj. Nie wydawaj wszystkiego naraz. Tylko dureń szybko rozstaje się ze swoimi pieniędzmi.

- Dobrze. Dziękuję!

- No to na razie - mruknął Camber. Nie poprosił o jeszcze jednego buziaka.

- Do widzenia, tatusiu. - Brett stał na chodniku i patrzył, jak ojciec wsiada do samochodu i odjeżdża. Po raz ostatni widział wtedy ojca żywego.

Kwadrans po ósmej tego samego ranka Gary Pervier wytoczył się ze swego domu w poplamionych zaciekami moczu gaciach i zaczął się odlewać w kapryfolium. Od dawna żywił perwersyjną nadzieję, że pewnego dnia jego szczyny staną się tak żrące od gorzały, że wypalą to cholerne zielsko. Ale ten dzień jeszcze nie nadszedł.

- O ranyyy, mój łeb! - zawył, lejąc w kapryfolium i chwytając się wolną ręką za głowę. Oczy miał nabiegłe jasnoszkarłatnymi cętkami, a serce łomotało mu i ryczało jak stara pompa wodna, która nałykała się więcej powietrza niż wody. Kiedy kończył się wypróżniać, złapał go okropny skurcz żołądka - ostatnio zdarzało się to coraz częściej. Zgiął się we dwoje, a spomiędzy jego chudych pośladków wystrzelił z pomrukiem wielki, śmierdzący bąk.

Wyprostował się i odwrócił, chcąc wejść z powrotem do domu, i w tym momencie usłyszał za plecami warczenie. Był to niski, potężny bulgot dochodzący tuż zza umownej granicy, oddzielającej jego zarośnięte boczne podwórko od rozciągającej się dalej łąki.

Odwrócił się szybko w tamtą stronę, zapominając o bólu głowy, zapominając o łomoczącym i ryczącym sercu, zapominając o skurczu żołądka. Od dawna już nie nachodziły go przebłyski wspomnień z francuskiego frontu, ale teraz przytrafił mu się taki przebłysk. Niemcy! Niemcy! Oddział, padnij! - zatrzeszczało mu nagle w głowie.

Ale to nie byli Niemcy. Trawy się rozstały i z zarośli wynurzył się Cujo.

- Hej, stary, czego warczysz, sukin... - zaczął Gary i głos uwiązł mu w krtani.

Minęło już dwadzieścia lat od dnia, w którym ostatni raz widział wściekłego psa, ale takiego widoku się nie zapomina. Było to na stacji benzynowej Amoco, na wschód od Machias. Wraciał wtedy z kempingu pod Eastport. Jechał starym motocyklem marki Indian, którego miał przez jakiś czas w połowie lat pięćdziesiątych. Nagle zza budynku tej stacji wyłonił się niczym duch zziąjany, wychudzony, żółty pies. Robił bokami w rytm spazmatycznego, płytkiego oddechu.

Piana leciała mu z pyska nieprzerwanym wodnistym strumieniem. Przewracał dziko ślepiami. Zadnie łapy miał zapaćkane gównem. Zataczał się na boki, zupełnie jakby jakiś dowcipniś napoił go podłą whisky.

"Jasna cholera, znowu tu jest" - mruknął pompierz. Upuścił klucz francuski, który trzymał w ręku, i wpadł do maleńkiej zagraconej pakamery przylegającej do garażu stacji. Wyskoczył stamtąd po chwili z karabinem w usmarowanych, wielkich jak bochny łapskach. Wybiegł przed budynek, przykląkł na jedno kolano i zaczął strzelać. Pierwszy pocisk poszedł nisko, odrywając psu zadnią łapę. Trysnęła krew. Zwierzak ani drgnął, przypominał sobie Gary, wlepiając teraz wzrok w Cujo, rozglądał się tylko tępo dookoła, jakby nie zdawał sobie zupełnie sprawy, co się z nim dzieje. Druga salwa pompierza niemal przecięła go na pół. Wnętrznosci rozbryznięty się po jednym z dystrybutorów czarnoczerwoną plamą. W chwilę później pod stację podjechało trzech facetów, trzech kozaków z okręgu Washington stłoczonych ramię przy ramieniu w kabinie dodge'a pikapu z 1940 roku. Wszyscy trzej byli uzbrojeni. Wysypali się z wozu i władowali psu w łeb kolejne osiem albo dziewięć kulek. W godzinę później, kiedy pompierz kończył montowanie nowego przedniego reflektora w motocyklu Gary'ego, studebackerem bez drzwi od strony pasażera przyjechała kobieta pełniąca funkcję rakarza okręgowego. Naciągnęła długie gumowe rękawice i odcięła to, co zostało z psiego łba, do badania w Stanowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Cujo wyglądał bez porównania żwawiej od tamtego żółtego psa sprzed lat, ale inne objawy były takie same. Jeszcze go na dobre nie wzięło, przemknęło przez myśl Gary'emu. Taki jest

bardziej niebezpieczny. Jezu święty, trzeba się dostać do karabinu...

Zaczął się cofać.

- Cześć, Cujo... dobry pies, dobry chłopczyk, dobry piesek...

Cujo stał na skraju zachwaszczonego trawnika i warczał.

Opuścił swój wielki łeb, ślepią miał przekrwione i szkliste.

- Dobry piesek...

Cujo nie rozumiał słów wypowiedzianych przez MEŹCZYZNĘ. Były dla niego nic nieznaczącymi dźwiękami, były jak wiatr. Liczyła się tylko woń zalatująca od MEŹCZYZNY. Była gorąca, wstrętna i ostra. Była to woń strachu. Doprowadzała do szału i nie dawała się znieść. Zrozumiał nagle, że to przez tego MEŹCZYZNĘ tak źle się czuje. Skoczył naprzód, a bulgot dobywający mu się z klatki piersiowej przeszedł w przerażający ryk wściekłości.

Widząc, że pies pędzi na niego, Gary odwrócił się i rzucił do ucieczki. Jedno ugryzienie, jedno zadrapanie oznaczało śmierć. Biegł do ganku i do bezpieczeństwa domu za tym gankiem. Ale dało o sobie znać zbyt wiele wlanych w siebie drinków, zbyt wiele długich zimowych dni spędzonych przy piecu i zbyt wiele długich letnich nocy przesiedzianych na ogrodowym krzeselku. Słyszał za plecami zbliżającego się psa, a potem na straszny ułamek sekundy te odgłosy ucichły i zrozumiał, że Cujo skoczył.

Kiedy dopadał pierwszego rozchwierutanego stopnia schodków prowadzących na ganek, dwustufuntowy bernardyn runął na niego od tyłu z całym impetem, zwalając z nóg i wybijając powietrze z płuc. Poczul jego oddech na karku. Próbował niezdarnie zerwać się na nogi, ale pies wziął go pod siebie i bez trudu przygniótł całym swoim ciężarem z powrotem do ziemi. Gary zaczął się dusić, bo gęste futro

porastające psi brzuch odcinało mu niemal całkowicie dopływ powietrza. Wrzasnął.

Potężne szczęki Cujo zacisnęły się na barku Gary'ego, kły przebiły z chrzęstem nagą skórę, zatapiając się w mięsie, wyszarpując ścięgna niczym druty. Popłynęła krew. Gary czuł, jak ścieka mu ciepłymi strumykami po chudym ramieniu. Przekręcił się na plecy i zaczął okładać psa pięściami. Cujo cofnął się trochę i Gary zdołał wgramolić się na czworakach trzy stopnie w górę. I wtedy bernardyn znowu zaatakował.

Gary kopnął psa. Cujo wykonał unik, po czym szczerząc kły i warcząc, ponowił atak od drugiej strony. Piana leciała mu z pyska i Gary czuł jego oddech. Śmierdział zgnilizną - ostrą i podeszłą ropą. Gary zwinął prawą dłoń w pięść i wyprowadził sierpowego, trafiając psa w dolną szczękę. Wstrząs uderzenia przeniósł mu się po ręce aż do barku, który płonął żywym ogniem od głębokiej szarpanej rany.

Cujo znowu się cofnął.

Gary patrzył na psa. Chuderlawa, bezwłosa pierś falowała szybko. Twarz miał spopieliała. Krew lejąca się z rany w barku rozpryskiwała się na drewnianych schodkach ganku.

- No chodź, sukinsynu - wysapał. - No chodź tu, chodź, sram już na to. Słyszysz? Sram na to! - wrzasnął.

Ale Cujo cofnął się jeszcze dalej.

Nadal nie rozumiał słów, ale od MĘŻCZYZNY nie zalatywało już strachem. Cujo nie był teraz pewien, czy chce go dalej atakować, czy nie. Cierpiał, cierpiał tak strasznie, a świat wokół niego był zwariowaną gmatwaniną doznań i wrażeń...

Gary podźwignął się na rozdygotane nogi. Wspiął się tyłem po dwóch ostatnich schodkach ganku, wycofał się przez

ganeł i namacał za sobą gałkę siatkowych drzwi. Bark rwał, jakby nalano mu pod skórę surowej benzyny. W głowie ryczało: Wścieklizna! Mam wściekliznę!

Mniejsza z tym. Nie wszystko naraz. Karabin jest w szafie w korytarzu. Dzięki Bogu, że Charity i Brett Camberowie wyjechali.

Zacisnął dłoń na gałce siatkowych drzwi i pociągnął, uchylając je lekko. Nie spuszczać wzroku z Cujo, wsunął się tyłem do środka i szczelnie zamknął drzwi za sobą. Spłynęło na niego uczucie niewysłowionej ulgi. Nogi miał jak z gumy. Świat odpłynął gdzieś na moment i musiał się ratować przed utratą przytomności, wysuwając język i przygryzając jego koniuszek. Nie czas teraz, żeby mdleć jak pensjonarka. Może to zrobić później, kiedy pies będzie już martwy. Chryste, ale niewiele brakowało tam na ganku - myślał, że już po nim.

Odwrócił się i ruszył mrocznym korytarzykiem w kierunku ściennej szafy. W tym samym momencie Cujo, szczerząc zęby w przerażającej parodii szyderczego uśmiechu, z dobywającą się z piersi lawiną rozjuszonego charkotu, przebił jak pocisk dolną siatkę drzwi.

Gary krzyknął i odwrócił się w samą porę, by zdążyć jeszcze chwycić obiema rękami rzucającego się na niego psa. Cofnął się pod naporem Cujo w głąb korytarzyka, objając się o ściany i usiłując utrzymać na nogach. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby tańczyli walca. Potem Gary, który był o dobre pięćdziesiąt funtów lżejszy, upadł. Dotarło do niego mgliscie, że pysk Cujo niknie mu gdzieś pod brodą i że jego nos jest chorobliwie gorący i suchy. Przyszło mu do głowy, żeby wdusić psu kciukami oczy i chciał poderwać ręce, ale już nie zdążył, bo w tym momencie Cujo chwycił go za gardło i

rozerwał je. Gary krzyknął i pies szarpnął znowu. Gary poczuł rozbryzg ciepłej krwi na twarzy i pomyślał: Boże święty, to moja krew! Przez chwilę młócił jeszcze bezskutecznie słabnącymi rękami boki Cujo, nie wyrządzając psu żadnej krzywdy. W końcu dał za wygraną.

Nozdrza łaskotała mu mdła, zawieszista woń kapryfolium.

- Co ty tam takiego widzisz?

Brett odwrócił nieco głowę w stronę, skąd dobiegał głos matki. Nie do końca - nie chciał nawet na chwilę odrywać oczu od widoku przesuwanego się za oknem. Autobus był już w drodze od co najmniej godziny. Przejechawszy przez Million Dollar Bridge, znaleźli się w południowym Portland i włączyli w strumieniu pojazdów sunące autostradą na południe. Zbliżali się już do granicy stanu New Hampshire.

- Wszystko - odparł Brett. - A co ty widzisz, mamo? Twoje odbicie w szybie, pomyślała, a i to ledwie-ledwie.

Oto, co widzę.

- No, chyba świat - odpowiedziała głośno. - Widzę przesuwaną się przed nami świat.

- Chciałbym tak jechać tym autobusem aż do samej Kalifornii. Żeby zobaczyć na własne oczy to wszystko, co jest w książkach geograficznych w szkole.

Roześmiała się i poczochrała go po włosach.

- Szybko by ci się to znudziło, Brett.

- Nie, nie znudziłoby się.

Charity poczuła się nagle smutno i staro. Kiedy w sobotę rano zadzwoniła do Holly, żeby spytać, czy mogą przyjechać, Holly nie posiadała się z radości i ta jej radość sprawiła, że Charity poczuła się młodziej. Dziwne więc, że radość synka podziałała na nią odwrotnie. Nieważne...

Jaka właściwie przyszłość go czeka? - zadała sobie pytanie, wpatrując się w widmową twarz Bretta nałożoną na przesuwający się za oknem krajobraz. Był inteligentny, inteligentniejszy od niej i o wiele inteligentniejszy od Joego. Powinien kontynuować naukę w college'u, ale wiedziała, że kiedy skończy podstawówkę, Joe każe mu się zapisać na kursy naprawy i konserwacji pojazdów samochodowych, żeby mieć z niego pomoc w warsztacie. Przed dziesięcioma laty taki numer by nie przeszedł: ci z kuratorium nie dopuściliby, żeby chłopiec tak zdolny jak Brett poszedł na zawodowy kurs rzemieślniczy, ale lękała się bardzo, że teraz, w dobie swobodnego decydowania o kierunku nauki, może do czegoś takiego dojść.

Kiedyś wmawiała sobie jeszcze, że szkoła to odległa, bardzo odległa przyszłość - szkoła średnia, prawdziwa szkoła. Dla chłopca, któremu nauka przychodziła z taką łatwością jak Brettowi, podstawówka była tylko zabawą. Ale w szkole średniej pojawiała się już kwestia podejmowania wyborów. Jeśli się dokonało niewłaściwych, w późniejszym wieku zamykały się kolejno drzwi za drzwiami.

A do szkoły średniej pozostały Brettowi już tylko cztery lata. Nagle pożałowała szczerze, że w ogóle wygrała te pieniądze, a skoro już, to że nie zgubiła losu. Zaledwie przed godziną pożegnali się z Joem, ale dla niej była to pierwsza rozłąka z mężem od dnia ich ślubu w 1966 roku. Od czternastu lat. Nie zdawała sobie sprawy, że zamiast radości będzie odczuwać taką gorycz. Kobieta i chłopiec uwolnieni z ponurej twierdzy... ale to tylko pozory. Do pleców mają przytwierdzone wielkie haczyki, a od tych haczyków bieżą mocne, niewidzialne, gumowe taśmy. I zanim zdołasz zbytnio

się oddalić, guma ściąga cię z powrotem na kolejne czternaście lat! Z jej gardła dobył się cichy, chrypliwy jęk.

- Mówiłaś coś, mammo?

- Nie. Tylko odchrząkiwałam.

Przejął ją dreszcz i na jej rękach wystąpiła gęsia skórka. Przypomniała sobie linijkę wiersza, który przerabiała kiedyś w szkole średniej na lekcjach angielskiego (bardzo chciała iść do college'u, ale kiedy to powiedziała, ojciec się wściekł - wyobraża sobie, że są tacy bogaci? - a matka łagodnie ją zbesztła). Był to wiersz Dylana Thomasa i nie pamiętała całego, ale było w nim coś o poddawaniu się wyrokom miłości.

Ta linijka wydawała jej się wtedy dziwna i niejasna, teraz jednak chyba ją zrozumiała. Bo jak inaczej można nazwać te mocne, niewidzialne, gumowe taśmy, jeśli nie miłością? Czy zamierza wmawiać sobie, że nie kochała albo że już nie kocha mężczyzny, którego poślubiła? Że jest z nim tylko z poczucia obowiązku albo przez wzgląd na dziecko? (O ironio: gdyby kiedykolwiek go opuściła, zrobiłaby to właśnie przez wzgląd na dziecko). Że nigdy nie zadowalał jej w łóżku? Że nie potrafił okazywać czułości?

A jednak... a jednak...

Brett wyglądał zachwycony przez okno.

- Myślisz, że Cujo nic nie jest, mammo? - spytał, nie odwracając głowy.

- Jestem pewna, że wszystko z nim w porządku - odparła nieobecny głosem.

Przyłapała się, że po raz pierwszy w życiu myśli o rozwodzie i zastanawia się, co mogłaby zrobić, żeby utrzymać siebie i synka. Gdyby ona i Brett nie wrócili z tej podróży do domu, czy Joe zacząłby ich szukać, jak zapowiadał niby to żartem na

dworcu w Portland? Może pozwoliłby jej odejść, ale starał się odzyskać Brettę - uczciwymi sposobami... albo podstępem.

Zaczęła rozważać w myślach rozmaite warianty, dochodząc nagle do wniosku, że trochę perspektywicznego spojrzenia nie jest niczym zdrożnym. Jest to bolesne, ale może okazać się praktyczne.

Greyhound, mijając granicę stanu, wjechał do New Hampshire i pomknął dalej na południe.

Delta 727 wzbiła się stromo w niebo i wykonała nawrót nad Castle Rock. Vic wypatrywał swego domu w okolicach Castle Lake i Drogi Nr 117, ale jak zawsze bezskutecznie. Od Logan Airport dzieliło ich dwadzieścia minut lotu.

Tam na dole, jakieś osiemnaście tysięcy stóp pod nim, była Donna. I Tadder. Ogarnęło go nagle przygnębienie zmieszane z mrocznym przecuciem, że to się nie uda, że są niespełna rozumu, jeśli taka myśl w ogóle powstała im w głowach. Kiedy rozpada się dom, trzeba zbudować nowy. Nie da się poskładać z powrotem starego i posklejać go klejem Elmera.

Podeszła stewardesa. Lecieli pierwszą klasą ("Zaszalejemy, póki nas jeszcze na to stać, stary", zdecydował Roger w ostatnią środę, kiedy rezerwowali miejsca; "Jak już schodzić na dziady, to z fasonem"), którą oprócz nich wybrało zaledwie kilka osób. Prawie wszyscy - z Rogerem włącznie - czytali poranną gazetę.

- Podać coś panu? - zagadnęła Rogera z zawodowym, promiennym uśmiechem, który zdawał się mówić, jaka jest szczęśliwa, że musiała zerwać się o wpół do szóstej rano, by wziąć udział w locie Bangor-Portland-Boston-Nowy Jork-Atlanta.

Roger pokręcił z roztargnieniem głową i dziewczyna zwróciła się ze swym rutynowym uśmiechem do Vica.

- A panu, sir? Bułeczkę maślaną? Sok pomarańczowy?

- Może mi pani wymieszać śrubokręta? - spytał Vic i głowa Rogera poderwała się sprężysto z nad gazety.

Uśmiech na ustach stewardesy nie przybladł ani na jotę; prośba o drinka przed dziewiątą rano nie była dla niej niczym nowym.

- Mogę - powiedziała - ale będzie się pan musiał pośpieszyć, żeby go dopić do końca. Do Bostonu tylko chwilka.

- Zdążę - obiecał Vic i dziewczyna ruszyła dalej przejściem między fotelami, olśniewająca w fioletowym uniformie i ze swoim uśmiechem.

- Co z tobą? - spytał Roger.

- A co ma być?

- Wiesz, o czym mówię. Nie widziałem jeszcze, żebyś przed południem wypił choćby piwo. Zwykle przed siedemnastą nie bierzesz alkoholu do ust.

- Woduję okręt - mruknął Vic.

- Jaki znów okręt?

- R.M.S. "Titanic" - wyjaśnił Vic. Roger zmarszczył czoło.

- To w niezbyt dobrym guście, nie sądzisz?

Prawdę mówiąc, Vic też tak uważał. Roger zasługiwał na coś lepszego, jednak tego ranka przygnębienie spowijające Vica niczym cuchnący koc odbierało mu cały koncept. Zdobył się na raczej ponury uśmiech. Roger nadal patrzył na niego podejrzliwie.

- Posłuchaj - powiedział Vic - mam pomysł na tę aferę z Zingersami. Trudno będzie przekonać do niego starego Sharpa i jego smarkacza, ale może przynieść efekty.

Rogeroi jakby ulżyło. Na tym właśnie polegała ich współpraca; Vic był człowiekiem od surowych pomysłów.

Roger od szlifowania ich i wdrażania. Kiedy przychodziło do

przekładania pomysłów na środki wyrazu oraz prezentację, pracowali zawsze jako zespół.

- Co to za pomysł?

- Daj mi trochę czasu - poprosił Vic. - Może do dzisiejszego wieczoru. Wtedy wciągniemy go na maszt...

- ...i jeszcze zobaczymy, komu pójdzie w piętę - dokończył z uśmiechem Roger. Otworzył znowu gazetę na dziale finansowym. - Okay. Ale tylko do wieczora. W zeszłym tygodniu akcje Sharpa znowu poszły w górę o osiem punktów. Wiedziałaś o tym?

- Pięknie - mruknął Vic i spojrzał znowu za okno. Po mgle nie pozostało już śladu; dzień był kryształowo czysty. Plaże w Kennebunk, Ogunquit i York tworzyły panoramiczną pocztówkę - kobaltowoniebieskie morze, piasek khaki, a dalej krajobraz Maine, na który składały się niskie wzgórza, otwarte przestrzenie i gęste pasmo jodeł ginące z oczu na zachodzie. Pięknie. To piękno przygnębiło go jeszcze bardziej.

Gdyby zebrało mi się teraz na płacz, zawsze się mogę schować w sraczu, pomyślał ponuro. A wszystko przez te głupie sześć zdań z tamtego kawałka papieru. Świat jest jednak cholernie kruchy, kruchy jak te wydmuszki, wszystkie z wierzchu pięknie pomalowane, ale puste w środku. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu przemyślał nad zabranieniem synka i wyprowadzeniem się z domu. A teraz zastanawia się, czy kiedy wrócą z Rogerem, zostanie tam jeszcze Donnę i Tada. Czy Donna byłaby zdolna zabrać dziecko i wynieść się z domu, na przykład do matki do Poconos?

Pewnie, że byłaby. Może dojść do wniosku, że dziesięć dni rozłąki to za mało, za mało dla niego, za mało dla niej. Ze

może lepsze byłoby pół roku separacji. I to ona miała teraz Tada. Posiadanie to dziewięć dziesiątych prawa, czyż nie?

A może, odezwał się podstępny, judzący głos, może ona wie, gdzie jest teraz Kemp? Może postanowi do niego odejść i spróbować żyć przez pewien czas z tamtym. Będą mogli wracać razem do swoich szczęśliwych wspomnień. Nie ma co, bardzo sympatyczne rozważania jak na poniedziałkowy poranek, zganiał się zde gustowany.

Ale ponure myśli go nie odstępowały. To znaczy odstąpiły, lecz niezupełnie.

Wysuszył ostatnią kropelkę śrubokręta, zanim samolot zdążył dotknąć kołami pasa startowego Logan. Wiedział, że teraz przez cały ranek będzie go prześladował nieprzyjemnie cierpki posmak w ustach - że będzie powracał, podobnie jak myśl o związku Donny ze Steve'em Kempem, choćby połknął całą paczkę miętusów - ale przygnębienie trochę ustąpiło i może jednak, choćby z tego powodu, warto się było pomęczyć.

Może.

Joe Camber wpatrywał się z niedowierzaniem we fragment drewnianej podłogi garażu pod samym imadłem. Zsunął sobie zielony kapelusz z powrotem na czoło, popatrzył jeszcze przez chwilę na to, co tam się znajdowało, po czym włożył palce do ust i gwizdnął przeraźliwie.

- Cujo! Hej, stary, do mnie! Cujo, chodź no tu!

Gwizdnął jeszcze raz i schylił się, wspierając dłońmi o kolana. Pies zaraz tu przyjdzie, nie miał co do tego wątpliwości. Cujo nigdy zbyt nie oddalał. Tylko jak to rozegrać?

Pies sfajdał się na podłogę garażu. Nigdy dotąd niczego podobnego nie zrobił, nawet kiedy był mały. Zsikał się parę

razy, jak to szczeniak, wywłócił włosie z siedzenia jednego czy dwóch krzesel, ale coś takiego jeszcze mu się nie przytrafiło. Joe przemknęło przez myśl, że może to sprawka jakiegoś innego psa, ale szybko odrzucił to przypuszczenie. Cujo był największym psem w Castle Rock, a duże psy dużo jedzą i walą duże kupy. Żaden pudel, wyżeł czy jakiś kundel tyle by nie nasrał. Może pies wyczuł, że Charity z Brettem wyjeżdżają i okazywał w ten sposób, jak bardzo go to poruszyło. Joe słyszał o takich przypadkach.

Wziął Cujo jako zapłatę za robotę, którą wykonał w 1975 roku. Klientem był jednooki facet spod Fryburga, niejaki Ray Crowell. Crowell spędził niemal całe życie, pracując w lasach, ale wiadomo było powszechnie, że ma smykałkę do psów - znał się na ich hodowli i tresurze. Mógłby żyć sobie dostatnio, prowadząc coś, co mieszkańcy Nowej Anglii nazywali "psim interesem", ale nie miał podejścia do ludzi i zrażał potencjalnych klientów swoją gburowatością.

- Muszę wstawić nowy silnik do mojej ciężarówki - powiedział Crowell tamtej wiosny do Joego.

- Aha - odparł Camber.

- Silnik mam, ale nie mogę ci nic zapłacić za robotę. Jestem spłukany.

Stali tuż za progiem garażu Joego, żując żdźbła trawy. Brett, wtedy pięcioletni szkrab, pałętał się po podwórku, a Charity rozwieszała na sznurach pranie.

- Przykra sprawa, Ray - powiedział Joe - ale ja nie pracuję za frajer. Nie jestem organizacją dobroczynną.

- Pani Beasley właśnie się oszczeniła - poinformował go Ray.

Pani Beasley była wspaniałą bernardynką. - Miot czystej rasy.

Montujesz mi ten silnik, a ja ci za to daję najlepszego szczeniaka. Co ty na to? Wiem, że robocizna nie jest warta

tyle, co taki pies, ale bez ciężarówki nie mogę prowadzić wycinki i stoję z robotą.

- A na licho mi pies? - burknął Joe. - I to jeszcze taki wielki. Te cholerne bernardyny nic nie robią, tylko żrą.

- Tobie pies niepotrzebny - przyznał Ray, zerkając na Bretta, który akurat siedział znudzony na trawie i z braku lepszego zajęcia obserwował matkę - ale zrobiłbyś przyjemność swojemu chłopakowi.

Joe otworzył usta, lecz zaraz zamknął je z powrotem. On i Charity nie stosowali żadnego zabezpieczenia, a mimo to od narodzin Bretta nie splodzili już dziecka, a i na Bretta długo przyszło im czekać. Czasami, kiedy patrzył na synka, pytał sam siebie, czy chłopiec nie czuje się samotny. Może i tak. I może Ray Crowell ma rację. Zbliżały się urodziny Bretta. Mógłby mu na nie podarować szczeniaka.

- Zastanowię się - powiedział.

- Byle nie za długo - burknął Ray. - Zawsze mogę zwrócić się do Vina Callahana z North Conway. Taka sama z niego złota rączka jak z ciebie, Camber. A może nawet lepsza.

- Może - odparł spokojnie Joe. Gburowatość Raya Crowella ani trochę go nie wzruszała.

Tego samego tygodnia przyjechał swoim thunderbirdem kierownik sklepu z tanią żywnością i poprosił Cambera o przegląd rozrządu. Podczas gdy Joe spuszczał zużyty olej z miski olejowej, napełniał ją świeżym i naciągał paski, kierownik, który nazywał się Donovan, dreptał dookoła wozu jak zatroskana matka. Samochód był rzeczywiście prawdziwym cackiem - T-Bird z 1960 roku w idealnym stanie. Kiedy Joe kończył robotę, Donovan zwierzył się, że żona kazała mu sprzedać samochód.

- Mam zamiar sprawić swojemu chłopakowi psa - powiedział Joe w rewanżu, spuszczać T-Birda z podnośników.

- Naprawdę? - zainteresował się uprzejmie Donovan.

- Tak. Bernardyna. Na razie to jeszcze szczeniak, ale będzie dużo żart, jak dorośnie. No i przyszło mi właśnie do głowy, że może ubilibyśmy interes, ja z panem. Jeśli pan da mi rabat na suchą karmę dla psa - Gaines Meal, Ralston Purina czy co tam pan jeszcze sprzedaje - to ja od czasu do czasu przejrę panu tego T-Birda, nie licząc sobie za robociznę.

Donovan był zachwycony. Przypieczętowali umowę uściskiem dłoni. Joe zatelefonował do Raya Crowella i powiedział, że jeśli podtrzyma swoją ofertę, to on jest gotów wziąć szczeniaka. Crowell ofertę podtrzymał i kiedy nadszedł dzień urodzin synka, Joe wprawił w osłupienie zarówno Bretta, jak i Charity, składając w ramiona chłopczyka wyrywającego się, popiskującego szczeniaczka.

- Dziękuję, tatusiu, dziękuję, dziękuję! - krzyczał Brett obejmując ojca i obsypując mu policzki całusami.

- Nie ma za co - burknął Joe. - Ale musisz się nim opiekować, Brett. To twój pies, nie mój. I jak zobaczę gdzieś kałużę albo kupę, to zaprowadzę go za stodołę i zastrzelę.

- Będę się nim opiekował, tatusiu... Obiecuję!

I dotrzymywał tej obietnicy, a w tych kilku przypadkach, kiedy o niej zapomniał, posprzątał po psie bez komentarza. Joe lub Charity. Joe przekonał się, że nie sposób zachować dystansu wobec Cujo: dorastając (a rósł cholernie szybko), po prostu wrastał stopniowo w rodzinę Camberów, by w końcu stać się jej równoprawnym członkiem. Był wspaniałym, dobrym i wiernym psem.

Bardzo szybko oduczył się brudzić w domu... a teraz to. Joe odwrócił się z rękami w kieszeniach i zmarszczonym czołem. Ani śladu Cujo.

Wyszedł przed stodołę i znowu zagwizdał. Może ten przekłęty pies szuka ochłody nad strumieniem? Joe nie miałby mu tego za złe. Było już chyba ze trzydzieści stopni w cieniu. Ale pewnie zaraz wróci, a kiedy wróci, Joe wsadzi mu nos w to gównu. Zrobi to z przykrością, bo może Cujo przytrafiło się to rzeczywiście z tęsknoty za Brettem i Charity, ale taki postępek nie może mu ująć na sucho...

Nagle wpadła mu do głowy nowa myśl. Pacnął się otwartą dłonią w czoło. Kto będzie karmił Cujo, kiedy on z Garym wyjedzie?

Można by napelnić to stare koryto dla świń za stodołą pokarmem Gaines Meal - mieli w piwnicy około tony zapasu tego specyfiku - ale się rozpaćka, jeśli spadnie deszcz. A jeśli zostawi żarcie w domu albo w stodole, psu może się przewrócić we łbie i znowu nasra na podłogę. Poza tym Cujo był wielkim obżartuchem. Opychałby się przez pół pierwszego dnia, pół drugiego, a potem włóczył głodny aż do powrotu pana.

- Cholera - zaklął pod nosem Joe.

Pies się nie pojawiał. Prawdopodobnie wie, że Joe odkrył już bałagan, jakiego narobił, i wstydzi się. Cujo był psem bardzo inteligentnym i uświadomienie sobie takiego czegoś nie przekraczało bynajmniej możliwości jego umysłu.

Joe wziął łopatę i uprzętnął psie odchody. Wylał na to miejsce nakrętkę przemysłowego środka czyszczącego, który zawsze trzymał pod ręką, wytarł je szmatą i na koniec splukał wiadrem wody z kranu zainstalowanego w głębi warsztatu.

Uporawszy się z tym, wziął mały notes ze spiralnym grzbietem, w którym zapisywał sobie harmonogram prac, i przejrzał wpisy. International harvester Richiego był właśnie w robocie - skoro ma teraz ten wyciąg łańcuchowy, wymontowanie silnika pójdzie jak z płatka. Naprawę skrzyni biegów przesunie na późniejszy termin - nauczyciel był człowiekiem zgodnym i cierpliwym. Miał jeszcze nagrane z pół tuzina innych napraw, ale były to same drobnostki.

Wszedł do domu (ani myślał instalować telefonu w warsztacie; za taką dodatkową linię liczą sobie od groma, wyjaśnił Charity) i zaczął wydzwaniać do ludzi i powiadamiać ich, że musi wyjechać na kilka dni w interesach. Zdąży wrócić, zanim większość z nich zwróci się ze swoimi problemami do kogoś innego. A jeśli któryś nie będzie mógł trochę poczekać na wymianę paska klinowego albo węża chłodnicy, to pies go drapał.

Obdzwoniwszy wszystkich klientów, wrócił do stodoły. Czekala go jeszcze wymiana oleju i pierścieni. Klient obiecał, że wróci po wóz przed południem. Joe zabrał się do roboty. Bez Charity i Bretta... i bez Cujo obejście wydawało mu się nienaturalnie ciche. Bernardyn leżał zwykle w kałuży cienia pod wielkimi, przesuwными wrotami garażu, ziając i obserwując swego pana przy pracy. Joe zagadywał do niego od czasu do czasu, i za każdym razem Cujo zdawał się uważnie słuchać.

Opuścili go, pomyślał z pewnym rozgoryczeniem. Opuścili go wszyscy troje. Zerknął na miejsce, w którym Cujo nabrudził, i znowu pokręcił głową z mieszaniną odrazy i niedowierzania. Powróciło pytanie, jak rozwiąże problem karmienia psa na czas wyjazdu, lecz znowu nic nie wymyślił. No nic, zadzwoni później do starego Perwersa. Może ten coś

wykombinuje - narai, dajmy na to, jakiegoś dzieciaka, który podejmie się wpaść tu przez dwa-trzy dni i dawać Cujo zreć. Pokiwał głową, nastawił radio na stację WOXO z Norway i podkręcił je na cały regulator. Właściwie nie słuchał niczego poza wiadomościami i kroniką sportową, ale zawsze to różniej. Zwłaszcza że nikogo nie ma w domu. Przystąpił do pracy. Telefon w domu dzwonił kilkanaście razy, lecz on go nie usłyszał.

Tad Trenton siedział przed południem u siebie w pokoju i bawił się swoimi ciężarówkami. W ciągu czterech lat życia uzbierał ich ze trzydzieści. Była to bogata kolekcja, obejmująca okazy od autek za siedemdziesiąt dziewięć centów, które tata kupował mu czasami w Bridgton Pharmacy, gdzie w środowe wieczory zaopatrywał się zawsze w magazyn "Time" (ciężarówkami za siedemdziesiąt dziewięć centów trzeba się było bawić bardzo ostrożnie, bo widniał na nich napis MADE IN TAIWAN i miały tendencje do rozlatywania się), do wozu flagowego całego taboru, wielkiego żółtego buldożera Tonka, który sięgał mu do kolan, kiedy stał.

Miał też rozmaitych "ludzików", których wpychał w kabiny ciężarówek. Część z nich stanowili okrągłogłowi faceci pożyczeni z zabawek PlaySkool. Byli też żołnierze. Niemalą grupę tworzyli bohaterowie Wojen Gwiezdnych. Należeli do nich Luke, Han Solo, Darth Vader, Wojownik z Bespin i absolutny faworyt Tada, Greedo. Greedo prowadził zawsze buldożer Tonka.

Raz bawił się swoimi ciężarówkami w "Książąt Rzyka", kiedy indziej w "B. J. i niedźwiedzia" albo w Policjantów i Złodziei (tatuś i mama zabrali go kiedyś do kina dla zmotoryzowanych w Norway na "Białe Błyskawice" i film

zrobił na nim wielkie wrażenie), czasami zaś w grę, której scenariusz sam ułożył. Nazywała się Skasowanie Dziesięciu Ciężarówek.

Ale zabawa, do której wracał najczęściej - i w którą bawił się dzisiaj - nie miała nazwy. Polegała na ustawieniu ciężarówek z ludzikami na środku pokoju pod kątem, jedna obok drugiej, tak jakby parkowały ukośnie do krawężnika ulicy, która istniała tylko w wyobraźni Tada. Następnie przeprowadzał każdą powoli w drugi koniec pokoju i tam parkował zderzak w zderzak. Czasami powtarzał tę operację po kilkanaście razy, przez godzinę albo i dłużej, i wcale go to nie nużyło.

Vic i Donna nie wiedzieli, co myśleć o tej zabawie. Z niepokojem patrzyli, jak Tad wciąż powtarza ten sam, niemal rytualny wzór. Oboje spytali go kiedyś, o co w tym chodzi, ale Tadowi brakowało słów, żeby im to wyjaśnić. "Księżęta Ryzyka", Policjanci i Złodzieje oraz Skasowanie Dziesięciu Ciężarówek były prostymi zabawami polegającymi na powodowaniu serii widowiskowych karamboli. Zabawa bez nazwy była cicha, spokojna, zrównowazona, uporządkowana. Gdyby Tad dysponował zasobem słów, powiedziałby może rodzicom, że to jego sposób na otwarcie sobie drzwi do kontemplacji i refleksji.

Bawiąc się teraz, przeczuwał, że coś jest nie w porządku.

Jego wzrok powędrował automatycznie - bez udziału świadomości - w kierunku drzwi do ściennej szafy, ale to nie tam tkwił problem. Drzwi były dokładnie zamknięte i od czasu powstania Słów na Potwora już się same nie otwierały.

Nie, to coś nie w porządku wiązało się z czymś innym.

Nie wiedział dokładnie, z czym takim, i nie był pewien, czy chce wiedzieć. Ale, podobnie jak Brett Camber, posiadał już zdolność wyczuwania prądów rodzicielskiej rzeki, po której

pływał. Od niedawna odnosił wrażenie, że pojawiły się w niej czarne wiry, mielizny, może nawet jakieś pułapki skryte tuż pod powierzchnią. Można się w niej było spodziewać katarakt. Wodospadu. Wszystkiego.

Stosunki między matką i ojcem nie układały się dobrze. Odczytywał to ze sposobu, w jaki na siebie patrzyli. Ze sposobu, w jaki ze sobą rozmawiali. Widać to było z ich twarzy i pod nimi, w ich myślach.

Zakończył operację przeprowadzania zaparkowanych ukosem ciężarówek w drugi koniec pokoju, ustawił je tam jedna za drugą, podniósł się z podłogi i podszedł do okna. Kolana trochę go bolały, bo dosyć długo bawił się na klęczkach. Na podwórku za domem matka rozwieszała pranie. Półtorej godziny temu próbowała się dodzwonić do pana, który potrafił zreperować pinto, ale tego pana nie było w domu. Długo czekała, żeby ktoś odebrał telefon, i w końcu ze złością cisnęła słuchawkę na widełki. A jego mama nigdy dotąd nie złościła się z powodu takiego byle czego.

Patrzył, jak kończy wieszac dwa ostatnie prześcieradła. Spojrzała na nie i jakby się przygarbiła. Oparła się o pień jabłoni za dwoma sznurami suszącej się bielizny i z jej postawy - rozstawionych nóg, pochylonej głowy, poruszających się nieznacznie ramion Tad domyślił się, że płacze. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym ukląkł na podłodze i wrócił na czworakach do swoich ciężarówek. W brzuchu miał pustkę. Tęsknił już za ojcem, bardzo tęsknił, ale to było jeszcze gorsze.

Zaczął przeprowadzać ciężarówki, jedna po drugiej, przez pokój i parkować je na środku wzdłuż wyimaginowanego krawężnika. Przerwał na dźwięk trzaskających siatkowych drzwi od podwórka. Spodziewał się, że matka go zawoła, ale

tego nie zrobiła. Usłyszał jej kroki, kiedy szła przez kuchnię, a potem skrzypnięcie specjalnego fotela w living-roomie, kiedy siadała. Ale telewizor nie zagrał. Wyobraził ją sobie, jak tam siedzi, po prostu siedzi... i odpędził od siebie, czym prędzej wymazał z pamięci tę myśl.

Zakończył ustawianie ciężarówek w rząd. W kabinie buldożera, patrząc tępo czarnymi okrągłymi oczkami na drzwi ściennej szafy, siedział Greedo, jego ulubieniec. Wybałuszał te oczka, jakby coś tam widział, coś tak strasznego, że musiał je wytrzeszczyć, coś naprawdę okropnego, coś przerażającego, coś, co nadciąga...

Tad zerknął nerwowo na drzwi szafy. Były zamknięte na zatrzask.

Tak czy inaczej, zabawa już go znudziła. Powkładał ciężarówki z powrotem do pudełka na zabawki, specjalnie postukując nimi głośno, żeby matka wiedziała, że zaraz zejdzie na dół obejrzeć "Gunsmoke" na kanale 8. Ruszył do drzwi i nagle zatrzymał się, spoglądając z fascynacją na Słowa na Potwora.

Potwory, trzymajcie się z dala od tego pokoju!

Nie macie tu nic do roboty.

Znał je na pamięć. Lubił na nie patrzeć, odmawiać je z głowy, patrzeć na pismo taty.

Przez całą tę noc żaden nie tknie Tada, żaden go nie skrzywdzi.

Nie macie tu nic do roboty.

Pod wpływem nagłego impulsu wyciągnął pinezkę, którą kartka przypięta była do ściany. Ujął Słowa na Potwora ostrożnie, niemal z nabożeństwem w ręce, a potem złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni dżinsów. Czując się już o wiele

lepiej, zbiegł po schodach na dół, żeby obejrzeć przygody szeryfa Dillona i Festusa.

Ten ostatni klient zjawił się po odbiór swojego samochodu za dziesięć dwunasta. Zapłacił gotówką i Joe wsunął banknoty do starego, wyszmelcowanego portfela, wbijając sobie w pamięć, żeby, zanim ruszą z Garym w drogę, wstąpić do Norway Savings i podjąć jeszcze z pięć setek.

Na myśl o podróży przypomniał mu się Cujo i problem znalezienia kogoś, kto go będzie karmił. Wsiadł do swojego forda kombi i zjechał do Gary'ego Perviera mieszkającego u stóp wzgórza. Zaparkował na podjeździe i wysiadł. Ale kiedy postawił nogę na pierwszym stopniu schodków prowadzących na ganek, okrzyk, który chciał już wydać, zamarł mu nagle w krtani. Cofnął nogę i pochylił się nad schodkami. Była na nich krew.

Joe dotknął jej palcami. Zgęstniała już, jednak jeszcze całkiem nie zakrzepła. Wyprostował się zaniepokojony, ale tylko trochę. Gary mógł być przecież pijany - pewnie potknął się ze szklaneczką w dłoni. Nie na żarty zaniepokoił go dopiero widok rozerwanego dolnego płata porzewiałej siatki w siatkowych drzwiach prowadzących z ganku do wnętrza domu.

- Gary...?

Nie było odpowiedzi. Może ktoś miał do starego Gary'ego jakieś żale i wpadł wyrównać rachunki. Albo może jakiś turysta zaszedł spytać o drogę i Gary wybrał sobie zły dzień na doradzenie mu, żeby spierdalał w podskokach na księżyc.

Wszedł po schodkach na ganek. I tutaj deski pochlapane były krwią.

- Gary! - zawołał znowu i nagle zapragnął poczuć w zgięciu prawej ręki ciężar swojego karabinu. Ale jeśli nawet ktoś

spuścił Gary'emu manto, rozkwaśił mu nos albo może wybił te marne parę zębów, jakie mu pozostały, to tego kogoś już tu nie ma, bo jedynym samochodem na podwórku, nie licząc przerdzewiałego forda kombi LTD Joe, był biały chrysler Gary'ego z 1966 roku. A Drogą Miejską Nr 3 nie chodzi się na piechotę. Od domu Perviera było do miasteczka siedem mil, a do Mapie Sugar Road, którą można było dojechać do Szosy 117, dwie mile.

Bardziej prawdopodobne, że się po prostu sam poharatał, pomyślał Joe. Tylko, na Boga, lepiej żeby przeciął sobie rękę, a nie gardło.

Otworzył siatkowe drzwi. Zaskrzypiały na zawiasach.

- Gary...?

Nadal żadnej odpowiedzi. Unosił się tu mdląco-słodki zapach, który mu się nie podobał i który Joe wziął z początku za woń kapryfolium. Po lewej miał schody prowadzące na piętro, a przed sobą wiodący do kuchni korytarzyk, w którego połowie, po prawej stronie, znajdowało się wejście do living-roomu.

W korytarzyku na podłodze coś leżało, było jednak za ciemno, żeby rozpoznać na odległość, co to takiego. Wyglądało jak przewrócony stolik albo coś w tym rodzaju... ale Joe nie przypominał sobie, żeby w sieni Gary'ego stał kiedykolwiek jakiś mebel. Pervier wstawiał tu co prawda swoje ogrodowe krzeselka, kiedy padało, ale od dwóch tygodni nie spadła kropla deszczu. Poza tym wszystkie krzeselka znajdowały się teraz tam, gdzie zazwyczaj, czyli na zewnątrz, przy chryslerze Gary'ego. Przy kapryfolium.

Nie, to nie był zapach kapryfolium. To był zapach krwi. Mnóstwa krwi. I to nie był przewrócony stolik.

Joe podszedł szybkim krokiem do majaczącego w korytarzyku kształtu. Serce waliło mu jak młotem, krew

tętniła w uszach. Przyklął i z krtani wyrwał mu się przechodzący w skowyt jęk. W korytarzyku zrobiło się nagle za gorąco i za ciasno. Miał wrażenie, że zaraz się udusi. Odwrócił się od ciała, zatykając sobie dłonią usta. Ktoś zamordował Gary'ego. Ktoś...

Zmusił się, żeby spojrzeć jeszcze raz. Gary leżał w kałuży własnej krwi. Niewidzącymi oczami wpatrywał się w sufit. Gardło miał rozcięte. Nie, nie rozcięte, dobry Boże, wyglądało, jakby je rozerwano.

Joe nie walczył już z buntującym się żołądkiem. Po prostu zwrócił całą jego zawartość przy wtórze serii zdławionych, spazmatycznych postękiwań. W głębi podświadomości poczuł idiotyczną, dziecinną urazę do Charity. Wybrała się w swoją podróż, ale on się w swoją nie wybierze. Nie wybierze się, bo jakiś świrnięty skurwysyn odwalił robotę Kuby Rozpruwacza na biednym, starym Garym Pervierze i musi zadzwonić na policję. Mniejsza z tym, że oczy starego Perwersa wpatrują się w półmroku w sufit, że zapach jego krwi, przypominający zapach piłowanej miedzi, miesza się z mdląco-słodką wonią kapryfolium.

Wstał i zataczając się ruszył w kierunku kuchni. Pojękiwał cicho, ale prawie nie zdawał sobie z tego sprawy. Telefon wisiał w kuchni na ścianie. Trzeba powiadomić policję stanową, szeryfa Bannermana, kogoś...

Zatrzymał się w progu jak wryty. Oczy omal nie wyszły mu z orbit. Tuż za progiem piętrzyła się kupka psich odchodów. Z jej wielkości domyślił się, czyjego psa to sprawka.

- Cujo - wyszeptał. - O mój Boże, Cujo się wściekł!

Wydało mu się, że usłyszał za sobą jakiś szmer i odwrócił się na pięcie, czując, jak włosy jeżą mu się na karku. W korytarzyku nie było nikogo prócz Gary'ego, Gary'ego, który

powiedział poprzedniego wieczoru, że Joe nie dałby rady poszczuć Cujo nawet na wrzeszczącego czarnucha, Gary'ego z gardłem rozdartym aż po kość gnykową.

Nie było sensu ryzykować. Pognał korytarzykiem w kierunku drzwi wejściowych. Mijając Gary'ego, poślizgnął się na jego krwi i zostawił za sobą wydłużony ślad buta. Kiedy zatrzasnął grube drzwi wewnętrzne, poczuł się trochę pewniej.

Prześlizgnąwszy się po ścianie obok ciała Gary'ego, wrócił do kuchni i zajrzał ostrożnie do środka, gotów zatrzasnąć szybko drzwi, gdyby zobaczył tam Cujo. Znowu przemknęło mu przez myśl, jak dobrze byłoby teraz czuć w rękach ciężar karabinu.

Kuchnia była pusta. Oprócz firanek, trącanych powiewami leniwej bryzy wpadającej przez otwarte okna, nic się nie poruszało. W powietrzu unosił się odór pustych butelek po wódce. Był przykry, ale lepszy niż tamten... Słońce kładło się regularnym deseniem na spłowiałe, wybrzuszone linoleum. Telefon wisiał na ścianie, tam gdzie zawsze. Jego niegdyś biała plastikowa obudowa zdążyła już zmatowieć pod warstwą tłuszczu z niezliczonych kawalerskich posiłków i popękała w wyniku jakiegoś dawnego zderzenia z zataczającym się po pijaku gospodarzem.

Joe wszedł do środka i starannie zamknął za sobą drzwi. Zbliżył się do dwóch otwartych okien i wyjrzał. Na zapuszczonym podwórku za domem nie zobaczył nic prócz rdzewiejących wraków dwóch samochodów, poprzedników chryslera Gary'ego. Na wszelki wypadek zamknął jednak okna.

Oblewając się potem w niemożliwie dusznej kuchni, podszedł do telefonu. Książka telefoniczna wisiała obok aparatu na kawałku sznurka. Dziurę, przez którą przewleczony był

sznurek, pijany jak bela Gary wywiercił w książce wiertarką udarową Joego, zarzekając się przy tym, że sra na wszystko.

Joe wziął książkę, ale wysunęła mu się z dłoni i rąbnęła z głuchym pacnięciem o ścianę. Ręce miał jak z ołowiu, a w ustach bagno o smaku wymiocin. Wziął znowu książkę i otworzył ją tak nerwowo, że prawie oddał okładkę. Mógł wykręcić O albo 555-1212, nie pomyślał jednak o tym.

Poświst przyśpieszonego, płytkiego oddechu, łomot galopującego serca i szelest przewracanych pośpiesznie cienkich stronik książki telefonicznej zagłuszyły cichy odgłos, jaki rozległ się za jego plecami: ledwie dosłyszalny skrzyp drzwi od piwnicy popchniętych nosem Cujo.

Po załatwieniu się z Garym Pervierem pies zszedł do piwnicy. Światło w kuchni było za jasne, zbyt rażące, przeszywało rozkładający się mózg rozgrzanymi do białości ostrzami udreki. Drzwi od piwnicy stały otworem, zlazł więc na rozdygotanych łapach w błogosławiony mrok i zasnął obok starego wojskowego kuferka Gary'ego. Wiatr wpadający do kuchni przez otwarte okna przymknął drzwi od piwnicy tak, że wyglądały na zamknięte.

Ale jęki, odgłosy wymiotowania, tupot stóp Cambera biegnącego korytarzykiem i huk zatrzaskiwanych drzwi wejściowych obudziły go. Powrócił ból. Ból i tępa, nieustępliwa furia. Stał teraz za Camberem w ciemnym wejściu do piwnicy z opuszczonym nisko łbem. Oczy miał niemal szkarłatne, a gęste, brązowe futro pozlepiane zakrzepłą krwią i schnącym błotem. Piana kapiała mu z pyska płatami. Zęby szczyrzył już bez przerwy, bo zaczynał mu puchnąć język.

Joe znalazł w książce telefonicznej rozdział dotyczący Castle Rock. Wyszukał abonentów na literę S i zjechał trzęsącym się

palcem do połowy jednej z kolumn, gdzie widniała ramka z nagłówkiem: SŁUŻBY MIEJSKIE CASTLE ROCK. Był tam numer biura szeryfa. Sięgnął do tarczy telefonu, żeby go wykręcić, i w tym właśnie momencie Cujo zaczął warczeć.

Joe Camber zmartwiał. Książka telefoniczna wysunęła mu się z rąk i znowu rąbnęła z głuchym pacnięciem o ścianę. Odwrócił się powoli w stronę, skąd dochodził ten warkot. Zobaczył Cujo stojącego w wejściu do piwnicy.

- Dobry piesek - wyszeptał ochryple i ślina pociekła mu po brodzie.

Zmoczył się bezwiednie w spodnie i ostry odór uryny poraził nozdrza Cujo niczym mierzony cios. Skoczył. Joe rzucił się w bok na nogach jak z drewna i pies wyrznął łbem o ścianę z takim impetem, że zdarł fragment tapety i wzbil biały, ziarnisty obłoczek tynku. Teraz już nie warczał; z jego krtani wydobywała się lawina głębokiego, zgrzytliwego charkotu, dźwięku, przy którym najwściekłejsze ujadanie wydawało się niczym.

Joe wycofywał się w stronę drzwi prowadzących na podwórko za domem. Zahaczył nogą o jedno z kuchennych krzeseł. Zamachał rozpaczliwie rękami, walcząc o odzyskanie równowagi, i może udałoby mu się ją odzyskać, ale Cujo nie dał mu na to czasu. Wyciągając się w powietrzu na całą długość, runął na niego niczym zboczona krwią maszyna do zabijania, wlokąc za sobą strugi ciekącej z pyska piany. Bił od niego spleśniały, bagnisty odór.

- O Boże, odwal się ode mnie! - wrzasnął Joe Camber.

Przypomniał mu się Gary. Zasłonił gardło przedramieniem jednej ręki, a drugą próbował odegnać Cujo. Cujo cofnął się i przez moment posapywał, marszcząc nos i unosząc wargi w

szerokim, posępnym uśmiechu, który odsłaniał, lekko poźółkle zęby. Potem zaatakował znowu.

Tym razem skoczył Joemu Camberowi do jąder.

- Hej, kolego, chcesz iść ze mną na zakupy? I zjeść potem lunch u Maria?

Tad wstał.

- Tak! Pewnie!

- No to chodź.

Donna miała na sobie dzinsy i spłowiałą niebieską bluzkę, torbę przerzuciła sobie przez ramię. Zdaniem Tada bardzo ładnie wyglądała. Z ulgą stwierdził, że na jej twarzy nie ma śladu łez, bo kiedy płakała, on też płakał. Wiedział, że to dziecinne, ale nie potrafił się powstrzymać.

Był w połowie drogi do samochodu, kiedy przypomniało mu się, że pinto jest przecież popsuty.

- Mamusiu...?

- Co? Wsiadaj.

Ociągał się trochę zaniepokojony. - A jak samochód dostanie czkawki?

- Czkawki...? - Patrzyła na niego zakłopotana i widząc rozdrażnienie malujące się na jej twarzy, zrozumiał, że zupełnie zapomniała, że samochód jest popsuty. Przypomniał jej to i teraz znowu była nieszczęśliwa. Przez pinto czy przez niego? Nie wiedział, ale poczucie winy mówiło mu, że przez niego. Po chwili jej twarz wypogodziła się. Uśmiechnęła się do niego szelmowskim uśmiechem, który znał na tyle dobrze, by wyczuć, że to uśmiech specjalny, taki, który zachowuje tylko dla niego. Poczul się lepiej.

- Jedziemy tylko do miasta, Tadder. Jeśli nasz stary pinto odmówi współpracy, wydamy najwyżej dwa dolce na taksówkę.

- No dobrze. - Wsiadł i sam zatrzasnął za sobą drzwiczki. Przyglądała mu się czujnie, gotowa w każdej chwili zareagować, i Tad domyślił się, że ma w pamięci ostatnią gwiazdkę, kiedy to przytrzasnął sobie drzwiczkami stopę i potem musiał chodzić przez miesiąc z zabandażowaną. Ale wtedy był jeszcze mały, a teraz ma już cztery lata. Jest teraz dużym chłopcem. Wiedział, że tak jest, bo tata mu powiedział. Uśmiechnął się do matki, żeby dać jej do zrozumienia, że drzwiczki to już dla niego żaden problem, i ona też się uśmiechnęła.

- Dobrze się zamknęły?

- Dobrze - zapewnił ją Tad, ale mimo to otworzyła je i zatrzasnęła jeszcze raz, bo wszystkie mamy wierzą na słowo tylko wtedy, kiedy się im mówi, że stało się coś złego, na przykład, że sięgając po masło orzechowe, rozsypało się torbę cukru albo wybiło szybę w oknie podczas próby przerwania kamienia nad dachem garażu.

- Zapnij pas - poleciła. - Kiedy ten zawór iglicowy czy jak mu tam się zacina, samochodem zaczyna bardzo trząść.

Tad, trochę przestraszony, zapiał pas bezpieczeństwa i swoje szelki. Żywił nadzieję, że nie będą mieli wypadku, jak w Skasowaniu Dziesięciu Ciężarówek. A jeszcze większą, że mama nie będzie płakała.

- Klapy opuszczone? - spytała, poprawiając wyimaginowane gogle.

- Opuszczone - potwierdził z uśmiechem. To była taka gra, w którą często się bawili.

- Pas startowy wolny?

- Wolny.

- No to startujemy. - Przekręciła kluczyk w stacyjce i wyjechała tyłem z podjazdu. W chwilę później pędzili już w stronę miasteczka.

Po przejechaniu około mili odprężyli się oboje. Aż do tej chwili siedzieli sztywno, jakby kije popołykali - Donna za kierownicą, a Tad obok niej, w fotelu pasażera. Ale pinto zachowywał się tak nienagannie, jakby dopiero wczoraj zjechał z taśmy montażowej.

Zatrzymali się pod Agway Market. Donna nakupiła żywności za czterdzieści dolarów, co powinno im wystarczyć na te dziesięć dni, przez które nie będzie Vica. Tad poprosił o nowe pudełko Twinkli i namawiał ją jeszcze na Kakaowe Misie, ale Donna stanowczo odmówiła. Co prawda skończył im się już cały zapas chrupek, ale przecież Sharp przysyłał im regularnie pocztą gratisy. Czekając w kolejce do kasy (Tad siedział w rozkładanym drucianym krzeselku sklepowego wózka, machając nonszalancko nóżkami), znalazła chwilę czasu na gorzką refleksję na temat wysokości rachunku za trzy marne torby artykułów żywnościowych. To nie tylko przygnębiało - to napawało lękiem. Rozważania te uzmysłowiły jej przerażającą możliwość, że Vic i Roger mogą rzeczywiście stracić kontrakt z Sharpem, i w rezultacie padnie sama agencja. Z czego wtedy będą żyli?

Zwróciła uwagę na tłustą kobietę z wielkim zadem, wbitą w spodnie koloru avocado, która wyciągnęła z torebki bloczek z kartkami żywnościowymi. Zauważyła, jak kasjerka, przewracając oczami, spogląda na koleżankę z sąsiedniej kasy, i żołądek ścisnęła jej panika. Do czegoś takiego chyba nie dojdzie? Nie, oczywiście, że nie. Po pierwsze, wróciliby wtedy do Nowego Jorku, a tam...

Nie podobał jej się kierunek, w którym galopowały jej myśli, odsunęła je więc od siebie zdecydowanie, zanim zdążyły przybrać rozmiary lawiny i pogrzebać ją w kolejnej głębokiej depresji. Następnym razem nie będzie musiała kupować kawy, a to zbije rachunek o trzy dolce.

Wytoczyła wózek z Tadem i zakupami do zaparkowanego pod sklepem pinto i przełożyła torby do bagażnika, Tada zaś posadziła w fotelu pasażera. Postąpiła jeszcze chwilę, wsłuchując się w trzask zamykanych przez Tada drzwiczek. Najchętniej zamknęłaby je sama, bo wtedy miałaby pewność, że dobrze się zatrzasnęły, ale rozumiała, że synek stawia sobie samodzielne uporanie się z tą czynnością za punkt honoru. Traktuje to jako sprawdzian, czy rzeczywiście jest już dużym chłopcem. W grudniu, kiedy Tad przytrzasnął sobie drzwiczkami stopę, omal nie dostała zawału serca. Ależ on się wtedy darł! Niewiele brakowało, żeby zemdląca... Vic wypadł z domu w samym szlafroku, rozbryzgując bosymi stopami breję z topniejącego śniegu zalegającą na podjeździe. Oddała mu wtedy całą inicjatywę, bo w odróżnieniu od niej w nagłych przypadkach nie tracił głowy. Sprawdził, czy kość jest cała, a potem ubrał się szybko i zawiózł ich na ostry dyżur do szpitala w Bridgton.

Upchnąwszy w samochodzie zakupy i Tada, usiadła za kierownicą i zapuściła silnik. Teraz się rozkraczy, pomyślała, ale pinto dowiózł ich potulnie do Maria, który serwował przepyszna pizzę nafaszerowaną tyłoma kaloriami, że wystarczyłoby ich na napompowanie zapasowej opony. Manewr parkowania tyłem "w kopertę" wyszedł jej nad podziw dobrze, z najwyższej kilkunastocalowym odstępem między kołami a krawężnikiem. Wchodząc z Tadem do środka, czuła się już o wiele lepiej. Może Vic się pomylił;

może winna była zła benzyna albo brud w przewodzie paliwowym, który w końcu sam się wypłukał. Nie uśmiechała się jej zupełnie wyprawa do warsztatu Joego Cambera. Po pierwsze, znajdował się za daleko, na samych przedmieściach (które Vic w przypływach dobrego humoru nazywał Wschodnim Zadupiem - tak, on mógł sobie pozwolić na te przypływy dobrego humoru, był przecież mężczyzną), a po drugie, przy tamtym pierwszym spotkaniu Camber trochę ją wystraszył. Prymitywny Jankeś z ponurą gębą, który zamiast mówić mamrocze pod nosem. I ten pies... jak on się wabił? Jakoś tak z hiszpańska. O właśnie, Cujo. Taki pseudonim obrał sobie William Wolfe z Symbiotycznej Armii Wyzwolenia, ale Donnie nie chciało się wierzyć, że Joe Camber świadomie nazwał swego bernardyna imieniem tego osławionego przestępcy napadającego na banki i porywającego dzieci bogaczy. Wątpiła, by Joe Camber słyszał kiedykolwiek o Williamie Wolfe i SAW. Pies wyglądał na raczej łagodnego, ale z duszą na ramieniu - z takim samym uczuciem, jakie ogarniało ją zawsze, kiedy synek sam zatrząskiwał drzwiczki samochodu - patrzyła, jak Tad głaszcze tego potwora. Cujo był wystarczająco wielki, żeby takich jak jej synek połykać za jednym podejściem.

Dla Tada, który nie przepadał za pizzą - nie ma tego po mnie, pomyślała - zamówiła kanapkę z gorącym pastrami, a dla siebie pizzę z pepperoni, cebulą i podwójną warstwą topionego sera. Jedli przy stoliku z widokiem na drogę. Mój chuch powaliłby teraz konia, przemknęło jej przez myśl, i zaraz przyszła refleksja, że to nie ma przecież żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że udało jej się zrazić do siebie skutecznie zarówno własnego męża, jak i faceta, który odwiedzał ją przez ostatnie kilka tygodni.

Znowu spłynęła na nią depresja i znowu odepchnęła ją od siebie. Ale była już tym trochę znużona.

Dojeżdżali do domu i z radia leciał Springsteen, kiedy pinto ponownie zaczął swoje kawały.

Zapowiedzią był lekki wstrząs. Po nim nastąpił silniejszy. Próbowwała pompować delikatnie pedałem gazu; to czasami pomagało.

- Mamusiu...? - spytał przestraszony Tad.

- Wszystko w porządku, synku - uspokoiła go, ale wcale nie było w porządku. Pinto zaczął się krztusić nie na żarty, a towarzyszące temu szarpnięcia były tak silne, że zadziałały bezwładnościowe pasy bezpieczeństwa, przyciskając ich do foteli. Silnik parsknął i wył. W bagażniku, z klekotem wysypujących się puszek i butelek, przewróciła się jedna z toreb. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Ty cholerny zasańcu! - krzyknęła w bezsilnej furii. Poniżej szczytu wzgórza widziała już dom. Odległość wydawała się zwodniczo mała, ale nie chciało jej się wierzyć, że pinto ich tam dowiezie.

Tad, przestraszony zarówno jej krzykiem, jak i konwulsyjnymi zrywami samochodu, zaczął pochlipywać, co wzmogło jeszcze jej panikę, zdenerwowanie i złość.

- Zamknij się! - wrzasnęła na małego. - O Jezu, Tad, zamknij się w tej chwili!

Rozplakał się na dobre i jego rączka powędrowała do wypchanej tylnej kieszeni spodni, gdzie spoczywały złożone do wymiarów małej paczuszki Słowa na Potwora. Dotknąwszy ich, poczuł się troszeczkę lepiej. Nie za bardzo, ale przynajmniej troszeczkę.

Donna doszła do wniosku, że trzeba będzie jednak zjechać na pobocze i zatrzymać się; nie pozostawało jej nic innego.

Wykorzystując resztki siły bezwładności pchającej jeszcze samochód, zaczęła zjeżdżać z szosy. Zakupy będą mogli przetransportować do domu w wózku Tada, a potem zastanowi się, co zrobić z pintem. Może...

Prawe koła pinta zachrzęściły na piaszczystym żwirze tuż poza krawędzią asfaltu i w tym samym momencie silnik strzelił dwa razy, po czym przestał się dławić, tak jak to już nieraz mu się zdarzało. Po chwili skręcała już na podjazd. Zatrzymała wóz pod domem, przestawiła dźwignię automatycznej przekładni w położenie parkowania, zaciągnęła ręczny hamulec, zgasiła silnik, wsparła się czołem o kierownicę i rozplakała.

- Mamusiu? - odezwał się żałośnie Tad. Nie płacz już, chciał dodać, ale poruszył tylko bezgłośnie ustami, jakby porażony nagłym atakiem zapalenia krtani. Patrzył tylko na matkę, chcąc ją pocieszyć, ale nie wiedział, jak to się robi. Pocieszanie mamy należało zawsze do zadań taty, nie jego, i naraz zapalał do ojca gorącą nienawiścią za to, że go tu nie ma. Głębia tego uczucia zaszokowała go i przestraszyła jednocześnie, i nie wiadomo dlaczego ujrzał nagle oczyma wyobraźni drzwi swojej ściennej szafy otwierające się i wypuszczające na pokój mrok, który cuchnął czymś podłym i gorzkim.

W końcu Donna uniosła głowę. Miała napuchnięta twarz. Wygrzebała z torebki chusteczkę i otarła sobie oczy.

- Przepraszam, słoneczko. Ja nie krzyczałam na ciebie. Krzyczałam na to... na to pudło. - Walnęła z całych sił dłonią w kierownicę. - Auuu! - Poderwała dłoń do ust i roześmiała się. Ale nie był to szczęśliwy śmiech.

- Chyba wciąż ma czkawkę - zauważył ponuro Tad.

- Chyba tak - przyznała. Nieobecność Vica wydawała się jej teraz nie do zniesienia. - No nic, wnieśmy rzeczy do domu. Tak czy inaczej, zakupy zrobiliśmy, Cisco.

- Tak jest, Pancho - odparł. - Pójdę po mój wózek. Przeprowadził wózek i Donna przełożyła do niego wszystkie trzy torby, spakowawszy uprzednio tę, której zawartość się rozsypała. Rozbiła się butelka z ketchupem Heinza. Na sinoniebieskiej filcowej wykładzinie bagażnika stała kałuża z połowy butelki. Wyglądało to tak, jakby ktoś popełnił tam harakiri. Większość da się zebrać gąbką, ale plama pozostanie. Donna obawiała się, że nie da jej rady nawet szampon do prania dywanów.

Ciągnęła wózek, Tad popychał go od tyłu, i tak dotarli do drzwi kuchennych z boku domu. Wtaszczyli zakupy do środka i naradzali się właśnie, czy zacząć je wypakowywać, czy może raczej zająć się usuwaniem ketchupu, zanim na dobre zaschnie, kiedy zadzwonił telefon. Tad wyrwał do niego niczym sprinter na wystrzał z pistoletu startowego. Odbieranie telefonów opanował już bardzo dobrze.

- Halo, kto mówi?

Słuchał przez chwilę, uśmiechając się, po czym podał słuchawkę Donnie.

O rany, pomyślała. Pewnie ktoś, kto będzie głądził dwie godziny o niczym.

- Wiesz, kto to, słoneczko? - spytała cicho Tada.

- Pewnie - odparł. - To tata.

Serce zabiło jej żywiej. Wzięła słuchawkę.

- Halo? - powiedziała. - To ty, Vic?

- Cześć, Donna. - Tak, to jego głos, ale ile w nim rezerwy... ile ostrożności. Poczwała się jeszcze gorzej.

- Wszystko u ciebie w porządku? - spytała. - Tak.

- Myślałam, że zadzwonisz później. O ile w ogóle zadzwonisz.

- Poszliśmy od razu do Image-Eye. To ta firma, która robiła wszystkie wideoklipy z Profesorem od Chrupek Sharpa. I dasz wiarę? Nie mogą znaleźć tych cholernych kopii. Roger rwie sobie włosy z głowy.

- Wyobrażam sobie - przytaknęła, kiwając głową. - On nie cierpi odstępstw od tego, co sobie zaplanował, prawda?

- To skromnie powiedziane. - Westchnął. - No więc pomyślałem sobie, że kiedy oni tam szukają...

Zawiesił głos i jej uczucie przygnębienia przerodziło się w lęk. Vic nigdy nie zawieszał tak głosu, nawet rozpraszany tym, co działo się po jego stronie linii. Przypomniało jej się, jak wyglądał tamtego czwartkowego wieczoru. Był wściekły, bliski wybuchu.

- Vic, dobrze się czujesz? - Słyszała niepokój we własnym głosie i zdawała sobie sprawę, że on również musi go słyszeć; nawet Tad podniósł wzrok znad książeczki do kolorowania, z którą wyciągnął się na podłodze w korytarzu, i marszcząc lekko czoło, spojrział na nią swymi bystrymi oczami.

- Jasne - mruknął Vic. - No więc, jak mówiłem, pomyślałem sobie, że zadzwonię teraz, kiedy oni przewracają wszystko do góry nogami. Później nie miałbym chyba czasu. Jak tam Tad?

- Świetnie.

Uśmiechnęła się do Tada i puściła do niego oko. Tad też się uśmiechnął, zmarszczki na jego czole wygładziły się i powrócił do kolorowania obrazków. Słysząc po głosie, że Vic jest zmęczony, nie będzie mu teraz zawracała głowy samochodem, pomyślała, ale wbrew temu postanowieniu nie potrafiła się powstrzymać.

Usłyszała, jak do jej głosu wpelza znajoma żalosna nuta, i usiłowała ją stłumić. Na miłość boską, po co mu to wszystko opowiada? On sprawia wrażenie, że zaraz się załamie, a ona truje mu o gaźniku swojego pinta i rozlanej butelce ketchupu.

- Tak, to mi wygląda na zawór iglicowy - orzekł Vic. Powiedział to jakoś raźniej. Może dlatego, że ten problem znaczył tak niewiele w szerszej perspektywie spraw, z którymi teraz zmuszeni byli się borykać. - Nie możesz się umówić na jutro z Joem Camberem?

- Dzwoniłam, ale nie było go w domu.

- Prawdopodobnie był - stwierdził Vic. - Tylko nie ma telefonu w warsztacie. Zwykle żona albo syn wołają go do aparatu, kiedy ktoś dzwoni. Musieli gdzieś wyjść.

- Tak, ale tym razem mogło go nie być...

- Niby mogło - przyznał Vic. - Jednak szczerze w to wątpię. Gdyby człowiek potrafił zapuszczać korzenie, to Joe Camber byłby w tym najlepszy.

- Może zaryzykuję i pojedę tam w ciemno? - spytała bez przekonania Donna. Stanęły jej przed oczami mile pustej stosiedemnastki i Mapie Sugar Road... a potem jeszcze droga prowadząca do warsztatu Cambera, która biegła takimi wertepami, że nie nosiła nawet żadnej nazwy. Gdyby zawór iglicowy wybrał sobie to odludzie na miejsce swego ostatecznego zejścia, byłby jeszcze jeden kłopot.

- Nie, chyba lepiej nie jedź - powiedział Vic. - On prawdopodobnie siedzi w domu... możesz go jednak nie zastać. Na dwoje babka wróżyła. - W jego głosie znowu pojawiło się przygnębienie.

- To co mam robić?

- Zadzwoń do autoryzowanej stacji obsługi Forda i poproś, żeby cię podholowali.

- Ale...

- Nie, musisz tak zrobić. Do South Paris jest dwadzieścia mil i jeśli wybierzesz się tam sama, wóz na pewno rozkraczy się po drodze. A jeśli przedstawiś im swoją sytuację, to może na czas naprawy dadzą ci samochód zastępczy. Ewentualnie jakiś wóz w leasing.

- Leasing... Ile to kosztuje?

- Sporo - mruknął Vic.

Znowu przemknęło jej przez myśl, że zwalanie tego wszystkiego na jego głowę jest błędem. Prawdopodobnie myśli teraz o niej, że nie nadaje się do niczego... no, może tylko do pieprzenia się z miejscowym renowatorem mebli. W tym była świetna. Gorące łzy, częściowo gniewu, częściowo żalu nad sobą, znowu zapiekły ją w oczy.

- Coś tam wymyślę - powiedziała, walcząc desperacko o zachowanie normalnego, lekkiego tonu. Opierała się łokciem o ścianę, a dłonią drugiej ręki zasłaniała oczy. - Nie przejmuj się.

- Nie, ja... o cholera, jest już Roger. Cały zakurzony, ale znaleźli te kopie. Daj mi jeszcze na sekundkę Tada, dobrze?

Na usta cisnęły jej się gorączkowe pytania. Czy wszystko w porządku? Czy jego zdaniem wszystko będzie dobrze? Czy potrafią przejść nad tym do porządku dziennego i zacząć od nowa? Za późno. Czas minął. Zmarnowała go, paplając o samochodzie. Tępa dziwko, głupia zdziro, zwymyślała sama siebie.

- Jasne, już go daję - powiedziała. - Pożegna się z tobą za nas oboje. I.. Vic?

- Co? - W jego głosie było teraz zniecierpliwienie, czas poganiał.

- Kocham cię - wyrzuciła z siebie i zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Masz Tada. - Szybko oddała słuchawkę synkowi, omal nie uderzając go nią w głowę, i z oczyma pełnymi łez wyszła na frontowy ganek, potykając się po drodze o taboret.

Stała na ganku z rękoma założonymi na piersi, patrząc na Drogę Nr 117, ściskając się za łokcie i starając wziąć się w garść - wziąć w garść, do cholery, wziąć się w garść. Czy to nie zadziwiające, jak bardzo można cierpieć, kiedy wszystko jest właściwie w porządku?

Słyszała za plecami cichy głos Tada opowiadającego Vicowi, że jedli u Maria, że mama zamówiła sobie swoją ulubioną Tłustą Pizzę i że pinto sprawował się dobrze, dopóki nie zbliżyli się do domu. Potem zapewnił jeszcze Vica, że go kocha. A potem rozległ się cichy trzask odkładanej słuchawki. Połączenie zostało przerwane.

Wziąć się w garść.

W końcu wydało jej się, że trochę się opanowała. Weszła znowu do kuchni i zabrała się do wypakowywania zakupów.

Charity Camber wysiadła z autobusu Greyhounda kwadrans po trzeciej po południu z Brettem deptającym jej po piętach. Ściskała kurczowo pasek swojej torebki. Ogarnął ją nagle irracjonalny lęk, że nie pozna Holly. Obraz siostry, przechowywany przez wszystkie te lata w pamięci niczym fotografia (twarz Młodszej Siostry, Która Dobrze Wyszła Za Mąż), uleciał jej niespodziewanie w tajemniczy sposób z głowy, i w miejscu, gdzie się do tej pory znajdował, pozostało tylko zamglone, puste miejsce.

- Widzisz ją? - spytał Brett, kiedy wysiadali. Rozglądał się po dworcu autobusowym w Stratford z żywym

zainteresowaniem. Z jego twarzy z pewnością nie wyczytał lęku.

- Daj mi się rozejrzeć! - warknęła nerwowo Charity. - Jest pewnie w kafeterii albo...

- Charity?

Odwróciła się i ujrzała przed sobą Holly. Jej obraz przechowywany w pamięci powrócił na swoje miejsce, ale było to teraz przezrocze nakładające się na rzeczywistą twarz kobiety stojącej przy automacie do gry w Najeźdźców z Kosmosu. Pierwszym spostrzeżeniem, jakie uczyniła Charity, było to, że Holly nosi okulary - zabawne! Drugim i szokującym, że siostra ma zmarszczki - niewiele, ale jednak. Trzecim nie było właściwie spostrzeżenie, lecz przywołany z pamięci obraz, wyraźny, czysty i chwytający za serce: Holly, ze sterzącymi w niebo kucykami, ściskając komicznie nos kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki, skacze w samych majtkach do basenu dla krów na farmie starego Seltzera. Wtedy nie nosiła okularów, pomyślała Charity i serce ścisnęło jej się boleśnie.

Po obu stronach Holly, patrząc nieufnie na nią i na Bretta, stali mniej więcej pięcioletni chłopiec i dziewczynka w wieku może dwóch i pół roku. Wypchane spodenki małej zdradzały, że nosi pieluchę. Obok stał spacerowy wózek.

- Cześć, Holly - powiedziała Charity głosem tak cichym, że sama siebie ledwie dosłyszała.

Te zmarszczki były jednak nieznaczne. Wyginały się ku górze, co, jak twierdziła zawsze matka, cechuje dobrych ludzi. Ubrana była w ciemnoniebieską, raczej skromną sukienkę. Na szyi miała wisiorek z bardzo dobrze oszlifowanym sztucznym kamykiem albo małym szmaragdem.

I dopiero teraz nastąpiła ta chwila. Krótki moment, podczas którego serce Charity przepełniła radość tak rozpierająca i bezbrzeżna, że znikły na zawsze wszelkie wątpliwości co do tej podróży i związanych z nią kosztów. Była wolna, i wolny był jej syn. To jest jej siostra, a te dzieci to jej krewni, i widzi ich nie na zdjęciu, ale w rzeczywistości.

Śmiejąc się i popłakując ze wzruszenia, obie kobiety, jak na komendę, postąpiły ku sobie niepewnie i zaraz potem rzuciły się jedna drugiej w objęcia. Brett został tam, gdzie stał. Dziewczynka podbiegła do matki i uchwyciła się kurczowo rąbka jej spódnicy, jakby ze strachu, że matka i ta obca pani mogą gdzieś razem odlecieć.

Chłopczyk przyglądał się przez chwilę Brettowi, a potem podszedł do niego. Miał na sobie dżinsy Tuffskina oraz bawełnianą koszulkę z krótkimi rękawkami i napisem: NO I ZWALA SIĘ KŁOPOT.

- Ty jesteś mój kuzyn Brett - powiedział. - Tak.

- Mam na imię Jim. Tak samo, jak mój tata.

- Wiem.

- Jesteś z Maine - ciągnął Jim. Charity i Holly za jego plecami trajkotały z zapalem, zaśmiewając się i przerywając jedna drugiej, jakby chciały opowiedzieć sobie wszystko już tutaj, na tym obskurnym dworcu autobusowym położonym na wschód od Milford i na północ od Bridgeport.

- Tak, jestem z Maine - potwierdził Brett.

- Masz dziesięć lat.

- Zgadza się.

- Ja mam pięć.

- O, naprawdę?

- Naprawdę. Ale i tak dam ci radę dołożyć. A masz! - Z tym okrzykiem na ustach rąbnął Brett w żołądek i Brett zgiął się

we dwoje, a z piersi wyrwało mu się donośne i pełne zaskoczenia "uufff". Obie kobiety zaniemówiły.

- Jimmy! - krzyknęła Holly z mieszaniną rezygnacji i przerażenia w głosie.

Brett wyprostował się powoli i przechwycił wzrok matki. Na jej twarzy malowało się coś w rodzaju napiętego wyczekiwania.

- O tak, dokładasz mi, jak chcesz - mruknął z uśmiechem.

I tego właśnie po nim oczekiwano. Wyczytał to z twarzy matki i był z siebie dumny.

O trzeciej trzydzieści po południu Donna zdecydowała, że zostawi Tada z opiekunką i podejmie ryzyko odstawienia pinta do warsztatu Cambera. Próbowała się tam jeszcze raz dodzwonić, ale znowu nikt nie odbierał. Doszła jednak do wniosku, że nawet jeśli Cambera nie ma teraz w warsztacie, to zapewne niebawem wróci, może nawet wcześniej, niż ona zdąży tam dojechać... zakładając oczywiście, że w ogóle dojedzie. Vic powiedział jej w zeszłym tygodniu, że prawdopodobnie Camber będzie mógł jej pożyczyć jakiegoś starego grata, gdyby okazało się, że pinta nie da się naprawić na poczekaniu, i to przesądziło o jej decyzji. Nie chciała jednak zabierać ze sobą Tada. Jeśli pinto zbuntuje się gdzieś po drodze, to trudno, wróci do domu okazją, ale Tadowi lepiej tego oszczędzić.

Tad miał jednak na ten temat odmienne zdanie.

Po telefonicznej rozmowie z tatą pomaszerował do swojego pokoju na piętrze i wyciągnął się na łóżku ze stertą książeczek z obrazkami. Piętnaście minut później zdrzemnął się i miał sen, sen z pozoru zupełnie zwyczajny, ale o dziwnym, niemal przerażającym wydźwięku. W tym śnie ujrzał dużego chłopca, który podrzuca w górę baseballową piłkę owiniętą

taśmą izolacyjną i próbuje trafić ją kijem, kiedy spada. Chybił dwa, trzy, cztery razy. Za piątym zamachem trafił w piłkę... i kij, który również owinięty był taśmą, ułamał się u nasady. Chłopiec trzymał przez chwilę sam uchwyt z łopoczącą przy nim czarną taśmą, a potem schylił się i podniósł z ziemi odłamany koniec kija. Obejrzawszy go, potrząsnął z niesmakiem głową i cisnął kij w wysoką trawę porastającą skraj podjazdu. Potem odwrócił się i Tad z nagłym wstrząsem, na który po części składał się lęk, a po części zachwyty, rozpoznał w nim siebie w wieku dziesięciu, może jedenastu lat. Tak, to był on. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Potem chłopiec gdzieś zniknął i wszędzie zapanowała szarość. W tej szarości rozlegały się dwa dźwięki: skrzyp łańcuchów huśtawki... i ciche kwakanie kaczek. Te odgłosy i ta szarość przyniosły ze sobą niewytłumaczalne, przeraźliwe odczucie, że nie może oddychać, że się dusi. A z mgły wyłaniał się mężczyzna... mężczyzna w czarnym, połyskliwym płaszczu przeciwdeszczowym, trzymający w ręku lizak do zatrzymywania samochodów. Uśmiechnął się. Jego oczy błyszczały jak srebrne monety. Uniósł jedną rękę, żeby wskazać na Tada, i chłopczyk stwierdził z przerażeniem, że to wcale nie ręka, tylko same piszczele, a twarz pod lśniącym winylowym kapturem to wcale nie twarz, lecz trupia czaszka. To był...

Wzdrygnął się i obudził cały zlany potem, który tylko częściowo był wynikiem panującej w pokoju duchoty. Usiadł, podparł się na łokciach i chwycił powietrze gwałtownymi haustami.

Tiiii...

To otwierały się drzwi ściennej szafy. I kiedy tak się otwierały, dostrzegł coś w środku. W sekundę później pędził już co sił w nogach do drzwi prowadzących na korytarz. Widział to coś tylko przez sekundę, na tyle długo jednak, by mieć pewność, że to nie był mężczyzna w czarnym, błyszczącym płaszczu przeciwdeszczowym, Frank Dodd, człowiek, który zabijał panie. To nie był on. To było coś innego. Coś o ślepiach czerwonych jak krwawe zachody słońca.

Ale nie mógł porozmawiać o tych rzeczach z matką. Miał być tylko z Debbie, opiekunką do dzieci.

Nie chciał zostać z Debbie, Debbie mu się nie podobała, Debbie słuchała zawsze zbyt głośno płyt gramofonowych, i tak dalej. Kiedy żaden z tych argumentów nie poskutkował, Tad zasugerował złowieszczo, że Debbie może go zastrzelić. Donna wyobraziła sobie strzelającą do kogoś piętnastoletnią, krótkowzroczną Debbie Gehringer i nie mogła powstrzymać chichotu. To był błąd. Tad wybuchnął płaczem i wbiegł do living-roomu. Pragnął dać jej przecież do zrozumienia, że Debbie Gehringer może nie mieć tyle siły, żeby utrzymać potwora w szafie - że jeśli zapadnie zmrok, a matka jeszcze nie wróci, to potwór może stamtąd wyjść. I wszystko jedno, czy będzie to mężczyzna w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym, czy ten zwierz.

Donna poszła za nim, żałując, że się roześmiała, i nie rozumiejąc, jak mogła być tak nieczuła. Sama nieobecność ojca była już wystarczającym powodem, by chłopiec czuł się nieswojo. Nie chciał tracić matki z oczu nawet na godzinę. I...
...i czy on czasem nie wyczuwa, co dzieje się między mną a Vikiem? Czy czasem czegoś przypadkiem nie podsłuchał.

Nie, raczej nie. Nie może tak myśleć. To po prostu kwestia zakłócenia codziennego porządku dnia.

Drzwi do living-roomu były zamknięte. Sięgnęła do klamki, zawahała się i zamiast je otworzyć zapukała lekko. Nie było odpowiedzi. Zapukała ponownie, a kiedy i tym razem nie doczekała się reakcji, weszła cicho do środka. Tad leżał twarzą do dołu na kanapie, z głową przykrytą szczelnie jedną z poduszek. Na takie zachowanie pozwalał sobie tylko w poważniejszych przypadkach rozdrażnienia.

- Tad?

Brak odpowiedzi.

- Przepraszam, że się roześmiałam.

Wyjrzał na nią jednym okiem spod krawędzi miękkiej, gołębioszarej poduchy. Buzię miał świeżo zroszoną łzami.

- Nie mogę z tobą pojechać? - spytał. - Proszę, mamusiu, nie każ mi zostawać z Debbie.

Niezły z niego aktor, pomyślała. Niezły aktor i mały szantażysta. Jednocześnie uświadomiła sobie, że nie potrafi okazać stanowczości. Znowu zaczęło jej się zbierać na płacz. Ostatnio przez cały czas żyła pod wrażeniem, że w każdej chwili może nastąpić oberwanie chmury.

- Przecież wiesz, słoneczko, co wyprawiał pinto, kiedy wracaliśmy z miasta. Gdyby się zepsuł na samym środku Wschodniego Zadupia, musielibyśmy dojść na piechotę do jakiegoś domu, żeby zatelefonować. A to mógłby być długi marsz...

- No to co? Jestem dobry w chodzeniu!

- Wiem, ale mógłbyś się przestraszyć.

- Nie przestraszę się! - wrzasnął na całe gardło, przypominając sobie o stworze z szafy. Jego rączka

powędrowała automatycznie do kieszeni dzinsów, gdzie spoczywały Słowa na Potwora.

- Nie podnoś tak głosu. Okropnie to brzmi.

- Nie przestraszę się - powtórzył już ciszej. - Chcę z tobą jechać, i już.

Patrzyła na niego bezradnie, świadoma, że powinna wezwać Debbie Gehringer i że jest bezwstydnie manipulowana przez swego czteroletniego synka. I że jeśli ulegnie, to z zupełnie nieracjonalnych powodów. To jest jak reakcja łańcuchowa, która nigdy się nie zatrzymuje, pomyślała z rozpaczą.

Otworzyła usta, żeby oznajmić mu stanowczo, że wzywa Debbie, i jak będzie grzeczny, to przyrządzą sobie razem prażoną kukurydzę, ale jeśli będzie niegrzeczny, to zaraz po kolacji pójdzie do łóżka. Zamiast tego powiedziała jednak:

- No dobrze, możesz ze mną jechać. Ale pamiętaj, że nasz pinto może nie dać rady, a jak nie da, to będziemy musieli dojść pieszo do jakiegoś domu i zadzwonić stamtąd po miejską taksówkę. A jeśli już trzeba będzie iść, Tadzie Trenton, to nie chcę słyszeć twojego marudzenia.

- Nie, nie będę marudził...

- Daj mi dokończyć. Nie chcę słyszeć twojego marudzenia ani dopominania się, żebym cię wzięła na barana, bo i tak tego nie zrobię. Rozumiemy się?

- Tak! Tak, pewnie! - Tad zeskoczył z kanapy, zapominając o całym swoim rozżaleniu. - To jedziemy?

- Tak, chyba tak. Albo... wiesz co? Może najpierw przyszykujemy sobie jakieś przekąski? I zabierzemy trochę mleka w termosach.

- Na wypadek, gdyby trzeba było rozbić obóz na całą noc? - Tad znowu stracił humor.

- Nie, kochanie. - Uśmiechnęła się i przygarnęła go do siebie.

- Ale wciąż nie mogę się dodzwonić do pana Cambera. Tatuś mówi, że on nie ma telefonu w swoim warsztacie i pewnie nie wie, że do niego telefonuję. A jego żona i synek mogli się gdzieś wybrać, więc...

- Powinien mieć telefon w garażu - stwierdził Tad. - Przecież to głupie, że nie ma.

- Tylko mu tego nie mów - przykazała Donna i Tad pokręcił głową na znak, że nie powie. - No, ale jeśli nikogo tam nie będzie, to zaczekamy na niego trochę, i w tym czasie będziemy mogli przekąsić coś w samochodzie albo na schodkach domu.

Tad klasnął w rączki.

- Fajnie! Fajnie! Mogę zabrać mój pojemniczek śniadaniowy ze Snoopym?

- Naturalnie - przyzwoliła Donna, poddając się już zupełnie. Znalazła paczkę suszonych fig i parę batoników Slim Jim (sama uważała je za wstrętne, ale Tad za nimi przepadał). Owinęła w folię kilka zielonych oliwek i plasterków ogórka. Napełniła mlekiem do pełna termos Tada i do połowy duży termos Vica, ten, który zabierał ze sobą na wycieczki z biwakiem.

Widok zgromadzonej żywności nie wiadomo czemu wzbudził w niej jakiś nieokreślony niepokój.

Spojrzała na telefon i przemknęło jej przez myśl, żeby jeszcze raz wykręcić numer Joego Cambera. Zaraz jednak wytłumaczyła sobie, że to nie ma sensu, bo i tak przecież tam jadą. Potem przyszło jej do głowy, żeby ponowić próbę przekonania Tada do pozostania w domu z Debbie Gehringer, ale natychmiast odrzuciła ten pomysł - Tad wyraźnie przedstawił jej swoje stanowisko w tej sprawie.

Nagle źle się poczuła. Bardzo źle. Nie potrafiła określić przyczyny. Rozejrzała się po kuchni, jakby spodziewała się wypatrzeć tam źródło swego niepokoju. Ale nic takiego nie wpadło jej w oko. - Jedziemy, mamó?

- Tak - bąknęła nieobecny glosem. Na ścianie, obok lodówki, wisiała tabliczka do notatek. Napisała na niej: Pojechaliśmy z Tadem do warsztatu J. Cambera w sprawie pinta. Niedługo wracamy. - Gotów jesteś, Tad? - zapytała.

- Jasne. - Uśmiechnął się. - Dla kogo to napisałaś, mamó?

- Och, może wpadnie Joanie z tymi malinami - odparła bez przekonania. - Albo Alison MacKenzie. Miała mi pokazać jakieś oferty z Amwaya i Avona.

- Aha.

Poczochnęła synka po głowie i wyszli razem z domu. Upał uderzył ich niczym młotek owinięty w poduszkę. Ten grat pewnie nawet nie zapali, pomyślała.

Ale zapalił.

Była trzecia czterdzieści pięć po południu.

Jechali Drogą Nr 117 na południowy wschód, w kierunku Mapie Sugar Road, która przebiegała w odległości mniej więcej pięciu mil od miasteczka. Pinto zachowywał się wzorowo, i gdyby nie tamten napad czkawki i drgawek podczas powrotu do domu z zakupów, Donna zastanawiałaby się, czy warto w ogóle robić wokół niego tyle szumu. Ale tamten atak wstrząsów miał jednak miejsce, prowadziła więc z duszą na ramieniu, nie przekraczając czterdziestu mil na godzinę i zjeżdżając na sam prawy skraj jezdni, ilekroć dopędzał ich jakiś jadący szybciej samochód. A ruch na szosie był spory. Zaczynał się letni nalot turystów i wczasowiczów. Pinto nie miał klimatyzacji, jechali więc z opuszczonymi obiema szybami.

Na ostrym zakręcie wyprzedził ich continental z nowojorską rejestracją, ciągnący gigantyczną przyczepę z przymocowanymi z tyłu dwoma mopedami. Kierowca zatrąbił. Żona kierowcy, tłusta kobieta w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych, obrzuciła Donnę i Tada spojrzeniem wyrażającym wyniosłą pogardę.

- Wypchaj się! - wrzasnęła za nią Donna i pokazała babie dłoń z uniesionym środkowym palcem. Grubaska odwróciła szybko wzrok. Tad spojrział na matkę trochę spłoszony, więc uśmiechnęła się do niego. - Nic się nie stało, kolego. My jedziemy dobrze. To głupki spoza stanu.

- Aha - bąknął ostrożnie Tad.

I kto by dał wiarę, pomyślała. Prawdziwa Jankeska ze mnie. Vic byłby dumny.

Uśmiechnęła się do siebie, bo w Maine takich, którzy przybywają tu skądinąd, do grobowej deski uważa się za ludzi spoza stanu. A na nagrobku wykuwa im się napis w rodzaju: HARRY JONES, CASTLE CORNERS, MAINE. Pochodził z Omaha w stanie Nebraska.

Większość turystów zmierzała w stronę Drogi Nr 302, gdzie skręca na wschód, w kierunku Naples, albo na zachód, w kierunku Bridgton, Fryburga i North Conway w New Hampshire z ich nartostradami, tanimi wesołymi miasteczkami i bezpodatkowymi restauracyjkami. Ale oni nie kierowali się na skrzyżowanie z Drogą Nr 302.

Chociaż z ich domu roztaczał się widok na centrum Castle Rock i malownicze błonia miasteczka, zanim zdążyli ujechać pięć mil, lasy zbliżyły się z obu stron do szosy. Lasy te cofały się od czasu do czasu, by odsłonić działkę z domkiem albo przyczepą kempingową, i im dalej jechali, tym częściej mijane domy przypominały coś, co ojciec Donny nazywał

"irlandzkimi chałupami". Słońce świeciło wciąż jasno i pozostało jeszcze dobre cztery godziny dnia, ale pustka wokół sprawiła, że Donnę znowu ogarnął niepokój. Tutaj, na stosiedemnastce, nie było jeszcze tak źle, ale kiedy zjadą z głównej drogi...

Ich zakręt oznaczony był tablicą z wypłowiałym, niemal nieczytelnym napisem MAPLE SUGAR ROAD. Tablica nosiła wyraźne ślady strzeleckich popisów dzieciaków walących do niej jak do tarczy z dwudziestek dwójek i wiatrówek. Dalej wiodła asfaltowa, dwupasmowa, nierówna, spękana od mrozów droga. Jadąc nią, minęli kilka ładnych domów, kilka niezbyt ładnych i starą, obskurną przyczepę RoadKing ustawioną na kruszącym się betonowym fundamencie. W otaczającym ją zielsku Donna zauważyła poniewierające się tanie plastikowe zabawki. Tabliczka przybita do drzewa u wylotu podjazdu głosiła: KOCIĘTA ZA DARMO. Na podjeździe stał brzuchaty, może dwuletni brzdąc w niemożliwie przemoczonych pampersach opadających mu poniżej maleńkiego siusiaka. Stał z rozdziawioną buzią i dłużył jednym palcem w nosie, a drugim w pępku. Ten widok przyprawił Donnę o gęsią skórkę.

Lasy zwarły się wokół nich ponownie. Wyminął ich jadący w przeciwnym kierunku stary ford fairlane z sześćdziesiątego ósmego roku z wielkimi plamami rdzawej farby podkładowej na masce i wokół reflektorów. Za kierownicą rozpierał się w nonszalanckiej pozie długowłose nastolatek. Był bez koszuli. Fairlane pędził chyba osiemdziesiątką. Donna skrzywiła się. Nikogo więcej nie spotkali.

Mapie Sugar Road pięła się wciąż pod górę i kiedy mijali od czasu do czasu jakieś pole albo wielki ogród od strony Bridgton i Fryburga, ich oczom ukazywał się oszłamiający

krajobraz zachodniego Maine. W dali, niczym szafirowy wisiorek bogatej damy, połyskiwało jezioro.

Wspięli się właśnie kolejnym długim wzniesieniem pod jedno z tych zerodowanych wzgórz (szosa biegła teraz szpalerem zakurzonych, usychających w upale klonów), kiedy pinto zaczął znowu szarpać i dławić się. Donnie ścisnęło się gardło. No, jeszcze trochę, jeszcze trochę, ty narowista kupo złomu, pomyślała, jeszcze kawałek!

Tad poruszył się niespokojnie w fotelu pasażera i mocniej ścisnął w rączkach pojemniczek śniadaniowy ze Snoopym na wieczku. Donna zaczęła pompować delikatnie pedałem gazu, powtarzając w duchu, niczym niemą modlitwę, wciąż te same słowa: jeszcze trochę, jeszcze kawałek.

- Mamusiu? Czy to...

- Cicho, Tad.

Szarpało coraz silniej. Donna docisnęła mocniej pedał gazu i pinto wyrwał do przodu, a praca silnika znowu się ustabilizowała.

- No! - powiedział Tad tak niespodziewanie i tak głośno, że aż podskoczyła.

- Jeszcze nie dojechaliśmy, Tadder.

Milę dalej natrafili na skrzyżowanie z drogowskazem, który informował: DROGA MIEJSKA NR 3. Donna skręciła w nią w tryumfalnym nastroju. O ile dobrze pamiętała, do warsztatu Cambera było stąd niespełna półtorej mili. Gdyby pinto wyzionął teraz ducha, bez trudu doszliby tam z Tadem na piechotę.

Minęli rozpadającą się rudere, przed którą stał samochód kombi i stary, nadgryziony przez rdzę, biały krążownik szos. Zerkając we wsteczne lusterko, Donna zdążyła jeszcze zauważyć, że boczna ściana budynku od nasłonecznionej

strony zarośnięta jest wybująłym dziko kapryfolium. Kiedy minęli dom, po ich lewej ręce rozpostarło się pole i pinto zaczął się pięć pod długie, strome wzniesienie.

W połowie stoku wóz znowu zaczął szwankować. Tym razem wstrząsy były silniejsze niż kiedykolwiek dotąd.

- Dociągniemy, mammo?

- Dociągniemy - burknęła ponuro.

Strzałka szybkościomierza zjechała z czterdziestu do trzydziestu mil na godzinę. Przesunęła dźwignię przekładni z położenia "jazda" na "jazda miejska" w nadziei, że to pomoże. Jednak pintem zaczęło szarpać jeszcze bardziej. Z rury wydechowej gruchnęła kanonada strzałów dławiącego się gaźnika i Tad się rozplakał. Szybkość zastraszająco spadała, ale widać już było dom Cambera oraz czerwoną stodołę, która służyła mu za warsztat.

Dociśnięcie do oporu pedału gazu wcześniej pomagało, spróbowała więc tej metody jeszcze raz i silnik na chwilę wyrównał pracę. Strzałka szybkościomierza podpełzła z piętnastki na dwudziestkę. Potem powróciły zrywy i wstrząsy. Donna znowu wcisnęła pedał gazu, ale tym razem silnik, zamiast się uspokoić, zaczął gasnąć. Migająca tępo idiotyczna lampka AMP na tablicy rozdzielczej sygnalizowała, że pinto zaraz stanie.

Nie miało to już jednak znaczenia, bo mijali właśnie skrzynkę pocztową Cambera. Byli na miejscu. Na drzwiczkach skrzynki wisiała jakaś paczka. Kiedy przejeżdżali obok, odczytała bez trudu adres zwrotny: J. C. Whitney & Co.

Informacja ta przepłynęła bezpośrednio do podświadomości Donny. Cała jej uwaga skupiała się teraz na wprowadzeniu samochodu w podjazd. Tam mi się może rozkraczyć,

pomyślała. Facet będzie musiał go szybko naprawić, bo inaczej nie wjedzie ani nie wyjedzie.

Wylot podjazdu znajdował się kawałek za domem. Gdyby piął się do samego końca pod górę, tak jak u Trentonów, pinto nie dałby rady. Ale podjazd Camberów wznosił się tylko kawałek na początkowym odcinku, a potem biegł już zupełnie poziomo, może nawet troszeczkę z górki, aż do wielkiej, zaadaptowanej na warsztat stodoły.

Donna wrzuciła luz i resztki siły bezwładności dopchały pinto pod otwarte do połowy, przesuwne wrota stodoły. Ledwie zdjęła stopę z pedału gazu, żeby nacisnąć na hamulec, silnik zaczął znowu parskać - ale tym razem jakoś dychawicznie. Lampka AMP zapulsowała niemrawo, a potem pojaśniała. Pinto zatrzymał się.

Tad spojrział na Donnę. Uśmiechnęła się do niego.

- Tad, stary kumplu - powiedziała - dojechaliśmy.

- Tak - przyznał. - Ale czy jest ktoś w domu?

Obok stodoły stał ciemnozielony pikap. To nie był wóz czekający na naprawę, lecz samochód Cambera. Pamiętała go z czasów, kiedy przyjechali tu pierwszy raz. Ale światło w stodole było zgaszone. Wykręciła szyję, żeby spojrzeć w lewo, i stwierdziła, że w domu też się nie pali. No i ta paczka na drzwiczkach skrzynki pocztowej...

Na paczce był adres zwrotny J. C. Whitney & Co. Znała tę firmę; jej brat dostał pocztą ich katalog, kiedy był jeszcze nastolatkiem. Sprzedawali części zamienne do samochodów, wyposażenie na zamówienie. Paczka do Joego Cambera z firmy J. C. Whitney & Co była najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Ale gdyby Camber był w domu, z pewnością zabrałby już swoją pocztę.

Nikogo tu nie ma, pomyślała zniechęcona i obudził się w niej gniew na Vica. "On jest zawsze w domu, na pewno, ten facet, gdyby mógł, zapuściłby w swoim warsztacie korzenie" - jest zawsze, tylko nie wtedy, kiedy ktoś go potrzebuje.

- No nic, chodźmy sprawdzić - mruknęła, otwierając drzwiczki.

- Nie mogę się odpiąć - poskarżył się Tad, gmerając bezowocnie przy zwalniaczu klamry pasa bezpieczeństwa.

- Spokojnie, spokojnie, nie wierć się tak. Zайдę od twojej strony i pomogę ci.

Wysiadła, zatrzasnęła drzwiczki i postąpiła dwa kroki w stronę przodu samochodu, zamierzając obejść maskę, otworzyć drzwiczki pasażera i uwolnić Tada. Jeśli Camber był w stodole, to ma teraz okazję wyjść i zobaczyć, kto przyjechał. Krępowiała się jakoś sama zaglądać do środka, zwłaszcza że zjawiała się tu niezapowiedziana. Głupie to było, ale od tamtej wstrętnej awantury ze Steve'em Kempem we własnej kuchni wiedziała już, co to znaczy być bezbronną kobietą.

Uderzyła ją panująca wokół cisza. Było upalnie i tak cicho, że poczuła się dziwnie nieswojo. Nie znaczyło to naturalnie, że nic nie było słychać, ale mając za sobą zaledwie parę lat przemieszkanych w Castle Rock, mogła stwierdzić co najwyżej, że jej uszy przestawiły się z "uszu miejskich" na "uszu miasteczkowe". Daleko im jeszcze było do "uszu wiejskich" - a wokół niej roztaczała się teraz głucha wieś.

Gdzieś z łąki pokrywającej stok wzgórza, pod które przed chwilą się wspięli, dolatywał świergot jakiegoś ptaka i chrapliwe krakanie wrony. Słychać było westchnienia lekkiej bryzy, a dęby rosnące wzdłuż podjazdu rzucały ruchome cienie wokół stóp Donny. Nie słyszała jednak ani jednego

silnika samochodu czy choćby najodleglejszego terkotania traktora lub kombajnu. Uszy miejskie i miasteczkowe są najlepiej dostrojone do dźwięków towarzyszących działalności człowieka; dźwięków, które mają z natury tendencje do gwałtownego wyciszenia się poza granicami precyzyjnie ustawionego sita selektywnej percepcji. Całkowity brak takich dźwięków wywołuje u mieszczucha niepokój.

Słyszałabym go, gdyby pracował w stodole, pomyślała Donna. Ale jedynymi odgłosami mącąymi ciszę były chrzęst żwiru pod stopami, kiedy szła przez wysypany nim podjazd, oraz cichy, ledwie dostyszalny szum - zupełnie podświadomie skojarzyła sobie ten szum z brzęczącym transformatorem energetycznym, który zauważyła na jednym ze słupów przy drodze, kiedy tu dojeżdżali.

Kiedy skręciła przy przednim zderzaku i wyszła przed maskę pinta, jej uszy wychwyciły nagle nowy dźwięk. Niski, bulgotliwy warkot.

Zatrzymała się, podrywając nerwowo głowę i próbując zlokalizować źródło tego odgłosu. Przez moment jej się to nie udawało i naraz zaczęła się bać. Przerazał ją nie tyle sam ten dźwięk, co jego pozorna bezkierunkowość. Dochodził znikąd i z zewsząd zarazem. Po chwili zadziałał jakiś wewnętrzny radar - być może jakiś dodatkowy zmysł przetrwania - i uświadomiła sobie, że to warczenie dolatuje z warsztatu.

- Mamusiu? - Tad wystawił głowę przez otwarte okno samochodu tak daleko, jak pozwalał mu na to zapięty pas bezpieczeństwa. - Nie mogę odpiąć tego wstrętnego, starego...

- Ciiii! (warczenie)

Z nerwami napiętymi niczym postronki postąpiła ostrożnie krok do tyłu, opierając się jedną ręką o niską maskę pinta. To

nie była panika; raczej stan podwyższonej czujności. Wtedy nie warczał, pomyślała.

Z warsztatu Joego Cambera wyszedł Cujo. Donna wpatrywała się w niego, czując, że oddech więźnie jej w krtani. To był ten sam pies. To był Cujo. Ale...

Ale, o mój

(o mój Boże)

Pies spojrzał jej w oczy. Ślepia miał czerwone, kaprawe. Sączyła się z nich jakaś gęsta wydzielina. Wyglądał, jakby płakał gumowymi łzami. Brązowe futro miał skołtunione i pozlepiane błotem i...

Tak, to krew

(Jezu Chryste, to krew Cambera)

Nie była w stanie się poruszyć. Nie była w stanie odetchnąć. Zapas tlenu w płucach zmniejszył się do alarmująco niskiego poziomu i nadal spadał. Słyszała, że strach może sparaliżować, ale nie przypuszczała, że tak całkowicie. Między jej mózgiem a nogami nie było żadnego połączenia. Biegający kręgosłupem pęk włókien nie przenosił w ogóle sygnałów. Dłonie wydawały jej się idiotycznymi, zupełnie pozbawionymi czucia kawałami mięsa. Oddała mocz. Nawet nie zdawała sobie z tego sprawy, nie licząc jakiegoś niejasnego, nierealnego wrażenia ciepła.

A pies chyba rozumiał. Jego straszne ślepia ani na moment nie odrywały się od szeroko rozwartych, szarych oczu Donny Trenton. Ruszył naprzód wolnym, prawie nonszalanckim krokiem. Przed chwilą stał na podłodze z desek w wejściu do warsztatu. Teraz stąpał już po żwirze i od Donny dzieliło go niespełna dwadzieścia pięć stóp. Ani na moment nie przestawał warczeć. Był to niski, hipnotyzujący czającą się w

nim groźbą bulgot. Z pyska Cujo kapłała piana. A Donna nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

Tad dopiero teraz zauważył psa i rozpoznawszy krew w zlepiającej mu futro, zaschniętej skorupie, zapiszczał ze strachu - wysokim, przeszywającym piskiem, który sprawił, że Cujo przeniósł wzrok z Donny na niego. I chyba to przywróciło Donnie władzę w członkach.

Wykonała błyskawicznie zamaszyste, nieprzytomne w tył zwrot, waląc przy tym gołenią o zderzak pinta. Stalowa błyskawica bólu przeszła nogę aż po biodro. Nie zwracając na to uwagi, przebiegła z powrotem za błotnik samochodu. Warczenie Cujo narosło do rozjuszonego charkotu i pies zaatakował. Donna poślizgnęła się na sypkim żwirze, lecz przed upadkiem uratowała ją maska pinta. Rąbnęła w nią łokciem z taką siłą, że z piersi wyrwał jej się mimowolnie skowyt bólu.

Drzwiczki samochodu były zamknięte. Zatrzasnęła je machinalnie za sobą, wysiadając. Chromowany przycisk pod klamką wydał jej się nagle oślepiająco błyszczący; miotał jej w oczy rażące odblaski słońca. Za nic nie zdążyła otworzyć tych drzwi, wsiąść i zatrzasnąć je za sobą, pomyślała z dławiającą świadomością, że być może za chwilę zostanie rozszarpana. Za mało czasu. Nie da rady.

Rozpaczliwym szarpnięciem otworzyła drzwiczki. Powietrze przeciskało się ze spazmatycznym świstem przez jej ściśniętą krtań. Tad znowu pisnął przeraźliwie.

Omali się nie przewracając, wskoczyła za kierownicę. Kątem oka dostrzegła, jak zadnie łapy zbliżającego się niczym burza Cujo napinają się do skoku, w wyniku którego dwustufuntowe cielsko wyląduje jej zaraz na kolanach.

Zatrzasnęła drzwiczki pinta obiema rękami, przełożywszy prawą nad kierownicą i jednocześnie naciskając barkiem na klakson. Zdążyła w ostatniej chwili. Ułamek sekundy potem nastąpił głośny, głuchy łomot, jakby ktoś cisnął w bok samochodu ciężkim polanem. Wściekły charkot psa urwał się, jak nożem uciął, i zaległa cisza.

Rozwalił sobie łeb, pomyślała histerycznie. Dzięki Bogu, dzięki Ci za to, Boże...

W następnej chwili spieniony, wykrzywiony nienawiścią pysk Cujo wynurzył się spod dolnej krawędzi okna od jej strony, zupełnie jak w horrorze, w którym potwór postanawia wpędzić widzów w skrajne przerażenie, schodząc z ekranu. Widziała tuż przy szybie jego wielkie, mocne zęby. I ponownie odniosła to dziwaczne, przejmujące lękiem wrażenie, że pies patrzy na nią - nie na kobietę uwięzioną z małym chłopcem w samochodzie, ale na Donnę Trenton, jakby specjalnie na nią tu czekał.

Cujo zaczął znowu szczekać jak oszalały. Głos miał tak donośny, że Donna, chociaż oddzielona od niego szybą z grubego, hartowanego szkła, czuła się ogłuszona. I nagle dotarło do niej, że gdyby po zatrzymaniu się pinta nie zasunęła odruchowo szyby (wbijał jej to zawsze w głowę ojciec: zatrzymać samochód, zasunąć szyby, zaciągnąć ręczny hamulec, wyjąć kluczyki ze stacyjki, zablokować drzwiczki), miałyby teraz rozerwane gardło, a wszystko tutaj - kierownica, deska rozdzielcza, przednia szyba - ochlapane byłoby jej krwią. Zawdzięczała życie tej jednej jedynej rutynowej czynności wykonanej tak machinalnie, że nie przypominała sobie nawet faktu jej wykonania.

Krzyknęła. Straszny psi pysk opadł i zniknął jej z oczu pod dolną krawędzią okna.

Przypomniała sobie o Tadzie i odwróciła głowę. To, co ujrzała, wznieciło kolejną falę strachu, która przeszła ją niczym rozpalona do czerwoności igła. Tad nie zemdlął, ale nie był też zupełnie przytomny. Siedział bezwładnie, odchylony na oparcie fotela, oczy miał szkliste i puste, buzię białą jak papier. Usta posiniały mu w kącikach.

- Tad! - pstryknęła mu przed nosem palcami i chłopczyk, przywołany tym suchym trzaskiem do rzeczywistości, zamrugął ospale powiekami. - Tad!

- Mamusiu - odezwał się grubym głosem. - Jak ten potwór wydostał się z mojej szafy? Czy ja śpię? Czy to sen?

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła go, poruszona jednak tym, co powiedział. - To...

Dostrzegła ogon i szeroki grzbiet psa przesuwanego przed maską pinta. Cujo przechodził na drugą stronę samochodu...

A szyba od strony Tada nie była zasunięta.

Przechyliła się nad synkiem pchnięta tak gwałtownym spazmem mięśni, że chwytając za korbkę okna omal nie połamała sobie palców. Dysząc histerycznie i czując, jak Tad kuli się pod nią ze strachu, zaczęła kręcić nią najszybciej, jak potrafiła.

Kiedy szyba była już w trzech czwartych zasunięta, Cujo skoczył do okna, wciskając pysk w zwężającą się szparę, i krawędź sunącego w górę okna wywindowała mu go pod sam sufit. Ciasne wewnątrz samochodu wypełnił jego chrapliwy warkot. Tad pisnął znowu, objąwszy się rączkami na krzyż za głowę, zasłonił sobie przedramionami oczy i w rozpaczliwym pragnieniu odsunięcia się jak najdalej od drzwiczek usiłował wcisnąć twarz w brzuch Donny, utrudniając jej tym kręcenie korbką.

- Mamusiu! Mamusiu! Mamusiu! Każ mu przestać! Niech sobie idzie!

Coś ciepłego ściekało Donnie po grzbietach dłoni. Z przerażeniem stwierdziła, że to zmieszana z krwią ślina kapiąca z psiego pyska. Mobilizując wszystkie siły zdołała przekręcić korbkę o dalsze ćwierć obrotu... i nagle Cujo się wycofał. Przez moment zobaczyła jeszcze jego mordę, wykrzywioną i obłądną, szaloną karykaturę przyjaznej mordy bernardyna. Potem pies opadł na cztery łapy i widziała już tylko jego grzbiet.

Korbka nie stawiała już oporu. Donna zasunęła szybę do końca i wytarła dłonie o dżinsy wzdrygając się z obrzydzenia.

(O Jezuu, o Matko Boska)

Tad popadł znowu w stan półprzytomności. Kiedy tym razem pstryknęła mu palcami przed nosem, nie zareagował.

O Boże, gotów dostać po tym wszystkim jakichś kompleksów. Och, Tad, kochanie, że też nie zostawiłam cię z Debbie.

Wzięła go za ramiona i zaczęła łagodnie potrząsać.

- Czy ja śpię? - wymamrotał znowu.

- Nie - odparła. Zajęczał niskim, rozdzierającym serce, bolesnym głosem. - Nie, ale wszystko już w porządku. Tad...? Już dobrze. Ten pies się tu nie dostanie. Okna są już pozamykane. Nie dostanie się tutaj. Nic nam nie zrobi.

Te słowa przebiły się jakoś do świadomości chłopca i jego oczy trochę się ożywiły.

- To jedźmy do domu, mamusiu. Nie chcę tu być.

- Tak. Tak, pojedziemy...

Cujo niczym wielki futrzasty pocisk runął na maskę pinta i z wściekłym ujadaniem natarł na przednią szybę. Tad wydał kolejny pisk. Wytrzeszczył oczy i przycisnął małe rączki do

buzi tak mocno, że na policzki wystąpiły mu ceglastoczerwone pręgi.

- Nie dostanie się do nas! - krzyknęła do niego Donna. - Słyszysz, Tad? Nie dostanie się tutaj!

Cujo wyrznął ze stłumionym łomotem w szybę, odbił się od niej i zaszorował po masce pazurami. Pozostawiły parę nowych rys na lakierze. Potem natarł znowu.

- Chcę do domu! - pisnął Tad.

- Przytul się do mnie mocno, Tadder, i nie bój się. Zabrzmiało to idiotycznie, ale co miała powiedzieć? Tad wdusił twarzyczkę w jej piersi w momencie, kiedy Cujo znowu przypuścił szturm. Piana z psiego pyska usiłującego przegryźć sobie drogę do wnętrza rozsmarowała się na szybie. W Donnę wpatrywały się mętne, kaprawe ślepia. Rozerwę cię na strzępy, mówiły. Ciebie i twojego bachora. Pożrę was żywcem, kiedy tylko znajdę sposób, żeby wdrzeć się do tej puszki - i rozrywając was na strzępy, będę się napawał waszym wrzaskiem.

Wścieklizna, pomyślała. Ten pies ma wściekliznę.

Oderwała wzrok od miotającego się na masce psa i spojrzała na ciężarówkę Joego Cambera zaparkowaną przy stodole. Czyżby pies go zagryzł?

Wymacała przyciski uruchamiające syrenę i wdusiła je. Syrena pinta zawyła i pies odskoczył wyraźnie spłoszony, omal nie tracąc równowagi.

- Nie podoba ci się, co? - wrzasnęła tryumfalnie na ten widok.

- Rani ci uszy, tak? - Ponownie wdusiła przyciski syreny.

Cujo zeskoczył z maski.

- Mamusiu, proszę cię, jedźmy do domu. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Rozrusznik rzeził, rzeził i rzeził... ale silnik nie zaskakiwał. Po chwili dała spokój.

- Nie możemy teraz ruszyć, słoneczko. Samochód...

- Tak! Tak! Teraz! Właśnie że teraz!

Zaczynała ją łupać głowa. Był to silny ból pulsujący w idealnym synchronizmie z rytmem serca.

- Posłuchaj, Tad. Samochód nie chce zapalić. To przez ten zawór iglicowy. Musimy poczekać, aż silnik trochę ostygnie. Wtedy pewnie zapali i będziemy mogli stąd odjechać.

Byle tylko dojechać do szosy i ruszyć z górki. Potem, jeśli nawet silnik zgaśnie, to pinto sam stoczy się po pochyłości. Jeśli tchórz jej nie obleci i nie naciśnie hamulca, to może uda się tak doturlać do samej Mapie Sugar Road... Albo...

Przypomniał jej się dom u stóp wzgórza, ten cały zarośnięty od wschodniej strony kapryfolium. Byli tam jacyś ludzie. Widziała samochody.

Ludzie! Sięgnęła znowu do przycisków syreny. Trzy długie, trzy krótkie, raz za razem. Jedyne sygnały w alfabecie Morse'a, jakie zapamiętała z dwóch lat spędzonych w dziewczęcej drużynie skautów. Usłyszą. Nawet jeśli nie zrozumieją znaczenia, to pofatygują się tu na górę sprawdzić, kto tak hałasuje u Joego Cambera i dlaczego.

A gdzie pies? Nigdzie go teraz nie widziała. Ale to nieważne. Nie dopadł ich, a pomoc wkrótce nadejdzie.

- Wszystko będzie dobrze - zwróciła się do Tada. - Zaraz zobaczysz.

Image-Eye Studios z Cambridge miały swoją siedzibę w brudnym budynku z cegły. Biura firmy zajmowały czwarte piętro, na piątym znajdowały się dwa studia, a kiepsko klimatyzowana salka projekcyjna, w której mieściło się tylko szesnaście foteli w rzędach po cztery, na szóstym i zarazem ostatnim.

Tego wczesnego poniedziałkowego wieczoru Vic Trenton i Roger Breakstone siedzieli w trzecim rzędzie salki projekcyjnej w samych koszulach i poluzowanych krawatach. Oglądali po pięć razy kopie każdej reklamówki z Profesorem od Chrupiek Sharpa. Tych reklamówek było dokładnie dwadzieścia. Trzy z tych dwudziestu klipów zachwalały jakość nieszczęsnych Malinowych Zingersów.

Ostatnia szpula zawierająca sześć klipów skończyła się przed półgodziną i operator pożegnał ich, bo wieczorami dorabiał sobie wyświetlaniem filmów w Orson Welles Cinema. Piętnaście minut później pożegnał ich ponurym "dobranoc" Rob Martin, prezes Image-Eye, dodając na odchodnym, że jeśli będzie jeszcze do czegoś potrzebny, to jutro i w środę drzwi stoją dla nich przez cały dzień otworem. Nie dopowiedział tego, czego wszyscy trzej mieli świadomość: te drzwi będą stały dla was otworem, jeśli wymyślicie coś, o czym warto by podyskutować.

Ponury nastrój Roba był całkowicie usprawiedliwiony. Rob był weteranem z wojny w Wietnamie, gdzie podczas ofensywy Tet stracił nogę. Za pieniądze z odszkodowania za kalectwo, podpierając się przysługującymi mu prawami kombatanta, otworzył pod koniec lat siedemdziesiątych I-E Studios. Od tamtego czasu Image-Eye robiło bokami i walczyło o przetrwanie, żywiąc się przeważnie okruchami ze stołu środków masowego przekazu, przy którym ucztowały większe studia z Bostonu. Vic i Roger współpracowali z Robem Martinem, ponieważ w jakiś sposób przypominał im ich samych - harował jak wół, żeby utrzymać się na powierzchni, żeby dopłynąć jakoś do suchego lądu i poczuć wreszcie twardy grunt pod nogami. A poza tym do Bostonu mieli bliżej niż do Nowego Jorku.

Przez ostatnie szesnaście miesięcy Image-Eye łapało pomału wiatr w żagle. Rob potrafił wykorzystać reklamówki dla Sharpa, by rozkręcić interes, i po raz pierwszy od czasu założenia sytuacja firmy zaczynała się klarować. W maju, tuż przed wybuchem afery z chrupkami, przysłał Vicowi i Rogerowi widokówkę z odjeżdżającym z przystanku bostońskim autobusem. Na jego rufie cztery urocze panie wypinały opięte obcisłymi dżinsami tyłeczki. Na odwrocie znajdowały się wykaligrafowane drukowanymi literami słowa: IMAGE-EYE MA KONTRAKT NA OZDABIANIE RUF BOSTOŃSKICH AUTOBUSÓW, WART GÓRĘ DOLCÓW. Było wtedy niezłe, jednak teraz już nie. Po wpadce z Zingersami dwóch klientów (w tym Cannes-Look Jeans) zerwało swoje umowy z Image-Eye. Ad Wora groziła utrata kontraktu z Sharpem, Robowi nie tylko z Sharpem, ale również z innymi kontrahentami. Chodził z tego powodu zły i przestraszony. Vic bardzo dobrze znał te emocje.

Siedzieli, paląc w milczeniu papierosy, przez blisko piętnaście minut.

- Po prostu rzygać mi się chce od tego wszystkiego, Vic - odezwał się wreszcie cichym głosem Roger. - Widzę tego faceta, jak siedzi za biurkiem i gapi się na mnie z taką miną, jakby masło nie chciało mu się rozpuścić w gębie, potem bierze duży kawałek chrupka z tym lewym barwnikiem i mówi: "Bzdura, tutaj wszystko jest w porządku", a mnie się robi niedobrze. Całe szczęście, że operator musiał wyjść. Jeszcze trochę tego oglądania, i puściłbym sobie pawia na spodnie.

Zdusił niedopałek papierosa w popielniczce wpuszczonej w poręcz fotela. Rzeczywiście wyglądał nieszczególnie; żółtawy odcień jego twarzy wcale się Vicowi nie podobał. Nazywa się to szokiem po wybuchu, zmęczeniem bitewnym czy jak tam

jeszcze, ale jest to po prostu tłumiony paniczny strach. Taki, jaki odczuwa się, patrząc w mrok i widząc tam coś, co przymierza się, by cię pożreć.

- Wmawiam sobie - podjął Roger, wyciągając następnego papierosa - że coś tam wypatrzę. No wiesz. Coś. Nigdy bym nie uwierzył, że to takie marne. Ale kumulacyjny efekt tych klipów... to tak, jakby patrzeć na Jimmy'ego Cartera mówiącego: "Nigdy was nie okłamuję". - Zaciągnął się nowym papierosem i zdusił go w popielniczce. - Nic dziwnego, że George Carlin, Steve Martin i to pieprzone "Saturday Night Live" mają teraz używanie. Ten facet i mnie wygląda teraz świętoszkowato... W jego głosie pojawiło się nagle jakieś drzenie. Urwał w pół zdania.

- Mam pewien pomysł - odezwał się cicho Vic.

- Pamiętani, wspominałeś coś w samolocie. - Roger spojrział na niego bez większego zainteresowania. - Jeśli masz, to posłuchajmy.

- Uważam, że trzeba nakręcić jeszcze jeden klip z Profesorem od Chrupiek Sharpa - powiedział Vic. - Uważam, że powinniśmy przekonać do tego starego Sharpa. Nie smarkacza. Starego.

- I co tym razem ma ludziom wciskać nasz profesorek? - spytał Roger, rozpinając sobie kolejny guzik koszuli. - Truciznę na szczury czy pomarańczowy barwnik?

- Przestań, Roger. Nikt się przecież nie otruł.

- Ale mógł - stwierdził Roger i roześmiał się niewesoło. - Zastanawiam się czasami, czy ty rozumiesz, na czym rzeczywiście polega reklama. To trzymanie wilka za ogon. A teraz ten wilk nam się wyrwał i zamierza nas połknąć w całości.

- Roger...

- To jest kraj, w którym nie pisze się na pierwszych stronach gazet, że jakaś grupa konsumentów zważyła ćwierćfuntowca McDonalda i stwierdziła, że waży troszkę mniej niż ćwierć funta. Pewne podrzędne kalifornijskie czasopismo publikuje raport, z którego wynika, że w pintach, którym ktoś wjeżdża w kufer, może nastąpić wybuch zbiornika paliwa, a Ford Motor Company śmieje się w kułak...

- Wystarczy - przerwał mu Vic. - Pintem jeździ moja żona. Mam dosyć własnych problemów.

- Chcę tylko powiedzieć, że robienie jeszcze jednego klipa z Profesorem od Chrupek Sharpa wydaje mi się pomysłem tak samo poronionym, jak namawianie Nixona, by kandydował ponownie na prezydenta. On jest skompromitowany, Vic, całkowicie spalony! - Zawiesił na chwilę głos, patrząc na przyjaciela. Vic wytrzymał spokojnie to spojrzenie. - I co według ciebie ma powiedzieć?

- Że przeprasza.

Roger patrzył na niego przez chwilę szklanym wzrokiem, mrugając powiekami. Potem odrzucił w tył głowę i zarechotał.

- Że przeprasza? Przeprasza? No nie, kapitalne. I to był ten twój wspaniały pomysł?

- Chwileczkę, Rog. Nie dałeś mi dokończyć. To do ciebie niepodobne.

- Nie - przyznał Roger. - Chyba nie. No, słucham, jak to sobie wyobrażasz? Ale nie mogę uwierzyć, że mówisz...

- ...poważnie? A więc dowiedz się, że jak najpoważniej. Chodziłeś na kursy. Co jest podstawą skutecznej reklamy? Po co w ogóle bawić się w reklamę?

- Podstawą skutecznej reklamy jest to, że ludzie są skłonni wierzyć. Ludzie sami siebie sprzedają.

- Właśnie. Kiedy Mechanik od Fordów uzala się, że jest najsamotniejszym facetem w miasteczku, ludzie skłonni są wierzyć, że gdzieś rzeczywiście żyje taki gość, który całymi dniami, poza słuchaniem radia, nie ma nic do roboty i może tylko raz na jakiś czas powalić z nudów konia. Ludzie są skłonni wierzyć, że ich fordys nigdy nie będą wymagały naprawy. Kiedy Joe DiMaggio pojawia się na ekranie i mówi, że ekspres Mr Coffee oszczędza kawę i pieniądze, ludzie chcą w to wierzyć. Jeśli...

- Ale czy nie z tego właśnie powodu daliśmy dupy? Chcieli wierzyć Profesorowi od Chrupek Sharpa, a on ich wprowadził w błąd. Tak samo, jak chcieli wierzyć Nixonowi, a on...

- Nixon, Nixon, Nixon! - Vic sam był zaskoczony swoim gniewnym wybuchem. - To porównanie cię zaślepia, Rog. Od kiedy wybuchła ta afera, słyszałem je z twoich ust ze dwieście razy, a wcale tutaj nie pasuje!

Roger patrzył na niego oszołomiony.

- Nixon był krętaczem, wiedział, że jest krętaczem, a zapierał się, że nim nie jest. Profesor od Chrupek Sharpa zapewniał, że z Malinowymi Zingersami wszystko jest w porządku, chociaż nie było, ale on o tym nie wiedział. - Vic pochylił się w przód i dla zaakcentowania swoich słów wdusił palec w ramię Rogera. - Tu nie było żadnego oszustwa. On musi to powiedzieć, Rog. Musi wystąpić przed Amerykanami i oznajmić, że ich nie oszukiwał. To był błąd popełniony przez firmę produkującą barwniki do żywności. Sharp Company nie jest niczemu winna. On musi to powiedzieć. A co najważniejsze, musi wyrazić swoje ubolewanie, że w ogóle do tego doszło, i oznajmić, że chociaż nikt poważnie nie ucierpiał, to jednak przykro mu, że ludzie się przestraszyli.

Roger pokiwał głową, a potem wzruszył ramionami.

- Tak, rozumiem. Ale ani stary, ani smarkacz na to nie pójda, Vic. Chcą jak najszybciej pogrzebać...

- Właśnie, właśnie! - krzyknął Vic z takim entuzjazmem, że Roger wzdrygnął się przestraszony. Vic zerwał się z fotela i zaczął spacerować nerwowo tam i z powrotem wąskim przejściem między ścianą a rzędami foteli. - Pewnie, że chcą, i mają rację, on jest martwy i trzeba go pogrzebać, trzeba pogrzebać Profesora od Chrupek Sharpa, bo same Zingersy już zostały pogrzebane. Ale musimy ich przekonać, że to nie może być potajemny pogrzeb o północy. Na tym właśnie zasadza się mój pomysł! Oni chcą to załatwić po cichu, jak mafia... albo jak przestraszona rodzina chowająca zmarłego na cholerę krewniaka.

Pochylił się nad Rogerem tak nisko, że ich nosy niemal się stykały.

- Naszym zadaniem jest wytłumaczyć im, że Profesor od Chrupek nigdy nie spocznie w pokoju, jeśli nie złoży się go do grobu w blasku dnia. I chciałbym to zaaranżować tak, żeby w pogrzebie uczestniczył cały kraj.

- Zwario... - zaczął Roger i urwał w pół słowa.

Vic zauważył, że nieokreślony lęk obecny od dawna w oczach współnika wreszcie z nich znika. Twarz Rogera wyostrzyła się nagle, a goszczący na niej dotąd wyraz zafrasowania zastąpiła umiarkowana euforia. Na jego wargi zaczął wypływać uśmiech. Widok ten tak ulżył Vicowi, że po raz pierwszy od przeczytania donosu Kempa zapomniał o Donnie i o tym, co mu zrobiła. Teraz liczyła się tylko praca. Od dawna nie przeżywał tego czystego, podniecającego poczucia pełnego zaangażowania w coś, w czym jest dobry.

- Mogłoby się wydawać, że chcemy mu włożyć w usta słowa, które Sharp powtarza w kółko od czasu, kiedy to się zaczęło - powiedział. - Ale kiedy Profesor od Chrupek sam im powie...

- I tak wracamy do punktu wyjścia - mruknął Roger. Zapalił kolejnego papierosa.

- Tak, masz rację. Może uda nam się sprzedać to staremu jako końcową scenę farsy z Malinowymi Zingersami. Jako formę oczyszczenia, odkreślenia grubą krechą...

- Metodami terapii wstrząsowej. Jasne, to by trafiło do tego starego kozła. Publiczna pokuta... samobiczowanie...

- Właśnie. Zamiast zachowywać się jak facet, który klapnąwszy na tyłek w kałużę, udaje, że nic się nie stało, chociaż wszyscy naokoło pękają ze śmiechu, przyjmie postawę Douglasa MacArthura - utrzymującego, że starzy żołnierze nigdy nie umierają, lecz po prostu odpływają w nicość. Ale to tylko powierzchnia całej sprawy. A nam chodzi przecież o głębszy ton... o uczucie... - Zapuszczał się teraz do ogródka Rogera. Jeśli tylko potrafi naszkicować kształt tego, o co mu chodziło, pomysłu, który olśnił go przy kawie u Bentleya, Roger pociągnąłby to już dalej.

- MacArthur - mruknął cicho Roger. - Ale to jest właśnie to, prawda? Pożegnanie, skrucza. Trzeba zaszcześcić w ludziach odczucie, że byli wprowadzani w błąd, ale teraz.... - Nagle spojrzał na Vica niemal z osłupieniem.

- Co?

- Najlepszy czas - powiedział Roger.

- Słucham?

- Klipy. Puszczone w czasie najwyższej oglądalności. Te reklamówki są nie dla dzieci, ale dla rodziców, prawda?

- Tak, tak.

- Jeśli uda nam się to przepchnąć...

- Przepchniemy - zapewnił go z uśmiechem Vic. I używając jednego z powiedzonek Rogera na określenie dobrej reklamówki, dodał: - To czołg, Roger. Jeśli będzie trzeba, rozgnieciemy ich nim. Ale jadąc do Cleveland, musimy mieć już jakąś konkretną wizję...

Jeszcze przez godzinę siedzieli w maleńkiej salce projekcyjnej i dyskutowali. Kiedy spoceni i wykończeni wrócili do hotelu, było już zupełnie ciemno.

- Możemy już jechać do domu, mamusiu? - spytał apatycznie Tad.

- Już niedługo, słoneczko.

Spojrzała na kluczyk tkwiący w stacyjce. Z kółka zwisały jeszcze trzy: klucz od domu, od garażu i od bagażnika pinta. Oprócz tego do kółka przytwierdzony był też kawałek skóry z odcisniętym grzybkiem. Kupiła to kółko do kluczy w domu towarowym Swansona w Bridgton w kwietniu tego roku. W kwietniu, kiedy czuła się taka rozczarowana i przestraszona, choć tak naprawdę nie zdawała sobie nawet sprawy, czym jest prawdziwy strach, strach, który każe zasuwać szybę w oknie od strony dziecka, kiedy na dłonie kapie ślina wściekłego psa. Wyciągnęła rękę, dotknęła nią skórzanego breloczka i zaraz ją cofnęła. Bała się spróbować.

Dochodziło piętnaście po siódmej. Choć było jeszcze jasno, cień pinta wydłużył się już prawie po same wrota warsztatu. Właśnie w tym momencie w Cambridge jej mąż ze współnikiem oglądali w Image-Eye klipy z Profesorem od Chrupek Sharpa. Nie rozumiała, dlaczego nikt nie zareagował dotąd na sygnał SOS, który nadała za pośrednictwem syreny. W powieści już dawno ktoś by się tu zjawił. Byłaby to nagroda dla bohaterki za to, że wpadła na tak sprytny pomysł. Nikt jednak nie nadchodził.

Ryk syreny z pewnością dotarł do rudery u stóp wzgórza. Może ci tam na dole są pijani. Albo może właściciele dwóch samochodów zaparkowanych na podjeździe (na podwórku, skorygowała się automatycznie w myślach, tutaj nazywają to podwórkiem) pojechali gdzieś razem trzecim wozem. Żałowała, że nie widać stąd tamtego domu. Zaslaniał go opadający stok wzgórza.

Zrezygnowała w końcu z nadawania sygnału SOS. Bała się, że jeśli będzie dalej tak trąbić, wyczerpie akumulator pinta, który od nowości nie był doładowywany. Nadal miała nadzieję, że kiedy silnik odpowiednio ostygnie, samochód zapali. Do tej pory zawsze zapalał.

Ale boisz się spróbować, prawda? - pomyślała. Bo jak nie zapali... to co?

Sięgała właśnie do stacyjki, kiedy pies znowu pojawił się w polu widzenia. Okazało się, że cały czas leżał przed pintem pod osłoną maski wozu. Teraz, z opuszczonym łbem i obwisłym ogonem, powlókł się w stronę stodoły. Potykał się po drodze i zataczał jak pijany. Nie oglądając się za siebie, wślizgnął się w mroki budynku i znikł jej z oczu.

Ponownie cofnęła rękę, nie dotknąwszy nawet kluczyka.

- Mamusiu? Nie jedziemy?

- Daj mi się zastanowić, słonko - powiedziała.

Spojrzała w lewo przez szybę w oknie od strony kierowicy. Od tylnych drzwi domu Camberów dzieliło ją z osiem susów. W szkole średniej była gwiazdą dziewczęcej drużyny lekkoatletycznej i nadal regularnie uprawiała jogging. Była przekonana, że dopadłaby tych drzwi przed psem i zdążyła schronić się w środku. Mogłaby stamtąd zatelefonować. Jeden telefon do biura szeryfa Bannermana położyłby kres temu horrorowi. Bała się, że gdyby spróbowała jeszcze raz zapalić,

silnik mógłby nie zaskoczyć... a kto wie, czy hałas nie wywabiłby psa ze stodoły. Niewiele wiedziała o wściekłości, ale czytała gdzieś, że u cierpiących na nią zwierząt występuje niemal nadnaturalna wrażliwość na wszelkie dźwięki. Hałas może je doprowadzić do szału.

- Mamusiu?

- Ciiii, Tad. Ciii! Osiem susów. Spróbuje.

Nawet jeśli Cujo czaił się skryty w mroku stodoły i obserwował ją, była pewna - wiedziała - że wygra wyścig do tylnych drzwi. Telefon to jedno. A do tego... człowiek pokroju Joego Cambera z pewnością trzyma w domu karabin. Może nawet cały stojak karabinów. Ż największą przyjemnością rozwaliliby temu pieprzonemu psu łeb!

Osiem susów.

Zaraz. Rozważmy to jeszcze.

A jeśli tamte drzwi są zamknięte? Warto ryzykować?

Rozważała swoje szansę z sercem walącym w piersiach jak młot. Gdyby była sama, to co innego. Ale przypuśćmy, że drzwi są zamknięte. Wygrałaby z psem wyścig do drzwi, lecz nie do drzwi i z powrotem do samochodu. Zwłaszcza gdyby rzucił się za nią w pogoń i zaatakował, jak to już wcześniej uczynił. I co zrobiłby wtedy Tad? Co zrobiłby Tad widząc, jak jego matkę napada dwustufuntowy, rozjuszony pies, rozszarpuje ją i wywleka na wierzch...

Nie. Tutaj są bezpieczni. Spróbuj jeszcze raz zapalić!

Sięgnęła do stacyjki, lecz podświadomość podniosła wrzask, że bezpieczniej zaczekać jeszcze jakiś czas, aż silnik zupełnie ostygnie...

Zupełnie ostygnie? Tkwili tu już od co najmniej trzech godzin. Ujęła kluczyk w palce i przekręciła.

Rozrusznik zakręcił raz, dwa, trzy razy... i silnik zaskoczył z rykiem.

- Och, dzięki Ci, Boże! - krzyknęła.

- Mamusiu? - spytał drżącym głosem Tada. - Jedziemy? Jedziemy?

- Jedziemy - mruknęła ponuro i przesunęła dźwignię na bieg wsteczny. Cujo wytoczył się ze stodoły i stanął w progu, patrząc.

- Pocałuj mnie gdzieś, głupi psie! - krzyknęła do niego tryumfalnie.

Wcisnęła lekko pedał gazu. Pinto przejechał tyłem może z pół jarda i silnik zgasł.

- Nie! - krzyknęła z rozpaczą na widok zapalającej się znowu idiotycznej czerwonej lampki. Cujo postąpił jeszcze dwa kroki i stanął cicho ze spuszczonej łbem. Obserwuje mnie, przemknęło jej znowu przez myśl. Za psem ciągnął się cień, jak sylwetka wycięta z czarnego papieru.

Namaciała kluczyk w stacyjce i przekręciła rozrusznik, jednak tym razem silnik nie zaskoczył. Słyszała chrapliwy poświst, lecz dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że to jej własny oddech - nie wiadomo, czemu była z początku przekonana, że to sapanie psa. Niepomna obecności Tada, piłowała rozrusznik, klnąc go na czym świat stoi słowami, o których znajomość zupełnie siebie nie podejrzewała. A Cujo stał i patrzył. Cień za nim przypominał jakiś surrealistyczny, śmiertelny całun.

Po chwili pies położył się na podjeździe, jakby dochodząc do wniosku, że nie mają szans na ucieczkę. Nienawidziła go teraz bardziej niż wtedy, kiedy próbował się do nich wcisnąć przez okno Tada.

- Mamusiu... mamusiu... mamusiu!

Głos chłopca dochodził gdzieś z oddali. Nieważne. Ważniejszy był teraz ten przekłety, znarowiony samochód. Musi zapalić. Zmusi go, żeby zapalił, zmusi siłą woli!

Nie miała pojęcia, ile naprawdę czasu przesiedziała tak zgarbiona nad kierownicą, z opadającymi na oczy włosami, piłując bezskutecznie rozrusznik. Tym, co w końcu przywołało ją do rzeczywistości, nie były krzyki Tada - które przeszły w żalosne pochlipywania - ale warkot silnika. Krztusił się przez pięć sekund i ucichł, znowu zakasłał i po pięciu sekundach ponownie ucichł. Te chwile ciszy wydawały się za każdym razem coraz dłuższe. Siadał akumulator.

Puściła kluczyk.

Dochodziła do siebie stopniowo, jak kobieta budząca się z omdlenia. Przypomniały jej się ataki rozstroju żołądka, które miewała w college'u - wszystko w środku podjeżdżało jej do gardła i szara jak popiół, przeżywając śmiertelne męki, okupowała któryś z boksów toalety. Dochodzenie do siebie było podobne, niby nic się nie zmieniło, ale jakiś niewidzialny malarz dodał teraz światu kolorów. Kolory wrzeszczały. Wszystko wydawało się plastikowe i sztuczne, jak dekoracja w witrynie domu towarowego - WIOSNA TO PORA RADOSNA albo: PRZED PIERWSZYM GWIZDKIEM.

Tad z kciukiem jednej ręki w buzi i zaciśniętymi mocno powiekami kulił się na fotelu obok. Drugą rączkę przyciskał do kieszeni džinsów, gdzie spoczywały Słowa na Potwora. Oddech miał płytki i przyspieszony.

- Tad... - odezwała się. - Nie bój się, słoneczko.

- Nic ci nie jest, mamusiu? - spytał chrapliwym szeptem.

- Nie, nic. I tobie też nie. Tu nam przynajmniej nic nie grozi.

Samochód ruszy. Zaraz się przekonasz.

- Myślałem, że złościsz się na mnie.

Objęła go i przytuliła mocno. Czowała zapach potu unoszący się z jego włosów, zmieszany z wonią szamponu No More Tears Johnsona. Pomyślała o buteleczce stojącej sobie spokojnie i bezpiecznie na drugiej półce szafki w łazience na piętrze. Jakże chciałaby jej teraz dotknąć! Ale tutaj miała tylko jej ulotny, zamierający aromat.

- Nie, słoneczko, nie na ciebie - powiedziała. - Naprawdę nie na ciebie.

Tad wtulił się w nią z całych sił.

- Nie wejdzie tu do nas, prawda? - Nie.

- Nie... nie przegryzie się tu, prawda? - Nie.

- Nienawidzę go - stwierdził Tad. - Chciałbym, żeby umarł.

- Tak. Ja też.

Spojrzała przez okno i zobaczyła słońce kryjące się za horyzontem. Obudził się w niej zabobonny lęk. Przypomniała sobie dziecięce zabawy w chowanego, które kończyły się zawsze o zmroku, kiedy cienie łączyły się ze sobą i zlewały w purpurowe laguny. Kończyło je mistyczne nawoływanie niosące się po podmiejskich uliczkach jej dzieciństwa, odległe i tajemnicze, wykrzykiwane piskliwym głosem dziecka i oznajmiające, że pora na kolację i że drzwi zaraz zostaną pozamykane na noc: "Wszyscy wychodziiii! Wszyscy wychodziiii!".

Pies obserwował ją. To idiotyczne, ale teraz już w to nie wątpiła - jego szalone, nieprzytomne oczy były wlepione w nią, tylko w nią. Nie, wydaje ci się, przekonywała samą siebie. To tylko pies, i do tego chory. Sprawy i tak nie wyglądają wesoło, a ty jeszcze dopatrujesz się w ślepiach tego psa czegoś, czego tam nie może być. Jednak ten pies patrzył

na nią. I było w tym coś znajomego. Bzdury, zganiła się w duchu i chciała odpędzić tę myśl, ale na próżno.

Widziałas go już kiedyś, pamiętasz? Rankiem, po tym, jak Tad miał pierwszy ze swych sennych koszmarów, tego ranka, kiedy koce i powłoczki leżały z powrotem na krześle, na nich pluszowy miś, ale kiedy otwarłaś drzwi szafy, widziałas tam przez moment przyczajony kształt o czerwonych ślepiach, coś szykującego się do skoku, i to był on, to był Cujo, Tad miał przez cały czas rację, tylko że potwora nie było w jego szafie... on był tutaj. On tu

(przestań)

on tu po prostu czekał; żeby

(DONNA, PRZESTAŃ)

Spojrzała znowu na psa i wyobraziła sobie, że słyszy jego myśli. Proste myśli. Ten sam prosty zestaw, powtarzany w kółko pośród wirującej kipieli choroby i delirium.

Zabić KOBIECĘ. Zabić CHŁOPCA. Zabić KOBIECĘ.
Zabić...

Przestań, nakazała sobie ostro. On nie myśli i nie jest żadnym przeklętym straszycłem z dziecinnej szafy. To po prostu chore zwierzę. Mało brakuje, a dojdiesz do przekonania, że ten pies to kara boska za...

Cujo wstał nagle - zupełnie jakby go zawołała - i znowu zniknął w stodołę.

(zupełnie jakbym go zawołała)

Wybuchnęła roztrzęsionym, półhisterycznym śmiechem. Tad spojrzał na nią.

- Mamusiu...?

- Nie, nic, słoneczko.

Popatrzyła w mroczną paszczę stodoły-warsztatu, potem przeniosła wzrok na tylne drzwi domu. Zamknięte?

Niezamknięte? Zamknięte? Niezamknięte? Przyszła jej na myśl wirująca moneta rzucona w powietrze, a potem wirujący bębenek rewolweru - pięć otworów pustych, w jednym tkwi pocisk. Zamknięte? Niezamknięte.

Słońce zaszło i z dnia pozostała tylko biała smuga na zachodnim horyzoncie. Nie wyglądała na grubszą od białego pasa wyznaczającego środek szosy. Ona również niebawem zniknie. Świerszcze w wysokiej trawie po prawej stronie podjazdu dawały uroczy koncert.

Cujo nie wystawiał nosa ze stodoły. Śpi? - zastanawiała się Donna. Je?

Przypomniało jej to, że wzięła z domu trochę żywności. Odwróciła się i wyjęła ze swojej brązowej torby pojemniczki śniadaniowy. Termos odtoczył się na sam tył, prawdopodobnie wtedy, gdy samochód zaczął szarpać i zrywać. Żeby go dosięgnąć, musiała wyciągnąć się na całą długość, wskutek czego bluzka wyszła jej ze spodni. Tad, który trwał w półśnie, poruszył się i otworzył oczy. W jego głosie, kiedy się odezwał, pojawiło się od razu śmiertelne przerażenie i słysząc je, znienawidziła tego psa jeszcze bardziej.

- Mamusiu? Mamusiu? Co ty robisz...

- Wyjmuję tylko jedzenie - uspokoiła go. - I sięgam po termos

- widzisz?

- Dobrze. - Opadł z powrotem na oparcie fotela i znowu wsadził sobie kciuk do buzi.

Podniosła duży termos do ucha i potrząsnęła nim ostrożnie, nasłuchując, czy nie dobiegnie z niego czasem chrzęst stłuczonego szkła. Ale usłyszała tylko chlupot mleka. To już było coś.

- Tad? Chcesz jeść?

- Chcę się zdrzemnąć - wymamrotał, nie wyjmując kciuka z buzi ani nie otwierając oczu.

- Musisz coś wrzucić na ruszt, kolego - nie ustępowała. Nawet się nie uśmiechnął.

- Nie jestem głodny. Spać mi się chce.

Popatrzyła na niego zafrasowana i zdecydowała, że lepiej nie drążyć dalej tego tematu. Sen był dla Tada naturalną - może jedyną - bronią, a w normalnych okolicznościach już od pół godziny leżałby w łóżku. Gdyby byli w domu, przed umyciem zębów wypiłby oczywiście szklankę mleka, schrupał parę ciasteczek, wysłuchał bajki na dobranoc z jednej z książeczek Mercera Mayera i...

Poczuła pod powiekami gorące pieczenie napływających do oczu łez i spróbowała odpędzić od siebie te myśli. Drżącymi dłońmi otworzyła termos i nalała sobie pół kubka mleka. Postawiła go na desce rozdzielczej i wyjęła z paczki figę. Już po pierwszym kęsie uświadomiła sobie, że jest nieludzko głodna. Zjadła jeszcze trzy figi, popiła je mlekiem, zagryzła kilkoma zielonymi oliwkami i wychyliła kubek do dna. Beknęła cicho i spojrzała na stodołę trochę już ostrzejszym wzrokiem.

Ujrzała przed nią nieco ciemniejszy cień. Tylko że to nie był wcale cień. To był pies. To był Cujo.

Stoi tam i obserwuje nas, pomyślała znowu.

Nie, nie wierzyła w to. Tak jak nie wierzyła, że w stosie koców złożonych w ściennej szafie synka objawiła się jej wizja Cujo. Nie wierzyła w to... no, może troszeczkę. Ale na pewno nie tak całkiem.

Zerknęła we wsteczne lustro, w którym powinna odbijać się droga. Było teraz za ciemno, żeby ją zobaczyć, wiedziała jednak, że tam jest, tak samo jak wiedziała, że nikt nią nie

będzie przejeżdżał. Kiedy przyjechali tu wtedy w trójkę jaguarem Vica (pies był wtedy bardzo przyjazny, podsunął jej mózg, Tad głaskał go i zaśmiewał się, pamiętasz?), roześmiani i w doskonałych nastrojach, Vic powiedział, że jeszcze przed pięciu laty Droga Miejska Nr 3 prowadziła aż do wysypiska śmieci Castle Rock. Potem po drugiej stronie miasteczka uruchomiono nowy zakład przetwarzania odpadów i teraz droga kończyła się ćwierć mili za posiadłością Cambera. Napis na tabliczce zawieszanej na grubym łańcuchu, który przeciągnięto tam w poprzek, głosił: WSTĘP WZBRONIONY. WYSYPISKO ZAMKNIĘTE. Za domem Camberów nie było już czego szukać.

Donnie przyszło do głowy, że może zabłądzi tu ktoś szukający ustronnego miejsca do zaparkowania, ale nie bardzo mogła wierzyć, by nawet najjurniejszym miejscowym nastolatkom chciało się obściskiwać na starym miejskim wysypisku śmieci. W każdym razie drogą nikt, jak dotąd, nie przejechał.

Biała smuga na zachodnim horyzoncie zbladła już do mdłego poblasku i Donna obawiała się, że nawet to jest tylko wytworem jej wyobraźni. Noc była bezksiężycowa.

Nie do wiary, ale ją również zaczynała ogarniać senność. Może sen był i jej naturalną bronią. A zresztą co innego miała do roboty? Pies wciąż tam stał (przynajmniej wydawało jej się, że to pies; ciemności tak już zgęstniały, że trudno było z całą pewnością stwierdzić, czy to realny kształt, czy po prostu cień). Akumulator musi odpocząć. Dopiero wtedy spróbuje znowu. A więc dlaczego by się nie przespąć?

Paczka na skrzynce pocztowej. Ta paczka od J. C. Whitneya. Poprawiła się w fotelu i zmarszczka namysłu przecięła jej czoło. Odwróciła głowę, lecz widok na skrzynkę pocztową

przesłaniał frontowy narożnik domu. Ale przecież widziała tę paczkę. Wisiała na drzwiczkach skrzynki. Czemu jej się to przypomniało? Czy to ma jakieś znaczenie?

Trzymała wciąż w rękach tackę z oliwkami i plasterkami ogórka, każdy owinięty pieczęlowicie w folię. Zamiast zjeść coś jeszcze, przykryła tackę białym plastikowym wieczkiem i wsadziła je z powrotem do pojemniczka śniadaniowego Tada. Nie wiedziała, skąd ta nagła wstrzeźliwość w jedzeniu, ale nie chciała o tym myśleć. Usiadła wygodnie w fotelu i namacała dźwignię opuszczającą oparcie. Zamierzała zastanowić się nad paczką zawieszoną na skrzynce pocztowej - coś w tym było, podpowiadała jej to intuicja - ale przyszła jej do głowy nowa myśl, myśl, która przywołała ją natychmiast do rzeczywistości, chociaż zapadała już w drzemkę.

Camberowie pojechali z wizytą do krewnych. Krewnych, którzy mieszkali w jakimś mieście odległym o dwie, może trzy godziny drogi samochodem. Może do Kennebunk. Albo do Hollis. Albo do Augusty. To był zjazd rodzinny.

Znajdujący się na pograniczu snu umysł podsunął jej wizję pięćdziesięciu, a może i więcej osób zgromadzonych na pięknym, wielkim zielonym trawniku, takim, jakie widuje się w telewizyjnych reklamówkach. Nad wyłożonym polnymi kamieniami paleniskiem różna falowało rozgrzane powietrze. Przy długim stole na kozłach siedziało co najmniej cztery tuziny osób opróżniających patery kaczanów kukurydzy i pochłaniających talerze przyrządzonej po domowemu fasoli - głupiego Jasia, po bretońsku, szparagowej. Wśród dań były też półmiski pieczonych na ogniu kiełbasek (podrażniony tą wizją żołądek Donny zaburczał cicho). Stół był przykryty domowym obrusem w kratkę. Obowiązki pani domu

sprawowała uroczą starszą kobietą o siwych włosach upiętych w kok. Omotana już całkowicie kokonem swego snu, Donna bez najmniejszego zaskoczenia rozpoznała w tej kobiecie swoją matkę.

Camberowie byli tam, a jakże, ale tak naprawdę nie byli wcale Camberami. Joe Camber, ubrany w czyściutki kombinezon roboczy od Searsa, wyglądał zupełnie jak Vic, a pani Camber miała na sobie zieloną suknię Donny z lejącego się jedwabiu. Ich syn wyglądał zaś tak, jak będzie wyglądał Tad w piątej klasie podstawówki...

- Mamusiu?

Obraz zafalował i zaczął się rozpadać. Starła się go zatrzymać, bo był taki kojący i sielankowy: archetyp rodziny, której nigdy nie miała i której z jednym zaplanowanym dzieckiem oraz starannie zaprogramowanym życiem ona i Vic nigdy nie będą mieli. W nagłym przypiływie smutku zadała sobie w duchu pytanie, dlaczego nie rozważała dotąd swoich życiowych decyzji pod tym kątem.

- Mamusiu?

Obraz znowu zafalował. Ten głos z zewnątrz przebił wizję jak igła przebijająca skorupkę jajka. Mniejsza z tym. Camberowie są na zjeździe rodzinnym i wrócą późnym wieczorem rozbawieni, objedzeni kielbaskami z różną. Wszystko będzie dobrze. Joe Camber z twarzą Vica wszystkim się zajmie. Wszystko znowu wróci do normy. Są takie rzeczy, do których Bóg nigdy nie dopuści. Prędzej...

- Mamusiu!

Ocknęła się i wyprostowała, zaskoczona, że zamiast leżeć we własnym łóżku, siedzi za kierownicą pinta... Sielankowa wizja rodziny zebranej wokół piknikowego stołu na kozłach

zaczęła się rozwiewać i za piętnaście minut nawet nie będzie pamiętała, co jej się śniło.

- He? Co?

Nagle w nocną ciszę wdarł się przeraźliwy dzwonek telefonu dochodzący z domu Camberów. Pies wstał z ziemi; poruszone cienie zlały się po chwili w wielki, zwalisty kształt.

- Mamusiu, ja muszę do łazienki.

Cujo rozdrażniony dzwonkiem telefonu zaczął ryczeć. Nie szczekać, a ryczeć. Potem przypuścił szarżę na dom. Wyrznął łbem w tylne drzwi z taką siłą, że zatrzęszczały groźnie.

Nie, pomyślała z rozpaczą, och, nie, przestań, proszę, przestań...

- Mamusiu, ja muszę...

Pies warcząc gryzł framugę. Słyszała przyprawiający o mdłości chrzęst, z jakim jego zęby zagłębiały się w drewnie.

- ...siusiu.

Telefon dzwonił już szósty raz. Ósmy. Dziesiąty. Potem przestał. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby w gorącym westchnieniu ulgi.

Cujo nie odchodził od drzwi; stał zadnimi łapami na ziemi, wsparłszy przednie na najwyższym stopniu schodków. Z jego piersi nadal dobywał się niski bulgot - nienawistny i koszmarny. W końcu odwrócił się i patrzył przez jakiś czas na pinto - Donna widziała wyraźnie zaschniętą pianę zlepiającą mu sierść na pysku i klatce piersiowej - a potem oddalił się ociężale w mrok i roztopił w nim. Nie potrafiła określić kierunku, w którym się udał. Może do warsztatu. A może uwalił się na zewnątrz, przy ścianie stodoły.

Tad szarpał ją natarczywie za rękaw.

- Mamusiu, bardzo mi się chce!

Spojrzała na niego bezradnie.

Brett Camber odłożył powoli słuchawkę telefonu.

- Nikt nie odbiera. Chyba nie ma go w domu. Charity pokiwała głową, właściwie tym niezaskoczona.

Wdzięczna była Jimowi, który zaproponował, żeby zadzwonili z jego gabinetu znajdującego się na dole, z dala od "pokoju rodzinnego". Pokój rodzinny był dźwiękoszczelny. Stały tam półki gier planszowych oraz wielkoekranowy telewizor marki Panasonic z podłączonym magnetowidem i zestawem do gier wideo firmy Atari. Jeden kąt zajmowała wspaniała szafa grająca Wurlitzera, która naprawdę działała.

- Zszedł pewnie do Gary'ego - stwierdził niepocieszony Brett.

- Tak, chyba jest z Garym - przyznała, co nie było wcale równoznaczne z przypuszczeniem, że jest u Gary'ego w domu.

Zauważyła ten nieobecny wyraz w oczach Joego, kiedy w końcu dobiła z nim targu, w wyniku którego byli tu teraz z Brettem. Miała nadzieję, że Brettowi nie przyjdzie do głowy, żeby zadzwonić do informacji telefonicznej i poprosić o podyktowanie numeru Gary'ego Perviera, bo wątpiła, czy i tam ktoś podniósłby słuchawkę. Podejrzewała, że te dwa stare łajdusy wypuściły się gdzieś na lumpy.

- Jak myślisz, mamo, z Cujo wszystko w porządku?

- Nie wydaje mi się, żeby ojciec gdzieś poszedł i zostawił go samego, gdyby było inaczej - odparła i naprawdę tak myślała; nie wierzyła, że Joe mógłby tak postąpić. - Może damy już dzisiaj spokój i zadzwonisz do niego jutro rano? Zresztą pora do łóżka. Już po dziesiątej. Miałaś dzień pełen wrażeń.

- Nie jestem zmęczony.

- Niedobrze, kiedy człowiek za długo chodzi podniecony. Wypakowałam twoją szczoteczkę do zębów, a ciocia Holly dała ci myjkę i ręcznik. Pamiętasz, która łazienka...?

- Pamiętam, pamiętam. Ty też się kładziesz, mammo?

- Posiedzę jeszcze trochę z Holly. Mamy sobie dużo do opowiadania.

- Wiesz... - mruknął nieśmiało Brett - ona wygląda zupełnie jak ty.

Charity spojrzała na syna zdziwiona.

- Naprawdę? Tak, chyba masz rację. Jest dość podobna.

- I ten mały Jimmy. Naprawdę ma niezły prawy sierpowy. Uff! - Brett roześmiał się.

- Mocno cię uderzył?

- Gdzie tam. - Brett rozglądał się ciekawie po gabinecie Jima, zatrzymując wzrok najpierw na maszynie do pisania marki Underwood stojącej na biurku, potem na otwartej szufladzie z równo poukładanymi teczkami, z których każda opatrzona była fiszką z nazwiskiem w porządku alfabetycznym. Jego oczy miały jakiś wyrachowany, taksujący wyraz, którego nie rozumiała ani nie umiała nazwać. Kiedy się odezwał, odniosła wrażenie, że wraca gdzieś z daleka: - Nie, nawet nie poczułem. To przecież jeszcze dzieciak. - Spojrzał na nią, przekrzywiając głowę. - Jest moim kuzynem, prawda?

- Tak.

- Krewny - mruknął refleksyjnie Brett.

- Co sądzisz o wujku Jimie i cioci Holly?

- Ona mi się podoba. A co do niego, to trudno jeszcze powiedzieć. Na przykład ta szafa grająca. Jest naprawdę fajna. Ale... - pokręcił z jakimś rozdrażnieniem głową.

- Co z tą szafą, Brett?

- Tak nią szpanuje! - wyrzucił z siebie chłopiec. - Ją pierwszą mi pokazał, jak dziecko swoją zabawkę... No wiesz, zupełnie jakby chciał powiedzieć: "A zobacz, co ja mam"...

- No, od niedawna się nią cieszy - powiedziała Charity. Zaczął się w niej budzić nieokreślony lęk związany w jakiś sposób z Joem... co on powiedział Brettowi na dworcu autobusowym, kiedy wziął go na stronę? - Każdy jest dumny z nowych nabytków. Holly pisała mi w liście, że wreszcie ją kupili. Podobno Jim od młodzieńczych lat o takiej marzył. Kochanie, różni ludzie kupują różne rzeczy, żeby pokazać innym, jak im się dobrze powodzi, ale przeważnie kupują coś, co chcieli mieć, kiedy byli biedni.

- To wujek Jim był biedny?

- Nie wiem - odparła. - W każdym razie teraz biedni nie są.

- Mnie chodziło tylko o to, że nic przy niej nie zrobił. Rozumiesz, co mam na myśli? - Wpatrywał się w nią intensywnie. - Kupił ją za pieniądze, wynajął kogoś, żeby mu ją podłączył, wynajął kogoś, żeby mu ją tu przywiózł, i mówi, że jest jego, a przecież on jej... no wiesz, on jej... eee, sam nie wiem.

- Nie zrobił jej własnymi rękami? - Chociaż kielkujący w niej strach narastał, powiedziała to łagodnym tonem.

- No właśnie! O to mi chodziło! Kupił ją za pieniądze, ale właściwie nie miał przy niej nic do roboty, a teraz zachowuje się tak, jakby sam ją zmontował...

- Powiedział, że szafa grająca to delikatna, skomplikowana maszyna...

- Tata umiałby ją uruchomić - burknął Brett i Charity wydało się nagle, że słyszy zatraskujące się drzwi, zatraskujące się z głośnym, głuchym, przerażającym hukiem. Zatrzasnęły się

w jej sercu. - Tata wszystko sam by przy niej zrobił i wtedy mógłby mówić, że jest jego.

- Brett - powiedziała (własny głos zabrzmiał jej w uszach słabo i usprawiedliwiająco) - nie każdy jest taką złotą rączką jak twój ojciec.

- Wiem - odparł, rozglądając się wciąż po gabinecie. - Tak. Ale wujek Jim nie powinien się tak zachowywać tylko dlatego, że ma pieniądze. Rozumiesz? Denerwuje mnie, że zadziera nosa, chociaż nie ma do tego powodu.

Tego było już za wiele. Najchętniej wzięłyby go za ramiona i potrząsnęła silnie; wykrzyczałyby, że pieniądze nie biorą się znikąd, że ich posiadanie jest prawie zawsze wynikiem długotrwałego świadomego wysiłku i że wola podejmowania takiego wysiłku stanowi o charakterze człowieka. Powiedziałyby mu, że podczas gdy jego ojciec, przesiadując z kolesiami na stertach starych, łysych opon na tyłach Emerson's Sunoco doskonalił swoje umiejętności w opróżnianiu flaszek taniej whisky i opowiadaniu świńskich dowcipów, a gdy go już bardzo przycisnęło, łapał dorywcze partaniny, Jim Brooks uczył się w szkole prawniczej i wytężył mózg, by ją ukończyć, bo jak się ukończy taką szkołę, to dostaje się dyplom, a dyplom jest przepustką do godnego życia. Oczywiście samo jego posiadanie nie oznacza jeszcze, że chwyciło się Pana Boga za nogi, ale daje przynajmniej możliwość ułożenia sobie życia na przyzwoitym poziomie.

- Idź teraz na górę i przygotuj się do spania - powiedziała cicho. - To, co myślisz o wujku Jimie, to twoja sprawa. Ale... daj mu szansę, Brett. Nie sądz go tylko po tym - wskazała ruchem głowy na grającą szafę.

- Dobrze, nie będę - powiedział.

Wyszli z gabinetu i udali się do kuchni, gdzie Holly przyrządzała kakao dla ich czwórki. Jim junior i Gretchen dawno już leżeli w łózkach.

- Dodzwoniłaś się do męża? - spytała Holly.

- Nie, poszedł pewnie do tego swojego kolegi - odparła Charity. - Spróbujemy jutro.

- Chcesz kakao, Brett? - zwróciła się Holly do chłopca.

- Tak, poproszę.

Charity obserwowała syna siedzącego przy stole. Zauważyła, że oparł się o blat łokciem, ale szybko cofnął rękę, przypominając sobie zapewne, że to nieelegancko. Serce miała tak przepełnione miłością, nadzieją i strachem, że zdawało się zataczać po klatce piersiowej jak pijane.

Czas, pomyślała. Czas i perspektywy. Dać mu to. Jeśli będziesz wywierała na niego presję, stracisz go na pewno.

Ale ile było tego czasu? Zaledwie tydzień, a potem chłopiec znajdzie się znowu pod wpływem Joego. Ponownie, tym razem już na poważnie, zaczęła rozważać ewentualność rozwodu.

Donnie śniło się, że przyszedł Vic.

Nadszedł najzwyczajniej w świecie podjazdem i otworzył drzwiczki pinta. Miał na sobie swój najlepszy garnitur, ten ciemnoszary, trzyczęściowy. "Chodźcie oboje - powiedział z tym figlarnym uśmiechem na twarzy. - Pora do domu, póki wampiry nie powyłaziły jeszcze na świat".

Próbowała go ostrzec, powiedzieć mu, że pies ma wściekliznę, nie mogła jednak wykrztusić ani słowa. I nagle z ciemności wyłonił się Cujo. Łeb miał opuszczony, a z klatki piersiowej wydobywał mu się niski charkot. Uważaj! - próbowała krzyknąć. - Jego ukąszenie to śmierć! Ale głos wiązał jej w krtani.

Zanim jednak Cujo skoczył na Vica, ten odwrócił się i wymierzył w psa palec. Futro Cujo z miejsca zrobiło się matowobiałe. Czerwone, kaprawe ślepią wpadły mu do czaszki niczym kulki do kubka. Nos odpadł i rozprysł się w zderzeniu ze żwirową nawierzchnią podjazdu w drobny mak, jak czarne szkło. Po chwili przed garażem pozostało samo psie futro.

"Nie bójcie się - powiedział Vic ze snu. - Nie bójcie się tego starego psa, bo to tylko samo futro. Dostaliście już pocztę? Mniejsza z psem, poczta idzie. Poczta to ważna rzecz, prawda? Poczta...".

Jego głos cichł w długim tunelu, rozpadając się na coraz więcej milknących w dali ech. I nie był to już sen o głosie Vica, a wspomnienie tego snu - obudziła się z policzkami mokrymi od łez. Spojrzała na zegarek i ledwie odczytała przez łyzy położenie wskazówek: kwadrans po pierwszej. Zerknęła na Tada. Spał twardo z kciukiem w buzi.

Mniejsza z psem, poczta idzie. Poczta to ważna rzecz.

Nagle pojęła znaczenie paczuszki wiszącej na drzwiczkach skrzynki pocztowej. Olśnienie to spadło na nią niczym wypuszczona z podświadomości strzała. Dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy? Może dlatego, że to takie oczywiste, takie proste, takie elementarne, mój-drogi-Watsonie. Wczoraj był poniedziałek i przyszła poczta. Dowodem tego była paczka od J. C. Whitneya dla Joego Cambera.

Dziś jest wtorek i listonosz znowu się zjawi.

Łzy ulgi potoczyły się po jej wilgotnych jeszcze policzkach. Musiała stoczyć ze sobą prawdziwą walkę, żeby nie obudzić Tada i nie powiedzieć mu, że najpóźniej o drugiej po południu, a prawdopodobnie dużo wcześniej, gdzieś między

dziesiątą i jedenastą rano, o ile poczta dostarczana była tu tak sprawnie, jak pod inne adresy miasteczka - koszmar się skończy.

Listonosz pojawi się, nawet jeśli do Camberów nie będzie żadnej poczty. Przyjedzie sprawdzić, czy chorągiewka na skrzynce pocztowej nie jest uniesiona na znak, że w środku znajduje się przesyłka do zabrania. To należy do jego obowiązków. Będzie musiał dotrzeć do tego swojego ostatniego przystanku na Drodze Miejskiej Nr 3, żeby to sprawdzić, i dzisiaj powita go tu kobieta bliska histerii ze szczęścia.

Spojrzała łakomie na pojemniczek śniadaniowy Tada i pomyślała o znajdującym się tam jedzeniu. Uspokoila protestujące sumienie postanowieniem, że trochę zostawi na później, na wypadek... no, na wszelki wypadek. Teraz to nie miało wielkiego znaczenia, chociaż rano Tad będzie pewnie głodny. Zjadła resztę plasterków ogórka. Tad i tak nie przepadał za ogórkami. Będzie miał nietypowe śniadanie, pomyślała z uśmiechem. Figi, oliwki i batonik Slim Jim.

Przeżuwając dwa ostatnie plasterki ogórka uświadomiła sobie, że najbardziej boi się zbiegów okoliczności. Bo to chyba seria zbiegów okoliczności, całkowicie przypadkowych, ale udających wyroki opatrności, uczyniła psa tak strasznie zajadłym... tak zawziętym na nią osobiście. Vic wyjeżdżający na dziesięć dni, to był zbieg okoliczności numer jeden. Vic telefonujący dzisiaj wcześniej po południu, to zbieg okoliczności numer dwa. Gdyby nie zastał ich wtedy w domu, spróbowałby później i próbowałby dalej, aż w końcu zaczęłby się zastanawiać, gdzie się podziewają. Następnie fakt, że Camberowie wybrali się gdzieś całą trójką, i wszystko wskazywało na to, że wcześniej niż rano nie wrócą. To był

numer trzy. Matka, syn i ojciec. Wszyscy wyjechali. Ale zostawili psa. Och, rzeczywiście. Przecież...

Do głowy przyszła jej nagle przerażająca myśl, unieruchamiając szczęki na ostatnim plasterku ogórka. Próbowała ją odpędzić, ale uparcie powracała. Nie dawała się przegnać, niosła w sobie własną, gargulcową logikę.

A jeśli wszyscy troje leżą martwi w stodole?

Oczyrna wyobraźnia ujrzała natychmiast tę scenę. Obraz miał niezdrową wyrazistość tych wizji na jawie, które nachodzą czasem człowieka nad ranem. Trzy ciała poniewierające się na podłodze jak szmaciane lalki, wokół nich nasączone krwią trociny, niewidzące oczy trupów wpatrujące się w czerń pod dachem stodoły, skąd dochodzą nawoływania i furkot skrzydełek jaskółek dymówek, porwane ubrania, rozdarte członki...

Nie, to idiotyczne, to...

Może pierwszy padł ofiarą chłopiec. Tamtych dwoje jest w kuchni albo wykręca szybki numer w sypialni na górze, słyszą krzyk, wybiegają...

(prześnięć, natychmiast prześnięć)

...wybiegają z domu, ale chłopiec już nie żyje, pies rozerwał mu gardło, i kiedy stoją tak porażeni śmiercią syna, bernardyn wyłania się z cienia jak wielka, straszna maszyna zniszczenia, tak, ten wstrętny, wściekły potwór wychodzi, warcząc, z cienia, rzuca się na kobietę, mężczyzna próbuje stanąć w jej obronie...

(nie, on porwałby za karabin albo rozwalił bestii łeb kluczem francuskim czy czymś takim, a zresztą gdzie jest samochód? - kiedy przyjechali tu w zeszłym roku, widziała na podwórku samochód - pojechali całą trójką na rodzinną wycieczkę -

słyszysz, na RODZINNĄ WYCIECZKĘ - wzięli samochód i zostawili ciężarówkę)

Ale dlaczego nikt nie przyszedł nakarmić psa?

Było to logiczne pytanie, pytanie, które nappełniło ją strachem. Dlaczego nikt nie przyszedł nakarmić psa? Wyjeżdżając na kilka dni, prosi się kogoś, żeby dawał psu jeść, a potem w formie rewanżu karmi się kota, rybkę czy co tam tego kogoś. A więc gdzie...

Przypomniała sobie, że pies wracał zawsze do stodoły. Czyżby miał tam coś do jedzenia?

No i masz swoją odpowiedź, podpowiedział jej z ulgą głos wewnętrzny. Nie mieli nikogo, kto zająłby się ich psem, napelnili mu więc miskę żywnością. Suchym pokarmem dla psów czy czymś takim.

I wtedy przyszło jej do głowy to samo, co wcześniej tego długiego, długiego dnia przyszło do głowy Joemu Camberowi. Taki wielki pies pochłonąłby przecież wszystko za jednym zamachem, a potem włóczył się głodny. Wyjeżdżając gdzieś na dłużej, zdecydowanie lepiej poprosić o dokarmianie psa kogoś znajomego. Może nie planowali tak długiej nieobecności, może coś ich zatrzymało. Może to był rzeczywiście zjazd rodzinny i Camber spił się do nieprzytomności. Może tak, może nie, kto to może wiedzieć.

Czy pies je coś w stodole?

(co on tam je? pokarm dla psów? czy ludzi?)

Żołądek podszedł jej do gardła i wypluła w garść ostatni plasterek ogórka. Czuła, że zaraz zwróci wszystko, co do tej pory zjadła. Zmobilizowała całą siłę woli, żeby poskromić te sensacje. Zostawili psu jedzenie i pojechali gdzieś samochodem. Nie trzeba być zaraz Sherlockiem Holmesem,

żeby to wydedukować. Wszystkie inne spekulacje to tylko nerwy.

Ale wizja śmierci uparcie powracała. Dominowały w niej przesiąknięte krwią trociny na podłodze stodoły, trociny o ciemnej barwie kiełbasek w naturalnym flaku.

Przestań. Jeśli już musisz o czymś myśleć, myśl lepiej o poczcie. Myśl o jutrze. Myśl o szczęśliwym zakończeniu tego koszmaru. Po jej stronie samochodu rozległo się ciche szuranie.

Nie chciała tam patrzeć, ale nie mogła się powstrzymać. Miała wrażenie, że jej głowę odwracają niewidzialne, silne ręce. Wydawało jej się nawet, że słyszy cichy skrzyp opierających się ścięgien szyi. Obok samochodu stał Cujo i wlepił w nią wzrok. Widziała jego pysk zaledwie kilka cali od swojej twarzy. Oddzielała ich tylko hartowana szyba w oknie od strony kierowcy. Czują wwiercające się w nią czerwone, kaprawe ślepie. Nos psa wyglądał jak usmarowany kremem do golenia, który zaczyna już zasychać.

Cujo uśmiechał się do niej.

Do gardła zaczął jej podchodzić wzbierający w piersiach krzyk, bo słyszała jego myśli, słyszała, jak mówi do niej: "Dostanę cię, mała. Dostanę cię, dziecinko. Myśl sobie o listonoszu, jeśli chcesz. Jego też zabiję, tak jak zabiłem całą trójkę Camberów, tak jak zabiję ciebie i twojego syna. Lepiej oswajaj się już z tą myślą. Lepiej...".

Krzyk dotarł do gardła. Był jak żywa istota wrywająca się na wolność i nagle wszystko jej się przypomniało: Tad chciał siusiu, opuściła więc o parę cali szybę i uniosła go w górę, żeby oddał mocz przez okno, a sama uważała na psa, Tad długo nie mógł wycisnąć z siebie choćby kropelki i ramiona

zaczęły jej omdlewać; potem ten sen, potem wizja śmierci, a teraz to...

Pies uśmiechał się do niej; uśmiechał się, miał na imię Cujo, a jego ugryzienie oznaczało śmierć.

Musi krzyknąć

(ale Tad)

bo oszaleje

(spi)

Zacisnęła zęby, żeby powstrzymać ten krzyk, tak jak przed chwilą zaciskała krtań, żeby nie zwymiotować. Walczyła z nim, walczyła. W końcu serce zaczęło zwalniać i zdała sobie sprawę, że wygrała.

Uśmiechnęła się do psa i pokazała mu zaciśnięte pięści z odchylonymi środkowymi palcami. Przyłożyła je do szyby, która zaparowała od zewnątrz od oddechu Cujo.

- Pocałuj mnie w dupę - wyszeptwała.

Po chwili, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, pies opadł przednimi łapami na ziemię i znikł znowu w stodole.

Jej myśli ponownie skręciły w ten sam mroczny tor

(co on tam je?)

a potem zatrzasnęła zdecydowanie tamte drzwi w swej świadomości.

Ale teraz już nie zaśnie, długo nie zaśnie, a do świtu tak jeszcze daleko. Roztrzęsiona poprawiła się w fotelu, wmawiając sobie, że to śmieszne, naprawdę śmieszne, wyobrazić sobie, że ten pies jest jakimś odrażającym mścicielem, który uciekł ze ściennej szafy Tada.

Vic drgnął konwulsyjnie i ocknął się w absolutnej ciemności.

Przyśpieszony oddech drapał wysuszone gardło, a serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Był zupełnie dezorientowany -

tak zdezorientowany, że przez moment wydawało mu się, że spada, i rozrzucił ręce, żeby uchwycić się krawędzi łóżka.

Zamknął na chwilę oczy, starając się ze wszystkich sił wziąć w garść, oprzytomnieć

(jesteś w)

otworzył oczy i zobaczył okno, stoliczek przy łóżku, lampę (hotelu Ritz-Carlton w Bostonie, w Massachusetts).

Rozluźnił się. Znalazł punkt odniesienia i wszystko powróciło na swoje miejsce, a jemu pozostało tylko zachodzić w głowę, skąd wzięło się to przelotne wrażenie takiego kompletnego zagubienia i rozbicia. Przypuszczał, że to sprawa znalezienia się w nowym miejscu. Tego i koszmarne snu, który go nawiedził.

Jezu, ależ to był horror. Nie pamiętał, żeby od czasu, kiedy wchodził w okres dojrzewania i miewał sny o spadaniu, śniło mu się coś straszniejszego. Sięgnął po zegarek leżący na nocnym stoliczku, wziął go oburącz i zbliżył do oczu. Dwadzieścia po drugiej. Z łóżka obok dolatywało ciche pochrapywanie Rogera. Oczy Vica przywykły już do ciemności i widział leżącego na wznak przyjaciela. Skopany koc walał się na podłodze przy łóżku. Roger miał na sobie kretyńską pizamę w proporczyki college'ów.

Vic spuścił nogi z łóżka, przeszedł na palcach do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Na krawędzi wanny leżały papierosy Rogera. Poczęstował się jednym. Bardzo tego potrzebował. Przysiadł na klozecie i palił, strząsając popiół do umywalki.

Niespokojny sen, powiedziałyby Donna, i Bóg świadkiem, że naprawdę niespokojny. Ale przecież o wpół do jedenastej kładł się do łóżka w najlepszym od tygodnia nastroju. Po powrocie do hotelu spędzili z Rogerem pół godziny w barku na dole, wałkując pomysł przeprosin, a potem Roger wyłowił

z wnętrza wielkiego starego portfela, który wszędzie ze sobą zabierał, domowy numer Yanceya Harringtona. Harrington był aktorem, który grał Profesora od Chrupek Sharpa.

- Zanim przejdziemy do konkretów, wybadajmy lepiej, czy on na to pójdzie - powiedział Roger. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer Harringtona, który mieszkał w Westport w Connecticut. Vic nie miał pojęcia, czego oczekiwać. Uważał, że Harringtona trzeba wziąć trochę pod włos - facet był bardzo podłamany całą tą aferą z Zingersami.

Obaj się mile rozczarowali. Harrington zgodził się natychmiast. Rozumiał sytuację i zdawał sobie sprawę, że Profesor jest skończony ("Już po nim", powiedział ponuro). Ale był zdania, że ta ostatnia reklamówka może wyciągnąć firmę z kłopotów, postawić ją z powrotem na nogi.

- Nie uwierzysz - powiedział z uśmiechem Roger, odłożywszy słuchawkę. - Podoba mu się pomysł tego ostatniego bisu. Niewielu aktorom z branży reklamowej trafia się taka szansa. Jeśli go o to poprosimy, przyleci na własny koszt do Bostonu.

Tak więc Vic położył się do łóżka szczęśliwy i prawie od razu zasnął. A potem nawiedził go ten sen. Stał w tym śnie przed drzwiami ściennej szafy Tada i tłumaczył synkowi, że tam nic nie ma, zupełnie nic. Udowodnię ci to raz na zawsze, powiedział do Tada. Otworzył drzwi od szafy i stwierdził, że ubrania i zabawki zniknęły. Zamiast nich w szafie rósł las - stare sosny i świerki, stareńkie dęby. Podłogę szafy pokrywał dywan wonnych igieł i mokrych liści. Rozgarnął je nogą, żeby sprawdzić, czy pod spodem znajduje się nadal podłoga z malowanych desek. Nie dogrzebał się jej jednak: czubek buta zagłębił się w tłustą, czarną, leśną ziemię.

Wszedł do szafy i drzwi się za nim zamknęły. Było tam na tyle jasno, że wszystko widział. Wypatrzył ścieżkę i ruszył nią przed siebie. Nagle uświadomił sobie, że na plecach ma plecak, a z ramienia zwisa mu menażka na pasku. Słyszał tajemniczy szum wiatru wśród jodeł i cichy świergot ptactwa. Przed siedmioma laty, na długo przed powstaniem Ad Worx, spędzili razem z Breakstone'ami urlop na pieszej wędrówce szlakiem Appalachian Trail i tamte okolice bardzo przypominały scenerię z jego snu. Przeszli szlak tylko w jedną stronę, a wrócili brzegiem morza. Vic, Donna i Roger świetnie się bawili, ale Althea nie cierpiała chodzenia piechotą i dała im się wtedy porządnie we znaki.

Pierwsza część snu była nawet przyjemna. Przekonanie, że tak właśnie powinno wyglądać wnętrze ściennej szafy Tada, było na swój dziwny sposób wspaniałe. Potem Vic wyszedł na polanę... ale obraz zaczynał się już rozpadać, tak jak to dzieje się ze snami pod wpływem budzącej się świadomości.

Po drugiej stronie polany wznosiła się w niebo na wysokość może tysiąca stóp pionowa szara ściana. Dwadzieścia stóp nad ziemią ział w niej wylot pieczary - nie, pieczary są głębsze, była to właściwie nisza, zagłębienie w skale o płaskim podłożu. Schronili się tam Donna z Tadem. Schronili się przed jakimś potworem, który próbował dostać się na górę, by ich dopaść i pożreć.

Przypominało to scenę z "King Konga", kiedy wielka małpa, strząsnąwszy niedoszłych wybawców Fay Wray z pnia, próbuje dosięgnąć ostatniego ocalałego z nich. Ale facet skrył się w dziurze i Kong nie potrafił go stamtąd wyciągnąć.

Potwór z jego snu nie był jednak gigantyczną małpą. Był... właśnie, czym on był? Smokiem? Nie, nic z tych rzeczy. Nie smokiem, nie dinozaurem, nie trollem. Vic nie potrafił go

opisać. Czymkolwiek jednak był, nie mógł dostać się do Donny i Tada, czyhał więc na dole, jak kot czekający z przerażającą cierpliwością na mysz.

Vic puścił się biegiem, ale chociaż starał się biec najszybciej jak potrafił, nie przybliżał się ani trochę do przeciwległego skraju polany. Słyszał, jak Donna wzywa pomocy, ale kiedy sam krzyknął w odpowiedzi, jego głos zanikł zaraz po wyjściu z ust. Pierwszy dostrzegł go w końcu Tad.

"One nie działają! - krzyknął chłopiec zrezygnowanym, zrozpaczonym głosem, od którego Vicowi serce ścisnęło się ze strachu. - Słowa na Potwora nie działają, tatusiu! Och, tatusiu, one nie działają, nigdy nie działały! Okłamałeś mnie, tatusiu! Okłamałeś!".

Vic biegł i biegł, ale nie posuwał się wcale naprzód. A kiedy spojrzał na podnóże wysokiej szarej ściany, zobaczył tam stosy starych kości i wyszczerzonych czaszek, pokrytych zielonym, puszystym mchem.

I w tym momencie się obudził.

Co to był za potwór?

Ale już nie pamiętał. Sen był jak scena oglądana przez odwrotną stronę lunety. Wyrzucił niedopałek papierosa do klozetu, spuścił wodę i odkręcił kran w umywalce, żeby splukać popiół z jej ścianek.

Wysikał się, zgasił światło i wrócił do łóżka. Kładąc się, zerknął na telefon i nagle naszła go irracjonalna pokusa zadzwonienia do domu. Było dziesięć po drugiej nad ranem. Nie tylko by ich obudził, ale i prawdopodobnie śmiertelnie przestraszył. Snów nie można interpretować dosłownie - każdy to wie.

Ale bardzo chciał chociaż usłyszeć głos Donny i przekonać się, że wszystko u niej w porządku...

Odwrócił się plecami do telefonu, ubił poduszkę i zdecydowanie zamknął oczy.

Skoro tak ci to do szczęścia potrzebne, zadzwonisz do niej rano, pomyślał. Zaraz po śniadaniu.

Uspokoiwszy w ten sposób sumienie, wkrótce znowu odpłynął w sen. Tym razem nic mu się nie przyśniło - a jeśli nawet, to te sny nie odcisnęły się w jego świadomości. A kiedy we wtorek rano o umówionej porze obudził go telefon z biura zleceń, nie pamiętał już o bestii z polany, którą widział we śnie. Przypominał sobie tylko mgliście, że wstawał w nocy. Nie zadzwonił tego dnia do domu.

Charity Chamber obudziła się tego wtorkowego ranka punkt piąta i przebrnęła przez krótki okres dezorientacji, towarzyszący dochodzeniu do przytomności: żółta tapeta zamiast drewnianych ścian, zielone zasłony zamiast białych firanek, wąskie łóżko zamiast podwójnego, zaczynającego się już zapadać pośrodku.

Potem zorientowała się, gdzie jest - Stratford w Connecticut - i ogarnęła ją fala przyjemnego podniecenia. Będzie miała cały dzień na rozmowę z siostrą, cały dzień na wspomnianie starych, dobrych czasów, na wypytywanie, co porabiała przez te ostatnie kilka lat.

Obudziła się półtorej godziny wcześniej niż zwykle. Ten dom zacznie prawdopodobnie ożywać dopiero za dwie godziny. Ale w obcym łóżku nie wyśpisz się porządnie wcześniej niż trzeciej nocy - to było jedno z powiedzonek matki, i nie można mu było odmówić słuszności.

Kiedy tak leżała i nasłuchiwała wpatrzona w mdłe światło przedświtu - światło wczesnego ranka, zawsze tak białe, czyste i łagodne - wsączające się przez nie zaciągnięte do końca zasłony, cisza zaczęła ustępować pierwszym odgłosom

wstającego dnia. Usłyszała skrzyp deski. Potem sójkę rozpoczynającą swój poranny występ. Pierwszy pociąg osobowy do Westport, Greenwich i Nowego Jorku.

Deska znowu skrzyknęła.

I jeszcze raz.

To nie osiadający dom. To kroki.

Usiadła na łóżku; koc i prześcieradło zsunęły jej się na podolek, odsłaniając górę różowej koszuli nocnej. Ktoś schodził wolno po schodach. Stapał lekko; był boso albo w samych skarpetkach. To Brett. Bliskich rozpoznaje się po chodzie. To jedna z tych tajemniczych zdolności, które rozwijają się z biegiem lat same z siebie i odciskają w podświadomości, jak kształt liścia wtopiony w kamień.

Odrzuciła koc, wstała i podeszła do drzwi. Jej pokój wychodził na podest schodów i zdążyła jeszcze zobaczyć znikający niesforny kosmyk włosów na czubku głowy Brettta.

Ruszyła za nim.

Kiedy doszła do szczytu schodów, chłopiec zniknął właśnie w korytarzu biegnącym przez całą szerokość domu, od drzwi frontowych do kuchni. Otworzyła usta, żeby go zawołać, i zamknęła je z powrotem. Onieśmielał ją ten pogrążony we śnie dom. Nie była tu u siebie.

Zbiegła boso na dół i ruszyła na palcach za Brettem, który skręcał właśnie do kuchni. Miał na sobie tylko błękitne spodnie od piżamy; ich białe bawełniane troczki zwisały mu poniżej krocza. Lato jeszcze się na dobre nie zaczęło, a on był już brązowy - odziedziczył po ojcu ciemną karnację skóry i szybko się opalał.

Stojąc w progu, widziała go z profilu. Szedł wzdłuż rzędu wiszących szafek ciągnącego się nad kuchenką, ladą i zlewem, skąpany w czystym, klarownym blasku poranka.

Serce przepęłił jej zachwyt i strach. Jest piękny, pomyślała. Wszystko, co jest albo kiedykolwiek było w nas pięknego, jest teraz w nim. Tej chwili nigdy nie zapomni - widziała swego syna w samych spodniach od piżamy i przez moment wydało jej się, że pojmuje tajemnicę jego chłopięcego wieku, który wkrótce będzie już miał za sobą. Matczyne oczy pieściły z lubością wypukłości mięśni chłopca, zarys jego pośladków, czyste podeszwy stóp. Wydawał jej się wprost idealny.

Widziała to wszystko wyraźnie, bo Brett był pogrążony we śnie. W dzieciństwie zdarzało mu się lunatykować; chyba ze dwadzieścia razy między czwartym a ósmym rokiem życia. W końcu tak ją to zaniepokoiło - nawet przestraszyło - że (bez wiedzy męża) skonsultowała się z doktorem Greshamem. Nie obawiała się, że Brett traci rozum - wszyscy z jego otoczenia widzieli, że jest inteligentny i normalny - bała się tylko, że w tym dziwnym stanie może sobie zrobić jakąś krzywdę. Doktor Gresham uspokoił ją, że to mało prawdopodobne i że wiedza ludzi o somnambulizmie pochodzi w przeważającej części z kiepskich, źle wyreżyserowanych filmów.

- Bardzo mało wiemy o chodzeniu we śnie - powiedział. - Wiemy jednak, że u dzieci występuje częściej niż u dorosłych. Pomiędzy umysłem a ciałem zachodzi współoddziaływanie, które bez przerwy się rozwija, pani Camber, i wielu naukowców, którzy badali to zjawisko, uważa, że chodzenie we śnie może być objawem przejściowego i niezbyt znaczącego zachwiania równowagi między jednym a drugim.

- Tak jak łamanie w kościach podczas dorastania? - spytała bez przekonania.

- Coś w tym rodzaju - przyznał z uśmiechem doktor. Narysował w swoim notatniku krzywą w kształcie dzwonu i wyjaśnił, że kiedy somnambulizm Bretta osiągnie swój szczyt, pozostanie na tym poziomie przez jakiś czas, a potem zacznie zanikać. I w końcu nie pozostanie po nim śladu.

Niewiele się w sumie dowiedziała, ale wyszła stamtąd pokrzepiona trochę zapewnieniem doktora, że Brett nie wyjdzie we śnie przez okno ani na środek autostrady. Tydzień później przyprowadziła Bretta. Było to jakiś miesiąc po jego szóstych urodzinach. Gresham zbadał go gruntownie i orzekł, że chłopiec jest zupełnie normalny pod każdym względem. No i okazało się, że się nie mylił. Ostatni z "nocnych spacerów" Bretta, jak nazywała je Charity, miał miejsce ponad dwa lata temu.

Ostatni aż do dzisiaj.

Brett otwierał jedną po drugiej szafki, zamykając każdą skrupulatnie, zanim przeszedł do następnej. Oczom Charity ukazywały się kolejno kamionkowe naczynia Holly, elementy do jej zestawu Jenn-Aire, pedantycznie poskładane ściereczki, łyżeczki do kawy i herbaty, niekompletny jeszcze serwis stołowy. Brett miał oczy szeroko otwarte i puste, i Charity nabrała pewności, że chłopiec widzi zawartość zupełnie innych szafek.

Ogarnął ją znajomy, bezsilny strach, że tak jak wszyscy rodzice zapomniwała o niepokojach i przełomach związanych z wczesnymi latami życia dziecka: wyrzynanie się pierwszych ząbków, szczepienia wywołujące wysoką gorączkę, krup, zapalenie ucha, krwawiąca ni z tego, ni z owego ręka albo noga. Co on teraz myśli? - zastanowiło ją. Gdzie jest? I dlaczego znowu to robi, po dwóch latach spokoju? Czy

przyczyniła się do tego zmiana miejsca? Nie wyglądał na specjalnie podnieconego.

Brett otworzył ostatnią szafkę i wyjął z niej różową sosjerkę. Postawił ją na ladzie, nabrał w garście powietrza i zaczął coś do niej na niby wlewać. Charity uświadomiła sobie nagle, co oznacza ta pantomima, i gęsia skórka wystąpiła jej na ramiona. Robił to, czym zajmował się codziennie w domu: karmił Cujo.

Postąpiła odruchowo krok w jego stronę i zatrzymała się. Nie wierzyła w te babskie opowieści o ewentualnych skutkach obudzenia somnambulika - że jego zaskoczona dusza pozostanie na zawsze poza ciałem, że może zwariować albo umrzeć - i doktor Gresham nie musiał wybijać jej tych bzdur z głowy. Wypożyczyła nawet książkę na ten temat z Biblioteki Miejskiej w Portland... ale jej też nie musiała czytać. Własny zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że z budzenia somnambulika może wyniknąć tylko to, że się po prostu obudzi - ni mniej, ni więcej. Przebudzeniu temu mogą towarzyszyć łzy albo umiarkowana histeria, ale reakcje takie wynikają ze zwyczajnej dezorientacji.

Zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę, nigdy jednak nie budziła Bretta podczas jego spacerów we śnie i nie śmiała uczynić tego teraz. Zdrowy rozsądek to jedno, a instynktowny lęk to drugie, ona zaś nagle bardzo się przestraszyła, choć nie potrafiła dociec dlaczego. Co mogło być tak przerażającego w tym, że Brett zachowuje się przez sen, jakby karmił swojego psa? Było to zupełnie naturalne, jeśli zważyć, jak martwił się o Cujo.

Chłopiec pochylił się, wyciągając rękę z sosjerką, i białe troczki spodni od piżamy utworzyły kąt prosty z poziomą płaszczyzną podłogi wyłożonej linoleum w czarno-czerwonej

szachownicę. Przez jego twarz przewinęła się w zwolnionym tempie pantomima smutku. Potem przemówił, wymrukując słowa, tak jak czynią to często śpiący - bełkotliwie, szybko, niemal niezrozumiale. I chociaż w samych słowach nie było żadnej emocji, to jednak przebijała ona z całej jego postaci uwięzionej w kokonie snu. Ręka Charity powędrowała do szyi.

- Cujś już nie jest głodny - wyrzucił z siebie Brett jednym tchem. Wyprostował się, przyciskając sosjerkę do piersi. - Już nie jest, już nie jest.

Przez krótką chwilę stał nieruchomo przy ladzie, a Charity, w takim samym bezruchu, przy drzwiach kuchni. Po jego twarzy spłynęła samotna łza. Odstawił sosjerkę na ladę i skierował się do drzwi. Oczy miał otwarte, ale niewidzące. Jego wzrok prześlizgnął się obojętnie po matce. Zatrzymał się i obejrzał.

- Szukajcie w zielsku - powiedział do kogoś, kogo tam nie było.

Ruszył znowu prosto na nią. Przyciskając wciąż dłoń do szyi, usunęła mu się z drogi. Minął ją szybko, stawiając bezszelestnie bose stopy i skręciwszy w stronę schodów, zniknął w korytarzu.

Odwróciła się, żeby pójść za nim, ale przypomniała sobie o sosjerce. Naczynie stało samotnie na wysprzątananej ladzie, odcinając się od niej niczym pojedyncza góra lodowa na pustym morzu. Wzięła je, lecz wyslizgnęło jej się z rąk - nie zdawała sobie sprawy, że palce ma śliskie od potu. Złapała sosjerkę w ostatniej chwili, słysząc już w wyobraźni brzęk tłuczonego szkła rozlegający się pośród tych nieruchomych, sennych godzin. Ujęła ostrożnie w obie ręce kruchą skorupkę, odstawiła na półkę, zamknęła drzwiczki szafki i niezdolna do wykonania żadnego ruchu, stała przez moment, wsłuchując

się w głośny łomot własnego serca, wyczuwając swoją obcość w tej kuchni. Była tutaj intruzem. Potem poszła za synem.

Kiedy zaglądała do jego pokoju, kładł się akurat do łóżka. Przykrył się kocem i przekręcił na lewy bok, przyjmując swoją ulubioną pozycję. Charity, chociaż wiedziała, że już po wszystkim, stała tam jeszcze jakiś czas.

W korytarzu na dole ktoś zakaszał, co przypomniało jej znowu, że nie jest u siebie. Spłynęła na nią fala ogromnej tęsknoty za domem; przez kilka chwil miała wrażenie, że jej żołądek jest pełen gazu znieczulającego, takiego, jakiego używają dentyści. W łagodnym, nieruchomym blasku poranka myśli o rozwodzie wydały jej się tak niedojrzałe i nieprzystające do realiów, jak myśli dziecka. Łatwo jej było myśleć o takich rzeczach tutaj. To nie był jej dom, to nie było jej miejsce.

Dlaczego ta pantomima z karmieniem Cujo i te szybkie, zdyszane słowa tak ją przeraziły? Cujo nie jest już głodny, już nie jest. Kiedy wróciła do siebie i kładła się do łóżka, wzeszło słońce, rozświetlając pokój. Przy śniadaniu Brett wydawał się taki jak zawsze. Nie wspomniał słówkiem o Cujo i najwyraźniej zapomniał, przynajmniej na razie, że miał zatelefonować do domu. Charity postanowiła pozostawić sprawę swojemu biegowi.

Było gorąco.

Donna opuściła szybę jeszcze trochę - w sumie o jedną czwartą, najdalej, jak się odważyła - a potem przechyliła się nad Tadem, żeby i jemu wpuścić trochę powietrza. Na jego kolanach zauważyła wymiętoszoną kartkę żółtego papieru.

- Co to jest, Tad?

Spojrzał na nią. Oczy miał podkrążone.

- Słowa na Potwora - wyjaśnił.

- Mogę zobaczyć?

Przez chwilę ścisnął mocno arkusik, a potem podał go jej. Na jego twarzyczce malował się czujny, niemal zaborczy wyraz i poczuła ukłucie zazdrości. To dzięki niej jeszcze żyje i właściwie nic mu nie jest, a on zamiast okazywać jej za to wdzięczność wierzy w czary-mary Vica. Potem to uczucie rozwiało się, przechodząc w zakłopotanie, smutek i obrzydzenie do samej siebie. Przecież właśnie przez nią znalazł się w tej sytuacji. Gdyby mu nie uległa i zostawiła w domu z opiekunką...

- Schowałem je wczoraj do kieszeni - odezwał się Tad - jak wyjeżdżaliśmy po zakupy. Mamusiu, czy ten potwór chce nas zjeść?

- To nie jest żaden potwór, Tad, to tylko pies, i wcale nie chce nas zjeść! - powiedziała ostrzej, niż zamierzała. - Mówiłam ci już, że jak przyjedzie listonosz, będziemy mogli wrócić do domu.

- Możesz mi oddać moje Słowa na Potwora? - spytał. Przez moment walczyła z szaloną pokusą podarcia tej przesiąkniętej potem, pomiętej kartki żółtego papieru na strzępy i wyrzucenia ich przez okno jak konfetti. Opanowała się jednak, oddała kartkę Tadowi, a potem zawstydzona i przestraszona przesunęła obiema dłońmi po włosach. Co się ze mną, na miłość boską, dzieje? Skąd te sadystyczne popędy? Dlaczego chcę mu odebrać coś, z czego czerpie choć trochę otuchy?

Było jednak tak gorąco - za gorąco na myślenie. Pot ściekał jej strumyczkami po twarzy i widziała, jak spływa po policzkach Tadowi. Blond włosy przylegały mu do głowy poziepiętymi kosmykami i były o dwa odcienie ciemniejsze niż normalnie. Trzeba mu umyć głowę, pomyślała ni w pięć,

ni w dziewięć i przypomniała jej się znowu butelka szamponu No More Tears Johnsona, stojąca sobie bezpiecznie na półeczce w łazience, czekająca, aż ktoś ją stamtąd zdejmie i wyleje nakrętkę lub dwie na złożoną w muszelkę dłoń

(nie trać nad sobą panowania)

Nie, naturalnie że nie straci. Nie ma powodu, dla którego miałyby je stracić. Wszystko będzie dobrze, prawda? Oczywiście, że prawda. Psa nigdzie nie widać, nie pokazuje się już od dobrej godziny. No i listonosz. Dochodzi dziesiąta. Listonosz niedługo się zjawi, a wtedy duchota w samochodzie przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nazywają to "efektem cieplarnianym". Wpadła jej kiedyś w ręce ulotka Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, w której wyjaśniano, dlaczego podczas upału nie należy zamykać psa w samochodzie, nawet na krótko. Efekt cieplarniany. W ulotce było napisane, że temperatura w zaparkowanym na słońcu samochodzie z zasuniętymi szybami wzrasta bardzo szybko do 60 stopni Celsjusza, a więc zamykanie w nim zwierzęcia na czas robienia zakupów lub trwania filmu w kinie jest okrutne i niebezpieczne. Donna parsknęła krótkim, chrapliwym chichotem. Tutaj role się odwróciły. Teraz pies zamknął w samochodzie ludzi.

No nic, zaraz tu będzie listonosz. Zjawi się listonosz i ten horror się skończy. Nie będzie już miało znaczenia, że zostało im tylko ćwierć termosu mleka ani że rano bardzo chciało jej się siusiu, skorzystała więc z małego termosu Tada - a raczej usiłowała skorzystać - ale termos nie pomieścił wszystkiego i teraz w pincie cuchnęło paskudnie uryną, a im robiło się goręcej, tym bardziej ten odór przybierał na sile. Zakręciła termos i wyrzuciła przez okno. Słyszała, jak się roztrzaskuje w zderzeniu z ziemią.

Ale teraz to wszystko nieważne. Pewnie, że siusianie do termosu było upokarzające i ponizające, ale teraz to nieważne, bo zaraz zjawi się listonosz - w tej chwili kończy już pewnie załadunek swojej małej ciężarówki pod obrośniętym bluszczem, ceglany budynek urzędu pocztowego przy Carbine Street... a może wyruszył już w trasę i jedzie Drogą Nr 117 w kierunku Mapie Sugar Road. Wkrótce to wszystko się skończy. Pojadą z Tadem do domu i wejdą na górę. Rozbiorą się i wezmą razem prysznic, ale zanim wejdzie pod natrysk, zdejmie z półki butelkę szamponu i umyje włosy najpierw Tadowi, a potem sobie.

Tad znowu czytał żółtą kartkę, poruszając bezgłośnie ustami. Właściwie to nie czytał, a powtarzał z pamięci. Podobną metodę stosują szkoły nauki jazdy, przygotowując analfabetów do egzaminu. Gdzieś o tym czytała, a może widziała w telewizji. Czy to nie zadziwiające, ile bzdur potrafi przechowywać ludzka pamięć? I czy to nie zadziwiające, jak łatwo to wszystko się z niej wylewa, kiedy nie ma czym zająć myśli. Coś w rodzaju podświadomego przetwarzania odpadów w odwrotną stronę.

Przypomniała sobie teraz, co zdarzyło się w domu jej rodziców dawno temu, kiedy był jeszcze również jej domem. Niecałe dwie godziny przed rozpoczęciem jednego z wydawanych przez matkę Słynnych Przyjęć Koktajlowych (tak określał je zawsze ojciec prześmiewczym tonem, sugerującym automatycznie użycie wielkich liter), urządzenie do przetwarzania odpadów zainstalowane w kuchennym zlewie w jakiś niewyjaśniony sposób zapchało się i kiedy matka uruchomiła je ponownie, żeby pozbyć się wszystkich śmieci, eksplodowała z niego zielona maź rozpryskując się po całym suficie. Donna miała wtedy czternaście lat i pamiętała

do dziś atak hysterii matki, który ją zatrwożył i zgorszył. Była zgorszona, że matka dała upust swej złości w obecności ludzi, którzy ją kochali i którym na niej zależało, a przestraszyła się, ponieważ w napadzie złości matki nie widziała żadnej logiki... i ponieważ dostrzegła w oczach ojca wyraz zrezygnowanego zdegustowania. Wtedy po raz pierwszy naprawdę uwierzyła - uwierzyła na dobre - że kiedyś dorośnie i stanie się kobietą lepszą niż własna matka, która potrafiła doprowadzić się do takiego przerażającego stanu z powodu jakiegoś głupstwa...

Zamknęła oczy i spróbowała odpędzić od siebie cały ten ciąg retrospekcji. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, efekt cieplarniany, zagospodarowywanie odpadów, co następne? Jak Utraciłam Dziewictwo? Sześć Przekochanych Wakacji? Listonosz, o tym warto pomyśleć, przeklęty listonosz.

- Mamusiu, może samochód teraz zapali.

- Słoneczko, boję się próbować, bo akumulator całkiem się rozładuje.

- Ale tak tutaj siedzimy i siedzimy - powiedział rozdrażnionym, znużonym tonem. - Co za różnica, czy akumulator się rozładuje czy nie, jak tutaj tak siedzimy? Spróbuj!

- Nie rozkazuj mi, smarkaczu, bo przetrzępię ci tyłek!

Na dźwięk własnego ochryplego, gniewnego głosu przeszedł ją dreszcz i znowu przeklęła się w duchu. Był rozdrażniony... ale czy to jego wina? Poza tym miał rację, i to właśnie ją złościło. Tad nie rozumiał, że głównym powodem, dla którego nie chce ponawiać próby uruchomienia silnika, jest strach przed zwabieniem psa. Bała się, że hałas przyciągnie Cujo, a tego pragnęła za wszelką cenę uniknąć.

Z ponurą miną przekreśliła kluczyk w stacyjce. Tym razem silnik pinta ruszył bardzo powoli, z przeciągłym protestacyjnym rżeniem. Zakrztusił się dwa razy, ale nie zaskoczył. Puściła kluczyk i wdusiła przycisk syreny. Rozległ się przytłumiony charkot, który nie poniósł się prawdopodobnie nawet na pięćdziesiąt jardów, nie mówiąc już o dotarciu do domu u stóp wzgórza.

- Masz - warknęła opryskliwie, z jakąś okrutną satysfakcją. - Zadowolony?

Tad zaczął płakać. Usta wygięły mu się w drżącą podkówkę, a łzy popłynęły po policzkach, zanim rozległ się pierwszy szloch. Przyciągnęła go do siebie i przeprosiła, zapewniła, że nie chciała być taka szorstka, że to dlatego, że jest taka zdenerwowana, że niedługo, jak tylko zjawi się listonosz, będzie po wszystkim, że pojedą do domu i że umyje mu głowę. I pomyślała: no i masz tę swoją szansę, żeby stać się kobietą lepszą niż twoja matka. Jasne. Jesteś po prostu taka sama. Ona w takiej sytuacji zachowałaby się identycznie. Kiedy czujesz się podle, przelewasz swoje żale na otoczenie, dzielisz się z nim tym bogactwem. No cóż, jaka matka, taka córka, prawda? I Tad, kiedy dorośnie, będzie miał o tobie takie samo zdanie, jak ty o...

- Dlaczego jest tak gorąco, mamusiu? - spytał głucho Tad.

- Efekt cieplarniany - odpowiedziała bez zastanowienia. Ta sytuacja ją przerastała, zdawała sobie z tego sprawę. Jeśli był to, w jakimś sensie, końcowy egzamin z macierzyństwa - albo samej dorosłości - to sromotnie go oblewała. Jak długo tkwią na tym podjeździe? Najwyżej piętnaście godzin. A ona już pęka, już się łamie.

- Będę mógł się napić Doktora Peppera, jak wrócimy do domu, mamusiu? - Słowa na Potwora, przesączone potem i pogniecione, leżały na jego kolankach.

- Będziesz mógł się napić, czego będziesz chciał - odparła i przytuliła go mocno. Jego ciało wydało jej się jak z drewna. Nie powinnam była na niego krzyżeć, przemknęło jej przez myśl.

Ale się zrehabilituję, obiecała sobie. Bo niedługo zjawi się listonosz.

- Ten po... ten piesek chyba chce nas zjeść - stwierdził Tad.

Chciała coś odpowiedzieć, nie zrobiła tego jednak. Cujo nadal się nie pojawiał. Nie zwabił go odgłos zapalanego silnika pinta. Może śpi. Może zdechł w konwulsjach. To byłoby cudowne... zwłaszcza gdyby konał powoli. W męczarniach. Spojrzała znowu na drzwi domu. Nadal ją wabiły. Ale pewnie są zamknięte na klucz. Wyjeżdżając z domu, ludzie zamykają drzwi. Próba ich sforsowania byłaby przejawem bezmyślności, zwłaszcza że listonosza tylko patrzeć. Podchodź do tego tak, jakby to działa się naprawdę, powiedział kiedyś Vic. Będzie musiała, bo to dzieje się naprawdę. Lepiej zakładać, że pies żyje i leży zaraz za tymi na wpół otwartymi wrotami warsztatu. W cieniu.

Myśl o cieniu sprawiła, że ślina napłynęła jej do ust. Dochodziła wtedy jedenasta. Mniej więcej czterdzieści pięć minut później dostrzegła coś w trawie za szybą od strony Tada. Po kolejnych piętnastu minutach wyężania wzroku była już przekonana, że pośród wysokich chaszczy i tymotki leży stary kij baseballowy o owiniętej taśmą izolacyjną rączce.

Pięć minut potem, tuż przed południem, mrugając niemrawo czerwonymi ślepiami porażonymi upalnym słońcem, ze stodoły, słaniając się na łapach, wylazł Cujo.

Kiedy przybędą pojmać cię,
Kiedy otoczą ten wóz w krąg,
Kiedy ci każą wydać mnie
I ściagną na dół ciało twe...

Głos Jerry'ego Garcii, lekki, ale jakiś znużony, płynął korytarzem wzmacniany i zniekształcany przez czyjeś radio tranzystorowe. Brzmiał zupełnie tak, jakby wydobywał się z długiej stalowej rury. Gdzieś w pobliżu ktoś jęczał. Kiedy Steve Kemp wszedł tego ranka do śmierdzącej zbiorowej łazienki, żeby się ogolić i wziąć prysznic, w jednej z muszli klozetowych stała kałuża wymiocin, a jedna z umywalek zachlapana była mnóstwem zakrzepłej krwi.

Idź w zaparte, Cukiereczku - śpiewał Jerry Garcia - wmawiaj im, że nie znasz mnie.

Steve stał w oknie swojego pokoju na piątym piętrze schroniska YMCA w Portland i wyglądał na Spring Street. Czuł się źle i sam nie wiedział dlaczego. Wspominał bez przerwy Donnę Trenton, wspominał, jak ją pieprzył - a teraz siedzi tu i czeka nie wiadomo na co. Co się z nim, do cholery, dzieje?

Chciałby być teraz w Idaho. Ostatnio dużo myślał o Idaho. Dlaczego więc nie wypnie się na to wszystko i nie ruszy w drogę? Nie wiedział. A bardzo nie lubił nie wiedzieć. Wkurzały go te wszystkie pytania pałętające się po głowie. Pytania mąciły spokój ducha, tak potrzebny artyście, który chce się rozwijać. Przejrzał się dzisiaj rano w jednym z

zapaćkanych pastą do zębów luster i przemknęło mu przez myśl, że wygląda staro. Naprawdę staro. Wchodząc z powrotem do swojego pokoju, zobaczył na podłodze zygzakującego pracowicie karalucha. Zły omen.

Nie dała mi kosza dlatego, że jestem stary, pomyślał. Nie jestem stary. Zrobiła to dlatego, bo przestała ją swędzieć, i dlatego, że jest dziwką. Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść. Jak się spodobał ten miłosny liścik Przystojnemu Mężułkowi, Donna? Czy Przystojny Mężulek skapował?

Czy mężulek dostał w ogóle ten miłosny liścik?

Steve rozgniółł papierosa p wewnętrzzną ściankę kubka, który służył lokatorom pokoju za popielniczkę. To podstawowe pytanie, prawda? Gdyby znał odpowiedź na to jedno, odpowiedzi na pozostałe byłyby oczywiste. To był z jej strony chwyt poniżej pasa. Kazała mu spadać, zanim zdążył sam zakończyć ten romans. Upokorzyła go, cholera jasna...

Już wiedział, co zrobi. Serce zabiło mu mocno z podniecenia. Wsunął rękę do kieszeni i namacał garstkę drobniaków. Wszedł. Minęło właśnie południe i w Castle Rock listonosz, na którego tak liczyła Donna, ruszał w rundę po rejonie obejmującym Mapie Sugar Road i Drogę Miejską Nr 3.

Vic, Roger i Rob Martin spędzili wtorkowy poranek w Image-Eye, a potem wyszli na piwo i hamburgera. Po kilku hamburgerach i morzu piwa Vic zdał sobie nagle sprawę, że chyba nigdy jeszcze tak się nie wstawił podczas służbowego lunchu. Zwykle wypijał przy takich okazjach mały koktajl albo lampkę białego wina; widział zbyt wielu nowojorskich reklamowców powoli pogrążających się w nałóg w tych mrocznych spelunach parę kroków od Madison Avenue, rozmawiających ze znajomymi o kampaniach, których nigdy nie poprowadzą... albo kiedy już się porządnie wstawili, z

barmanami o powieściach, których z pewnością nigdy nie napiszą.

Okazja była nietypowa - ni to celebracja zwycięstwa, ni to czuwanie przy zwłokach. Rob przyjął ich pomysł nakręcenia ostatniej reklamówki z Profesorem od Chrupków Sharpa z umiarkowanym entuzjazmem, stwierdzając, że najchętniej spuściłby go do ścieku... ma jednak świadomość, że zawsze to jakaś szansa. Ale bez błogosławieństwa starego Sharpa i jego smarkacza najlepsza reklamówka świata nic im nie pomoże. Dadzą wszyscy dupy.

W tych okolicznościach Vic doszedł do wniosku, że przydałoby się napić.

Restauracja przeżywała właśnie główny szturm klienteli pragnącej zjeść lunch, a oni siedzieli we trójkę, w samych koszulach, w narożnym boksie nad resztkami hamburgerów, otoczeni baterią butelek po piwie, strząsając popiół z papierosów do przepelnionej popielniczki. Vicowi przypominał się dzień, kiedy byli z Rogerem w Żółtej Łodzi w Portland i omawiali to małe safari. Wtedy przyszłość ich firmy rysowała się czarno, bardzo czarno. Nie do wiary, ale wspominając tamten dzień, poczuł falę nostalgii i zaczął się zastanawiać, co porabiają teraz Tad z Donną. Wieczorem do nich zadzwonię, obiecał sobie. Oczywiście jeśli się tak nie zaleję, że zapomnę.

- No i co teraz? - spytał Rob. - Zostajecie jeszcze w Bostonie czy jedziecie do Nowego Jorku? Jeżeli chcecie, to mogę wam załatwić bilety na mecz Boston-Kansas City. Może się trochę rozruszacie, jak George Brett wybije parę dziur w siatce ochronnej.

Vic spojrzął na Rogera, który wzruszył ramionami i odparł:

- Chyba jednak ruszymy do Nowego Jorku. Doceniamy twoją propozycję, Rob, ale raczej nie jesteśmy w nastroju na baseball.

- Tu już nic więcej nie zwojujemy - poparł go Vic. - W harmonogramie przewidzieliśmy sporo czasu na burze mózgów, ale chyba wszyscy akceptujemy ten pomysł z ostatnią reklamówką.

- Trzeba go jeszcze doszlifować - stwierdził Rob. - Nie wbijaj się tak w dumę.

- Doszlifuje się - powiedział Roger. - Sądzę, że jeden dzień z ludźmi od marketingu powinien wystarczyć. Co o tym myślisz, Vic?

- Może zejść i dwa dni - mruknął Vic. - Ale na pewno zapniemy sprawę na ostatni guzik wcześniej, niż się spodziewaliśmy.

- A co potem?

Vic uśmiechnął się blado.

- Potem dzwoniemy do starego Sharpa i umawiamy się z nim. Kto wie, czy zamiast do Nowego Jorku nie pojedziemy prosto do Cleveland. The Magical Mystery Tour.

- Zobaczyc Cleveland i umrzeć - mruknął ponuro Roger i przelał resztę piwa z butelki do szklanki. - Nie mogę się wprost doczekać, kiedy wreszcie zobaczę tego starego piernika.

- Nie zapominaj też o młodym pierniku - podpowiedział z uśmiechem Vic.

- Jak mógłbym zapomnieć o tym małym palancie? - zachnął się Roger. - Panowie, proponuję jeszcze jedną kolejkę.

Rob zerknął na zegarek.

- Ja naprawdę muszę już...

- Jeszcze ta jedna i kończymy - nie ustępował Roger. - Jeśli chcesz, może być Auld Lang Syne.

Rob wzruszył ramionami.

- No dobrze. Ale nie zapominaj, że prowadzę jeszcze tę firmę. Chociaż bez Chrupek Sharpa znajdzie się mnóstwo czasu na wiele długich lunchów. - Uniósł w górę szklankę i machał nią, dopóki kelner go nie dostrzegł i nie skinął głową.

- Powiedz mi, co naprawdę myślisz? - zwrócił się Vic do Roba. - Tylko bez kitu. Czy to według ciebie coś da?

Rob spojrział na niego, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego pokręcił głową.

- Wal prosto z mostu - wtrącił się Roger. - Płyniemy wszyscy na tej samej łódce. Czy może raczej w tym samym kartonie Malinowych Zingersów. Uważasz, że nic z tego nie będzie, prawda?

- Uważani, że tylko w piekle nie ma się żadnych szans - odparł Rob. - Na pewno zrobicie dobry klip - w to nie wątpię. A Yancey Harrington... przypuszczam, że da z siebie wszystko. To będzie jego wielka kreacja. Profesor od Chrupek na łożu śmierci. Odegra to tak dobrze, że Bette Davis z "Dark Victory" będzie wyglądała przy nim jak Ali MacGraw w "Love Story".

- Och nie, to wszystko nie tak... - zaczął Roger. Rob wzruszył ramionami.

- No dobrze, nazwijmy to więc jego bisem. Nazwijmy, jak chcecie, ale działam już w tym interesie na tyle długo, aby mieć pewność, że po trzech, czterech tygodniach puszczenia tej reklamówki nie będzie w kraju jednego suchego oka. Zwali wszystkich z nóg. Tylko że...

Podszedł kelner z piwami.

- Pan Johnson kazał - powiedział do Roba - zwrócić panom uwagę, że ma kilka oczekujących grup po trzy osoby, panie Martin.

- No to biegnij uspokoić pana Johnsona, że chłopcy piją ostatnią kolejkę, i poradź mu, żeby wziął na wstrzymanie. Okay, Rocky?

Kelner uśmiechnął się, opróżnił popielniczkę, skinął głową i odszedł. Rob zwrócił się znowu do Vica i Rogera:

- A więc w czym rzecz? Rozgarnięte z was chłopaki. Jednonogi operator z bombą piwa nie musi wam mówić, gdzie niedźwiedź chodzi srać.

- Sharp po prostu nie przeprosi - mruknął Vic. - Tego się obawiasz, prawda?

Rob zasalutował mu butelką piwa.

- W górę serca.

- To przecież nie przeprosiny - wtrącił Roger. - To jest, do cholery, wyjaśnienie.

- Według ciebie - odparł Rob. - Ale jak on to odbierze? Zastanówcie się. Spotkałem parę razy tego starego piernika. On to odbierze w kategoriach postępu kapitału opuszczającego przed kobietami i dziećmi tonący statek, poddania Alamo, dowolnego stereotypu klęski, jaki przyjdzie wam do głowy. Nie, powiem wam, co według mnie się stanie, przyjaciele. - Uniósł szklanekę do ust i pociągnął łyk piwa. - Obawiam się, że zbliża się kres pewnej owocnej i o wiele za krótkiej współpracy. Stary Sharp wysłucha waszej propozycji, pokręci głową i wyprosi was za drzwi. Bez prawa powrotu. A następną firmę reklamową wybierze jego syn, wybierze zaś tę, która jego zdaniem wykaże najwięcej uległości i gotowości do wprowadzania w życie jego poronionych pomysłów.

- Być może - mruknął Roger. - Ale może on...

- Morze jest szerokie i głębokie - przerwał mu obcesowo Vic.

- Jedyna różnica między dobrym reklamiarzem a dobrym sprzedawcą potrafiącym wcisnąć ludziom bubel polega na tym, że dobry reklamiarz wykonuje robotę najlepiej jak potrafi z tego, co ma do dyspozycji... nie przekraczając granic uczciwości. O tym właśnie jest ta reklamówka. Jeśli Sharp ją odrzuci, odrzuci najlepszy materiał, jaki kiedykolwiek zrobiliśmy. I to będzie koniec. Koniec, kropka. - Zdusił w popielniczce papierosa, omal nie przewracając łokciem opróżnionej do połowy butelki piwa Rogera. Ręce mu drżały. Rob pokiwał głową.

- Wypiję za to. - Podniósł szklankę. - Toast, panowie. Vic z Rogerem również unieśli szklanki.

- Za to, żeby sprawy przyjęły mimo wszystko właściwy obrót - powiedział po chwili zastanowienia Rob.

- Amen - dorzucił Roger.

Stuknęli się szklankami i wypili. Wyszuszywszy resztę piwa, Vic znowu wrócił myślami do Donny i Tada.

George Meara, listonosz, uniósł nogę w niebieskoszarej nogawce spodni od pocztowego munduru i pierdnął. Ostatnio dupa strasznie mu się rozpuściła. Trochę go to niepokoiło, ale nie za bardzo. Wzdęcia zdawały się nie mieć związku z tym, co jadł. Wczoraj wieczorem jedli z żoną tosty z pastą dorszową i pierdział. Dzisiaj rano owsiankę z kawałkami banana - i też pierdział. W południe dwa cheeseburgery z majonezem w Potulnym Tygrysie... i znowu pierdzi.

Poszukał opisu podobnych objawów w "Domowej Encyklopedii Medycznej", bezcennej księdze w dwunastu tomach, którą jego żona skompletowała tom po tomie, zachowując paragony ze sklepu. To, co wyczytał pod hasłem

NADMIERNE WIATRY, nie było zbytnio pocieszające. Mogły to być zaburzenia gastryczne. Mogło to oznaczać, że tam w środku wykluwa mu się dorodny wrzodzik. Mógł to być nieżyt jelit czy nawet rak. Jeśli mu nie przejdzie, odwiedzi chyba starego doktora Quentina. A doktor Quentin powie mu, że pierdzi dużo, bo się starzeje, ot co.

Śmierć Ciotki Ewie pod koniec wiosny bardzo poruszyła George'a - bardziej, niżby się spodziewał - i ostatnio niechętnie myślał o starzeniu się. Wolał rozmyślać o Złotych Latach Emeryta, latach, które spędzą razem z Cathy. Nie będzie już zrywania się o szóstej trzydzieści. Nie będzie dźwigania ciężkich worków z pocztą i słuchania tego dupka Michaela Fourniera, naczelnika poczty w Castle Rock. Nie będzie odmrażania sobie tyłka w zimie i zawracania głowy z letnikami, którzy ściągają tu, kiedy tylko robi się ciepło, i żądają dostarczania poczty do swoich namiotów i domków. Zamiast tego będą "Wycieczki krajobrazowe po Nowej Anglii", "Prace w ogródku" i "Wszystkie rodzaje nowych zainteresowań". A przede wszystkim będzie "Odpoczynek i relaks". Ale myśl o przepierdzeniu reszty życia nie pasowała mu zbytnio do tej sielankowej wizji Złotych Emeryckich Lat. Skręcił kierownicę małej niebiesko-białej ciężarówki pocztowej i mrużąc oczy porażone odbłaskiem słońca na przedniej szybie, wjechał w Drogę Miejską Nr 3. Wychodziło na to, że Ciotka Ewie ani trochę nie przesadzała, przepowiadając upalne lato. Z wysokiej letniej trawy doleciało go ospałe rzępolenie świerszczy i oczyma wyobraźni ujrzał przez moment swoje Złote Emeryckie Lata, a konkretnie scenkę pod tytułem "George relaksuje się w hamaku za domem".

Zatrzymał się przy Millikenach i wepchnął do skrzynki ulotkę reklamową Zayre'a oraz rachunek za prąd. Dzisiaj wypadła dzień dostarczania wszystkim rachunków za energię elektryczną, ale George miał nadzieję, że ludzie z elektrowni miejskiej nie będą czekali ze wstrzymanym oddechem na czek od Millikenów. Millikenowie byli biedną białą hołotą. Tak samo jak mieszkający kawałek dalej Gary Pervier. Żał było patrzeć, co się dzieje z Pervierem, człowiekiem odznaczonym przecież DSC. A Joe Camber też nie lepszy. Obaj schodzili na psy.

John Milliken naprawiał coś w cieniu domu. Chyba bronę. George pomachał mu ręką, a tamten w odpowiedzi kiwnął na odczepnego palcem i wrócił do przerwanej roboty.

To dla ciebie, ty naciągaczu opieki społecznej, pomyślał George Meara. Uniósł nogę i zadął na swoim puzonie. Ależ wyszło mu to pierdnięcie. Trzeba będzie cholernie uważać w towarzystwie.

Podjechał kawałek dalej, pod posiadłość Gary'ego Perviera, wydobyl z torby kolejną ulotkę reklamową Zayre'a, kolejny rachunek za prąd i na dokładkę list ze związku weteranów wojennych. Wepchnął to wszystko do skrzynki, a potem zawrócił na podjeździe Gary'ego, bo nie musiał dzisiaj wjeżdżać na górę, do Camberów. Joe zadzwonił wczoraj rano koło dziesiątej na pocztę i poprosił, żeby przez kilka dni odkładali wszystko, co przyjdzie na jego adres. Mike Fournier, wielki bufon kierujący urzędem pocztowym Castle Rock, wypełnił rutynowo karteczkę WSZTRZYMAĆ DOSTARCZANIE POCZTY DO ODWOŁANIA i podrzucił ją na stanowisko George'a.

Joemu Camberowi powiedział, że jeśli chodziło mu również o wstrzymanie dostawy poczty poniedziałkowej, to zadzwonił piętnaście minut za późno.

- Nie szkodzi - odparł Joe. - Dzisiaj będę jeszcze w domu, to ją odbiorę.

Wkładając pocztę Gary'ego Perviera do skrzynki, George Meara stwierdził, że leży tam nadal to, co włożył do niej w poniedziałek - "Popular Mechanics" i list z prośbą o datek z Funduszu Szkół Wiejskich. Teraz, zawracając, zauważył, że na podwórku stoi wielki stary chrysler Gary'ego, a za nim kombi Joego Cambera z przerdzewiałymi progami.

- Razem się gdzieś wypuścili - mruknął głośno. - Te dwa głupki pojechały się szlajać.

Uniósł nogę i znowu pierdnął.

Doszedł do wniosku, że ci dwaj pojechali gdzieś na pijaństwo i dziwki półciężarówką Joego Cambera. Nie zastanowiło go jakoś, dlaczego mieliby wziąć półciężarówkę Joego, skoro mieli do wyboru dwa o wiele wygodniejsze pojazdy, i nie zauważył krwi na schodkach prowadzących na ganek ani wielkiej dziury w dolnej połowie siatkowych drzwi domu Gary'ego.

- Te dwa głupki pojechały się szlajać - powtórzył. - Ale Joe Camber pamiętał przynajmniej, żeby odwołać dostarczanie poczty.

Odjechał z powrotem w kierunku Castle Rock, unosząc co chwila nogę i dmąc na swoim puzonie.

Steve Kemp zatrzymał się pod Dairy Queen przy centrum handlowym Westbrook, gdzie kupił sobie parę cheeseburgerów i jeden Przepyszny Batonik. Siedział w swojej furgonetce i patrzył na Brighton Avenue, nie widząc właściwie ulicy ani nie czując smaku jedzenia.

Dzwonił do biura Przystojnego Mężulka. Sekretarce pytającej o nazwisko przedstawił się jako Adam Swallow. Powiedział, że jest dyrektorem do spraw marketingu firmy House of Lights, Inc. i chciałby rozmawiać z panem Trentonem. Z podniecenia zaschło mu w ustach. Jeśli Trenton połknie haczyk i podniesie słuchawkę, znajdą wiele ciekawszych od marketingu tematów do rozmowy. Na przykład o znamieniu małej kobietki i skojarzeniach, jakie ono nasuwa. Albo o tym, jak raz w miłosnym szale ugryzła go do krwi. I o tym, jak się wiedzie Bogince Dziwek od czasu, kiedy Przystojny Mężulek odkrył jej drugą naturę.

Nic z tego jednak nie wyszło. Od sekretarki usłyszał: "Przykro mi, ale panów Trentona i Breakstone'a nie będzie w tym tygodniu w biurze. Nie będzie ich też prawdopodobnie co najmniej do połowy przyszłego tygodnia. Jeśli mogę w czymś pomóc...". W jej głosie pojawiła się wznosząca, pełna nadziei nuta. Naprawdę chciała pomóc. To była jej wielka szansa, żeby zdobyć zamówienie w czasie, gdy szefowie chodzą koło interesów w Bostonie albo może w Nowym Jorku - na pewno nie w żadnym egzotycznym miejscu w rodzaju Los Angeles, za wysokie progi jak na taką główniana agencję.

Podziękował jej i powiedział, że zadzwoni jeszcze raz pod koniec miesiąca. Odwiesił słuchawkę, zanim zdążyła zapytać o jego numer, ponieważ House of Lights, Inc. miało swoją siedzibę przy Congress Street, w budce telefonicznej naprzeciwko sklepu Joego Smoke'a.

Teraz był tutaj i zajadając cheeseburgery zastanawiał się, co dalej. Jakbyś nie wiedział, podszeptał głos wewnętrzny. Zapуścił silnik furgonetki i ruszył w kierunku Castle Rock.

Kończył swój lunch (Przepyszny Batonik prawie spłynął w upale z patyka, na którym był osadzony), przejeżdżając przez

North Windham. Rzucił tackę na podłogę furgonetki, gdzie dołączyła do ruchomej warstwy podobnego śmiecia - plastikowych pojemników po napojach, pudełek po Big Macach, butelek po piwie i wodzie sodowej, pustych paczkach po papierosach. Wyrzucanie śmieci na jezdnię było czynem antyspołecznym, łamiącym zasady ochrony środowiska, i Steve nigdy tego nie robił.

Podjechał pod dom Trentonów o wpół do czwartej po południu. Kierując się instynktowną przezornością, minął dom, nie zwalniając, i zaparkował prawie ćwierć mili dalej, za rogiem, w bocznej uliczce. Wrócił pieszo.

Podjazd był pusty i Steve poczuł przyływ rozczarowania. Nie przyznawał się nawet przed samym sobą - zwłaszcza teraz, kiedy wszystko wskazywało na to, że nie ma jej w domu - że zamierzał dać tej dziwce posmakować tego, do czego tak się paliła wiosną. Nie dało się jednak ukryć, że przejechał całą drogę z Westbrook do Castle Rock z półzwodem, który teraz cofnął się zupełnie.

Nie ma jej.

Nie, nie ma samochodu. A to niezupełnie to samo, prawda?

Rozejrzał się dookoła.

Mamy tutaj, panie i panowie, spokojną podmiejską uliczkę w letni dzień, większość bachorów odwała popołudniową drzemkę, większość żonek albo poszła w ich ślady, albo tkwi przed telewizorami, gapiąc się na "Miłość życia" czy "W poszukiwaniu jutra". Wszyscy Przystojni Mężulkuwie zabiegają w pocie czoła o awans do wyższych widełek podatkowych i całkiem możliwe, że przy okazji także o łóżko na oddziale intensywnej terapii w Centrum Medycznym Wschodniego Maine. Dwie małe dziewczynki grały w klasy na wyrysowanej kredą, ledwie widocznej kratownicy; były w

samych majteczkach, a mimo to obficie się pociły. Stara, łysiejąca kobieta ciągnęła z miasta druciany wózek na zakupy na kółkach, tak ostrożnie, jakby i on, i ona zrobieni byli z porcelany. Ominęła szerokim półkolem dziewczynki grające w klasy.

Krótko mówiąc, nic się nie działo. Ulica drzemała w popołudniowym skwarze.

Steve ruszył pochyłością podjazdu z taką pewnością siebie, jakby miał tu wszelkie prawo przebywać. Najpierw zajrzał do maleńkiego garażu na jeden wóz. Pamiętał, że Donna z niego nie korzystała, bo miał za wąski wjazd. Gdyby obtarła lakier, Przystojny Mężulek urządziłby jej awanturę - nie, przepraszam: urządziłby jej piekło.

Garaż był pusty. Ani pinta, ani podstarzałego jaguara. - Przystojny Mężulek Donny przechodził coś, co można by nazwać sportowo-samochodowym przekwitaniem. Dąsała się, kiedy to mówił, ale Steve nigdy jeszcze nie widział bardziej oczywistego przypadku.

Wyszedł z garażu i wstąpił po trzech schodkach na tylną werandę. Sięgnął do gałki u drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Rozejrzawszy się jeszcze raz i upewniwszy, że nikogo nie ma w pobliżu, wszedł bez pukania.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, otoczyła go panująca w domu cisza. Serce waliło mu jak młot i miał wrażenie, że drży mu od tego cała klatka piersiowa. I ponownie do czegoś się przed sobą nie przyznał. Nie musiał. Niczego to nie zmieniało.

- Hej? Jest ktoś w domu? - Głos miał donośny, przyjazny, miły. - Hej? - zawołał ponownie w połowie korytarza.

Najwyraźniej nie było nikogo. Z tego wnętrza emanowała atmosfera pustki, gorąca, oczekiwania. Obcy pusty dom pełen

mebli przyprawia o dreszcze. Człowiek czuje się w nim jakby obserwowany.

- Halo? Jest ktoś w domu? - zawołał po raz ostatni.

No to trzeba jej coś zostawić na pamiątkę i spadać.

Wszedł do living-roomu i zatrzymał się, rozglądając dokoła. Podwinięte rękawy koszuli odsłaniały błyszczące lekko od potu przedramiona. Teraz mógł już to przed sobą przyznać. Chciał ją zabić za to, że opryskując mu śliną twarz nazwała go sukinsynem. Chciał ją zabić za to, że przez nią poczuł się stary, zalękniony i że nie był już w stanie kontrolować sytuacji. Wysłał list, ale list to za mało.

Po prawej, na regaliku o kilku szklanych półeczkach stały ozdobne figurki. Odwrócił się w tamtą stronę i poczęstował najniższą półkę zdecydowanym, silnym kopniakiem. Rozsypała się w drobny mak. Szkielet chwiał się przez chwilę, a potem runął; zabrzączało szkło, po podłodze potoczyły się małe chińskie figurki kotów, psów, całe to kretyńskie, burżujskie gówna. Pośrodku czoła Steve'a pulsowała nabrzmiąła żyła. Skrzywił się, zupełnie tego nieświadomy. Podchodził do figurynek, które się nie stłukły, i miażdżył je obcasem na proszek. Zdjął ze ściany oszkloną fotografię rodzinną, przyglądał się przez chwilę ciekawie uśmiechniętej twarzy Vica Trentona (z Tadem na kolanach, otaczającego ramieniem talię Donny), a potem upuścił fotografię na ziemię i nastąpił całym ciężarem na szybkę.

Rozejrzał się, dysząc ciężko, jak po forsownym biegu. I nagle rzucił się na pokój jak na coś żywego, na coś, co bardzo go skrzywdziło i musi ponieść za to karę - jakby to właśnie ten pokój był przyczyną jego frustracji. Przewrócił fotel Vica, przewrócił sofę, a potem wdrapał się na nią i przeskoczył na stojący obok stolicek do kawy, który zarwał się z trzaskiem

pod jego ciężarem. Wymiótł wszystkie książki z półek na podłogę, przeklinając przy tym pod nosem gówniany gust ludzi, którzy je kupili. Chwycił stojak na czasopisma i przerzucił go nad głowę, trafiając w lustro wiszące nad kominkiem. Wielkie, czarne od tyłu kawały szkła posypały się na podłogę niczym elementy puzzli. Steve parsknął jak rozjuszony byk. Na pociągłe policzki wystąpił mu niemal purpurowy rumieniec.

Przeszedł przez małą jadalnię do kuchni. Mijając stół, który podarowali Trentonom na nowe mieszkanie rodzice Donny, zmiotł na podłogę wszystko, co na nim stało - podstawkę na przyprawę, wazon z ciętego szkła kupiony przez Donnę za dolara i dwadzieścia pięć centów w Emporium Galorium w Bridgton poprzedniego lata, kufel na piwo będący pamiątką Vica z ukończenia szkoły średniej. Ceramiczne pojemniczki na sól i pieprz roztrzaskały się jak choinkowe bombki. Steve znowu dostał erekcji. Z głowy wywietrzały mu zupełnie myśli o ostrożności, o możliwości wpadki. Był wewnątrz czegoś, w jakiejś ciemnej dziurze.

Wpadłszy do kuchni wyszarpnął do oporu dolną szufladę kuchenki i porozrzucił naokoło garnki i patelnie. Powstał nieprawdopodobny hałas, ale sam hałas go nie satysfakcjonował. Wzdłuż trzech ścian pomieszczenia ciągnął się rząd szafek. Zaczął je jedna po drugiej otwierać. Brał oburącz po kilka talerzy naraz i ciskał nimi o podłogę. Rozbijały się z melodyjnym brzękiem. Z jednej z szafek wymiótł wszystkie szklanki i kieliszki i pochrząkując z zadowolenia, słuchał, jak się rozpryskują. Był wśród nich komplet ośmiu delikatnych kieliszków do wina na wysokich nóżkach, który Donna miała od dwunastego roku życia. Przeczytała w jakimś czasopiśmie o "Kufierku Nadziei" i

postanowiła sprawić sobie taki kuferek. Potem okazało się, że kieliszki do wina były jedynymi przedmiotami, jakie wstawiła do tego kufereka, zanim straciła dla niego zainteresowanie, ale miała je przez ponad pół życia i traktowała teraz jak największy skarb.

Następnie przyszła kolej na sosjerki. I na wielki półmisek od serwisu. Potem z głośnym hukiem wylądował na podłodze radiomagnetofon Searsa. Steve Kemp odtańczył na nim boogie-woogie. W spodniach pulsował mu twardy jak kamień penis, tętniła żyła pośrodku czoła. Pod małym chromowanym zlewozmywakiem odkrył baterię trunków. Dźwignął naręcze opróżnionych do połowy lub prawie pełnych butelek, a potem rzucał nimi po kolei w zamknięte drzwi spiżarni, rzucał z za głowy najsilniej jak potrafił; nazajutrz prawą rękę będzie miał tak Zesztywniała i obolała, że z ledwością uniesie ją do poziomu ramienia. Niebieskie drzwi spiżarni spływały wkrótce dżinem Gilbey's, Jackiem Danielsem, whisky J & B, gęstym, zielonym creme de menthe i armaretto - prezentem gwiazdkowym od Althei i Rogera Breakstone'ów. Szkło skrzyło się łagodnie w promieniach gorącego popołudniowego słońca, wlewających się przez okna nad zlewozmywakiem.

Po załatwieniu się z kuchnią Steve wpadł do pralni, gdzie znalazł kilka pudełek wybielacza, zmiękczac do tkanin w wielkiej niebieskiej plastikowej butli i trzy rodzaje proszku do prania. Biegając po domu tam i z powrotem, rozlewał i rozsypywał to wszędzie.

Opróżnił właśnie ostatni karton, kiedy nagle wpadła mu w oko wiadomość skreślona na tabliczce do notatek - bez wątpienia było to pismo Donny: Pojechaliśmy z Tadem do warsztatu J. Cambera w sprawie pinta. Niedługo wracamy.

To przywołało go do rzeczywistości. Był tu już od co najmniej pół godziny. Cały ten czas przeleciał mu czerwoną smugą i trudno go było dokładniej określić. Na ile przed jego przybyciem wyjechała? Dla kogo przeznaczona była ta notatka? Dla każdego, komu zdarzy się tu zajrzeć, czy dla kogoś konkretnego? Trzeba się stąd wynosić... ale najpierw musi jeszcze coś zrobić.

Jednym pociągnięciem rękawa zmazał notatkę Donny i napisał drukowanymi literami:

ZOSTAWIŁEM CI NA GÓRZE COŚ NA PAMIĄTKĘ,
MAŁA.

Biorąc po dwa stopnie naraz wbiegł po schodach na górę i wpadł do sypialni, która znajdowała się po lewej stronie podestu. Czuł teraz, że czasu ma bardzo mało, był niemal pewien, że zaraz rozlegnie się dzwonek do drzwi albo ktoś - najprawdopodobniej inna szczęśliwa gospodyni domowa - wetknie głowę przez tylne drzwi i zawoła (tak jak on): "Hej! Jest ktoś w domu?".

Ale to w jakiś perwersyjny sposób dodawało pikanterii temu, co chciał zrobić. Odpiął pasek, rozsunał gwałtownym ruchem rozporek i dzinsy opadły mu do kolan. Nie miał majtek - rzadko je nosił. Ze splątanego gąszczu czerwonozłotych włosów łonowych sterczał mu sztywno penis. Nie trwało to długo; był zbyt podniecony. Dwa czy trzy szybkie ruchy zaciśniętej garści i przyszedł orgazm - natychmiastowy i gwałtowny. Nasienie trysnęło fontanną na przykryte narzutą łóżko.

Poderwał w górę dzinsy, zapiął suwak (omal nie przycinając sobie jego małymi złotymi ząbkami czubka penisa) i ruszył biegiem do drzwi, zapinając po drodze pasek. Spotka kogoś, wychodząc. Tak. Był tego pewien, tak jakby zostało to z góry

zaplanowane. Jakąś szczęśliwą gospodynię domową, która rzuci tylko okiem na jego zaczerwienioną twarz, na wytrzeszczone oczy, na wybrzuszenie z przodu dżinsów, i zanieś się wrzaskiem.

Starął się być na to przygotowany, otwierając tylne drzwi i wychodząc. Uświadamiał sobie teraz, że hałasu, jakiego narobił, starczyłoby dla obudzenia umarłego... te patelnie! Co mu strzeliło do łba, żeby ciskać po kuchni patelniami? Cała okolica musiała to słyszeć.

Ale ani na podwórku, ani na podjeździe nie było nikogo. Nic nie zakłócało spokoju popołudnia. Po drugiej stronie ulicy wirował zraszac do trawy. Chodnikiem przejechał jakiś gówniarz na deskorolce. Na wprost ciągnął się wysoki żywopłot oddzielający posiadłość Trentonów od sąsiedniej, a na lewo od werandy na tyłach domu roztaczał się widok na miasteczko przycupnięte u stóp wzgórza. Steve widział stąd wyraźnie skrzyżowanie Drogi Nr 117 z Ulicą Główną i Dom Rady Miejskiej. Stał na werandzie, próbując się pozbierać. Po chwili oddech trochę mu się uspokoił, wpadając z powrotem w normalny rytm. Odszukał w swojej kolekcji min tę przyjemną popołudniową i przywołał ją na twarz. Wszystko to trwało tyle, ile sygnalizacji świetlnej na skrzyżowaniu zajmuje cykl zmiany ze światła czerwonego na żółte, potem na zielone i z powrotem na czerwone.

A jeśli ona skręci teraz w podjazd?

Ta myśl znowu skłoniła go do pośpiechu. Zostawił swoją wizytówkę; nie potrzeba mu do szczęścia awantury z adresatką. Zresztą i tak nic mu nie zrobi, chyba żeby zadzwoniła na policję, a nie sądził, by się na to poważyła. Za dużo mógł im powiedzieć: Życie Seksualne Wspaniałej, Szczęśliwej Amerykańskiej Gospodyni Domowej w Jej

Naturalnym Środowisku. Ale kocioł zrobił obłądny. To najlepszy powód, by pryskać jak najdalej od Castle Rock. Może jeszcze kiedyś do niej zadzwoni. Spyta, jak jej się spodobało jego dzieło. To może być nawet zabawne.

Doszedł podjazdem do ulicy, skręcił w lewo i wrócił do swojej furgonetki. Nikt go nie zatrzymał. Nikt go nie zauważył. Obok przemknął smarkacz na wrotkach, krzyząc "Cześć!". Steve odkrzyknął mu, wsiadł do furgonetki i zapuścił silnik.

Dojechał stosedemnastką do Drogi Nr 302, a tą do skrzyżowania z Drogą Międzystanową Nr 95 w Portland. Przy wjeździe na autostradę wziął kartę opłaty i skierował się na południe. Zaczęły go nachodzić nieprzyjemne myśli w związku z tym, co zrobił z szalem, w jaki wpadł, stwierdziwszy, że nikogo nie ma w domu. Czy nie przesadził z zemstą? Nie chciała już z nim tego robić, i co z tego? Zdemolował prawie cały ten cholerny dom. Czy to czasem nie świadczy o tym, że coś jest nie w porządku z jego głową?

Zaczął analizować to wszystko po kolei, rozczłonkowywał wydarzenia, a następnie odbudowywał je pracowicie - aż uzyskał taką interpretację faktów, jaka mu najbardziej odpowiadała.

Dojechawszy do Drogi Nr 495, skręcił na zachód w kierunku Nowego Jorku i krainy, która rozciągała się za nim aż po milczące przestrzenie Idaho, miejsce, do którego schronił się Papa Hemingway, kiedy był stary i śmiertelnie chory. Ogarnęło go to znajome uczucie uwznioślenia, które towarzyszyło zawsze zrywaniu starych więzów i wyruszaniu w dalszą drogę - magiczne uczucie, które Huck nazywał "zewem przestrzeni". W takich chwilach czuł się jak nowo narodzony, czuł, że jest w posiadaniu największej ze

wszystkich wolności, wolności odradzania się. Nie zrozumiałby, o co chodzi, gdyby ktoś zwrócił mu uwagę na fakt, że bez względu na miejsce pobytu, przegrawszy w tenisa, nadal będzie ciskał ze złością rakieta o ziemię; że nigdy nie poda zwycięzcy ręki przez siatkę. Rękę podawał tylko wtedy, kiedy wygrał.

Zatrzymał się na nocleg w małym miasteczku o nazwie Twickenham. Sen miał spokojny. Wytłumaczył już sobie, że zdemolowanie domu Trentonów nie było aktem obłądnej zemsty, lecz protestem rewolucyjnego anarchisty - wyzwaniem rzuconym parze tłustych burżuazyjnych świń, ludziom, którzy płacąc posłusznie podatki i regulując rachunki telefoniczne, ułatwiają faszystowskim wodzom utrzymywanie się przy władzy. Był to akt odwagi i czystej, usprawiedliwionej furii. Był to jego sposób na domaganie się "władzy dla ludu", idei, którą próbował zawrzeć we wszystkich swoich wierszach.

Układając się do snu w wąskim motelowym łóżku, wciąż jeszcze się zastanawiał, jak zareaguje Donna, kiedy wróci z dzieciakiem do domu. Zasnął z uśmiechem na ustach.

O trzeciej trzydzięci tego wtorkowego popołudnia Donna straciła resztki nadziei, że doczeka się listonosza.

Siedziała, obejmując jedną ręką Tada, który z ustami napuchniętymi od gorąca, z chorobliwymi wypiekami na buzi, trwał w jakimś nieprzytomnym półśnie. Została jeszcze jakaś resztką mleka, i wkrótce mu ją da. Przez ostatnie trzy i pół godziny słońce paliło potwornie i nieubłagane. Nawet przy uchylonych do trzech czwartych wysokości szybach od strony jej i Tada temperatura we wnętrzu musiała dochodzić do 40, a może i więcej stopni. Tak to już jest w samochodzie pozostawionym na słońcu. Tyle że w normalnych

okolicznościach, jeśli wóz tak się nagrzej, opuszcza się do końca wszystkie okna, otwiera wyloty kanałów nawiewu i rusza. No to jedziemy - jak słodko brzmią te słowa!

Oblizwała wargi.

Co jakiś czas opuszczała szyby na krótko do samego końca, żeby wywołać choć namiastkę przewiewu, ale bała się je tak zostawić. Mogła się przecież zdrzemnąć. Upał napawał ją lękiem - lękiem o siebie i jeszcze większym o Tada, o to, jak mały go zniesie - ale bardziej bała się tego toczącego pianę i wpatrującego się w nią ponurymi, czerwonymi ślepiami psa.

Ostatni raz opuściła szyby do końca wtedy, kiedy Cujo zniknął w mrokach stodoły-warsztatu. Ale Cujo już wrócił.

Siedział z opuszczonym łbem w wydłużającym się cieniu wielkiej stodoły i wlepił wzrok w niebieskiego pinta. Ziemia między jego przednimi łapami rozmiękła od ściekającej mu z pyska piany. Powarkiwał co chwila i kłapał zębami, jakby dręczyły go halucynacje.

Jak długo jeszcze? Kiedy on zdechnie?

Była kobietą racjonalną. Nie wierzyła w potwory z szaf; wierzyła w to, co mogła zobaczyć i dotknąć. W tym śliniącym się wraku bernardyna siedzącym w cieniu stodoły nie było niczego nadprzyrodzonego; to tylko chore zwierzę ugryzione przez wściekłego lisa, skunksa czy co tam. Nie nastawał na nią osobiście. Nie był Wielebnym Dimmesdale'em ani Psem Moby. Nie był czworonożnym Przeznaczeniem. Ale...

Podejmowała właśnie decyzję, że jednak spróbuje dobiec do tylnych drzwi obudowanej werandy domu Camberów, kiedy Cujo, słaniając się na łapach, wylazł ociężale z mrocznej stodoły.

Tad. Najważniejszy jest Tad. Musi go z tego wyciągnąć. Koniec z tą beczczynnością. Nie odpowiadał już logicznie na

pytania. Tracił kontakt z rzeczywistością. Sposób, w jaki przenosił na nią szkliste oczy, kiedy się do niego zwracała, oczy boksera inkasującego cios za ciosem, boksera, który wraz z ochraniaczem na zęby stracił orientację i czeka tylko na tę ostatnią serię ciosów, która powali go nieprzytomnego na deski - przerażał ją i mobilizował jej macierzyński instynkt. Tad jest najważniejszy. Gdyby była sama, dawno już pobieglaby do tych drzwi. To przez wzgląd na Tada dotąd zwleka, bo obawia się, że pies jej dopadnie i Tad zostanie w samochodzie sam.

Mimo wszystko, zanim Cujo wrócił, była już gotowa pobiec do tych drzwi. Wyobrażała sobie ten bieg w myślach po wielekroć niczym film odtwarzany w kółko na magnetowidzie i w końcu zaczęło jej się wydawać, że to rzeczywiście miało miejsce. Będzie potrząsać Tadem, dopóki mały całkiem nie oprzytomnieje, a jeśli nie da się inaczej, będzie go biła po twarzy. Przykaże mu, żeby nie wychodził z samochodu i nie biegł za nią - pod żadnym pozorem, bez względu na to, co się stanie. Przebiegnie od samochodu do drzwi werandy. Chwyci za gałkę. Jeśli drzwi nie są zamknięte na klucz, to wygrała. Ale była przygotowana na bardzo realną ewentualność, że są jednak zamknięte. Zdjęła bluzkę i siedziała teraz za kierownicą w samym staniku. Bluzkę położyła sobie na kolanach. Przed wyskoczeniem z wozu owinie ją sobie pięść. Nie będzie to idealne zabezpieczenie, ale lepsze takie niż żadne. Drzwi mają szybkę. Rąbnie w nią pięścią przy samej gałce, wsunie rękę do środka, odrygluje zamek i schroni się na małej werandzie. A jeśli drzwi wewnętrzne również są zamknięte, też sobie z nimi jakoś poradzi.

Ale Cujo wrócił i plan się zdezaktualizował.

To nic. Za jakiś czas znowu wejdzie do stodoły. Tak jak wcześniej.

Ale czy aby na pewno? - zamruczał wewnętrzny głos. To wszystko za idealnie się układa, nieprawdaż? Camberowie wyjechali i jak na dobrych obywateli przystało, pamiętali o zawieszeniu dostarczania poczty; Vic też wyjechał i niewielkie są szansę, by zatelefonował wcześniej niż jutro wieczorem, bo nie stać nas na codzienne rozmowy międzymiastowe. A jeśli nawet zatelefonuje, to zrobi to wcześnie. Gdy nikt nie będzie podnosił słuchawki, pomyśli, że poszliśmy coś zjeść do Maria albo na lody do Tastee Freeze. A później nie zadzwoni, bo będzie myślał, że śpimy. Zatelefonuje jutro. Delikatny Vic. Tak, to aż za idealnie się układa. Czy w micie o przewoźniku Charonie na dziobie łodzi nie siedział pies? Pies przewoźnika. Mów mi Cujo. Jestem z Doliny Śmierci.

Wejdz tam, rozkazywała w duchu psu. Wejdz do tej cholernej stodoły.

Cujo ani drgnął.

Oblizła wargi. Wyczuła językiem, że są niemal tak samo napuchnięte jak wargi Tada.

Odgarnęła włosy z czoła i spytała cicho: - Jak się czujesz, Tadder?

- Ciii - mruknął nieprzytomnie. - Kaczki... Potrząsnęła nim.

- Tad? Słoneczko! Nic ci nie jest? Odpowiedz!

Zaczął otwierać powoli oczy. Rozejrzał się dookoła - mały chłopiec, zdezorientowany, zgrzany i okropnie zmęczony.

- Możemy już jechać do domu? Tak mi gorąco...

- Pojedziemy - uspokoiła go.

- Kiedy, mamusiu? Kiedy? - Zaczął płakać.

Och, Tad, oszczędzaj wilgoć, pomyślała. Możesz jej potrzebować. Co za bzdury przychodzą ci do głowy? - próbowała przywołać się do porządku. Ale cała ta sytuacja była tak absurdalna, że graniczyła z obłądem. Obłądka była sama wizja małego chłopca umierającego z odwodnienia (przestań, on NIE UMIERA)

niecałe siedem mil od sporego miasteczka.

Ale sytuacja jest, jaka jest, przypomniawszy sobie. I lepiej już nie rozmyślać na ten temat, siostrze. To jest jak wojna w miniaturowej skali, w której wszystko, co przedtem wydawało się małe, staje się wielkie. Najmniejszy powiew powietrza wpadający przez uchylone okna jest wichrem. Odległość do werandy to półmilowy pas ziemi niczyjej. I jeśli chcesz wierzyć, że ten pies jest Przeznaczeniem, Duchem Pamiętanych Grzechów albo nawet reinkarnacją Elvina Presleya, to sobie wierz. W tej dziwnie przeskalowanej sytuacji - sytuacji z rodzaju żyć-albo-umrzeć - nawet naturalna potrzeba urasta do rangi potyczki.

Wyjdziemy z tego. Żaden pies nie zrobi tego mojemu synkowi.

- Kiedy, mamusi? - Patrzył na nią, oczy miał wilgotne, buzię białą jak ser.

- Niedługo - odparła ponuro. - Już niedługo. - Odgarnęła mu włosy z czoła i przytuliła. Spojrzała przez okno Tada i jej wzrok padł znowu na ten przedmiot leżący w wysokiej trawie, ten stary, owinięty taśmą izolacyjną kij baseballowy.

Z najwyższą rozkoszą rozwalilibym ci nim łeb, wstrętny psie, pomyślała.

W domu zaczął dzwonić telefon.

Rozejrzała się szybko dookoła z nagle rozbudzoną nadzieją.

- To do nas, mamusi? To do nas telefon?

Nie odpowiedziała mu. Nie wiedziała, kto dzwoni. Ale jeśli mają szczęście - może to być ktoś, kto ma powody, by się zaniepokoić, że u Camberów nikt nie podnosi słuchawki. Ktoś, kto przyjedzie tu sprawdzić, co się stało.

Cujo uniósł łeb. Przekrzywił go na bok i przez chwilę, nie wiadomo czemu, przypominał jej Nipper, psa z płyt wytwórni RCA, który przystawia uniesione ucho do tuby gramofonu. Dźwignął się na rozdygotane łapy i ruszył w stronę domu, skąd dolatywał dzwonek telefonu.

- Może piesek idzie odebrać telefon - powiedział Tad. -
Może...

Z przerażającą szybkością i zwinnością pies zmienił nagle kierunek i ruszył na samochód. Po niepewnym, rozchwianym kroku nie zostało ani śladu, zupełnie jakby do tej pory udawał tylko osłabienie. Nie szczekał, lecz ryczał i wył. Czerwone ślepia płonęły. Wyrznął w samochód z głośnym, głuchym łomotem i odbił się - Donna, nie wierząc własnym oczom, wpatrywała się w wybrzuszenie, jakie powstało w drzwiach od jej strony. Musiał się zabić, pomyślała histerycznie, musiał rozwalić sobie ten chory mózg, skrócić kark - musiał, MUSIAŁ...

Cujo podniósł się z ziemi. Pysk miał cały we krwi. Jego ślepia były znowu rozbiegane, puste. Telefon w domu dzwonił i dzwonił. Wydawało się, że pies zamierza odejść, ale on nagle skręcił się, wpił zębami we własny bok, jakby coś go tam uządliło, i zaraz potem odwrócił się i skoczył do okna Donny. Uderzył w nie tuż przed jej twarzą. Krew rozprysnęła się po szkle i szybę przecięło długie, srebrne pęknięcie. Tad pisnął i poderwawszy rączki do buzi, obciągnął sobie w dół policzki, orząc je paznokciami.

Pies skoczył znowu. Z krwawiącego pyska lały mu się strumienie piany. Donna widziała jego wielkie zęby przypominające starą, pożółkłą kość słoniową. Zatrzasnął na szkle szczęki. Z rozcięcia między ślepiami tryskała mu krew. Patrzył jej prosto w oczy; tępym, pustym wzrokiem, niepozobawionym jednak - mogłaby to przysiąc - jakiegoś porozumiewawczego wyrazu. Jakiejś obłąkańczej ironii.

- Idź stąd! - wrzasnęła.

Cujo ponownie staranował łbem bok samochodu pod jej oknem. I jeszcze raz. I jeszcze. Wybrzuszenie od wewnętrznej strony drzwi wciąż się powiększało. Przy każdym uderzeniu dwustufuntowego cielska pinto kołysał się na resorach. Za każdym razem, słysząc kolejny głośny, głuchy łomot, Donna była przekonana, że pies się zabił lub przynajmniej stracił przytomność. I za każdym razem Cujo odbiegał truchtem pod dom, odwracał się i znowu szarżował na samochód. Jego pysk przeistoczył się w maskę z krwi i pozlepianej sierści, z której lypały z bezrozumną furią przyjazne kiedyś brązowe ślepie.

Spojrzała na Tada i stwierdziła, że jest w szoku. Leżał w fotelu w pozycji łonowej zwinięty w ciasną kulkę, rączki zarzucił sobie na kark, klatkę piersiową przebiegały mu konwulsyjne dreszcze.

Może to i lepiej. Może...

Telefon w domu przestał dzwonić. Cujo, który odwracał się akurat, by przypuścić kolejną szarżę, znieruchomiał z przekrzywionym łbem w dziwnej, wyczekującej pozie. Donna wstrzymała oddech. Cisza zdawała się rozsadać uszy. Pies usiadł, uniósł w niebo swój zmaltretowany pysk i zawył krótko - tak ponuro i żałośnie, że pomimo upału zrobiło się jej zimno. W tym momencie zrozumiała - nie poczuła ani

pomyślała, ale zrozumiała - że ten pies jest czymś więcej niż tylko psem.

Cujo wstał bardzo powoli i ociężale, podszedł do pinta i zniknął przed maską. Domyśliła się, że się tam położył - nie widziała już jego grzbietu ani ogona. Mimo wszystko przez kilka chwil trwała jeszcze w napięciu, gotowa psychicznie na wypadek, gdyby pies wskoczył nagle na maskę, jak już to przedtem zrobił. Ale on nie wskoczył. Nic nie mąciło ciszy.

Objęła Tada i zaczęła go kołysać.

Brett zrezygnował w końcu i wyszedł z budki telefonicznej. Charity wzięła go za rękę i skierowała się do kawiarni domu towarowego Caldora. Przyszli do Caldora, żeby poszukać dobranych wzorem i kolorem obrusów i firanek.

Holly czekała na nich, popijając mrożoną wodę sodową.

- Chyba nic się nie stało? - spytała.

- Nic takiego - odparła Charity i poczochnęła Bretta po włosach. - Martwi się tylko o psa. Prawda, Brett?

Brett ni to wzruszył ramionami, ni to skinął markotnie głową.

- Jeśli chcesz, to już idź - powiedziała do siostry Charity.

- Dogonimy cię.

- Dobrze. Będę na dole. Holly dopiła wodę sodową.

- Jestem pewna, że twojemu pupilkowi nic nie jest, Brett - powiedziała.

Brett uśmiechnął się najlepiej, jak potrafił, ale nic nie odpowiedział. Odprowadzili Holly wzrokiem. Wyglądała bardzo szykownie w swojej sukience koloru burgunda i w sandałach na korkowych spodach, tak szykownie, że Charity nie chciało się wierzyć, by kiedykolwiek zdołała dorównać jej prezencją. Może dawniej potrafiłaby, ale nie teraz. Holly zostawiła swoją dwójkę dzieci z opiekunką i około południa byli już w Bridgeport. Zafundowała im pyszny lunch - płacąc

kartą Diners Club - i od tamtej pory chodzili po sklepach. Ale Brett był jakiś milczący i zamknięty w sobie; martwił się o Cujo. Charity sama nie miała zbytnej ochoty na zakupy; było upalnie i nadal nie mogła dojść do siebie po nocnym spacerze Bretta. W końcu podpowiedziała mu, żeby zadzwonił do domu z budki telefonicznej niedaleko snack-baru, jednak rezultat okazał się dokładnie taki, jakiego się obawiała.

Podeszła kelnerka. Charity zamówiła kawę, mleko i dwa paszteciki.

- Brett - zwróciła się do syna - kiedy powiedziałam ojcu, że chcemy jechać, z początku nie chciał o tym słyszeć...

- Wiem, domyślałem się.

- ...a potem ustąpił. W jednej chwili zmienił zupełnie front. Tak sobie myślę... tak sobie myślę, czy przypadkiem nie przyszło mu do głowy, żeby samemu zrobić sobie małe wakacje. No wiesz, mężczyźni lubią od czasu do czasu wypuścić się gdzieś sami...

- Na przykład na polowanie?

(i na dziwki, i na pijaństwo, i Bóg jeden wie, na co jeszcze i dlaczego)

- Właśnie, na przykład.

- Albo do kina - dorzucił Brett. Wróciła kelnerka z zamówionymi daniami i Brett zabrał się za pasztecik.

(tak, pornograficznego na Washington Street zwanej Polem Bitwy)

- Być może. Nie wiadomo więc, czy ojciec nie wziął sobie czasem paru dni wolnego i nie wybrał się do Bostonu...

- Oj, nie wydaje mi się. - Brett pokręcił stanowczo głową. - Miał mnóstwo roboty. Mnóstwo. Sam mi mówił.

- Mógł nie mieć jej tyle, ile mu się wydawało - powiedziała z nadzieją, że cynizmu, jaki odczuwała, nie słysząc w jej

głosie. - W każdym razie przypuszczam, że tak właśnie zrobił i dlatego nie odebrał telefonu ani wczoraj, ani dziś. Pij to mleko, Brett. Od mleka kości są mocniejsze.

Brett upił mleka i nad górną wargą pozostały mu białe wąsy. Odstawił szklanę.

- Może i tak. Mógł też namówić Gary'ego, żeby z nim pojechał. Bardzo lubi Gary'ego.

- Tak, to możliwe, że zabrał ze sobą Gary'ego - przyznała Charity. Powiedziała to tak, jakby wcześniej o tym nie pomyślała, ale w rzeczywistości rano, kiedy Brett bawił się z Jimem juniorem na podwórku, zadzwoniła do Gary'ego. Nikt nie odbierał. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że gdziekolwiek obaj byli, byli razem. - Nie dojadłeś tego pasztecika.

Chłopiec podniósł pasztecik do ust, odgryzł kawałek i odłożył go z powrotem.

- Mamo, wydaje mi się, że Cujo jest chory. Wczoraj rano, kiedy ostatni raz go widziałem, wyglądał na chorego. Jak Boga kocham.

- Brett...

- Naprawdę, mamo. Ty go nie widziałaś. Wyglądał... no, okropnie wyglądał.

- Uspokoiłbyś się, gdybyś się dowiedział, że z Cujo wszystko w porządku?

Brett skinął głową.

- No to wieczorem zadzwonimy do Alvy Thorntona, tego, który mieszka przy Mapie Sugar Road - postanowiła. - Poprosimy go, żeby poszedł do nas i sprawdził, zgoda? Podejrzewam zresztą, że ojciec sam do niego zadzwonił i poprosił, żeby dawał Cujo jeść, kiedy jego nie będzie.

- Naprawdę tak myślisz?

- Naprawdę. - Alva nie był wprawdzie przyjacielem Joego, bo o ile się orientowała, jedynym przyjacielem, jakiego miał Joe, był Gary, ale chętnie mógł wyświadczyć przysługę na konto przysługi, o którą sam w przyszłości poprosi.

Twarz Bretta wypogodziła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ponownie ktoś dorosły wyciągnął mu, niczym królika z kapelusza, odpowiedź, której oczekiwał. Zamiast się tym ucieszyć, Charity na chwilę spochmurniała. Co mu powie, jeśli Alva oznajmi jej przez telefon, że nie widział Joego od czasu roztopów? No nic, gdyby przyszło co do czego, jakoś by to rozegrała, nie wierzyła jednak, że Joe mógłby zostawić Cujo samemu sobie. To nie było w jego stylu.

- To co, pójdziemy już poszukać cioci? - zapytała. - Jasne. Tylko daj mi to skończyć.

Obserwowała z rozbawieniem, jak pałaszuje resztę pasztecika i popija go pozostałym mlekiem. Uporawszy się z tym, odsunął krzeselko i wstał od stolika.

Charity uregulowała rachunek i ruszyli w kierunku ruchomych schodów, którymi można było zjechać na dół.

- O rany, ale wielki ten sklep - powiedział z podziwem Brett. - To duże miasto, prawda, mamó?

- Przy Nowym Jorku jest jak Castle Rock - odparła. - I nie mów "o rany", Brett. To tak samo, jakbyś przeklinał.

- Dobrze. - Rozglądał się dookoła, trzymając ruchomej poręczy. Na prawo roilo się od rozwrzeszczanych, gadatliwych, długoogoniastych papug. Na lewo znajdował się połyskujący chromem dział z artykułami gospodarstwa domowego, gdzie centralnym eksponatem była automatyczna zmywarka do naczyń z przednią ścianką wykonaną całkowicie ze szkła, tak że można było obserwować, jak

działa. Dopiero kiedy zeskakiwali ze schodów, spojrzął na matkę. - Wy się razem z Holly wychowywałyście, tak?

- Kiedyś ci o tym opowiem - odparła z uśmiechem Charity.

- Jest naprawdę miła - stwierdził Brett.

- Cieszę się, że tak myślisz. Ja też zawsze ją lubiłam.

- W jaki sposób tak się wzbogaciła? Charity zatrzymała się.

- To według ciebie Jim i Holly są bogaci?

- Ten dom, w którym mieszkają, musiał niewąsko kosztować

- powiedział i znowu ujrzała, jak zza tej nieukształtowanej jeszcze twarzy wзира Joe Camber w zdeformowanym zielonym kapeluszu zsuniętym na tył głowy, z chytrymi oczami spoglądającymi gdzieś w bok. - I ta szafa grająca. Ona też od groma kosztowała. Ciocia ma cały portfel kart kredytowych, a my tylko tę Texaco...

Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Ładnie to zaglądać komuś do portfela, kiedy płaci za twój lunch?

Twarz Bretta przybrała wyraz urazy i zaskoczenia, ale zaraz z powrotem się wygładziła. To też był trik Joego Cambera.

- Zauważyłem przypadkiem. Tak nimi szpanowała, że trudno było nie zauważyć...

- Wcale nimi nie szpanowała! - powiedziała wstrząśnięta Charity. Znowu się zatrzymała. Stali obok działu z zasłonami.

- A właśnie że szpanowała - upierał się Brett. - Gdyby były akordeonem, toby na nich grała.

Ogarnęła ją nagła złość na syna - częściowo dlatego, że wcale nie była przekonana, czy czasem nie ma racji.

- Zależało jej, żebyś je wszystkie zobaczyła - ciągnął Brett. - Tak mi się wydaje.

- Zupełnie mnie nie interesuje, co ci się wydaje, Bretcie Camber. - Twarz ją paliła, a ręce świerzbiały, żeby go

uderzyć. Kilka chwil wcześniej, w kafejce, kochała go... wiedziała, że są przyjaciółmi. Gdzie podziały się te dobre uczucia?

- Zastanawiałem się tylko, skąd ma tyle szmalu.

- Jak ty się wyrażasz?

Wzruszył ramionami z nieskrywaną już niechęcią, a w niej zrodziło się podejrzenie, że celowo ją prowokuje. U podłoża tego zachowania leżało nie tylko spostrzeżenie, którego dokonał podczas lunchu, to było coś więcej. On zestawiał sposób, w jaki żyje on i jego ojciec, ze sposobem życia kogoś innego. Czyżby oczekiwała, że automatycznie zaakceptuje sposób, w jaki żyją jej siostra z mężem tylko dlatego, że ona chciała, aby go zaakceptował - ten styl życia, który nie został jej dany albo za sprawą pecha, albo własnej głupoty, albo z obu tych powodów? Czy nie miał już prawa do własnych sądów?

Tak, musiała przyznać, że miał takie prawo, ale nie spodziewała się, że jego spostrzeżenia będą tak niepokojąco wnikliwe, tak dokładne i tak przygnębiająco negatywne.

- Przypuszczam, że to Jim zarobił te pieniądze - powiedziała.

- Wiesz, czym się zajmuje...

- Wiem, przekładaniem papierków.

Ale tym razem nie dała się sprowokować.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz. Holly wyszła za niego, kiedy chodził do college'u przy Uniwersytecie stanu Maine w Portland, gdzie przerabiał wstępny kurs prawa. Kiedy potem studiował w szkole prawniczej w Denver, ona chwyciła się każdej pracy, żeby było z czego opłacić jego naukę. Często tak się dzieje. Żony pracują, żeby ich mężowie mogli chodzić do szkoły i zdobyć jakiś specjalny zawód...

Szukała wzrokiem Holly i w końcu dostrzegła kilka stoisk na lewo od nich czubek głowy siostry.

- W każdym razie, kiedy Jim skończył wreszcie szkołę, wrócili z Holly na wschód i on zaczął pracować w wielkiej firmie prawniczej w Bridgeport. Nie zarabiał wtedy dużo. Mieszkali w bloku, na trzecim piętrze, nie mieli klimatyzacji w lecie ani dobrego ogrzewania w zimie. Ale on stopniowo awansował i teraz jest już młodszym wspólnikiem. I w porównaniu z nami chyba dużo zarabia.

- Może więc ciocia popisuje się tak tymi kartami kredytowymi, bo w środku wciąż czuje się biedna - mruknął Brett.

Uderzyła ją wnikliwość tego spostrzeżenia. Poczochrała go łagodnie po głowie. Nie była już na niego zła.

- Powiedziałeś, że ją lubisz.

- Bo lubię. O, jest tam.

- Widzę.

Podeszli do Holly, która dźwigała już naręczne zasłon i szukała obrusów o takim samym wzorze.

Słońce schowało się wreszcie za dom.

Piec, jaki przypominało wnętrze pinta Trentonów, zaczął powoli stygnąć. Zerwała się orzeźwiająca bryza i Tad z rozkoszą nadstawił buzię na jej powiewy. Tak dobrze jeszcze mu dzisiaj nie było. Nie wiadomo tylko, ile to potrwa. Cały dzień wydawał mu się teraz koszmarnym snem, snem, który pamiętał tylko częściowo. Parę razy odchodził, po prostu wysiadał z samochodu i odchodził. Pamiętał te momenty. Odjeżdżał na koniu. Pędził długim polem, a po tym polu kicały króliki, takie jak na filmie rysunkowym, na którym był z mamą i z tatą w kinie w Bridgton. Na końcu pola był staw, a w tym stawie kaczki. Kaczki były bardzo przyjazne. Tad

bawił się z nimi. Było tu lepiej niż z mamą, bo tam, gdzie była mama, był też potwór, który wydostał się z jego ściennej szafy. A tu, gdzie pływały kaczki, nie było potwora. Tadowi bardzo się w tym miejscu podobało, chociaż nie wiadomo skąd wiedział, że jeśli pozostanie tu za długo, może zapomnieć, jak wrócić do samochodu.

Potem słońce schowało się za dom. Pojawiły się chłodne cienie tak gęste, że niemal namacalne. Potwór zaprzestał prób dostania się do samochodu. Listonosz nie przyjechał, ale teraz Tad mógł przynajmniej wygodnie odpoczywać. Najgorzej, że tak bardzo chciało mu się pić. Nigdy w życiu nie był taki spragniony. Dlatego pewnie tak mu się podobało w miejscu z kaczkami - to było wilgotne, zielone miejsce.

- Co powiedziałaś, słoneczko? - Zobaczył nad sobą twarz mamy.

- Pić - wychrypiał. - Bardzo mi się chce pić, mamusiu.

- Tak, wiem. Mamusi też się chce.

- W tym domu na pewno jest woda.

- Nie możemy tam pójść, kochanie. Nie w tej chwili. Ten wstrętny pies leży przed samochodem.

- Gdzie? - Tad ukląkł na fotelu i zaskoczyła go lekkość, która przepłynęła mu leniwie przez głowę niczym załamująca się powoli fala. Przytrzymał się dłonią deski rozdzielczej i wydało mu się, że ta dłoń znajduje się na końcu długiego na milę ramienia.

- Nie widzę go. - Nawet głos miał jakiś odległy, odbijający się echem.

- Usiądź z powrotem, Tad. Jesteś...

Mówiła dalej i czuł, jak sadza go z powrotem w fotelu, ale to wszystko było jakieś dalekie. Słowa docierały do niego z wielkiej, szarej odległości; między nim a mamą było mgliście,

tego ranka też była mgła... a może to było wczoraj rano... albo tego rana, kiedy wyjechał tatuś. Ale przed sobą widział jakieś jasne miejsce, zostawił więc mamę, żeby tam pójść. To było miejsce z kaczkami. Kaczki, staw i lilie wodne. Głos mamy ścichł do dobiegającego gdzieś z dali brzęczenia. Jej piękna twarz, taka wielka, zawsze obecna, taka spokojna, tak podobna do księżyca, który czasami zaglądał do jego okna, kiedy budził się w środku nocy, żeby pójść siusiu... ta twarz zrobiła się szara i niewyraźna. Rozwiała się w szarą mgiełkę. Jej głos stał się leniwym brzęczeniem przyjaznych pszczoł i kapaniem wody. Tad bawił się z kaczkami.

Donna zapadła w drzemkę, a kiedy znowu się ocknęła, wszystkie cienie zlały się już ze sobą, resztką światła nad podwórkiem Camberów miała barwę popiołu. Zapadał zmierzch. Jakimś sposobem znowu zmierzchało, a oni - nie do wiary - nadal tu tkwili. Okrągłe, szkarłatnożółte słońce opierało się o horyzont. Wyglądało jak piłka do koszykówki umarzana we krwi. Przesunęła językiem po wnętrzu jamy ustnej. Ślina ścięta do konsystencji grubej gumy popękała opornie i znów upodobniła się do zwyczajnej śliny. Przełyk miała jak z flaneli. Przemknęło jej przez myśl, jak cudownie byłoby położyć się pod kranem w przydomowym ogródku, odkręcić do oporu kurek, otworzyć usta i rozkoszować się kaskadą lejącej się w nie wody. Wizja była tak wyrazista, że wzdrygnęła się i dostała gęsiej skórki. Rozbolała ją głowa.

Czy pies nadal leży przed samochodem?

Spojrzała, ale tego naturalnie nie dało się stwierdzić. Widziała tylko, że nie ma go przed stodołą.

Nacisnęła klakson, jednak spod maski samochodu dobyło się tylko schrypnięte rżenie i nic się nie zmieniło. Pies mógł być gdziekolwiek. Przesunęła palcem po srebrnej rysie

biegnącej przez szybę od jej strony zastanawiając się, co będzie, jeśli pies staranuje ją jeszcze kilka razy. Czy się stłucze? Dwadzieścia cztery godziny temu nie uwierzyłaby w to, ale teraz nie była już tego taka pewna.

Spojrzała znowu na drzwi werandy Camberów. Wydało jej się, że są dalej niż przedtem. To wrażenie przypomniało jej lekcje psychologii w college'u, na których omawiali pojęcie idee fixe. Nauczyciel, pedantyczny mały człowieczek z wąsikami jak szczoteczka do zębów, zilustrował to zagadnienie zabawnym przykładem. Wchodząc na nieczynne schody ruchome, stwierdzacie nagle, że bardzo trudno się wam po nich idzie - powiedział. Tak ją to zaintrygowało, że w końcu znalazła w domu towarowym Bloomingdale'a ruchome schody, nad którymi wisiała tabliczka NIECZYNNE, i zeszła nimi. Ku swojemu zdziwieniu stwierdziła, że pedantyczny mały profesorek miał rację - nogi po prostu nie chciały jej nieść. Spróbowała sobie wyobrazić, jak zareagowałby człowiek, który schodząc po schodach we własnym domu stwierdziłby nagle, że zaczęły się poruszać. Na samą myśl roześmiała się w głos.

Ale obecna sytuacja nie była taka zabawna. Właściwie to wcale nie była zabawna.

Odległość do drzwi werandy wydawała się zdecydowanie większa.

Ten pies chce mnie wykończyć psychicznie.

Spróbowała odpędzić tę myśl, ledwie zaświtała jej w głowie, ale po chwili dała spokój. Sytuacja stawała się zbyt niebezpieczna, by mogła pozwolić sobie na oszukiwanie samej siebie. Świadomie czy nieświadomie, Cujo wykańczał ją psychicznie. Wykorzystując, być może, jej własną idee fixe na temat praw rządzących tym światem. Ale sytuacja się

zmieniła. Skończyła się wygodna jazda ruchomymi schodami, wyłączono je. Nie może stać dalej beczynn timer ze swoim synkiem na nieruchomym stopniu i czekać, aż ktoś znowu włączy silnik.

Tad spał. Jeśli pies jest w stodole, to teraz może jej się udać. Ale jeśli nadal leży przed samochodem? Albo pod nim? Donnie przypomniało się, co często zwykł mawiać jej ojciec, kiedy oglądał w telewizji mecze futbolowe. Przy takich okazjach prawie zawsze ostro tankował i zjadał zwykle wielki talerz zimnej fasoli, która zostawała z sobotniej kolacji. W rezultacie, kiedy rozpoczynała się czwarta kwarta meczu, powietrze w pokoju, w którym stał telewizor, nie nadawało się do oddychania; nawet pies wynosił się stamtąd z niepewnym uśmiechem dezercera na pysku.

Tamto powiedzonko ojca zarezerwowane było dla szczególnie udanych zatrzymań i przechwyceń podań. "Ale się na niego zasadził w wysokich krzakach!" - krzyczał wtedy. Matkę doprowadzało to do szału, lecz kiedy Donna była nastolatką, matkę doprowadzało już do szału prawie wszystko, co robił ojciec.

Wyobraziła sobie teraz Cujo przed maską pinta; w tej wizji pies nie spał, tylko siedział na żwirze z podwiniętymi pod siebie zadnimi łapami, nie spuszczać nabiegłych krwią ślepi z punktu przestrzeni, w którym pojawiłaby się w momencie opuszczenia samochodu. Czekał na nią w nadziei, że okaże się na tyle głupia, by wysiąść.

Potarła obiema dłońmi twarz szybkim, nerwowym ruchem. Przez ciemniejący w górze granat przebiła się właśnie Wenus. Słońce całkiem już zaszło, pozostawiając nad polami nieruchomą żółtawą poświatę. Gdzieś zaśpiewał ptak, urwał, a potem odezwał się znowu.

Uświadomiła sobie, że nie odczuwa już takiej pokusy wyskoczenia z samochodu i dobiegnięcia do drzwi jak po południu. Pewnie dlatego, że zdrzemnęła się i nie wiedziała już, gdzie jest pies. Poza tym duchota ustępowała - to przede wszystkim ten morderczy upał i jego wpływ na Tada popychały ją do działania. W samochodzie robiło się coraz przytulniej i Tad, który z na wpół przymkniętymi powiekami trwał do tej pory w stanie półomdlenia, wreszcie normalnie zasnął.

Obawiała się jednak, że wszystko to jest wtórne wobec głównej przyczyny, dla której wciąż tu siedziała - że krok po kroku osiągnęła jakiś psychiczny stan gotowości, którego nie wykorzystała. Pamiętała z lekcji skoków do wody, które trenowała w dzieciństwie w Camp Tapawingo, że kiedy stawała na szczycie wieży, przychodził moment, od którego wszystko zależało: czy skoczy, czy też wycofa się jak niepyszna i przepuści następną dziewczynkę. Podczas kursu nauki jazdy samochodem też nadchodzi w końcu taki moment, że trzeba porzucić puste, boczne drogi i spróbować swych sił w ruchu miejskim. Wciąż nadchodzi jakiś moment. Moment, żeby skoczyć z trampoliny, moment, żeby wyjechać na ruchliwą ulicę, moment, żeby spróbować dobiec do drzwi werandy.

Wcześniej czy później pies się zdradzi. Sytuacja była zła, to fakt, ale jeszcze nie beznadziejna. Właściwe momenty nadchodzą okresowo - nie nauczyła się tego na lekcjach psychologii, wiedziała to instynktownie. Nigdzie nie jest powiedziane, że jeśli stchórzysz i nie skoczysz z wieży w poniedziałek, to nie zrobisz tego również we wtorek.

Ale głos wewnętrzny podpowiedział jej, że to z gruntu fałszywe i niebezpieczne rozumowanie.

Nie była już tak silna i sprawna jak poprzedniego wieczoru. Jutro rano będzie jeszcze słabsza i jeszcze bardziej odwodniona. I przez cały czas siedzi; ile to już? - trudno uwierzyć, ale chyba dobre dwadzieścia osiem godzin. Co będzie, jeśli tak Zesztywniała, że nie będzie w stanie biec? Co będzie, jeśli w połowie drogi złapie ją skurcz i upadnie?

Kiedy w grę wchodzi kwestia życia lub śmierci, podpowiedział jej nieubłagane głos wewnętrzny, właściwy moment nadarza się tylko raz - a potem na zawsze przemija.

Zacząła szybciej oddychać; jej serce zabiło żywiej. Jej ciało wiedziało, że podejmie tę próbę, zanim uświadomił to sobie umysł. Machinalnie owinięła ciasniej prawą dłoń bluzką, położyła lewą na klamce drzwiczek i dopiero teraz do niej dotarło, że idzie. Idzie tam teraz, póki Tad śpi mocno i nie musi się obawiać, że wyskoczy za nią.

Śliską od potu dłonią pociągnęła do siebie klamkę. Wstrzymała oddech nasłuchując, czy w świecie dźwięków na zewnątrz nic się nie zmieniło.

Znowu zaśpiewał ptak. I to wszystko.

Jeśli pies bardzo wgiął drzwiczki, to mogą się nie otworzyć, pomyślała. Przyjęłaby to nawet z ulgą. Mogłaby wtedy usiąść znowu wygodnie, przemyśleć sytuację, zastanowić się, czy nie pominęła czegoś w swoich kalkulacjach... i zaczekać, aż jeszcze bardziej zachce jej się pić... aż stanie się jeszcze słabsza... jeszcze powolniejsza...

Przyłożyła lewe ramię do drzwiczek i zaczęła napierać na nie zrazu lekko, potem coraz silniej. Prawa dłoń owinięta bawełnianą bluzką pocila się obficie. Zaciskała ją w pięść do bólu w palcach. Czują, jak czubki paznokci wbijają się w jej poduszkę dłoni. Raz po raz odtwarzała w wyobraźni moment, w którym tłucze szybkę drzwi werandy tuż obok gałki, słyszy

brzęk odłamków szkła sypiących się na deski podłogi wewnątrz, sięga do klamki...

Ale drzwiczki samochodu nie ustępowały. Pchała je teraz z całych sił, tak mocno, że wystąpiły jej żyły na szyi. Ale one nie ustępowały. Zupełnie jakby...

I nagle się otworzyły. Odskoczyły na całą szerokość z okropnym szczękiem i o mało nie wypadła z wozu. Chciała przytrzymać się klamki, lecz nie natrafiła na nią. Udało jej się to dopiero za drugim podejściem. Uchwyciła się kurczowo klamki, a do umysłu wpłynęła jej paniczna i oślepiająca pewność, jak diagnoza lekarza stwierdzającego raka, który nie nadaje się do operowania: owszem, otworzyła drzwiczki, ale one się teraz z powrotem nie zatrzasną.

Pies wskoczy do wozu i zagryzie ich oboje. Tadowi dana może będzie ta jedna, pełna dezorientacji chwila na jawie, ten ostatni moment przebudzenia, kiedy rzeczywistość miesza się jeszcze ze snem, a potem kły Cujo rozerwą mu gardło.

Oddychała szybko, spazmatycznie. Każdy haust powietrza drapał krtań jak gorąca słoma. Wydawało jej się, że widzi każde najdrobniejsze ziarenko żwiru na ziemi, ale nie mogła zebrać myśli. W głowie miała mętlik. Przez plan jej pamięci, niczym film z parady przyśpieszony do tego stopnia, że orkiestry dęte, jeźdźcy na koniach i maszerujące dziewczyny zdają się umykać w popłochu z miejsca jakiejś dziwnej zbrodni, przewijały się sceny z przeszłości.

Urządzenie do przerobu odpadów opluwające wstrętną zieloną mazią sufit w kuchni.

Ona sama w wieku pięciu lat, spadająca z ganku na tyłach domu i łamiąca sobie nadgarstek.

Znowu ona pewnego dnia w pierwszej klasie szkoły średniej, drugi semestr - lekcja algebry - zawstydzona i przerażona

patrzy na plamy krwi na błękitnej lnianej sukience; zaczęła jej się miesiączka, zaraz będzie dzwonek na przerwę; jak teraz wstanie z miejsca, tak żeby nikt się nie zorientował, że Donna Rose ma okres?

Dwight Sampson, pierwszy chłopak, z którym całowała się z otwartymi ustami.

Potem znowu ona w chwilę po porodzie, trzymająca na rękach Tada; zabierająca go pielęgniarka - chciała jej powiedzieć, żeby tego nie robiła, ale była zbyt osłabiona, żeby cokolwiek powiedzieć; potem to straszne wydobywające się z niej kląsknięcie odchodzących wód płodowych - pomyślała wtedy: rzygam łożyskiem, które podtrzymywało mojego synka przy życiu - i w końcu zemdlą.

Ojciec płaczący na jej weselu, a potem upijający się w recepcji. Twarze. Głosy. Pomieszczenia. Scenki. Książki. I paniczny strach tej chwili, myśl: ZARAZ UMRE...

Z nadludzkim wysiłkiem wzięła się w garść. Ujęła klamkę drzwiczek pinta w obie dłonie i pociągnęła ze wszystkich sił do siebie. Drzwiczki zamknęły się. Rozległ się znowu protestacyjny szczeł zawiasu zwichrowanego przez Cujo, potem głośny huk zatraskującego się zamka. Tad drgnął i wymruczał coś przez sen.

Donna opadła na oparcie fotela, dygocząc cała ze zdenerwowania i płacząc cicho. Gorące łzy wyslizgiwały się jej spod powiek i ściekały ku uszom. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała, nawet w swoim pokoju nocą, kiedy była mała i wydawało jej się, że wszędzie są pająki. Nie będzie teraz w stanie biec, zapewniła samą siebie. Nie ma nawet co o tym marzyć. Jest zupełnie wykończona. Ma zszarpane nerwy. Lepiej zaczekać, zaczekać na lepszą okazję...

Ale nie dopuści, aby ta idee stała się fixe.

Lepszej okazji już nie będzie. Tad spał i nie było psa. Z pewnością go nie było; wszystko zdawało się o tym świadczyć. Pierwszy głośny szczęk, a potem drugi, kiedy ciągnęła drzwiczki do siebie, oraz huk, z jakim się z powrotem zatrzasnęły. Gdyby leżał przed samochodem, te hałasy poderwałyby go na nogi. Usłyszałby je też, gdyby był w stodole. Prawie na pewno gdzieś odszedł. Taka okazja już się nie powtórzy, i jeśli nawet boi się zrobić to dla siebie, musi pomyśleć o Tadzcie.

Do podjęcia decyzji skłoniła ją ostatecznie wizja znalezienia się w ciemnym wnętrzu domu Camberów i poczucia w dłoni pokrępiającego kształtu telefonicznej słuchawki. Słyszała już siebie, jak spokojnie i rzeczowo rozmawia z którymś z zastępców szeryfa Bannermana, a potem odkłada słuchawkę i przechodzi do kuchni, by wypić szklanek zimnej wody.

Otworzyła ponownie drzwiczki przygotowana tym razem na szczęk, ale słysząc go, skrzywiła się mimowolnie. Przekląła w duchu psa, żywiąc nadzieję, że leży już gdzieś martwy we własnych odchodach.

Wysunęła za próg zeszywniałe nogi, krzywiąc się znowu, tym razem z bólu. Dotknęła podeszwami tenisówek ziemi. Prostując się powoli, stanęła w końcu pod ciemnym niebem.

Cujo, tak jak podpowiedział mu instynkt, usłyszał wreszcie otwierające się ponownie drzwiczki. Kiedy otworzyły się za pierwszym razem, omal nie wyskoczył zza samochodu, przed którym leżał w półodrętwieniu, żeby rzucić się na KOBIECĘ, która była przyczyną tego strasznego bólu pulsującego we łbie i przeszywającego całe ciało. Omal nie wyskoczył, ale w ostatniej chwili instynkt nakazał mu leżeć dalej nieruchomo. KOBIECĘ próbowała tylko skłonić go podstępem do ujawnienia się, wyjaśnił instynkt, i okazało się to prawdą.

Rozwijając się w nim i wnikając w układ nerwowy, dokonując swego dzieła niszczenia ustalonych wzorców myślenia i zachowań, choroba w jakiś niewytłumaczalny sposób wzmagała jednocześnie jego przebiegłość. Był pewien, że dopadnie KOBIECY i CHŁOPCA. To oni zadali mu ból - zarówno ten wypełniający ciało, jak i ten rozsadzający głowę, ten, który wziął się z taranowania raz po raz samochodu.

Dziś dwa razy zapomniał o KOBIECY i CHŁOPCU i opuściwszy stodołę od tyłu, przez wyjście wycięte dla niego przez Joego Cambera w drzwiach znajdującego się tam kantorku, w którym Joe trzymał swoje rachunki, zszedł na moczary rozciągające się na granicy posiadłości Camberów. Za każdym razem przechodził blisko zarośniętej wapiennej jaskini, w której gnieździły się nietoperze. Na moczarach była woda, a jemu straszliwie chciało się pić, ale i za pierwszym, i za drugim razem sam widok wody doprowadzał go do szału. Chciał pić wodę; zabić wodę; wytarzać się w wodzie; nasikać i nasrać w wodę; zasypać ją ziemią; gryźć ją; sprawić, by krwawiła. Za każdym razem to straszne pomieszanie uczuć odpędzało go stamtąd skamlącego i dygoczącego. To wszystko była wina KOBIECY i CHŁOPCA. Już więcej nie zostawi ich samych. Będzie czekał dopóty, dopóki nie nadarzy się sposobność, by ich dopaść. Jeśli trzeba, będzie tak czekał do końca świata. Będzie czekał. Będzie warował.

Najbardziej nienawidził KOBIECY. Ten sposób, w jaki na niego patrzyła. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: Tak, tak, zrobiłam to, to przeze mnie jesteś chory, to przeze mnie cierpisz, to ja sprowadziłam na ciebie tę udrękę i od teraz zawsze już będzie z tobą.

Och, zabić ją, zabić!

Ciszę zmaćił jakiś dźwięk. Był ledwie słyszalny, ale nie umknął uszom Cujo; były teraz w jakiś niemal nadprzyrodzony sposób dostrojone do wychwytywania wszystkich dźwięków. Słyszał całe spektrum świata dźwięków. Słyszał dzwoneczki w niebie i ochryple wrzaski dochodzące z piekła. W swym szaleństwie słyszał wszystko, co realne i nierealne.

Ledwie słyszalny dźwięk wydawały małe, przemieszczające się i ocierające o siebie kamyczki.

Cujo wwiercił zad w ziemię i czekał. Nie zwracał uwagi na ciepłą urynę, która lała się z niego, sprawiając ból. Czekał na KOBIECĘ. Kiedy się pojawi, zabije ją.

Wśród pobojowiska, jakie przedstawiał sobą parter domu Trentonów, rozbrzęczał się telefon.

Zaterkotał szósty raz, ósmy, dziesiąty i ucichł. Wkrótce potem o frontowe drzwi domu Trentonów uderzył zwinięty w rulon numer wychodzącej w Castle Rock gazety "Call", a Billy Freeman z brezentową torbą przewieszoną przez ramię, pogwizdując wesoło, popedałował dalej ulicą na swoim raleighu.

Drzwi od ściennej szafy w pokoju Tada stały otworem. W powietrzu wisiała nieokreślona, cierpka woń kojarząca się z zapachem dzikości.

Telefonistka z bostońskiej centrali spytała Vica Trentona, czy ma dalej próbować.

- Nie, dziękuję pani - odparł i odłożył słuchawkę. Roger znalazł na 38 kanale mecz Red Sox z Kansas City i usadowiwszy się na kanapie w samych gatkach, z kanapką w jednej ręce i szklanką mleka w drugiej obserwował rozgrzewkę.

- Ze wszystkich twoich nawyków - stwierdził Vic - z których większość plasuje się w przedziale od czynnie wyzywających do umiarkowanie gorszących, najgorsze jest chyba jedzenie w majtkach.

- Słuchajcie tylko - zwrócił się Roger do pustego pokoju. - Chłopisko trzydzieści dwa lata z okładem, a kalesonki dalej nazywa majtkami.

- A co w tym niewłaściwego?

- Nic... jeśli nadal jesteś skautem spod namiotu na letnim obozie.

- Dziś wieczorem poderżnę ci gardło, Rog - mruknął z uśmiechem Vic. - Obudzisz się, dławiąc własną krwią. Będziesz żałował, ale będzie już za późno! - Wyrwał Rogerowi z ręki połowę kanapki z gorącym pastrami i pochłonął ją łapczywie.

- To było cholernie niehigieniczne - zganił go Roger, otrzepując nagą włochatą pierś z okruszków. - Co, nie było Donny w domu?

- Mhm. Wybrali się pewnie z Tadem do Tastee Freeze wtrząchnąć parę hamburgerów albo coś w tym rodzaju. Bóg mi świadkiem, że wolałbym być teraz z nimi niż w Bostonie.

- Och, pociesz się - powiedział z przekornym uśmiechem Roger - że jutro wieczorem będziemy w Nowym Jorku. I będziemy popijali koktajle pod zegarem w Biltmore...

- Chromolę Biltmore i zegar - parsknął Vic. - Każdy, kto spędza tydzień poza Maine, załatwiając interesy w Bostonie i Nowym Jorku - i to w lecie - musi nie mieć piątej klepki.

- Tak, z tym się zgodzę - przyznał Roger. Na ekranie telewizora Bob Stanley rozpoczął grę, posyłając piękną piłkę nad zewnętrznym kornierem.

- Bardzo dobra kanapka, Roger - mruknął Vic, uśmiechając się zwycięsko do współnika.

Roger chwycił talerz i przycisnął go do piersi.

- Złap się za telefon i sam sobie zamów, wyludzaczu.

- Jaki tam numer?

- Chyba sześć-osiem-jeden. Jest na tarczy.

- Zamówić ci przy okazji piwo? - spytał Vic, podchodząc znowu do telefonu.

Roger pokręcił głową.

- Za dużo w siebie wlałem podczas lunchu. Głowa mi ciąży, żołądek mi ciąży, a jutro rano będę miał pewnie małego kacyka. Szybko odkrywam prawdę, stary. Nie jestem już dzieckiem.

Vic zadzwonił na dół i zamówił sobie gorące pastrami na żytnim pieczywie oraz dwie butelki Tuborga. Kiedy odłożył słuchawkę i odwrócił się, Roger siedział z oczami wlepionymi w telewizor. Talerz z kanapką kołysał mu się niebezpiecznie na wydatnym brzuchu, a on sam płakał. W pierwszej chwili Vic pomyślał, że wzrok płata mu figla; że to jakieś złudzenie optyczne. Ale nie, to rzeczywiście były łzy. Promienie padające z ekranu kolorowego telewizora załamywały się w nich jak w pryzmatach.

Vic stał przez chwilę niezdecydowany. Podejść do Rogera czy też udać, że niczego nie zauważył, przejść w drugi koniec pokoju i wziąć gazetę? Potem Roger spojrzał na niego. Twarz mu drgała, odmalowywały się na niej wyraźnie wszystkie uczucia; była tak bezbronna i bezradna jak buzia Tada, kiedy mały spadł z huśtawki i zadrapał sobie kolano albo przewrócił się na prostej drodze.

- Co ja mam robić, Vic? - zapytał ochryple.

- Rog, o czym ty...

- Wiesz, o czym mówię - wpadł mu w słowo przyjaciel. Tłum na Fenway radosnym wyciem nagroził jakąś dobrą zagrywkę.

- Spokojnie, Roger. Ty...

- Obaj dobrze wiemy, że nic z tego nie będzie - powiedział Roger. - Nasza sytuacja śmierdzi, jak karton jaj po tygodniu leżenia na słońcu. Próbujemy rozgrywać jakąś małą gierkę. Mamy za sobą Roba Martina. Mamy za sobą uciekiniera z Domu Starego Aktora. Mamy za sobą Summers Marketing & Research, bo sami nas przecież promowali. Wspaniale. Mamy za sobą wszystkich prócz tych, od których wszystko zależy.

- Klamka jeszcze nie zapadła, Roger.

- Althea zupełnie nie rozumie, o co idzie gra - ciągnął Roger.

- To moja wina, bo jestem tchórzem. Ale ona przepada za Bridgton, Vic. Bardzo jej się tam podoba. No i dziewczynki; mają w Bridgton swoje szkolne przyjaciółki... i jezioro w lecie... Nawet nie podejrzewają, jakie pieprzone chmury zbierają im się nad głowami.

- Owszem, istnieją powody do obaw. Nie próbuję cię bynajmniej przekonywać, że wszystko jest w porządku.

- Czy Donna zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji?

- Podejrzewam, że do tej pory uważała to wszystko za dobry pretekst do strojenia sobie z nas żartów. Ale oczy zaczynają jej się już chyba otwierać.

- Z tym, że ona nigdy nie była przekonana do Maine tak jak my.

- Z początku może i nie. Wydaje mi się jednak, że teraz przeraziłby ją pomysł powrotu z Tadem do Nowego Jorku.

- Co ja mam robić? - spytał znowu Roger. - Nie jestem już dzieckiem. Ty masz trzydzieści dwa lata, Vic, ale ja za miesiąc kończę czterdzieści jeden. Co będę robił? Zacznę od

nowa szukać pracy? Czy J. Walter Thompson przyjmie mnie z powrotem? "Cześć, Rogerku, trzymam tu dla ciebie twoje stare miejsce. Zaczynasz od trzydziestu pięciu tysięcy rocznie". Tak powie?

Vic pokręcił tylko głową, ale Roger zaczynał go już irytować.

- Do tej pory byłem tylko zły. Dalej jestem zły, ale teraz przeważa strach. Leżę w nocy w łóżku i próbuję sobie wyobrazić, jak to będzie potem. Co to będzie. I nie potrafię sobie tego wyobrazić. A ty patrzysz na mnie i mówisz sobie w duchu: "Ależ ten Roger dramatyzuje". Ty...

- Niczego takiego nie pomyślałem - zaprzeczył Vic z nadzieją, że jego głos brzmi szczerze.

- Nie zarzucam ci kłamstwa - podjął Roger - ale pracuję z tobą od tak dawna, że zupełnie nieźle się orientuję w sposobie twojego myślenia. Lepiej, niż ci się wydaje. Tak czy inaczej, nie winię cię, że tak pomyślałeś - jednak trzydzieści dwa lata i czterdzieści jeden lat to wielka różnica. Między trzydziestym drugim a czterdziestym pierwszym rokiem życia dostajesz porządny wycisk.

- Posłuchaj, nadal uważam, że nasza propozycja stwarza szansę...

- Najchętniej zabrałbym do Cleveland ze dwa tuziny pudełek Malinowych Zingersów - przerwał mu Roger - wtrząchnął je tam i wypiął się na nich, kiedy już przywiążą nam puszki do ogonów. Znalazłbym miejsce na wszystkie te chrupki, wiesz? Vic poklepał Rogera po ramieniu.

- Tak, rozumiem cię.

- Co zamierzasz, jeśli zerwą z nami kontrakt? - spytał Roger.

Vic myślał już o tym. Rozwagał problem pod wszystkimi możliwymi kątami na długo przed tym, zanim Roger zaczął go dopiero wietrzyć.

- Jeśli to zrobią, zamierzam harować ciężiej niż do tej pory - odparł. - Trzydzieści godzin na dobę, jeśli będzie trzeba. Jeśli po to, żeby zarobić tyle co u Sharpa, będę musiał ucześcić się liny ratunkowej w postaci sześćdziesięciu małych kontraktów lokalnych, nie zawaham się.

- Wyprujemy sobie na darmo flaki.

- Być może - przyznał Vic. - Ale pójdziemy na dno, waląc ze wszystkich dział.

- Tak sobie myślę - mruknął Roger - że gdyby Althea poszła do pracy, moglibyśmy przez jakiś rok utrzymać dom. Starczyłoby na spłatę odsetek, a przez ten czas chyba udałoby się go sprzedać.

Vic poczuł nagle, jak ciśnie mu się to na usta: cała ta gówniana, czarna bryndza, w którą wpakowała się Donna, bo zachciało jej się udawać dziewiętnastolatkę. Ogarnął go tępy gniew na Rogera, Rogera, który od piętnastu lat był szczęśliwym, niezdradzonym mężem, Rogera, który miał ładną, niewymagającą Altheę ogrzewającą mu co dzień łóżko (Vic zdziwiłby się bardzo, gdyby Althei Breakstone cudzołóstwo przyszło choćby do głowy), Rogera, który nie miał zielonego pojęcia, ile rzeczy może się nagle zawalić.

- Posłuchaj - powiedział. - W czwartek w popołudniowej poczcie przyszedł list do mnie...

Ktoś zapukał głośno do drzwi.

- To służba hotelowa - stwierdził Roger. Wziął koszulę i otarł sobie nią twarz - i nagle, nie widząc już łez przyjaciela, Vic stracił zupełnie ochotę do zwierzeń. Być może dlatego, że Roger miał mimo wszystko rację i dzielące ich dziewięć lat życia robiło jednak różnicę.

Podszedł do drzwi i wziął od kelnera piwa i kanapkę. Nie dokończył tego, co zaczął mówić, kiedy zapukał kelner, a

Roger nie naciskał. Znowu pochłonęła go gra w piłkę i własne problemy.

Vic usiadł i zabrał się za swoją kanapkę. Nie dziwiło go zbyt, że apetyt gdzieś się ulotnił. Jego wzrok padł na telefon i żując jeszcze, wykręcił ponownie domowy numer. Po dwunastym sygnale odłożył słuchawkę. Zaczynał odczuwać niepokój. Było pięć po ósmej, pięć minut po godzinie, o której Tad kładł się zwykle do łóżka. Może Donna kogoś spotkała albo może zrobiło im się nieswojo w pustym domu i poszli do kogoś z wizytą. Nigdzie nie było napisane, że Tad punkt ósma musi znaleźć się w łóżku, zwłaszcza kiedy tak późno się ściemniało i było tak potwornie gorąco. Wyszli może do parku pospacerować, dopóki nie ochłodzi się na tyle, że będzie można zasnąć.

(a może ona jest z Kempem)

Idiotyzm. Powiedziała przecież, że to już skończone, i uwierzył jej. Naprawdę jej uwierzył. Donna nie kłamała.

(i nie puszczała się, prawda, durniu?)

Usiłował odpędzić te myśli, ale bez powodzenia. Szczur wydostał się z klatki i teraz przez jakiś czas będzie go podgryzał. Co zrobiłaby z Tadem, gdyby nagle strzeliło jej do głowy spotkać się z Kempem? Może są teraz we trójkę w jakimś motelu, w jakimś motelu między Castle Rock a Baltimore? Nie bądź frajerem, Trenton. Mogą...

Koncert jakiegoś zespołu, to jest to, oczywiście. W każdy wtorkowy wieczór w parku koncertował jakiś zespół. W niektóre wtorki grał tam zespół ze szkoły średniej, w inne zespół muzyki kameralnej, czasami miejscowa grupa ragtimeowa o nazwie Ragged Edge. Tam muszą być, naturalnie - rozkoszują się chłodem i słuchają Ragged Edge.

(chyba że jednak jest z Kempem)

Dopił jedno piwo i otworzył następne.

Donna stała przez trzydzieści sekund na żwirze obok samochodu, poruszając nieznacznie stopami, by pozbyć się szpilek i igiełek przesywających zdrętwiałe nogi. Obserwowała wejście do warsztatu, bo wciąż miała przecucie, że jeśli Cujo nadbiegnie, nadbiegnie gdzieś stamtąd - może wypadnie z otwartej bramy, może zza jednego z rogów albo może zza półciężarówki, która w świetle gwiazd sama przypominała psa - wielkiego, zakurzonego, czarnego kundla pogrążonego w głębokim śnie.

Stała tak, niezupełnie jeszcze gotowa. Czuła na sobie oddech nocy, ulotne wonie, które przypominały jej, jak to jest być małą dziewczynką i wdychać te wonie w całej ich intensywności, nie zdając sobie niemal sprawy z ich istnienia. Koniczyna i siano u stóp wzgórza, słodki zapach kapryfolium. Nagle coś usłyszała: muzykę. Była bardzo cichutka, prawie nierealna, ale uszy Donny, dostrojone teraz niemal idealnie do nocy, wychwyciły ją. Czyjeś radio, pomyślała w pierwszej chwili, jednak zaraz z rodzącym się zdumieniem uświadomiła sobie, że to zespół koncertujący w miejskim parku. Słyszała jazz w wykonaniu dixielandowej grupy. Rozpoznawała nawet melodię: grali "Wszystkich świętych". Siedem mil, pomyślała. Nigdy bym nie uwierzyła... Jak cicha musi być noc. Jak spokojna.

Poczuła przyływ energii.

Serce wydało jej się małą, lecz potężną maszyną pracującą w klatce piersiowej. Krew szybciej popłynęła jej w żyłach. Oczy zdawały się poruszać bez wysiłku w swych wilgotnych panewkach. Nerki ciążyły, ale dało się wytrzymać. To było to: świadomość, że kładzie na szalę własne życie, własne realne życie, niosła ze sobą soczystą, milczącą fascynację,

była jak wielki ciężar, który osiągnął ostatni stopień swego kąta spoczynku. Zatrzasnęła drzwiczki samochodu - trach.

Czekała, wężąc jak zwierzę. Nic nie czuła. Paszcza stodoły-warsztatu Joe Cambera nadal pozostawała mroczna i cicha. Chrom przedniego zderzaka pinta połyskiwał blado. Z dala, ledwie dostłyszalne, napływały szybkie, metaliczne, radosne tony dixielandowej muzyki. Przykucnęła pełna strachu, że chrupnie jej w kolanach, ale nie chrupnęło. Nabrała garść luźnego żwiru. Zaczęła rzucać kamyki jeden po drugim nad maską pinta, celując w miejsce, którego nie widziała.

Pierwszy kamyczek upadł przed nosem Cujo, potoczył się po ziemi obijając o leżące już tam kamienie i znieruchomiał. Bernardyn wzdrygnął się lekko. Język miał wywieszony. Wyglądał tak, jakby się uśmiechał. Drugi kamyk upadł za nim. Trzeci uderzył go w bark. Nawet nie drgnął. KOBIEȚA wciąż próbuje go sprowokować do zdradzenia się, wiedział to.

Donna stała obok samochodu, marszcząc czoło. Słyszała stukot pierwszego kamyka toczącego się po żwirze, drugiego również. Ale trzeci... trzeci jakby w ogóle nie spadł na ziemię. Nic nie stuknęło. Co to może oznaczać?

Nie, nie pobiegnie do drzwi werandy, dopóki nie sprawdzi, czy coś nie czai się przed samochodem. Potem, owszem. Okay. Ale... najpierw musi się upewnić.

Postąpiła jeden krok. Drugi. Trzeci.

Cujo przygotował się. Oczy jarzyły mu się w ciemnościach. Cztery kroki od drzwiczek samochodu. Serce waliło jej w piersiach jak młot.

Cujo widział już biodro i udo KOBIEȚY. Za chwilę ona zobaczy jego. I dobrze. Chciał, żeby go zobaczyła.

Piąty krok od drzwiczek samochodu.

Donna odwróciła głowę. Szyja zatrzeszczała jej jak sprężyna starych siatkowych drzwi. Tknęło ją złe przecucie. Odwróciła głowę i zobaczyła Cujo. Był tam przez cały czas, warując przy ziemi, kryjąc się przed nią, czekając na nią, zasadzony w wysokich krzakach.

Ich oczy spotkały się na chwilę - Donny szeroko rozwarte, szare, Cujo błotnistoczerwone. Przez moment patrzyła jego oczami, widząc siebie, widząc KOBIECĘ - czy on też patrzył jej oczami?

Potem pies zaatakował.

Tym razem strach jej nie sparaliżował. Rzuciła się do tyłu, po omacku szukając za sobą klamki. Cujo charczał wściekle i uśmiechał się, a pomiędzy zębów ściekała mu gęstymi strumieniami ślina. Wylądował tam, gdzie przed chwilą stała, i pojechał po żwirze na sztywnych łapach, dając jej kilka cennych dodatkowych sekund.

Natrafiła kciukiem na przycisk pod klamką i wdusiła go. Pociągnęła. Drzwiczki się zacięły. Nie chciały się otworzyć. Cujo skoczył na nią.

Miała wrażenie, że ktoś cisnął piłką lekarską prosto w miękkie, wrażliwe ciało jej piersi. Poczuła, jak odginają się jej żebra - zabolalo - i w następnej sekundzie pies sięgał już zębami jej gardła, a ona zatapiała palce w gęstym, szorstkim futrze, próbując go od siebie odepchnąć. Słyszała przyspieszający spazm własnego oddechu. Gwiezdna poświata odbijała się matowymi półkolami w szalonych ślepiach Cujo. Jego zęby zatraskiwały się tuż przed jej twarzą i czuła w jego oddechu odór świata umarłych, śmiertelnej choroby, bezsensownej żądzy mordy. Przypomniała jej się ni stąd, ni zowąd zielona maź

rozpryskująca się po suficie w kuchni tuż przed wydawanym przez matkę przyjęciem.

Kiedy Cujo, skacząc jej znowu do gardła, oderwał zadnie łapy od ziemi, zmobilizowała wszystkie siły i udało jej się odrzucić go jakoś od siebie. Macając gorączkowo za sobą, szukała przycisku klamki. Natrafiła na niego, ale zanim zdążyła go nacisnąć, Cujo natarł znowu. Kopnęła na oślep i trafiła go podeszwą tenisówek w nos, i tak już pokieroszowany we wcześniejszych nieprzytomnych atakach na drzwiczki samochodu. Pies przysiadł na zadzie, wyjąc z bólu i wściekłości.

Namacala ponownie przycisk osadzony w klamce, zdając sobie doskonale sprawę, że to jej ostatnia szansa, ostatnia szansa Tada. Wdusiła go i szarpnęła z całych sił klamkę w momencie, kiedy pies, niczym jakaś istota z piekła rodem, która ponawia ataki, dopóki nie uśmierci swojej ofiary albo sama nie zginie, znowu zaatakował. Trzymała klamkę pod niefortunnym kątem; pracujące mięśnie ręki przeszkadzały jeden drugiemu i w pewnej chwili poczuła eksplozję rozdzierającego bólu nad prawą łopatką. Coś sobie nadwerczyła. Ale drzwiczki otworzyły się. Zdążyła tylko runąć na fotel i pies już był przy niej.

Tad się obudził. Ujrzał matkę wtlaczaną plecami w deskę rozdzielczą pinta tuż za kierownicą; na kolanach matki coś siedziało, jakiś straszny włochaty stwór o czerwonych ślepiach, i on wiedział, co to jest, och, tak, to był stwór z jego ściennej szafy, stwór, który obiecał, że będzie podchodził coraz to bliżej i bliżej, aż w końcu znajdzie się przy samym łóżku Tada, no i jest, tak, jest tutaj. Słowa na Potwora nie pomogły; potwór tu jest, teraz, i morduje jego mamusię. Tad zaczął krzyczeć, zasłaniając rączkami oczy.

Kłapiącą paszczę bestii dzieliło od nagiego brzucha Donny zaledwie parę cali. Utrzymała ją na dystans najlepiej jak umiała, ledwie zdając sobie sprawę z krzyków siedzącego za jej fotelem synka. Cujo wlepił w nią wzrok. Niewiarygodne, machał ogonem. Przebierał zadnimi łapami po żwirze, próbując znaleźć punkt oparcia na tyle stabilny, by móc wskoczyć do środka, ale żwir usuwał mu się spod szorujących po ziemi pazurów.

Rzucił się do przodu i Donna uświadomiła sobie nagle z przerażeniem, że ją gryzie, gryzie w obnażony brzuch tuż pod białymi wzgórkami bawełnianego stanika, usiłuje dobrać się do jej wnętrza...

Wydała gardłowy, dziki krzyk bólu i obiema rękami, wkładając w to wszystkie siły, odepchnęła od siebie jego łeb. Siedziała teraz znowu, a po brzuchu ściekały strumyki krwi. Odpychała Cujo lewą ręką, prawą szukając gorączkowo uchwytu drzwiczek pinta. Znalazła go i zaczęła walić psa drzwiczkami. Za każdym razem, kiedy uderzały w zębra Cujo, rozlegał się stłumiony, niski odgłos przypominający okładanie trzepaczką grubego dywanu.

Cujo cofnął się trochę, gotując do następnego skoku. Wykorzystała to i mobilizując wszystkie opuszczające ją już siły, ponownie szarpnęła drzwiczki ku sobie. Tym razem zatrzasnęły się na jego szyi i łbie, i usłyszała chrupnięcie. Cujo zawył z bólu, a ona pomyślała: teraz musi się cofnąć, musi, MUSI - ale pies znów naparł na nią, jego szczęki zwały się na jej podudziu, tuż nad kolanem, i szybkim szarpnięciem wyrwały kawał ciała. Donna wrzasnęła.

Waliła drzwiczkami raz po raz w łeb psa, jej krzyki zlewały się z krzykami Tada, z szarym światem szoku, a Cujo obrabiał jej nogę, zmieniając ją w coś innego, coś czerwonego,

ślizgawego i spienionego. Jego łeb pokrywała warstwa gęstej, lepkiej krwi, czarnej w bladej poświacie gwiazd. Cał po cał u pies odzyskiwał utracony teren; Donna broniła się już ostatkiem sił.

Szarpnęła po raz ostatni drzwiczki, głowa odleciała jej do tyłu, usta rozwarły się w drżący krąg, sina twarz przypominała w ciemnościach ruchomy, rozmazany cień. To był naprawdę ostatni zryw rozpacz.

Ale Cujo niespodziewanie dał za wygraną.

Wycofał się, skamłając i słaniając na łapach, i nagle runął na ziemię wstrząsany drgawkami, niemrawo przebierając łapami w powietrzu. Prawą przednią łapą zaczął sobie pocierać poturbowany łeb.

Donna zatrzasnęła drzwiczki i szlochając cicho, opadła na oparcie fotela.

- Mamusiu - mamusiu - mamusiu...

- Już dob... Tad...

- Mamusiu!

- ...już dobrze...

Jego rączki na jej dłoniach, roztrzęsione i trzepotliwe jak ptaki; jej dłonie na buzi Tada, dotykające, upewniające się, potem opadające.

- Mamusiu... do domu... proszę... do tatusia i do domu... do tatusia i do domu...

- Tak, Tad, pojedziemy... pojedziemy, przysięgam na Boga, że cię tam zawiozę... pojedziemy...

Słowa bez sensu. Czuli, że traci przytomność, odpływa w szary świat szoku, w te mgły w niej samej, których istnienia do tej pory nawet nie podejrzewała. Słowa Tada docierały do niej niczym pobrzękiwanie łańcucha, słowa w komorze pogłosowej. Ale wszystko było dobrze. Było...

Nie. Nie było dobrze. Bo pies ją ugryzł...

...a ten pies był wściekły.

Holly powiedziała siostrze, żeby się nie wygłupiała i wykręciła swój numer kierunkowy, ale Charity upierała się, że zadzwoni poprzez centralę i poprosi telefonistkę, żeby opłata za rozmowę obciążyła jej numer domowy. Nadużywanie czyjejś gościnności, nawet w tak błahej sprawie jak zamiejscowa rozmowa telefoniczna po godzinie osiemnastej, czyli w porze niższej taryfy, nie leżało w jej zwyczajach.

Telefonistka z centrali połączyła ją z biurem numerów na stan Maine i Charity poprosiła o podyktowanie numeru Alvy Thorntona z Castle Rock. Kilka minut później u Alvy dzwonił już telefon.

- Halo, tu Fermy Jajczarskie Thorntona.

- Cześć, to ty, Bessie?

- Tak, ja.

- Mówi Charity Camber. Dzwonię z Connecticut. Jest tam gdzieś Alva?

Brett siedział na kanapie i udawał, że czyta książkę.

- Cześć, Charity. Nie, nie ma go. Dziś wieczorem ma mecz kręglarski. Są teraz wszyscy w Pondicherry Lanes w Bridgton. Coś się stało?

Charity dokładnie przemyślała zawczasu, co ma mówić. Sytuacja była delikatna. Podobnie jak prawie wszystkie kobiety z Castle Rock, Bessie uwielbiała plotki i gdyby dowiedziała się, że skoro tylko Charity wyjechała z Brettem do Connecticut w odwiedziny do siostry, Joe Camber wypuścił się gdzieś bez wiedzy żony... no cóż, byłoby o czym podyskutować w towarzystwie, prawda?

- Nie, tylko że martwimy się trochę z Brettem o psa.

- O waszego bernardyna?

- Tak, o Cujó. Jestem tutaj z Brettem z wizytą u siostry, a Joe pojechał w interesach do Portsmouth. - Było to wierutne kłamstwo, ale kłamstwo bezpieczne. Joe jeździł czasami do Portsmouth na aukcje samochodów. - Chciałam się tylko upewnić, czy poprosił kogoś, żeby karmił psa. Wiesz, jacy są mężczyźni.

- Joe był tu chyba wczoraj albo przedwczoraj - odparła niepewnie Bessie. W rzeczywistości wizyta Cambera miała miejsce w poprzedni czwartek. Bessie Thornton nie błyszczała inteligencją (jej stryjeczna babka, świętej pamięci Ewie Chalmers, z lubością wrzeszczała w ucho każdemu, kto skłonny był jej słuchać, że Bessie nie przeszła nigdy żadnego z tych testów na iloraz inteligencji, ale ma dobre serce), miała poza tym urwanie głowy na kurzej fermie Alvy, i całym jej życiem były seriale, które namiętnie oglądała "As the World Turns". "The Doctors" oraz "All My Children" (próbowała też oglądać "The Young and Restless", lecz jej zdaniem akcja toczyła się tam "o połowę za szybko"). Miała skłonności do gubienia się w faktach świata realnego, które nie wiązały się z karmieniem i pojeniem kurcząt, nastawianiem im muzyki z taśmy, zbieraniem i sortowaniem jaj, szorowaniem podłóg i praniem, zmywaniem naczyń i sprzedawaniem jaj czy uprawianiem ogródka. Ale w zimie potrafiła naturalnie podać pytającemu dokładną datę następnego zlotu Śnieżnych Diabłów z Castle Rock - klubu skuterów śnieżnych, do którego wraz z Alvą należeli.

Joe wpadł wtedy do Alvy z naprawioną oponą do traktora. Wykonywał Thorntonom takie drobne naprawy za darmo, a oni w zamian sprzedawali Camberom jajka za pół ceny. Poza tym Alva każdego kwietnia bronoła Joemu spłachetek

przydomowego ogrodu, więc Joe chętnie załatał mu gratis tę oponę. Tak funkcjonuje wiejska samopomoc sąsiedzka.

Charity dobrze wiedziała, że Joe był u Thorntonów z naprawioną oponą w poprzedni czwartek. Wiedziała również, że Bessie lubiły mieszać się dni. Stawiało ją to przed niezłym dylematem. Mogła spytać Bessie, czy Joe, kiedy wpadł do nich "wczoraj albo przedwczoraj", przyniósł ze sobą oponę do traktora, i gdyby Bessie zapewniła ją, że tak, oznaczałoby to prawdopodobnie, że Joe nie był u Thorntonów od zeszłego czwartku, co z kolei oznaczałoby, że nie poprosił Alvy o karmienie Cujo.

Równie dobrze mogła poprzestać na tym, czego się na razie dowiedziała, i uspokoić jakoś Bretta. Mogliby wtedy spędzić resztę wizyty, nie troskając się bez przerwy o to, co dzieje się w domu. Była o Cujo troszeczkę zazdrosna. Co tu ukrywać, Cujo odciągał uwagę Bretta od wyprawy, która mogła się okazać najważniejsza w jego życiu. Pragnęła, aby chłopiec zobaczył zupełnie inne życie, zupełnie inny pakiet perspektyw, i kiedy za kilka lat przyjdzie mu pora decydować, które drzwi chce przekroczyć, a którym pozwoli się zamknąć, potrafił na podstawie poczynionych teraz obserwacji podjąć odpowiednie decyzje. Być może myliła się, sądząc, że potrafi nim pokierować, ale niech przynajmniej napatrzy się trochę świata, żeby mógł później świadomie dokonać wyboru.

Czy to w porządku, żeby jego troska o tego cholernego psa stanęła temu na drodze?

- Charity? Jesteś tam? Mówiłam, że wydaje mi się...

- Tak, tak, słyszałam, Bessie. Skoro był u was, to pewnie poprosił Alwę, żeby go karmił.

- Spytałem go o to, jak wróci, Charity. I dam ci znać.

- Dobrze. Bardzo ci dziękuję, Bessie.
- Nie ma o czym mówić.
- Świetnie. Do widzenia. - Charity odłożyła słuchawkę, zdając sobie doskonale sprawę, że Bessie zapomniała zapytać o numer telefonu Jima i Holly. I bardzo dobrze. Odwróciła się do Bretta, przybierając odpowiedni wyraz twarzy. Nie powie mu nic, co byłoby nieprawdą.
- Bessie powiedziała, że tata był w niedzielę wieczorem u Alvy - zaczęła. - Pewnie poprosił go wtedy, żeby zaopiekował się Cujo.
- Aha. - Brett patrzył na nią w jakiś spekulatywny sposób, który sprawił, że poczuła się trochę nieswojo. - Ale nie rozmawiałaś z samym Alwą?
- Nie, pojechał grać w kręgle. Ale Bessie obiecała, że da nam znać, czy...
- Przecież nie zna naszego numeru? - Czy ton Bretta nie był teraz przypadkiem oskarżycielski? A może to odzywało się w niej sumienie?
- Ach, rzeczywiście. W takim razie zadzwonię do niej jeszcze raz jutro rano - powiedziała szybko Charity w nadziei, że ta deklaracja położy kres rozmowie i przy okazji uspokoi trochę jej sumienie.
- Tata zawiózł im oponę do traktora w zeszłym tygodniu - mruknął refleksyjnie Brett. - Może pani Thornton pomyliły się dni?
- Myślę, że Bessie Thornton daleko jeszcze do sklerozy - odparowała Charity, wcale tak nie myśląc. - Poza tym nic mi nie wspominała o oponie do traktora.
- Tak, bo jej nie pytałaś.
- No to chodź tu i zadzwoń do niej sam! - wybuchnęła Charity. Ogarnęła ją nagle bezsilna furia, to samo wstrętne

uczucie, którego doznała, kiedy Brett podzielił się z nią swoimi przenikliwymi obserwacjami na temat Holly i jej talii kart kredytowych. Wtedy i teraz wydawało jej się, jakby słyszała męża, tak bardzo intonacja głosu i nawet sam sposób mówienia Brett przypominały Joego - i w obu przypadkach Charity przemknęło przez myśl, że jedynym celem tej podróży jest unaocznienie jej raz na zawsze, do kogo naprawdę należy chłopiec.

- Mamu...

- Nie, chodź tu i dzwoń do niej. Numer masz w notatniku. Powiedz tylko telefonistce z centrali, żeby opłatą obciążyła nasz telefon, bo inaczej dopiszą ją do rachunku Holly. Sam wypytaj o wszystko Bessie. Ja zrobiłam to najlepiej, jak umiałam.

No i proszę, pomyślała ze smutkiem i gorzką ironią. Ledwie pięć minut temu obiecałam sobie, że go nie okłamię.

Jej gniew rozniecił gniew również w nim. Ale powiedział tylko cicho:

- Nie, wszystko w porządku.

- Jeśli chcesz, zadzwonimy do kogoś jeszcze i poprosimy, żeby poszedł do nas i sprawdził - zaproponowała Charity. Żalowała już swego wybuchu.

- A do kogo moglibyśmy zadzwonić? - spytał Brett. - No nie wiem, może do któregoś z braci Millikenów?

Brett patrzył na nią i nie odzywał się.

- Może to niezbyt dobry pomysł - przyznała Charity. Ostatniej zimy Joe Camber i John Milliken pokłócili się o wysokość zapłaty za naprawę starego chevroleta bel air braci Millikenów. Od tamtej pory Camberowie i Millikenowie niewiele się do siebie odzywali. Niedawno Charity wybrała się do klubu Grange zagrać w bingo i spotkała tam Kim

Milliken, córkę Freddy'ego. Próbowwała zamienić z nią parę przyjaznych słów, ale Kim potraktowała ją jak powietrze.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo odizolowani są od świata na tym swoim końcu Drogi Miejskiej Nr 3. Poczuli się samotnie i trochę nieswojo. Nie przychodził jej do głowy nikt, kogo mogłaby bez skrępowania poprosić, żeby poszedł z latarką do ich domu, znalazł Cujo i sprawdził, czy wszystko z nim w porządku.

- Nieważne - mruknął obojętnie Brett. - Głupi jestem, że się tak przejmuję. Pewnie najadł się już łopianu albo czegoś takiego.

- Posłuchaj, Brett - powiedziała Charity, otaczając go ramieniem. - Po pierwsze, nie jesteś głupi. Rano zadzwonię sama do Alvy i poproszę go, żeby zajrzał do nas. Zrobię to zaraz, jak wstaniemy. Okay?

- Naprawdę, mamó?

- Naprawdę.

- To fajnie. Przepraszam, że tak wiercę ci dziurę w brzuchu, ale nie mogę przestać o tym myśleć.

Do pokoju wsadził głowę Jim.

- Rozłożyłem planszę do scrabli. Chce ktoś zagrać?

- Ja - zaofiarował się Brett, wstając z kanapy. - Jeśli pokażesz mi, jak się w to gra.

- A ty, Charity? Charity uśmiechnęła się.

- Na razie chyba nie.

Brett wyszedł z wujkiem. Charity usiadła na kanapie i zapatrzyła się na telefon. Myślała o nocnym spacerze Bretta, o tym, jak w nowocześnie urządzonej kuchni jej siostry karmił widmowego psa widmowym psim pokarmem.

Cujo już nie jest głodny, już nie jest.

Ramiona nagle jej zeszywniały i wzdrygnęła się. Jutro rano trzeba się będzie tym zająć, obiecała sobie. Wóz albo przewóz. Albo dowiem się czegoś przez telefon, albo wracamy i sami to wyjaśnimy. Obiecuję ci to, Brett.

O dziesiątej wieczorem Vic znowu spróbował dodzwonić się do domu. Nikt nie odbierał. Zatelefonował jeszcze raz o jedenastej, ale i wtedy nikt nie podniósł słuchawki, chociaż telefon dzwonił dwadzieścia parę razy. O dziesiątej zaczął się niepokoić. O jedenastej przestraszył się już nie na żarty, chociaż nie był właściwie pewien, czego się boi.

Roger już spał. Vic wykręcił numer po ciemku, po ciemku wysłuchał tych kilkudziesięciu sygnałów, po ciemku odłożył słuchawkę. Czuł się samotny, zagubiony jak dziecko. Nie miał pojęcia, co robić ani co myśleć. Głos wewnętrzny powtarzał w kółko tę samą litanię: odeszła z Kempem, odeszła z Kempem, odeszła z Kempem.

Przeczył jednak temu zdrowy rozsądek i logika. Odtworzył w pamięci wszystko, co sobie z Donną powiedzieli - odtwarzał to sobie raz po raz, wczuwając się w poszczególne słowa i niuanse tonu głosu. Zerwała z Kempem. Powiedziała mu, żeby się wynosił. I to popchnęło Kempa do wysmażenia tego mściwego, nędznego billet doux. Nie wyglądało to na scenariusz, w którym dwoje kochanków decyduje się na wspólną ucieczkę.

Zerwanie nie wyklucza ponownego zejścia się, podpowiedział głos wewnętrzny z jakimś ponurym, bezosobowym chłodem.

No, ale co z Tadem? Chyba nie zabrałaby ze sobą Tada? Z jej opisu wynikało, że Kemp jest czymś w rodzaju dzikusa, i chociaż Donna tego nie powiedziała, Vic odniósł wrażenie, że w dniu, w którym powiedziała mu, żeby się odpieprzył, doszło niemal do rękoczynów.

Zakochani zachowują się nieobliczalnie - wtrącił głos.

Ta obca i zazdrosna częśćka jego duszy - aż do tego popołudnia w Deering Oaks nie uświadamiał sobie nawet jej istnienia - miała odpowiedź na wszystko, i w ciemnościach zdawało się nie mieć znaczenia, że większość tych odpowiedzi jest irracjonalna.

Poruszał się w zwariowanym tańcu między dwoma punktami: w jednym Kemp (A MOŻE TY MASZ JAKIEŚ PYTANIA?), w drugim wizja telefonu dzwoniącego w ich pustym domu w Castle Rock. Mogła mieć wypadek. Może leżą z Tadem w szpitalu. Ktoś mógł się włamać. Może leżą zamordowani w swoich sypialniach. Ale gdyby miała wypadek, skontaktowałby się z nim ktoś z władz - i biuro, i Donna wiedzieli, w którym z bostońskich hoteli zatrzymali się z Rogerem - jednak to wyjaśnienie, chociaż powinno go uspokoić, bo przecież nikt się z nim nie skontaktował, jeszcze bardziej zniosło jego wyobraźnię ku wersji z morderstwem.

Leżał w ciemnościach z otwartymi oczami, a głos wewnętrzny podszeptował natarczywie: włamanie i morderstwo. Potem przeniósł się w tańcu do przeciwległego punktu i podjął swoją pierwotną litanie: odeszła z Kempem...

Między tymi punktami jego umysł dostrzegał bardziej racjonalne wyjaśnienie, wyjaśnienie, które wzbudzało w nim bezsilny gniew. Może postanowili spędzić z kimś tę noc i po prostu zapomnieli zadzwonić, żeby go uprzedzić. Teraz było już za późno, żeby zacząć telefonować po znajomych i pytać, nie zrywając ich z łóżek. Przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do biura szeryfa i poprosić o posłanie kogoś do domu, żeby na miejscu sprawdził, czy wszystko w porządku.

Ale czy nie byłaby to przesada?

Nie, odpowiedział głos wewnętrzny.

Ona i Tad może już nie żyją i leżą z nożami sterczącymi z gardeł. Bez przerwy czytasz w gazetach o takich wypadkach. Zdarzyło się to nawet w Castle Rock tuż przed waszym przybyciem. Ten obłąkany policjant. Ten Frank Dodd.

Odeszła z Kempem, podpowiedział głos wewnętrzny.

O północy spróbował znowu, i tym razem jednostajne dzwonienie telefonu, którego nikt nie odbierał, zmroziło go przerażającą pewnością, że stało się coś złego. Kemp, włamywacze, mordercy, coś. Coś złego. Coś złego w domu.

Rzucił słuchawkę z powrotem na widełki i zapalił nocną lampkę.

- Roger - powiedział. - Obudź się.

- Uchhh. Łuchh. Hrrrrr... - Roger zasłaniał przedramieniem oczy, usiłując odgrodzić się od światła. Miał na sobie piżamę w małe żółte proporczyki college'ów.

- Roger. Roger!

Roger otworzył oczy, zamrugnął powiekami i spojrzał na zegarek.

- No nie, stary, przecież to środek nocy.

- Roger... - Vic przełknął ślinę i coś chrupnęło mu w krtani. - Roger, już północ, a Donny i Tada wciąż nie ma w domu. Boję się, że coś się stało.

Roger usiadł na łóżku, wziął ze stoliczka zegarek i podsunął go sobie pod sam nos. Było cztery po dwunastej.

- E tam, Vic, pewnie bali się spać tam sami. Kiedy wyjeżdżam, Althea też zabiera czasami dziewczynki i idą nocować do Sally Petrie. Mówi, że strach ją oblatuje, kiedy nocą wiatr wieje od jeziora.

- Donna by zadzwoniła. - Przy zapalonym świetle, kiedy Roger rozmawiał z nim, przypuszczenie, że Donna mogła tak zwyczajnie uciec ze Steve'em Kempem, wydawało się Vicowi

absurdalne - nie do wiary, że coś takiego mogło mu w ogóle przyjść do głowy. Powiedziała mu przecież, że to skończone, i on jej uwierzył. Teraz też jej wierzy.

- Zadzwoiłaby? - mruknął Roger. Nadal miał kłopoty z pozbieraniem myśli.

- Wie, że kiedy jestem w podróży, prawie co wieczór dzwonię do domu. Zadzwoiłaby do hotelu i zostawiła mi wiadomość, że idzie nocować do kogoś znajomego. Althea by tak nie postąpiła?

Roger kiwnął głową.

- Owszem. Postąpiłaby.

- Zadzwoiłaby i zostawiła wiadomość, żebyś się nie denerwował, tak jak ja teraz.

- Zgoda, Vic. Ale mogła zwyczajnie zapomnieć. - Mimo to w brązowych oczach Rogera pojawił się niepokój.

- Jasne - odparł Vic. - Jednak mogło się coś stać.

- Nosi przy sobie dokumenty, prawda? Gdyby, Boże uchroni, mieli z Tadem wypadek, policja próbowałaby najpierw zadzwonić się do domu, a potem do biura. Automatyczna sekretarka...

- Nie miałem na myśli wypadku - przerwał mu Vic. - Myślałem o... - Głos zaczął mu drżeć. - Myślałem, że byli tam z Tadderem sami i... cholera, sam nie wiem... po prostu boję się, i już.

- Zadzwoń do biura szeryfa - poradził zdecydowanym tonem Roger.

- Tak, ale...

- Żadne ale. Donny na pewno nie przestraszysz, bo jej nie ma w domu. A zresztą co jest, u diabła? Weź się zastanów. Nie muszą podjeżdżać na sygnale i z migającymi kogutami. Spytaj tylko, czy nie mogliby wysłać tam jakiegoś gliniarza,

żeby sprawdził, czy wszystko wygląda normalnie. Ona może być w tysiącu miejsc. Do licha, może bawi się na jakimś przyjęciu na cele dobroczynne.

- Donna nie cierpi przyjęć na cele dobroczynne.

- To może dziewczynki usiadły gdzieś do małego pokerka i straciły poczucie czasu, a Tad śpi w czyimś gościnnym pokoju.

Vic przypomniał sobie, jak Donna mówiła, że unika skrzętnie wdawania się w jakąkolwiek głębszą zażyłość z "dziewczynkami" - "Nie chcę dołączyć do grona twarzy, które widuje się na wyprzedazach domowych wypieków", powiedziała. Ale wołał nie wspominać o tym Rogerowi.

- Tak, może coś w tym rodzaju - zgodził się.

- Masz tam gdzieś schowany zapasowy klucz do swojej chałupy?

- Wisi na haczyku pod okapem frontowego ganku.

- Powiedz o nim glinom. Niech któryś wejdzie do środka i dobrze się rozejrzy... chyba że masz tam jakąś małą bimbrownię, albo zapasik koki, i wołałbyś, żeby się o to nie potknęli.

- Nic z tych rzeczy.

- No to dzwoń - ponaglił go Roger. - Donna zatelefonuje tu prawdopodobnie, kiedy będą sprawdzali, i poczujesz się jak idiota, ale czasami dobrze poczuć się jak idiota. Wiesz, o co mi chodzi?

- Wiem - mruknął Vic, uśmiechając się niewyraźnie. - Tak, wiem.

Podniósł znowu słuchawkę telefonu, zawahał się i najpierw wykręcił numer domowy. Nikt nie odbierał. Te trochę otuchy, jaką natchnął go Roger, wyparowało. Połączył się z biurem

numerów na stan Maine i zanotował numer Biura Szeryfa Okręgu Castle. Było piętnaście po dwunastej w nocy, środa.

Donna Trenton siedziała z rękoma złożonymi bezwładnie na kierownicy pinta. Tad w końcu znowu zasnął, ale sen miał niespokojny; drgał, rzucał się, czasami pojękiwał. Obawiała się, że we śnie przeżywa na nowo ostatnie wypadki.

Dotknęła jego czoła; mruknął coś i cofnął główkę. Powieki mu zatrzepotały, ale zaraz z powrotem się zamknęły. Miał gorączkę - to pewnie wynik napięcia i strachu. Czowała, że sama ma temperaturę i cierpiała straszny ból. Bolał ją brzuch, ale rany na nim były powierzchowne, niewiele poważniejsze od zadrapań. O wiele dotkliwiej Cujo poharatał jej nogę. Tam rany (ukąszenia, poprawił ją głos wewnętrzny, delektując się jakby tym horrorem) były głębokie i paskudne. Zanim się zasklepiły, straciła dużo krwi, bo chociaż w schowku na rękawiczki pinta spoczywał zestaw pierwszej pomocy, nie opatrzyła ich od razu bandażem. Miała chyba podświadomą nadzieję, że płynąca krew opłucze ranę... Czy tak się w istocie stało? Nie wiedziała. Tylu rzeczy jeszcze nie wiedziała, tylu rzeczy.

Udo i fotel kierowcy lepiły się od krwi. Do opatrzenia rany musiała zużyć trzy tampony z zestawu pierwszej pomocy. Były to ostatnie trzy. Trzeba będzie uzupełnić zapas, pomyślała i wybuchnęła krótkim, histerycznym śmiechem.

W mdłej poświacie gwiazd ciało tuż nad kolanem wyglądało jak ciemna, zaorana ziemia. Czowała tam miarowe pulsowanie, które nie zmieniało rytmu od chwili, kiedy pies ją ugryzł. Przełknęła bez popijania dwie aspiryny z zestawu, ale nie uśmierzyły bólu. Oprócz tego okropnie bolała ją głowa; zupełnie jakby na skroniach zaciskała się coraz mocniej pętla drutu.

Próba zgięcia nogi zaowocowała całą gamą rodzajów bólu od pulsującego ćmienia poczynając, a na ostrym rwaniu kończąc. Nie miała pojęcia, czy będzie teraz mogła stanąć na tę nogę, nie mówiąc już o bieganiu. Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Pies siedział na ziemi między samochodem a drzwiami prowadzącymi na werandę; pokancerowany łeb miał zwieszony, ale ani na moment nie spuszczał oczu z pinta. Z niej.

Nie przypuszczała, żeby gdzieś znowu odszedł, przynajmniej nie tej nocy. Może rano słońce, jeśli będzie tak samo gorące jak wczoraj, zapędzi go do stodoły.

- O mnie mu chodzi - wyszeptwała spękanyimi wargami. To była prawda. Czowała, że to prawda. Zrządzeniem Losu, albo z innych nieodgadnionych przyczyn, pies zawział się właśnie na nią.

Kiedy padł wtedy na ziemię, była pewna, że zdycha. Żadna istota nie wytrzymałaby takiego walenia drzwiczkami. Nawet to gęste futro nie byłoby w stanie zamortyzować uderzeń.

Ale pies podźwignął się z mozołem na nogi. Nie wierzyła własnym oczom - nie chciała im wierzyć.

- Nie! - wrzasnęła, zupełnie tracąc panowanie nad sobą. - Nie, leż, powinienes nie żyć, kładź się i zdychaj, ty zasrany psie!

- Mamusiu, nie krzycz - wymamrotał Tad, chwytając się za główkę. - To boli... to mnie boli...

Od tamtej pory sytuacja nie uległa zmianie. Czas podjął swą ślimaczą wędrówkę. Kilka razy przykładała do ucha zegarek, żeby się upewnić, czy wciąż tyka, bo wskazówki zdawały się tkwić w miejscu.

Dwadzieścia po dwunastej.

Co wiemy o wściekliwości? Kto na ochotnika?

Beznadziejnie mało. Jakieś mgliste urywki pochodzące chyba z niedzielnych dodatków do gazet. Jakaś broszura przekartkowana pobieżnie jeszcze w Nowym Jorku, kiedy miała iść z kotką Dinah do weterynarza na zastrzyk przeciwko nosówce. Nie, na dwa zastrzyki - przeciwko nosówce i wścieklicznie.

Wściekliczna, choroba centralnego układu nerwowego. Powoduje powolną destrukcję tego układu - ale jak? Nic na ten temat nie wiedziała, i lekarze prawdopodobnie też nie. Gdyby było inaczej, nie uważano by tej choroby za tak cholernie groźną. Ale nie wiem przecież na pewno, pomyślała z nadzieją, czy ten pies jest rzeczywiście wściekły. Jedyne wściekły pies, jakiego w życiu widziała, to ten, którego zastrzelił z karabinu Gregory Peck w filmie "Zabić drozda". Z tym, że tamten pies nie był tak naprawdę wściekły. Udawał tylko. Prawdopodobnie wzięli z miejscowego schroniska jakiegoś parszywego kundla i wysmarowali go kremem do golenia...

Pozbierała rozpierzchające się myśli. Lepiej dokonać tego, co Vic nazywa analizą najgorszego przypadku. Poza tym była pewna, że Cujo naprawdę ma wścieklicznę - bo cóż innego mogło go skłonić do takiego zachowania? Ten pies był kompletnie oszalały.

I ugryzł ją. Paskudnie ugryzł. Co to oznacza?

Wiedziała, że ludzie mogą zarazić się wściekliczną i że umiera się wtedy w strasznych męczarniach. Istnieje na nią szczepionka, a kuracja polega na serii zastrzyków. Zastrzyki są bardzo bolesne, chociaż prawdopodobnie nie tak, jak śmierć, którą umiera ten pies. Ale...

Chyba czytała gdzieś, że dotychczas odnotowano tylko dwa przypadki, w których ludzie przeżyli zaawansowaną

wściekliwość. Były to osoby, u których chorobę rozpoznano dopiero wtedy, kiedy pojawiły się charakterystyczne dla jej późnego stadium symptomy. Jednym z ocalałych był chłopiec, i ten wyzdrowiał całkowicie. Drugim jakiś naukowiec prowadzący badania nad zwierzętami, który doznał trwałego uszkodzenia mózgu. Rozpadł mu się po prostu centralny układ nerwowy.

Im dłużej choroba rozwija się nieleczona, tym mniejsze są szanse. Potarła czoło i dłoń ześlizgnęła jej się po warstewce zimnego potu.

Po jakim czasie robi się za późno na ratunek? Po paru godzinach? Paru dniach? Paru tygodniach? Może po miesiącu? Nie miała pojęcia.

Wydało jej się nagle, że samochód się kurczy. Zmalał najpierw do wielkości hondy, potem do rozmiarów tych dziwnych małych trójkołowców, które przydziela się niepełnosprawnym w Anglii, potem obudowanej gondoli motocykla, a na koniec do wielkości trumny. Podwójnej trumny, dla niej i dla Tada. Muszą stąd wyjść, wyjść, wyjść...

Zanim zdołała wziąć się w garść, jej dłoń namacała już klamkę drzwiczek. Serce waliło jak oszalałe, potęgując pulsowanie w głowie. Jeszcze tylko klaustrofobii mi brakuje, pomyślała. Błagam... błagam... błagam.

Znowu chciało jej się pić. Wściekle.

Spojrzała przez okno i zobaczyła wlepione w siebie nieprzejednane ślepie Cujo. Srebrna rysa biegnąca przez szybę zdawała się rozszczepiać jego cielsko na dwoje.

Niech ktoś nam pomoże, pomyślała. Błagam, błagam, pomóżcie nam.

Kiedy z radia popłynęło wezwanie, Roscoe Fisher siedział w wozie patrolowym zaparkowanym w gęstym cieniu na tyłach

posesji Jerry'ego Citgo. Drzemał ostentacyjnie, ale w rzeczywistości zachowywał czujność. O dwunastej trzydzieści w tę środową noc Szosa Nr 117 była jak wymarła. Roscoe miał w głowie mały budzik i był pewien, że obudzi się około pierwszej, kiedy kończył się seans w kinie dla zmotoryzowanych Norway. Wtedy może trafi się jakaś robota.

- Trójka, zgłoś się, trójka. Odbiór.

Roscoe otworzył oczy i poprawił się w fotelu, wychlapując sobie na krocze zimną kawę ze styropianowego kubka.

- O, jasny gwint - mruknął żałośnie. - A to ci dopiero. Jeeezu!

- Trójka, słyszysz mnie? Odbiór?

Chwycił mikrofon i wdusił znajdujący się z boku przycisk.

- Słyszę, baza. - Najchętniej dodałby, że ma nadzieję, że to coś ważnego, bo akurat siedzi z jajami w kałuży zimnej kawy, ale nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie prowadzi na swojej zdezelowanej krótkofalówce nasłuchu policyjnej częstotliwości... nawet o dwunastej trzydzieści w nocy.

- Przejeżdż się na Larch Street osiemdziesiąt trzy - powiedział Billy. - Rezydencja państwa Trentonów. Sprawdź, czy tam wszystko gra. Odbiór.

- Na co mam zwracać uwagę, baza? Odbiór.

- Trenton dzwoni z Bostonu i nikt nie podnosi słuchawki. Jego zdaniem ktoś powinien być w domu. Odbiór.

No tak, wspaniale, pomyślał z goryczą Roscoe Fisher. Przez takie coś mam już do tyłu cztery dolce na pralnię, a jeśli przyjdzie mi teraz zatrzymać jakiegoś pirata drogowego, gość gotów pomyśleć, że tak się podnieciłem perspektywą wlepiania mu mandatu, że zlałem się w spodnie.

- Zaraz tam będę - powiedział do mikrofonu, zapuszczając silnik swojego krążownika. - Odbiór.

- Zapisuję dwunastą trzydzieści cztery w nocy - powiedział Billy. - Na gwoździu pod okapem frontowego ganku wisi klucz. Pan Trenton prosi, żebyś wszedł od razu do środka i rozejrzył się, czy rzeczywiście nikogo tam nie ma. Odbiór.

- Zrozumiałem, baza. Bez odbioru.

Roscoe włączył reflektory i ruszył pustą ulicą główną, mijając park miejski i estradę osłoniętą zielonym stożkowym daszkiem. Przed samym szczytem wzgórza skręcił w prawo, w Larch Street. Dom Trentonów był drugi od skrzyżowania i Roscoe zauważył, że w dzień mają stąd ładny widok na położone w dole miasto. Zatrzymał służbowego fury III przy krawężniku, wysiadł i cicho zamknął za sobą drzwiczki. Ulica była ciemna, pogrążona w głębokim śnie.

Marudził chwilę przy samochodzie, odciągając od krocza wilgotny materiał mundurowych spodni i krzywiąc się przy tym, a potem ruszył podjazdem. Podjazd był pusty, pusty był też mały, jednostanowiskowy garaż na jego końcu, jeśli nie liczyć stojącego tam trójkołowego rowerka. Taki sam miał jego syn.

Zamknął drzwi garażu i podszedł do frontowego ganku. Pod drzwiami leżał egzemplarz "Call" z tego tygodnia. Roscoe podniósł gazetę i sięgnął do gałki u drzwi ganku. Nie były zamknięte na klucz. Wszedł na ganek czując się trochę jak intruz. Rzucił gazetę na bujaną kanapę zawieszoną na hakach wbitych w strop i nacisnął przycisk dzwonka obok drzwi wewnętrznych. W domu rozdzwoniły się kuranty, ale nikt nie otworzył. Zadzwonił jeszcze dwa razy z trzyminutowym odstępem, dając pani domu czas na obudzenie się, zarzucenie na siebie szlafroka i zejście na dół... jeśli pani domu była w domu.

Kiedy nadal nikt nie otwierał, spróbował przekręcić gałkę u drzwi. Były zamknięte.

Mąż w rozjazdach, a ona pewnie zasiedziała się gdzieś z przyjaciółkami, pomyślał - ale fakt, że nie powiadomiła o tym męża, wydał się Roscoe Fisherowi trochę dziwny.

Pomacał pod szpiczastym okapem i natrafił palcami na klucz, który Vic powiesił tam wkrótce po wprowadzeniu się. Zdjął go i otworzył frontowe drzwi - gdyby przyszło mu do głowy sprawdzić drzwi kuchenne, tak jak tego popołudnia uczynił to Steve Kemp, mógłby wejść do środka od razu. Podobnie jak większość mieszkańców Castle Rock, Donna, wychodząc z domu, nie zwracała sobie głowy zamykaniem wszystkiego na trzy spusty.

Roscoe przekroczył próg. Miał ze sobą latarkę, ale wolał jej nie używać. Poczulby się jeszcze bardziej jak naruszający prawo intruz - włamywacz z wielką plamą po kawie w kroczu spodni. Zaczął szukać po omacku kontaktu i w końcu go znalazł. Był podwójny. Okazało się, że górny przycisk włącza oświetlenie ganku, więc szybko wcisnął go jeszcze raz. Dolny zapalał światło w living-roomie.

Rozglądał się po pokoju przez dłuższą chwilę, nie wierząc własnym oczom - z początku podejrzewał, że wzrok płata mu figle, że oczy nie przywykły jeszcze do jasności albo coś w tym rodzaju. Kiedy jednak nic się nie zmieniało, serce zaczęło bić mu szybciej.

Nie wolno tu niczego dotykać, przemknęło mu przez myśl. Nie wolno niczego ruszać. Zapomniał o wilgotnej plamie po kawie na spodniach, zapomniał, że czuł się jak intruz. Był teraz przestraszony i podniecony.

Coś tu się wydarzyło. Co do tego nie było wątpliwości. Living-room wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan.

Całą podłogę zaścielały okruchy potłuczonych ozdobnych figurynek. Meble były poprzewracane, wszędzie walały się wymiecione z półek książki. Stłuczone było również duże lustro nad kominkiem - siedem lat nieszczęścia dla kogoś, przemknęło przez myśl Roscoe i nagle, nie wiedzieć czemu, przypomniał mu się Frank Dodd, z którym jeździli często na zmianę tym samym wozem patrolowym. Frank Dodd, z pozoru sympatyczny małomiasteczkowy glina, a w rzeczywistości psychopata mordujący kobiety i dzieci. Na rękach Roscoe wystąpiła gęsia skórka. Nie było to odpowiednie miejsce do wspomnienia Franka.

Przeszedł przez jadalnię, omijając uważnie zmiecione ze znajdującego się tam stołu przedmioty, i zajrzał do kuchni. Tu było jeszcze gorzej. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Buszował tu jakiś szaleniec. Drzwiczki szafek stały otworem, a z całej kuchni ktoś urządził sobie alejkę do gry Rzucaj-aż-trafisz, uprawianej na wiejskich jarmarkach. Wszędzie leżały garnki i biały pył, który wyglądał jak śnieg, ale był z pewnością proszkiem do prania.

Na tabliczce do notatek widniały nabazgrane pośpiesznie wielkimi literami słowa:

ZOSTAWIŁEM CI NA GÓRZE COŚ NA PAMIĄTKĘ,
MAŁA.

Roscoe Fisherowi odechciało się nagle wchodzić na górę. Najbardziej ze wszystkiego nie chciało mu się wchodzić właśnie tam. Pomagał swego czasu przy uprzątnięciu trzech zmasakrowanych przez Franka Dodda zwłok, włącznie z ciałem Mary Kate Hendrasen, która została zgwałcona i zamordowana na estradzie dla orkiestry w parku miejskim. Nie chciał już więcej oglądać czegoś takiego... a kto wie, czy tam na górze nie leży ta kobieta zastrzelona, zadżgana nożem

albo uduszona? Roscoe widział w swej karierze wiele ofiar wypadków. Prawie dokładnie dwa lata temu wraz z Billem i szeryfem Bannermanem wyciągali z maszyny do sortowania ziemiaków mężczyznę w kawałkach, i to była historia nadająca się do opowiadania wnukom. Ale od tragicznej śmierci dziewczyny Hendrasenów nie widział zamordowanego człowieka i wcale nie tęsknił za takim widokiem. Musiał jednak tam wejść.

Nie wiedział, czy odetchnąć z ulgą, czy wzdrygnąć się z obrzydzenia, kiedy jego wzrok padł na narzutę okrywającą łóżko Trentonów.

Wrócił do wozu i połączył się przez radio z bazą.

Kiedy zadzwonił telefon, Vic z Rogerem, zupełnie już wybici ze snu, siedzieli przed telewizorem i kopcili jak lokomotywy. W kinie nocnym leciał oryginalny "Frankenstein". Było dwadzieścia po pierwszej w nocy.

Vic porwał słuchawkę, zanim zdążył przebrzmieć pierwszy dzwonek.

- Halo? Donna? Czy to...

- Pan Trenton? - Jakiś męski głos. - Tak?

- Szeryf Bannerman przy aparacie, panie Trenton. Obawiam się, że nie mam dla pana pocieszających wiadomości. Bardzo mi...

- Nie żyją? - spytał Vic. Poczul się nagle zupełnie nierealnie. Kącikiem oka dostrzegł ruch cienia zrywającego się z fotela Rogera. Nic go to nie obchodziło. Wszystko inne też nie. W ciągu tych kilku sekund, jakie upłynęły od odebrania telefonu, zdążył zajrzeć za kulisy swego życia i przypatrzeć się całej scenografii i fałszywym dekoracjom.

- Panie Trenton, posłaliśmy funkcjonariusza Fishera...

- Niech pan da spokój z tą urzędową gadką i odpowie na moje pytanie. Czy oni nie żyją? - Odwrócił się do Rogera. Roger miał szarą i wyrażającą niedowierzanie twarz. Na ekranie stojącego za nim telewizora na tle fałszywego nieba obracały się skrzydła fałszywego wiatraka. - Masz papierosa, Rog? - Roger podsunął mu paczkę.

- Panie Trenton, jest pan tam jeszcze?

- Jestem. Czy oni nie żyją?

- Nie mamy w tej chwili pojęcia, gdzie jest pańska żona i syn - odparł Bannerman i Vic poczuł, jak wszystkie wnętrzności wracają mu na swoje miejsce. Świat odzyskał nieco barw. Zaczął dygotać. Między wargami drżał nieprzypalony papieros.

- Co się stało? Co wiecie? Rozmawiam z szeryfem Bannermanem, o ile dobrze zrozumiałem?

- Zgadza się, z szeryfem Okręgu Castle. I jeśli da mi pan dojść na chwilę do słowa, postaram się przedstawić panu sytuację.

- Tak, w porządku. - Teraz się bał. Wszystko to działo się za szybko.

- Tak jak pan sobie życzył, o dwunastej trzydzieści cztery w nocy wysłaliśmy do pańskiego domu przy Larch Street osiemdziesiąt trzy funkcjonariusza Fishera. Przybywszy na miejsce stwierdził, że na podjeździe ani w garażu nie stoi żaden samochód. Zadzwoił kilkakrotnie do drzwi frontowych, a kiedy nikt nie otwierał, wszedł do środka, otwierając sobie drzwi kluczem, który wisiał pod okapem ganku. Wnętrze zastał zdewastowane. Poprzewracane meble, potłuczone butelki alkoholu, proszek do prania rozsypany po podłodze kuchni i spiżarni...

- Jezu, Kemp - wyszeptał Vic. Rozbiegane myśli skupiły się na jednym zdaniu: A MOŻE TY MASZ JAKIEŚ PYTANIA? Przypomniawszy sobie, jak pomyślał, że pytanie to, pomijając wszystko inne, jest niepokojącym świadectwem stanu psychiki tego człowieka. Okrutnym aktem zemsty za odtrącenie. Co zrobił Kemp tym razem? Co zrobił poza tym, że przetoczył się przez ich dom niczym harpia na wojennej ścieżce?

- Panie Trenton?

- Jestem tutaj.

Bannerman odchrząknął, jakby miał pewne trudności z przejściem do następnego punktu swej relacji.

- Funkcjonariusz Fisher wszedł na górę. Piętro nie zostało zdewastowane, ale na narzucie przykrywającej łóżko w głównej sypialni znalazł ślady... no, jakiejś białawej cieczy, najprawdopodobniej męskiego nasienia. - I próbując nieporadnie stłumić w zarodku ewentualne skojarzenia, dorzucił pośpiesznie: - Ale nic nie wskazywało na to, żeby z łóżka ktoś korzystał.

- Gdzie jest moja żona? - krzyknął w słuchawkę Vic. - Gdzie jest mój synek? Wiecie coś na ten temat?

- Uspokój się - odezwał się Roger i położył Vicowi dłoń na ramieniu. Łatwo mu było mówić. Jego żona była w domu i spała przykładowo w łóżku. Bliźniaczki też. Vic stracił jego rękę.

- Panie Trenton, na razie mogę tylko panu powiedzieć, że na miejscu jest zespół detektywów z policji stanowej, a asystują im moi ludzie. Ani główna sypialnia, ani sypialnia pańskiego synka nie zostały zdewastowane.

- Nie licząc spermy na naszym łóżku, chciał pan pewnie dodać - warknął wściekle Vic i Roger wzdrygnął się, zaskoczony tonem głosu przyjaciela.

- Tak, no właśnie - wybąkał zakłopotany Bannerman. - Ale ja chciałem przez to powiedzieć, że nie ma tam żadnych śladów, które wskazywałyby na... no, na stosowanie przemocy wobec kogokolwiek. Wygląda to na zwykły akt wandalizmu.

- Więc gdzie są Donna i Tad? - Wściekłość Vica zaczynała przechodzić w oszołomienie i poczuł w kącikach oczu pieczenie chłapiących łez bezsilności.

- Na razie nie mamy pojęcia. Kemp... Boże, a jeśli Kemp ich porwał?

Na ułamek sekundy stanęła mu przed oczami migawka ze snu, który miał poprzedniej nocy. Donna i Tad ukrywający się w pieczarze przed jakąś straszną bestią. Potem wizja się rozviała.

- Jeśli ma pan jakieś przypuszczenia co do osoby, która mogła to zrobić, panie Trenton...

- Jadę natychmiast na lotnisko i wynajmuję samochód - wpadł mu w słowo Vic. - O piątej rano będę u was.

- Dobrze, panie Trenton - powiedział cierpliwie Bannerman. - Ale jeśli zniknięcie pańskiej żony z synem ma jakiś związek z tym aktem wandalizmu, czas może być bardzo ważnym czynnikiem. Jeśli ma pan choć cień podejrzenia, kto mógł żywić urazę do pana i pańskiej żony...

- Kemp - wykrztusił zduszonym głosem Vic. Nie mógł już powstrzymać łez. Czuł, jak spływają mu po policzkach. - Kemp to zrobił, jestem pewien, że to on. O Boże, a jeśli ich uprowadził?

- Kim jest ten Kemp? - spytał Bannerman. W jego głosie nie było już ani śladu zakłopotania; brzmiał teraz ostro, rozkazująco.

Vic trzymał słuchawkę w prawej dłoni. Lewą zasłonił sobie oczy, odcinając się od Rogera, od hotelowego pokoju, od dźwięków płynących z telewizora, od wszystkiego. Pogrążył się teraz w czerni, sam ze swoim łamiącym się głosem i gorącymi łzami spływającymi po policzkach.

- Steve Kemp - powiedział. - Steven Kemp. Prowadził w miasteczku zakład renowacji mebli pod nazwą Village Stripper. Teraz wyjechał. Przynajmniej żona mi tak mówiła. On i moja żona... Donna... oni... oni mieli... no, mieli romans. Pieprzyli się. Nie trwało to długo. Powiedziała mu, że z nim zrywa. Dowiedziałem się o wszystkim z liściku, jaki mi przysłał. To był... to był bardzo wulgarny list. Odgrywał się w nim. Przypuszczam, że nie spodobało mu się, że dostał kosza. Potarł ze złością oczy, wznecając pod powiekami galaktykę czerwonych, rozbłyskujących gwiazd.

- Może nie mógł znieść, że nasze małżeństwo się nie rozpadło - dodał po chwili. - A może po prostu... po prostu się wkurzył. Donna mówiła, że strasznie się zawsze wkurzał, kiedy przegrał w tenisa. Nigdy nie podał zwycięzcy ręki przez siatkę. Chciałbym wiedzieć... - Głos mu się nagle załamał i musiał odchrząknąć, żeby go odzyskać. Klatkę piersiową opasywała mu jakaś taśma, która to się zaciskała, to znów poluzowywała. - Według mnie wszystko zależy od tego, jak daleko udało mu się odjechać. Mógł ich ze sobą zabrać, Bannerman. Z tego, co o nim wiem, wynika, że jest do czegoś takiego zdolny.

Po tamtej stronie linii panowała cisza; nie, niezupełnie cisza. Słysząc było skrzyp ołówka po papierze. Roger znowu

położył Vicowi dłoń na ramieniu, i tym razem Vic jej nie stracił.

- Panie Trenton, czy ma pan list, który dostał pan od Kempa?

- Nie. Podarłem go. Przykro mi, ale w tych okolicznościach...

- Czy nie był czasem napisany drukowanymi literami? - Tak, był.

- Funkcjonariusz Fisher znalazł na tabliczce do notatek w kuchni wiadomość napisaną wielkimi literami. Brzmiała: "Zostawiłem ci na górze coś na pamiątkę, mała".

Vic odchrząknął cicho. Ostatnia wątpa iskierka nadziei, że mógł to być ktoś inny - jakiś złodziej albo jakieś dzieciaki - zgasła. Wejść na górę i zobacz, co ci zostawiłem. To był Kemp. Wiadomość na tabliczce do notatek w domu pasowałaby jak ulał do wstrętnego liściku Kempa.

- Treść wskazuje chyba na to, że pańskiej żony nie było w domu, kiedy to robił - podjął Bannerman, ale Vic pomimo szoku, w jakim się znajdował, wyczuł w głosie szeryfa fałszywą nutę.

- Mogła wrócić, zanim wyszedł - zauważył posepnie. - Z zakupów, od mechanika, który miał jej wyregulować gaźnik w samochodzie. Skądkolwiek.

- Jakim wozem jeździ Kemp? Wie pan?

- Zdaje się, że nie ma osobowego. Jeździ furgonetką.

- Kolor?

- Nie wiem.

- Panie Trenton, proponuję, żeby wrócił pan tu z Bostonu. Niech pan wynajmie samochód i niech się pan nie denerwuje. Głupio by wyszło, gdyby okazało się, że z pańską rodziną wszystko w porządku, a pan w drodze tutaj rozbił się na Międzystanowej.

- Tak, w porządku. - Ale nie miał ochoty nigdzie jechać, ani wolno, ani szybko. Pragnął się gdzieś zaszyć. A jeszcze bardziej pragnął przeżyć od początku ostatnie sześć dni.

- I jeszcze jedno...

- Co takiego?

- Jadąc tutaj, niech pan spróbuje ułożyć w pamięci listę przyjaciół i znajomych żony mieszkających w okolicy. Istnieje jeszcze możliwość, że spędza tę noc u kogoś z nich.

- Oczywiście.

- Najważniejsze jest to, że nie stwierdziliśmy śladów użycia przemocy.

- Cały parter jest podobno przewrócony do góry nogami - zauważył Vic. - Mnie to wygląda na zastosowanie cholernej przemocy.

- Tak - mruknął niepewnie Bannerman. - No tak.

- Jadę do was - powiedział Vic i odłożył słuchawkę.

- Vic, tak mi przykro - odezwał się Roger.

Vic nie mógł spojrzeć przyjacielowi w oczy. Rogacz, pomyślał. Czy nie tak określają to Anglicy? Roger już wie, że jestem rogaczem.

- Wszystko w porządku - bąknął, sięgając po ubranie. - Miałeś taki zgryz... i wybrałeś się w tę podróż?

- A co by mi to dało, gdybym został w domu? - spytał Vic. - Stało się. Dowiedziałem się... dowiedziałem się o wszystkim dopiero w ten czwartek. Myślałem... że odległość... czas na przemyślenie... nabranie perspektywy... sam nie wiem, jakie głupie myśli mną powodowały. A teraz to.

- To nie twoja wina - powiedział z przekonaniem Roger.

- Rog, w tej chwili nie zastanawiam się, czy to moja wina, czy nie. Martwię się o Donnę i odchodzę od zmysłów, kiedy pomyślę o Tadzcie. Po prostu muszę tam wrócić.

I chciałbym dostać w swoje ręce tego ogiera Kempa. Nie wiem, co bym... - Głos mu się nagle załamał. Przygarbił się. Sprawiał teraz wrażenie zrezygnowanego, starego, skrajnie wyczerpanego. Podeszedł do leżącej na podłodze walizki i zaczął w niej szukać świeżego ubrania. - Nie zadzwoniłbyś do oddziału Avisu przy lotnisku i nie zamówił mi samochodu? Tam na nocnej szafce leży mój portfel. Będą pytali o numer American Express.

- Zadzwonię w imieniu nas obu. Wracam z tobą. - Nie.

- Ale...

- Żadne ale. - Vic włożył granatową koszulę. Dopiero w połowie zapinania zorientował się, że robi to źle: jeden róg zwisał dużo niżej od drugiego. Rozpiął ją i zaczął od nowa. Miał teraz jakieś zajęcie dla rąk i czuł się z tym trochę lepiej, ale wrażenie nierealności utrzymywało się. Nie odstępowały go myśli o dekoracjach filmowych, gdzie coś, co wygląda na włoski marmur, jest w rzeczywistości wykonane z papieru, gdzie wszystkie pomieszczenia kończą się tuż nad górną granicą widzenia kamery i gdzie w tle czai się zawsze ktoś z tabliczką klapsa w rękę. Scena Nr 41, Vic przekonuje Rogera, żeby kontynuował Misję, Ujęcie Pierwsze. Był aktorem grającym w jakimś absurdalnym filmie. Ale zajęcie dla rąk zdecydowanie poprawiało samopoczucie.

- Zaraz, człowieku...

- Roger, to nic nie zmienia w sytuacji, jaka powstała między Ad Wora i Sharp Company. Wybrałem się w tę podróż, chociaż wiedziałem już o Donnie i tym Kempie po części dlatego, że chciałem zachować twarz - chyba każdy facet, dowiadując się, że żona go zdradza, straciłby ochotę na bawienie się w reklamę - ale przede wszystkim zdecydowałem się na to dlatego, bo zdawałem sobie sprawę,

że ludzie, którzy są od nas uzależnieni, muszą dalej mieć co jeść bez względu na to, z kim decyduje się iść do łóżka moja żona.

- Nie przejmuj się tak, Vic. Przestań się tym zadręczać.

- Nie potrafię - odparł Vic. - Po prostu nie potrafię.

- Nie mogę jechać do Nowego Jorku ot tak sobie, jakby nic się nie stało!

- Z tego, co do tej pory wiadomo, nic się jeszcze nie stało. Ten gliniarz powtarzał mi to parę razy. Możesz jechać z czystym sumieniem. Sam sobie poradzę. Może okaże się, że to fałszywy alarm, ale... Trzeba jakoś pchać ten wózek dalej, Roger. Nic innego nam nie pozostaje. Poza tym w Maine nic teraz po tobie. Płatałbyś się tylko pod nogami.

- Jezu, tak mi głupio. Tak mi głupio.

- Przesadzasz. Zadzwoń do ciebie do Biltmore, jak tylko czegoś się dowiem. - Vic zasunął zamek błyskawiczny przy spodniach i włożył mokasy. - No, dzwoń do tego Avisu. Ja już lecę. Złapię na dole taksówkę. Masz, zapisuję ci tu numer mojej karty kredytowej.

Roger stał w milczeniu, patrząc, jak przyjaciel wkłada płaszcz i podchodzi do drzwi.

- Vic! - rzucił za nim w ostatniej chwili.

Vic odwrócił się i Roger objął go niezgrabnie, ale bardzo mocno. Vic odwzajemnił ten uścisk, przyciskając policzek do ramienia Rogera.

- Będę się modlił, żeby wszystko dobrze się skończyło - powiedział chrapliwie Roger.

- Okay - mruknął Vic i wyszedł.

Winda zjeżdżała w dół z cichym poszumem - wcale się nie porusza, przemknęło mu przez myśl. To tylko jakiś efekt

akustyczny. Wsiadając na parterze z kabiny, minął się z parą podtrzymujących jeden drugiego pijaków. Statystyści, pomyślał. Zamienił parę słów z portierem - jeszcze jednym statystą i po mniej więcej pięciu minutach przed błękitną hotelową markizę zajeżdżała taksówka.

Taksówkarzem był milczący Murzyn. Radio miał nastawione na stację FM nadającą soul. Taksówka jechała prawie zupełnie opustoszałymi ulicami w kierunku lotniska Logan, a The Temptations śpiewali bez końca "Power". Cholernie dobre dekoracje, pomyślał. The Temptations ścichli i wesółkowaty dyskdzokej wszedł z prognozą pogody.

- Gorąco było wczoraj, bracia i siostry - oznajmił. - Ale wczoraj to było jeszcze nic. Na najupalniejszy jak do tej pory dzień lata zanoszą się dziś. Wielki przepowiadacz pogody, Altitude Lou McNally, zapowiada temperatury przekraczające 42 stopnie Celsjusza w cieniu w głębi lądu i niewiele niższe nad samym brzegiem. Masy ciepłego powietrza nadpłynęły z południa i zaległy nad Nową Anglią w objęciach wysokiego ciśnienia. Jeśli więc was przysmaży, szukajcie ochłody na plaży - zakończył. - Na waszym miejscu uciekałbym z miasta. To samo radzi wam Michael Jackson w swoim kawałku "Poza mury".

Prognoza mało obeszła Vica, ale gdyby wysłuchała jej Donna, przeraziłaby się jeszcze bardziej.

Tak jak poprzedniego dnia, Charity obudziła się tuż przed świtem. Leżała przez kilka chwil z otwartymi oczami, nasłuchując, nie do końca pewna, co spodziewa się usłyszeć. Potem sobie przypomniała. Skrzypienie desek. Kroki. Nasłuchiwała, czy jej syn nie wybrał się czasem znowu na nocny spacer.

Ale w domu panowała cisza.

Wstała z łóżka, podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz. Był pusty. Po chwili wahania zakradła się do pokoju Brett'a i stanęła nad łóżkiem. Spod koca wystawał tylko kosmyk włosów chłopca. Jeśli nawet chodził we śnie, to wrócił do łóżka, zanim się obudziła. Teraz spał twardo.

Charity wróciła do siebie, usiadła na krawędzi łóżka i zapatrzyła się w bladoniebieską linię widnokręgu. Podjęła już decyzję. Podjęła ją w jakiś tajemniczy sposób we śnie. Teraz, w zimnej poświacie wstającego dnia, mogła przeanalizować to, co zdecydowała, i czuła, że jest w stanie przewidzieć wszystkie konsekwencje.

Nie zwierzyła się siostrze z tego, co ją dręczy, tak jak to sobie planowała. Mogłaby to jeszcze zrobić, gdyby nie te karty kredytowe podczas wczorajszego lunchu. Wieczorem zaś Holly zaczęła opowiadać, ile kosztuje to, ile tamto, a ile jeszcze co innego - czterodrzwiowy buick, kolorowy telewizor Sony, parkiet w korytarzu. Tak jakby w jej mniemaniu do każdej z tych rzeczy przyczepiona była wciąż niewidzialna karteczka z ceną i wszystkie te karteczki na zawsze już miały tam zostać.

Charity nadal lubiła siostrę. Holly była gościnna, serdeczna, impulsywna, czuła, ciepła. Ale standard jej życia sprawił, że odcięła się od niektórych niewygodnych prawd ich dorostania w biedzie w rolniczym Maine, prawd, które zmusiły Charity do poślubienia Joego Cambera, podczas gdy zrzędzenie losu - niewiele się właściwie różniące od tego, któremu Charity zawdzięczała wygraną na loterii - pozwoliło Holly spotkać Jima i uciec raz na zawsze od życia na głębokiej prowincji.

Charity obawiała się, że gdyby powiedziała Holly, że od lat próbowała uzyskać pozwolenie męża na przyjazd tutaj, że ta podróż doszła do skutku tylko dzięki zastosowaniu przez nią

podstępu i że mimo to Joe omal nie sprął jej skórzanym pasem... obawiała się, że gdyby opowiedziała o tym Holly, siostra, zamiast zareagować racjonalnie i rzeczowo, wpadłaby w gniew podszyty popłochem. Dlaczego gniew podszyty popłochem? Może dlatego, że gdzieś głęboko w tej części duszy, na której nie zdołają nigdy odcisnąć swego trwałego piętna czterodrzwiowe buicki, kolorowe telewizory Sony i parkiety, Holly wiedziała, że być może o włos uniknęła podobnego małżeństwa, podobnego życia.

Nie powiedziała tego, bo Holly okopała się jak żołnierz na froncie w swoim statusie przedstawicielki wyższej klasy średniej. Nie powiedziała, bo podszyty popłochem gniew nie rozwiązałby jej problemów. Nie powiedziała, bo kto lubi wychodzić na dziwadło, które żyje z gburowatym, niekomunikatywnym, czasami wzbudzającym strach mężczyzną. Charity odkryła, że są sprawy, o których nie chce się rozmawiać.

Przede wszystkim zaś nie powiedziała, bo to były jej problemy. Jej problemem było też to, co działo się z Brettem. Przez ostatnie dwa lata dochodziła jednak powoli do wniosku, że to, jak chłopiec pokieruje swoim życiem, będzie zależało nie tyle od niej i od Joego, ile od decyzji jego samego.

Nie będzie żadnego rozwodu. Będzie dalej prowadziła z Joem swoją nieustającą wojnę podjazdową o duszę syna... o wszystko. Zaślepiąca niepokojem, że Brett stara się naśladować ojca, przeoczyła fakt, że chłopiec wchodzi w wiek, w którym dzieci zaczynają oceniać własnych rodziców - zarówno matkę, jak i ojca. Brett dostrzegł ostentację Holly w pokazywaniu kart kredytowych. Charity mogła mieć tylko nadzieję, że zauważy również, że ojciec jada w kapeluszu na głowie... i nie tylko to.

Robiło się coraz jaśniej. Zdjęła szlafrok z wieszaka na drzwiach i włożyła go. Chętnie wzięłaby prysznic, ale nie zrobi tego, dopóki nie wstanie reszta domowników. Obcy. Takimi tu byli. Nawet twarz siostry wydawała jej się teraz obca; ledwie przypominała tę ze zdjęć w rodzinnych albumach, które ze sobą przywiozła... sama Holly oglądała te fotografie z lekkim zdziwieniem.

Wróć do Castle Rock, z powrotem do domu na końcu Drogi Miejskiej Nr 3, z powrotem do Joego. Ujmie znowu w dłoń nici swego życia i wszystko potoczy się dalej. Tak będzie najlepiej.

Przypomniało jej się, że ma zadzwonić do Alvy. Musi to zrobić przed siódmą, kiedy Alva będzie jadł śniadanie.

Była szósta rano i rozjaśniało się już, kiedy Tad dostał drgawek. Ocknął się z głębokiego snu piętnaście po piątej i wyrwał Donnę z drzemki, skarżąc się, że jest głodny i spragniony. Zupełnie jak za naciśnięciem ukrytego gdzieś w niej przycisku, uświadomiła sobie natychmiast, że i ona umiera z głodu. Z dręczącego ją pragnienia zdawała sobie sprawę - pić chciało jej się od dawna - ale nie przypominała sobie, żeby od wczorajszego ranka pomyślała choć raz o jedzeniu. Teraz w jednej chwili ogarnął ją wilczy apetyt.

Uspokajała Tada pustymi frazesami, które dla niej samej nie miały już żadnego realnego znaczenia - że wkrótce ktoś nadjedzie, że zabiorą złego psa, że ich uratują.

Realna była natomiast myśl o jedzeniu.

Śniadanie na przykład: jajecznica z dwóch jajek na maselku, lekko ścięta, jeśli można, panie kelnerze. Grzanki. Wielkie szklanice świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego tak schłodzonego, że po oszronionych ściankach spływają kropelki rosy. Kanadyjski bekon. Krajowe frytki. Otręby z

kremem posypane z wierzchu czarnymi borówkami - bobkami, jak nazywał je zawsze ojciec, jeszcze jedno z jego śmiesznych określeń, tak wyprowadzających matkę z równowagi.

Zaburczało jej głośno w żołądku i Tad roześmiał się. Ten śmiech mile ją zaskoczył. Przypominało to znalezienie róży rosnącej na śmietniku, i ona też się uśmiechnęła. Od tego uśmiechu zaboląły ją wargi.

- Usłyszałeś, co?

- Ty chyba też musisz być głodna.

- Ufff, zjadłabym teraz konia z kopytami.

Tad jęknął i oboje znowu się roześmieli. Siedzący na podwórku Cujo, słysząc ich śmiech, zastrzygł uszami i warknął. Przez chwilę wydawało się, że zamierza wstać, być może po to, by znowu przypuścić szarżę na samochód; w końcu chyba jednak zrezygnował, bo łeb opadł mu z powrotem.

Donna czuła irracjonalny przypływ optymizmu, który przychodzi często wraz z brzaskiem. To się z pewnością wkrótce skończy, z pewnością najgorsze mają już za sobą. Mieli pecha, ale wcześniej czy później mijają nawet najgorszy pech.

Tad wyglądał prawie normalnie. Był blady, bardzo wyczerpany i zmęczony mimo snu, lecz niewątpliwie wciąż był jej Tadderem. Przytuliła go, a on przywarł do niej mocno. Brzuch bolał już jakby mniej, chociaż zadrapania i ślady zębów napuchły i zaogniły się. Gorzej prezentowała się noga, stwierdziła jednak, że może ją zginać, choć bolało i znowu popłynęła krew. Zostanie jej blizna.

Przez następne czterdzieści minut gawędzili sobie. Donna, żeby zająć czymś synka, a przy okazji zabić jakoś czas,

zapropowała grę w dwadzieścia pytań. Tad przystał na to ochoczo. Tej gry nigdy nie miał dosyć; jedynym problemem było zawsze namówienie do niej któregoś z rodziców. Byli właśnie w trakcie czwartej kolejki, kiedy dostał konwulsji.

Donna domyśliła się już jakieś pięć pytań wcześniej, że chodzi o Freda Reddinga, jednego z kolegów Tada z ogródka zabaw, nie dawała jednak tego po sobie poznać.

- Czy ma rude włosy? - spytała.

- Nie, on ma... on ma... on ma...

Nagle zaczął się dusić. Chwytał powietrze spazmatycznymi haustami, z rozdzierającym chrapaniem. Strach podszedł Donnie do krtani gwałtowną falą o gorzkim posmaku miedzi.

- Tad? Tad!

Chłopczyk dławił się. Palce, którymi szorował sobie po gardle, pozostawiały czerwone pręgi. Oczy przewróciły mu się w głąb czaszki, tak że widać było tylko dolne krawędzie źrenic i srebrzyste białka.

- Tad!

Porwała go za ramiona i potrząsnęła. Jabłko Adama wędrowało mu szybko to w górę, to w dół, niczym mechaniczny tłok. Zamłócił powietrze rączkami, a potem poderwał je znowu do gardła i zaczął je szarpać. Wydawał przy tym zdławione, zwierzęce okrzyki.

Donna zapomniała na chwilę, gdzie się znajduje. Chwyła za klamkę, pociągnęła ją do siebie i pchnięciem ramienia otworzyła drzwiczki pinta, tak jakby działa się to na parkingu pod supermarketem i pomoc była blisko.

W jednej chwili Cujo był już na nogach. Skoczył w kierunku samochodu, zanim drzwiczki zdążyły otworzyć się do połowy, i może to ocaliło Donnę przed rozszarpaniem. Pies uderzył w otwierające się drzwiczki, odbił się od nich, upadł,

ale zaraz zerwał się znowu z bulgotliwym warkotem. Na żwir
połały się rzadkie ekskrementy.

Z krzykiem zatrzasnęła drzwiczki z powrotem. Cujo rzucił się
na bok samochodu, pogłębiając jeszcze istniejące już tam
wgniecenie. Zataczając się, cofnął się kawałek i skoczył do
okna. Srebrna rysa biegnąca przez szybę wypuściła nagle
kilka pędów. Wyrznął w nią jeszcze raz i hartowane szkło
pokryło się gęstą siateczką pęknięć, po czym wgięło do
środką, nie rozpadając się jeszcze, ale już ustępując. Świat
zewnątrzny przesłoniła mleczna mgiełka. Jeśli jeszcze raz
skoczy...

Ale Cujo wycofał się i czekał na następny ruch Donny.
Odwróciła się do synka.

Całe ciało Tada podrygiwało. Przypominało to atak epilepsji.
Plecę miał wygięte w łuk, pośladki odrywały się od siedzenia,
opadały na nie, znów się podrywały, znów opadały. Jego
buzia przybrała sinawą barwę, żyły na skroniach nabrzmiały.
Język cofnął mu się do krtani i blokował teraz tchawicę. Dusił
się na jej oczach.

Chwyciła go lewą ręką za podbródek i zdecydowanym
szarpnięciem otworzyła buzię. Zdjęta paniką działała
brutalnie. Słyszała chrzęst ścięgien jego szczęki. Drżącymi
palcami namacała koniuszek języka tkwiący
nieprawdopodobnie głęboko w ustach, prawie tam, gdzie
znajdowałyby się zęby mądrości, gdyby mu już wyrosły.
Usiłowała go uchwycić i nie mogła - był wilgotny i śliski jak
mały piskorz. Niepomna oszalałego walenia własnego serca,
spróbowała ścisnąć go między kciukiem a palcem
wskazującym. Chyba go tracę, przemknęło jej przez myśl. O
Boże, chyba tracę synka.

Nagle Tad zatrzasnął zęby gryząc ją do krwi w palce, które trzymała w jego buzi, i rozkrwawiając sobie spękane wargi. Krew pociekła mu po brodzie. Donna nie czuła bólu. Nóżki Tada zaczęły wybijać szalony rytm na gumowym dywaniku leżącym na podłodze pinta. Wciąż nie mogła uchwycić czubka jego języka. Już-już go miała... i znowu wyślizgiwał jej się z palców.

(ten pies ten przeklęty pies to przez tego przeklętego psa przeklętego psa z piekła rodem PRZYSIĘGAM NA BOGA ŻE CIĘ ZATŁUKĘ)

Zęby Tada znowu zatrzasnęły się na jej palcach, lecz w tym momencie udało jej się ponownie uchwycić na chwilę koniuszek jego języka. Tym razem nie zawahała się: wbiła paznokcie w gąbczasty wierzch i spód i pociągnęła do siebie, tak jak ciągnie się sznurek od żaluzji, żeby je opuścić. Jednocześnie podłożyła synkowi pod brodę prawą dłoń i odchyliła mu główkę do tyłu, tworząc w ten sposób optymalne warunki dopływu powietrza. Tad zaczął znowu dyszeć - chrapliwie i urywanie, jak cierpiący na astmę starzec. Potem powróciło rżężenie.

Wymierzyła mu policzek. Zrobiła to, bo tylko to przyszło jej w tej chwili do głowy.

Tad chrapnął po raz ostatni i jego oddech przeszedł w szybkie posapywanie. Donna również dyszała ciężko. Kręciło jej się w głowie. W trakcie ratowania Tada zgięła bezwiednie ranną nogę i czuła teraz świeżą wilgoć nowego krwotoku.

- Tad! - przełknęła głośno ślinę. - Tad, słyszysz mnie? Jego główka drgnęła potakująco. Ledwie zauważalnie.

Oczy pozostawały zamknięte.

- Nic sobie z tego nie rób. Rozluźnij się.

- ...chcę do domu... mamusiu... potwór...

- Ciii, Tadder. Nic nie mów i zapomnij o potworach. Masz. - Podniosła leżące na podłodze Słowa na Potwora i włożyła mu w rączkę. Tad zacisnął na niej paluszki. - Teraz skoncentruj się na tym, żeby oddychać powoli i regularnie. To sposób na dostanie się do domu. Powolne i regularne oddechy.

Przeniosła wzrok z Tada na trawę za szybą od jego strony i popatrzyła na obłupany kij baseballowy owinięty taśmą izolacyjną, leżący w wysokim zielsku po prawej stronie podjazdu.

- Uspokój się teraz, Tad. Spróbujesz?

Chłopczyk, nie otwierając nadal oczu, kiwnął nieznacznie główką.

- Już niedługo, słoneczko. Obiecuję ci. Obiecuję. Dzień na zewnątrz stawał się coraz jaśniejszy. Było już gorąco. Temperatura we wnętrzu małego samochodu zaczynała się podnosić.

Vic podjechał pod dom dwadzieścia po piątej. Kiedy jego żona wyciągała zapadnięty język z krtani ich synka, on chodził po living-roomie jak we śnie, próbując doprowadzić go do ładu. Szeryf Bannerman i detektyw z biura prokuratora okręgowego siedzieli na długiej segmentowej kanapie, popijając rozpuszczalną kawę.

- Powiedziałem już wam wszystko, co wiem - powtórzył Vic.

- Skoro nie ma jej u ludzi, z którymi się do tej pory skontaktowaliście, to nie ma jej u nikogo. - Trzymał szczotkę do zamiatania i szufelkę; wcześniej przyniósł sobie z szafki w kuchni paczkę plastikowych toreb na śmieci i teraz z brzękiem przesypał do jednej z nich pełną szufelkę szklanych odłamków. - Może być tylko z Kempem.

Zaległo niezręczne milczenie. Vic nie pamiętał, żeby był kiedyś tak zmęczony, ale nie sądził, by udało mu się zasnąć.

Miał kłopoty z zebraniem myśli. Dziesięć minut po jego przybyciu zadzwonił telefon. Rzucił się, by go odebrać, nie zważając na grzeczną uwagę człowieka z prokuratury okręgowej, że to pewnie do niego. Jednak telefon nie był do niego; to dzwonił Roger niepokojący się, czy Vic dojechał szczęśliwie i ciekaw, czy wiadomo już coś nowego.

Było wiadomo, ale nic konkretnego nie dało się jeszcze powiedzieć. W całym domu roiło się od odcisków palców; ekipa techniczna zdjęła kilka próbek z mieszkania przylegającego do małego warsztatu renowacji mebli, w którym do niedawna pracował Steve Kemp. Dopiero po przeprowadzeniu badań porównawczych będzie wiadomo, czy to on zdemolował parter domu. Vic uważał to za niepotrzebną stratę czasu; był pewien, że to Kemp.

Detektywowi z policji stanowej udało się ustalić dane furgonetki Kempa. Był to ford ecoline z 1971 roku o numerze 641-644, zarejestrowany w Maine. Kolor jasnoszary. Od człowieka, który wynajął Kempowi warsztat i mieszkanie - wyciągnęli go z łóżka o czwartej nad ranem - dowiedzieli się, że furgonetka ma wymalowane na burtach pustynne krajobrazy: jakieś samotne wzgórza, piaskowe wydmy. Na tylnym zderzaku widniały dwie nalepki, z których jedna głosiła: ROZBIJAJ BANKI, NIE ATOMY - a druga: RONALD REAGAN ZASTRZELIŁ J.R. Bardzo wesoły facet z tego Kempa. Dzięki malowidłom i nalepkom na zderzaku łatwiej będzie zidentyfikować furgonetkę, jeśli jej gdzieś nie ukrył, prawdopodobnie do jutra wieczór zostanie zatrzymany. Poszukiwaniami objęto całą Nową Anglię i stan Nowy Jork. Ponadto powiadomiono FBI z Portland i Bostonu o przypuszczalnym uprowadzeniu i agenci sprawdzali teraz konto Steve'a Kempa w swoich waszyngtońskich archiwach.

Znajdą na nim trzy małe rozróby z okresu protestów przeciwko wojnie w Wietnamie przypadających na lata 1968-1970.

- Zastanawia mnie w tym wszystkim jedno - oznajmił człowiek z prokuratury okręgowej. Trzymał na kolanach notes, ale Vic powiedział mu już wszystko, co wiedział. Facet mazał w nim bezmyślnie. - Jeśli mam być szczery, to cholernie mnie to zastanawia.

- Co takiego? - spytał Vic. Podniósł z podłogi fotografię rodzinną, popatrzył na nią, a potem przechylił szufelkę, zsypując z kolejnym cichym brzękiem odłamki potłuczonej szybki do worka na śmieci.

- Samochód. Gdzie jest samochód pańskiej żony?

Nazywał się Masen - Masen przez "e", jak poinformował Vica przy powitaniu. Podszedł teraz do okna, klepiąc się w zamyśleniu notesem po udzie. Na podjeździe, obok krążownika Bannermana, stał sfatygowany sportowy samochód. Vic wynajął go na lotnisku w Portland, zwracając jednocześnie samochód Avisu, którym przyjechał z Bostonu.

- A co to ma do rzeczy? - spytał Vic. Masen wzruszył ramionami.

- Może nic. Może coś. Może wszystko. Prawdopodobnie nic, ale nie podoba mi się to. Kemp tu przychodzi, dobrze mówię? Uprawdza pańską żonę i synka. Po co? Jest wściekły. To dostateczny powód. Nie potrafi pogodzić się z przegraną. W jego mniemaniu jest to może nawet pyszny żart.

Masen powtarzał niemal słowo w słowo to, co przed chwilą powiedział Vic.

- Co więc robi? Ładuje ich do swojej furgonetki z pustynnymi krajobrazami na burtach. I albo gdzieś z nimi odjeżdża, albo gdzieś się ukrywa. Dobrze mówię?

- Tak, tego się właśnie obawiam...

Masen odwrócił się od okna i spojrzał na Vica.

- No to gdzie jest samochód żony?

- No cóż... - Vic wyteńczył umysł. Nic nie przychodziło mu do głowy. Był bardzo zmęczony. - Może...

- Mógł mieć współnika, który nim odjechał - powiedział Masen. - To by pewnie oznaczało porwanie dla okupu. Jeśli uprowadził ich sam, zrobił to prawdopodobnie pod wpływem chwili. Jeśli było to porwanie dla pieniędzy, to po co w ogóle zabierał samochód? Żeby się potem do niego przesiąść? Bzdura. Ten pinto jest tak samo znaczny, jak jego furgonetka, no może trochę trudniejszy do wypatrzenia w tłumie. I powtarzam, jeśli nie miał współnika, jeśli działał sam, to kto odjechał samochodem pańskiej żony?

- Może po niego wrócił - wtrącił się detektyw z policji stanowej. - Zamelinował gdzieś chłopaczka i kobitkę i wrócił po wóz.

- Bez współnika miałby z tym problemy - pokręcił głową Masen - niewykluczone jednak, że tak postąpił. Zostawił ich gdzieś niedaleko stąd i wrócił piechotą po pinta państwa Trentonów albo zawiózł ich gdzieś dalej i wrócił tu autostopem. Ale dlaczego?

- Pani Trenton mogła sama prowadzić wóz - odezwał się po raz pierwszy Bannerman.

Masen odwrócił się na pięcie i spojrzał na niego, unosząc brwi.

- Jeśli miał ze sobą chłopca... - Bannerman zerknął na Vica i odchrząknął. - Przepraszam, panie Trenton, ale jeśli Kemp miał ze sobą chłopca - przypiął go pasem do fotela, trzymał na muszce pistoletu - i powiedział pańskiej żonie, żeby za nim jechała i że chłopcu coś się może przytrafić, gdy będzie

próbowała sztuczek, na przykład trąbienia albo migania światłami...

Vic kiwnął tylko głową. Wyobraził sobie tę sytuację i zrobiło mu się słabo.

Uwaga Bannermana zirytowała jakby Masena, być może dlatego, że sam nie pomyślał o takiej możliwości.

- Powtarzam, dlaczego? - warknął.

Bannerman pokręcił głową. Vic również nie rozumiał, do czego miałyby być potrzebny Kempowi samochód Donny.

Masen zapalił pall malla, zakaszał i rozejrzał się za popielniczką.

- Przykro mi - powiedział Vic. Czuł się znowu jak aktor recytujący napisane dla niego kwestie. - Były tu dwie popielniczki, ale się potłukły. Przyniosę panu z kuchni.

Masen wszedł z nim do kuchni i wziął popielniczkę.

- Może wyjdziemy na schodki? - zaproponował. - Zapowiada się diablo upalny dzień. Lubię ładną pogodę w lipcu, ale bez przesady.

- Okay - przystał apatycznie Vic.

Kiedy wyszli na zewnątrz, spojrzął na barometr przykręcony do ściany domu. Gwiazdkowy prezent od Donny... Było już 22 stopnie Celsjusza. Strzałka instrumentu tkwiła niewzruszenie w ćwiartce POGODNIE.

- Przeanalizujmy jeszcze raz sytuację - podjął Masen. - Przyznam, że mnie fascynuje. Mamy więc kobietę z dzieckiem, kobietę, której mąż wyjechał w interesach. Samochód jest jej niezbędny. Nawet do centrum miasteczka jest stąd pół mili, a z powrotem cały czas pod górkę. Jeśli założymy, że Kemp uprowadził ją stąd, samochód stałby nadal przed domem. Wyobraźmy więc sobie inną sytuację. Kemp przychodzi tutaj i demoluje dom, ale to nie

rozładowuje jego furii. Zauważa ich gdzieś w miasteczku i porywa. W takim przypadku samochód stałby nadal tam, skąd ich zabrał. Być może w centrum miasteczka. Albo na parkingu przed sklepem.

- Czy w środku nocy ktoś nie zatknąłby za wycieraczkę mandatu? - spytał Vic.

- Prawdopodobnie tak - przyznał Masen. - Nie sądzi pan, że żona sama mogła go gdzieś zostawić, panie Trenton?

I nagle Vic doznał olśnienia. Zawór iglicowy.

- Wygląda na to, że coś się panu skojarzyło - zauważył Masen.

- To nie skojarzenie, to pewność. Samochodu nie ma tutaj, bo stoi u dealera Forda w South Paris. Miała kłopoty z gaźnikiem. Zacinał się zawór iglicowy. W poniedziałek po południu rozmawialiśmy o tym przez telefon. Była naprawdę zdenerwowana. Miałem ją umówić z tutejszym mechanikiem, który ma warsztat pod miastem, ale wyleciało mi z głowy, bo...

Na wspomnienie przyczyny, dla której wyleciało mu to z głowy, zawiesił głos.

- Zapomniał pan umówić ją z miejscowym mechanikiem, a więc odprowadziła wóz do South Paris?

- Tak, chyba tak. - Nie mógł sobie teraz dokładnie przypomnieć przebiegu tamtej rozmowy. Pamiętał tylko, że Donna bała się, że samochód zbuntuje się na dobre w drodze do warsztatu.

Masen zerknął na zegarek i podniósł się ze schodka. Vic też zaczął wstawać.

- Nie, niech pan siedzi. Zadzwoń i zaraz do pana wracam.

Vic usiadł z powrotem. Siatkowe drzwi zamknęły się z hukiem za Masenem. Ten odgłos przypomniał mu Tada.

Skrzywił się i musiał zacisnąć zęby, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. Gdzie teraz są? A więc kwestia zniknięcia pinta tylko przez moment wyglądała obiecująco.

Słońce wyłoniło się już całe znad horyzontu i oblewało bladą różowym blaskiem domy i ulice w dole oraz położone kawałek dalej Castle Hill. Musnęło promieniami huśtawkę, na której tyle razy bujał Tada... najbardziej w świecie pragnął teraz znowu pobujać na niej synka i widzieć stojącą obok żonę. Gdyby Tad tego sobie życzył, popychałby huśtawkę, dopóki nie odpadłyby mu ręce.

"Chcę wywinąć beczkę, tatusiu! Chcę beczkę!".

Dziecięcy głosik rozbrzmiewający w głowie zmroził mu serce. Był jak głos ducha.

W chwilę później siatkowe drzwi znowu się otworzyły. Masen usiadł obok Vica i zapalił nowego papierosa.

- Twin City Ford w South Paris - powiedział. - O tego dealera chodziło, tak?

- Tak. Tam kupowaliśmy pinta.

- Zatelefonowałem do nich w ciemno. Miałem szczęście; kierownik serwisu był już w pracy. Nie ma tam waszego pinta i nie było. A co z tym miejscowym mechanikiem?

- Nazywa się Joe Camber - odparł Vic. - Musiała więc, mimo wszystko, pojechać do niego. Z początku nie chciała, bo to spory kawałek, a nie mogła się dodzwonić. Powiedziałem jej, że on prawdopodobnie tam jest, ale pracuje w warsztacie i nie słyszy telefonu. Zaadaptował sobie na warsztat stodołę i chyba nie ma w niej telefonu. Przynajmniej nie miał, kiedy ostatnio tam byłem.

- Sprawdźmy - powiedział Masen - ale tam też nie ma jej samochodu, panie Trenton. Może mi pan wierzyć.

- Skąd pan wie?

- To by nie miało sensu - odparł Masen. - Byłem też na dziewięćdziesiąt pięć procent pewien, że nie ma go w South Paris. Niech pan posłucha, wszystko, co do tej pory powiedzieliśmy, nie traci ważności. Młoda kobieta z dzieckiem potrzebuje samochodu. Przypuśćmy, że pojechała do Twin City Ford, a tam powiedzieli jej, że naprawa zajmie dwa dni. Jak by wróciła?

- No... wypożyczyłaby wóz zastępczy... albo gdyby takiego nie mieli, wzięłaby jakiś samochód w leasing. Z tych tańszych.

- Zgoda! Wszystko pięknie, ale gdzie on teraz jest?

Vic spojrział na podjazd, jakby spodziewał się, że samochód zaraz się tam zmaterializuje.

- Hipoteza, że Kemp odjechał wypożyczonym samochodem pańskiej żony, jest równie trudna do zaakceptowania jak hipoteza, że zabrał jej pinta - powiedział Masen. - A z tego by wynikało, że nie pojechała do dealera Forda. Załóżmy teraz, że zdecydowała się odstawić wóz do warsztatu Cambera. Jeśli Camber na czas naprawy daje jej do jeżdżenia jakiegoś starego gruchota, to wracamy znowu do punktu wyjścia: gdzie ten gruchot? Załóżmy więc, że żona jedzie do Cambera i on mówi, że będzie musiała zostawić u niego wóz na jakiś czas... żona dzwoni zatem do kogoś znajomego i ten znajomy po nią przyjeżdża. Zgadza się pan ze mną?

- Tak, naturalnie.

- Więc do kogo by zadzwoniła? Dał nam pan listę waszych znajomych i wszystkich powyciągaliśmy z łóżek. Nikt z nich nie wspomniał, że podwoził skądkolwiek pańską żonę z synkiem. Nikt nie widział ich od poniedziałku rano.

- Po co to całe pieprzenie? - spytał rozdrażniony Vic. - Zadzwońmy po prostu do Cambera i wyjaśnijmy sprawę.

- Zaczekajmy do siódmej - powiedział Masen. - To tylko piętnaście minut. Dajmy mu przemyć oczy i trochę się rozczmuchać. Kierownicy serwisów wcześniej przychodzą do pracy. Ten facet pracuje na swoim.

Vic wzruszył ramionami. Całe to dochodzenie wyglądało mu na idiotyczną ślepą uliczkę. Donna i Tad znajdowali się w rękach Kempa. Był tego pewien tak samo, jak pewien był, że Kemp zdemolował dom i spuścił się na ich małżeńskie łóżko.

- Nie musiał to być żaden dobry znajomy - ciągnął Masen, obserwując z rozmarzeniem dym ze swojego papierosa. - Możliwości jest mnóstwo. Pańska żona odstawia samochód do Cambera, spotyka tam przypadkiem kogoś, kogo zna z widzenia, i ten ktoś ofiaruje się podwieźć ją z synkiem do miasteczka. Albo może odwozi ich sam Camber. Ewentualnie jego żona. Jest żonaty?

- Tak. Pani Camber to bardzo sympatyczna kobieta.

- To mógłby być zatem on, ona, ktokolwiek. Ludzie nie odmawiają pomocy kobiecie w kłopotcie.

- Tak - mruknął Vic, również zapalając papierosa.

- Ale to wszystko nie ma znaczenia, bo nadal bez odpowiedzi pozostaje podstawowe pytanie: gdzie jest ten pieprzony samochód? Dalej mamy tę samą sytuację. Kobieta z dzieckiem zdana sama na siebie. Musi chodzić po zakupy, do pralni chemicznej, na pocztę, ma do załatwienia tuzin rozmaitych spraw. Jeśli mąż wyjechał na kilka dni, na tydzień, może próbować radzić sobie jakoś bez samochodu. Ale dziesięć dni albo dwa tygodnie? To kupa czasu w miasteczku, które ma tylko jedną taksówkę. W takich sytuacjach korzysta się z usług ludzi od wynajmu samochodów. Mogła zwrócić się do Avisu, Hertza czy National, żeby podstawili jej wóz tutaj albo do Cambera. A

więc gdzie jest ten wynajęty samochód? Wciąż do tego wracam. Przed domem powinien stać jakiś pojazd. Dobrze mówię?

- Nie sędę, żeby to miało znaczenie - burknął Vic.

- I prawdopodobnie nie ma. Wkrótce znajdziemy jakieś proste wyjaśnienie i powiemy: "Aj waj, jak można było na to nie wpaść?". Ale ta zagadka dziwnie mnie fascynuje... to był zawór iglicowy? Jest pan pewien?

- Owszem.

Masen pokręcił głową.

- To po co w ogóle te korowody z wynajmowaniem zastępczego wozu? Przecież dla kogoś, kto ma narzędzia i zna się na rzeczy, jest to robota na piętnaście minut. Taką naprawę wykonuje się na poczekaniu. No więc gdzie jest...

- ...ten jej cholerny samochód? - dokończył za niego znużonym tonem Vic. Wszystko falowało mu przed oczami.

- Może poszedłby pan na górę i trochę odpoczął? - zaproponował Masen. - Wygląda pan na wykończonego.

- Nie, wolę być na nogach, jeśli coś się wydarzy...

- Jeśli coś się wydarzy, to będzie na miejscu ktoś, kto pana obudzi. Tylko tu patrzeć FBI z aparaturą do lokalizowania rozmów telefonicznych przeprowadzonych ostatnio z pańskiego aparatu. Ci ludzie robią tyle hałasu, że obudziliby nieboszczyka, niech się pan więc nie obawia.

Vic był zbyt zmęczony, by odczuwać cokolwiek poza tępym strachem.

- Sądzi pan, że to zasrane lokalizowanie jest naprawdę konieczne?

- Lepiej je przeprowadzić, choćby nie miało nic wykazać, niż nie przeprowadzić, a potem żałować - odparł Masen i

pstryknął przed siebie niedopałkiem papierosa. - Niech pan trochę odpocznie, to będzie pan lepiej kojarzył. Idź pan już.

- No dobrze.

Vic wszedł powoli na górę. Łóżko rozbebeszono do materaca. Posłał je, zzuł buty i położył się. Przez okno wpadały rażące promienie porannego słońca. I tak nie zasnę, pomyślał. Ale chociaż trochę odpocznę. Jednak spróbuję. Piętnaście minut... może nawet pół godzinki...

Kiedy wreszcie obudził go dzwonek telefonu, za oknem panoszyło się już rozpalone południe.

Charity Camber wypila poranną kawę, po czym zatelefonowała do Alvy Thorntona z Castle Rock. Tym razem odebrał sam Alva. Wiedział, że poprzedniego dnia wieczorem rozmawiała z Bessie.

- Nie - powiedział Alva. - Nie widziałem Joego chyba od zeszłego czwartku, Charity. Był wtedy u mnie z naprawioną oponą do traktora. Nic nie wspominał o dokarmianiu Cujo, chociaż chętnie bym się zgodził.

- Alva, mógłbyś podjechać do naszego domu i zobaczyć, co z Cujo? Brett widział go w poniedziałek rano przed samym wyjazdem i mówi, że wyglądał na chorego. A ja nie wiem, kogo Joe poprosił, żeby go karmił. - I zwyczajem ludzi ze wsi dodała: - Oczywiście nie ma z tym pośpiechu.

- Podjadę tam i sprawdzę - obiecał Alva. - Nakarmię tylko i napoję te cholerne kokoszki, i już lecę.

- Będę ci bardzo wdzięczna, Alva - powiedziała Charity i podała numer telefonu siostry. - Bardzo ci dziękuję.

Rozmawiali jeszcze chwilę, głównie o pogodzie. Alva niepokoił się o swoje kurczaki w związku z nieprzerwanymi upałami. W końcu Charity odłożyła słuchawkę.

Kiedy wchodziła do kuchni, Brett podniósł na nią wzrok znad miski z owsianką. Jim junior robił z zapalem mokre kółka na stole swoją szklanką z pomarańczowym sokiem i trajkotał jak najęty. W którymś momencie ostatnich czterdziestu ośmiu godzin doszedł do wniosku, że Brett Camber ma jakiś związek z Jezusem Chrystusem.

- No i co? - spytał Brett.

- Miałaś rację. Tata nie poprosił Alvy o karmienie psa. - Dostrzegła rozczarowanie i niepokój na twarzy Bretta, dodała więc pośpiesznie: - Ale Alva pojedzie dziś rano, jak tylko oporządzi swoje kurczaki, sprawdzić, co z Cujo. Tym razem podyktowałam mu numer. Obiecał, że oddzwoni.

- Dziękuję, mamo.

Holly zawołała Jima na górę, żeby się ubrał, i malec, odsuwając z hurkotem krzesło, wstał od stołu.

- Pójdiesz ze mną na górę, Brett? Starszy chłopiec uśmiechnął się.

- Poczekam na ciebie tutaj, guzdrało.

- Dobrze. - Jim ruszył biegiem, obwieszczając po drodze: - Mamo! Brett powiedział, że poczeka! Brett poczeka, aż się ubiorę!

Schody zadudniły, jakby wbiegało nimi stado słoni.

- Fajny ten mały - mruknął Brett.

- Pomyślałam sobie - powiedziała Charity - że może wrócilibyśmy do domu trochę wcześniej. Jeśli chcesz.

Twarz Bretta rozjaśniła się i pomimo wszystkich decyzji, jakie ostatnio podjęła, ta reakcja syna zasmuciła ją trochę.

- Kiedy? - spytał.

- Co byś powiedział na jutro? - Prawdę mówiąc, zamierzała zaproponować piątek.

- Fajnie! Tylko... - przyjrzał jej się uważniej - ...czy nie będzie ci przykro rozstawać się już z ciocią, mamó? Przecież to twoja siostra.

Charity pomyślała o tych nieszczęsnych kartach kredytowych i o szafie grającej Wurlitzera, na którą mąż Holly mógł sobie pozwolić, ale której nie potrafił podłączyć. Te rzeczy wywarły na Bretcie największe wrażenie i podejrzewała, że w pewnym sensie również na niej samej. Może patrzyła na nie trochę oczami Bretta... oczami Joego?

- Nie - powiedziała. - Chyba wystarczająco długo tu byliśmy. Dziś powiem Holly, że wyjeżdżamy.

- Dobrze, mamó. - Spojrzał na nią jakoś nieśmiało. - Wiesz, chętnie tu jeszcze kiedyś przyjadę. Polubiłem ich. I ten mały jest taki fajny. Może zaprosimy go kiedyś do Maine?

- Czemu nie? - odparła mile zaskoczona. Nie sądziła, żeby Joe się temu sprzeciwiał. - Czemu nie? To dałoby się zorganizować.

- W porządku. Powiesz mi potem, co powiedział pan Thornton.

- Powiem ci.

Ale Alva nie oddzwonił. Kiedy podsypywał paszy swoim kurczakom, nawalił silnik w wielkim klimatyzatorze i Alva uwikłał się w zaciekły bój o ratowanie swoich podopiecznych przed śmiercią z upału. Donna Trenton mogłaby to nazwać kolejnym ciosem zgotowanym przez to samo Przeznaczenie, które dostrzegła odbite w mętnych ślepiach Cujo. Kiedy Alva Thornton uporał się wreszcie z naprawą klimatyzatora, była już czwarta po południu (Alva stracił tego dnia sześćdziesiąt dwa kurczaki i mógł się tylko cieszyć, że na tym się skończyło) - i konfrontacja, która rozpoczęła się w

poniedziałek po południu na palonym przez słońce podwórku Camberów, dobiegła już końca.

Andy Masen był cudownym dzieckiem prokuratury okręgowej stanu Maine i byli tacy, którzy twierdzili, że pewnego dnia - i to dnia niezbyt odległego w czasie - stanie na czele wydziału do walki z przestępczością. Ale Andy mierzył o wiele wyżej. Miał nadzieję do roku 1984 objąć stanowisko prokuratora okręgowego i z tej pozycji wystartować w wyborach gubernatorskich, które przypadały na rok 1987. A po ośmiu latach w fotelu gubernatora... kto wie?

Pochodził z licznej, ubogiej rodziny. Dorastał z trzema braćmi i dwiema siostrami w ruderze dla białej biedoty przy Sabbatus Road w miasteczku Lisbon. Bracia i siostry nie zdołali wyrwać się ze środowiska. Szkołę średnią udało się ukończyć tylko Andy'emu Masenowi i jego najmłodszemu bratu, Marty'emu. Przez jakiś czas wyglądało na to, że dołączy do nich Roberta, ale zaszła w ostatniej klasie w ciążę. Porzuciła szkołę, żeby wyjść za mąż za chłopaka, który w wieku dwudziestu dziewięciu lat miał jeszcze pryszczki, pił narragansetta prosto z puszek i pomiatał zarówno nią, jak i dzieckiem. Marty zginął w wypadku samochodowym na Drodze Nr 9 pod Durham. Z kilkoma pijanymi kolegami próbowali wziąć siedemdziesiątką ostry zakręt na Sirois Hill. Camaro, którym jechali, przeokoziółkował dwa razy i stanął w płomieniach.

Andy był gwiazdą rodziny, ale matka nigdy za nim nie przepadała. Trochę się go bała. Plotkując z przyjaciółkami, zwykła mawiać: "Mój Andy to zimna ryba". Był zawsze opanowany, zawsze zapięty na ostatni guzik. Od piątej klasy podstawówki wiedział, że musi przebrnąć jakoś przez college

i zostać prawnikiem. Prawnicy dużo zarabiali. Prawnicy posługiwali się w swej pracy logiką. A logika była bogiem Andy'ego.

Każde zdarzenie postrzegał jako punkt, z którego wychodzi promieniście skończona liczba możliwości. Na końcu każdej z tych linii możliwości znajdował się kolejny punkt zdarzenia. I tak dalej. Ta zasada życia od punktu do punktu służyła mu bardzo dobrze. Podstawówkę i szkołę średnią ukończył z wyróżnieniem, dostał stypendium i mógł przebierać w college'ach. Zdecydował się na Uniwersytet stanu Maine, rezygnując z Harvardu, ponieważ postanowił już, że swoją karierę zawodową rozpocznie w Augustacie, a nie chciał, żeby jakiś drwal w gumiakach i waciaku rzucał mu w twarz Harvardem.

Odłożył słuchawkę telefonu Vica Trentona. U Camberów nikt nie odbierał. Detektyw z policji stanowej i szeryf Bannerman jeszcze tu byli i jak dobrze wyszkolone psy czekali na instrukcje. Z Townsendem, człowiekiem z policji stanowej, pracował już kiedyś. Facet był z tych, w których towarzystwie Andy Masen dobrze się czuł. Mówiło się: aportuj - i Townsend aportował. Z Bannermanem nie miał wcześniej do czynienia, ale szeryf nie przypadł mu zbytnio do gustu. Miał trochę za inteligentne oczy, a ten jego pomysł, że Kemp mógł sterroryzować kobietę, posługując się dzieciakiem... no cóż, takie pomysły, jeśli już musiały padać, powinny wychodzić od Andy'ego Masena. Siedzieli we trójkę na segmentowej sofie i popijając w milczeniu kawę, czekali na chłopców z FBI z aparaturą lokalizacyjną.

Andy analizował w myślach całą sprawę. Mogła to być burza w szklance wody, ale równie dobrze mogło być coś poważniejszego. Mąż był przekonany, że to porwanie, i nie

przywiązywał żadnej wagi do zniknięcia samochodu. Trzymał się kurczowo tezy, że jego bliskich uprowadził Steve Kemp.

Andy Masen wcale nie był tego taki pewien.

Cambera nie było w domu; nie było tam nikogo. Może wyjechali wszyscy na wakacje. Było to dosyć prawdopodobne; lipiec to miesiąc zdecydowanie urlopowy. Czy Camber przyjąłby jej samochód do naprawy, gdyby wybierał się na urlop? Mało prawdopodobne. Mało prawdopodobne, żeby Donna Trenton w ogóle tam pojechała. Ale trzeba to będzie sprawdzić. No i istniała jeszcze jedna możliwość, o której nie wspomniał Vicowi.

Przypuśćmy, że odprowadziła wóz do warsztatu Cambera. Przypuśćmy, że ktoś odwiózł ją z powrotem. Nie jakiś przyjaciel, nie znajomy, nie Camber ani jego żona, lecz ktoś zupełnie obcy. Andy wyobrażał sobie, co odpowiedziałby na to Trenton: "Och, nie, moja żona nigdy nie wsiadłaby do samochodu z nieznanym". Ale przecież jeździła kilka razy ze Steve'em Kempem, którego ledwie знаła. Gdyby ten hipotetyczny mężczyzna zachowywał się przyjaźnie, ona zaś śpieszyła się z synkiem do domu, mogłaby skorzystać z propozycji podwiezienia. A ten miły, uśmiechnięty mężczyzna mógłby się okazać jakimś zbrojcem. Mieli już w Castle Rock jednego takiego - Franka Dodda. Może ten miły, uśmiechnięty mężczyzna porzucił ich gdzieś w krzakach z poderżniętymi gardłami i pojechał sobie, jak gdyby nigdy nic, dalej. Jeśli tak właśnie było, pinto musiałby stać u Cambera.

Andy nie traktował tej linii rozumowania w kategoriach prawdopodobieństwa, lecz możliwości. I tak wysłałby kogoś do Cambera - wymagała tego procedura - lubił jednak, kiedy jego posunięcia miały swoje logiczne uzasadnienie. Osobiście

uważał, że warsztat Cambera można z powodzeniem usunąć z logicznej konstrukcji, którą budował. Przypuszczał, że Donna Trenton, nawet jeśli tam pojechała, to tylko po to, żeby stwierdzić, że Camberów nie ma w domu, a potem samochód jej się zepsuł. Ale Droga Miejska Nr 3 w Castle Rock to nie Antarktyda. W takim przypadku wystarczyłoby jej dojść z synkiem do najbliższych zabudowań i poprosić o udostępnienie telefonu - nie zrobiła tego jednak.

- Panie Townsend - odezwał się cicho. - Pojedzie pan z szeryfem Bannermanem do warsztatu tego Joe Cambera. Sprawdzicie na miejscu trzy rzeczy: czy nie stoi tam niebieski pinto, numer rejestracyjny 218-864, czy nie ma tam Donny i Theodora Trentonów i wreszcie, czy Camberowie są w domu. Zrozumiano?

- Tak jest - powiedział Townsend. - Czy mam...

- Sprawdzicie tylko te trzy rzeczy - przerwał mu stanowczym głosem Andy. Nie spodobało mu się znużone lekceważenie w oczach spoglądającego na niego Bannermana. Zdenerwowało go. - Zawiadomicie mnie przez radiotelefon, co ustaliliście. A gdyby mnie tutaj nie było, zostawię numer, pod jakim można mnie złapać. Zrozumiano?

Zadzwoił telefon. Bannerman podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, po czym przekazał ją Andy'emu Masenowi.

- Do pana, szefie.

Ich oczy spotkały się nad aparatem. Masen sądził, że Bannerman pierwszy spuści wzrok, ale szeryf tego nie uczynił. W końcu Andy wziął od niego słuchawkę. Dzwonili z koszar policji stanowej w Scarborough. Zatrzymano Steve'a Kempa. Jego furgonetkę zauważono na dziedzińcu małego motelu w miasteczku Twickenham w Massachusetts. Nie było z nim kobiety ani chłopca. Kemp podał tylko swoje imię i

nazwisko, a potem odmówił wszelkich zeznań, powołując się na przysługujące mu prawo do milczenia.

Andy Masen uznał tę wiadomość za bardzo niepokojącą.

- Townsend, pojedziecie ze mną - zdecydował. - Wy, szeryfie Bannerman, dacie sobie chyba radę ze sprawdzeniem posesji Cambera, prawda?

- To moje miasto - mruknął Bannerman.

Andy Masen zapalił papierosa i spojrzał na Bannermana poprzez kłąb dymu.

- Ma pan coś do mnie, szeryfie? Bannerman uśmiechnął się.

- Nie, skąd.

Jezu, jak ja nie cierpię tych wsioków, pomyślał Masen, odprowadzając Bannermana wzrokiem. No, ale mam go chociaż na jakiś czas z głowy. Dzięki Bogu i za to.

Bannerman wsiadł za kierownicę swojego krążownika, zapuścił silnik i wycofał wóz z podjazdu Trentonów. Było dwadzieścia po siódmej. Ubawiło go nawet, że Masen tak gładko odsunął go na boczny tor. Oni zmierzali do sedna sprawy - on donikąd. Ale to poczciwy Hank Townsend będzie teraz musiał przez cały ranek wysłuchiwać trucia Masena, więc może i lepiej, że tak się stało.

George Bannerman ruszył Drogą Nr 117 w kierunku Mapie Sugar Road, nie włączając syreny ani koguta na dachu. Zapowiadał się piękny dzień. Nie widział powodu, dla którego miałby się spieszyć.

Donna i Tad Trentonowie spali.

Przyjęli niewygodne pozycje, jakie przyjmują podczas snu ludzie zmuszeni do spędzenia wielu godzin podróży w międzystanowych autobusach. Przekrzywione głowy spoczywały im na ramionach, Donnie na lewym, Tadowi na prawym. Chłopczyk trzymał ręce na podolku. Podrygiwały co

chwila, jak wyrzucone na plażę ryby. Oddech miał chrapliwy, charczący. Wargi spękane, powieki purpurowe. Struzka śliny ściekająca mu z kącika ust ku łagodnemu zarysowi szczęki zaczynała już zasychać.

Donna spała lekkim snem. Pomimo wyczerpania niewygodna pozycja, bolące noga i brzuch, a teraz również palce (podczas ataku Tad ponagryzał je do kości) nie pozwalały jej zasnąć głębiej. Włosy przylegały jej do głowy przepoconymi kosmykami. Tampony z gazy, którymi obłożyła sobie lewą nogę, znowu przesiąkły, a skóra wokół powierzchniowych zadrapań na brzuchu zaogniła się paskudnie. Oddech również miała chrapliwy, ale nie tak urywany, jak u Tada.

Chłopczyk był bliski kresu wytrzymałości. Proces odwodnienia bardzo się u niego posunął. Pot wypłukał z organizmu elektrolity, chlorki i sód. Nic nie uzupełniło ich ubytku. Środki ochrony wewnętrznej wciąż się kurczyły i malec wchodził teraz w ostatnie krytyczne stadium. Jego życie nabrało chybotliwej lekkości, traciło powoli więź z ciałem i kośćmi, gotowało się do ulecenia z byle podmuchem wietrzyka.

W gorączkowym śnie Tad widział ojca bujającego go na huśtawce coraz wyżej i wyżej, i nie było to na podwórku za domem, ale nad stawem z kaczkami, gdzie chłodny wietrzyk owiewał mu spalone słońcem czoło, obolałe oczy i spękane wargi.

Pies również spał.

Leżał na skraju trawy przy ganku, złożony pokieraszowany pysk na przednich łapach. Sny miał niezborne, lunatyczne. Zapadał zmierzch i po ciemniejącym niebie krążyły czerwonoookie nietoperze. Cujo podskakiwał raz po raz w górę i za każdym razem opadał na ziemię z błoniastym,

podrygującym skrzydłem któregoś z nich w zębach. Jednak reszta nietoperzy kąsała go w czuły nos małymi, ostrymi, szczurzymi ząbkami. Tam właśnie brał swój początek ból. Stamtąd promieniowało cierpienie. Ale pozagryza je wszystkie. Pozagryza...

Ocknął się nagle, unosząc łeb i przekrzywiając go. Nadjeżdżał samochód.

Warkot zbliżającego się pojazdu torturował piekielnie wrażliwe teraz uszy Cujo; kojarzył się z brzęczeniem jakiegoś wielkiego, groźnego owada, który nadlatuje, by wstrzyknąć mu swój jad.

Skamłąc, zerwał się z ziemi. Wszystkie stawy zdawało się wypełniać pokruszone szkło. Spojrzał na martwy samochód stojący na podjeździe. Zobaczył w środku nieruchomy zarys głowy KOBIECY. Wcześniej, zaglądając przez szybę do wnętrza, widział ją wyraźnie, ale teraz KOBIECA zrobiła coś z szybą i prawie udało jej się ukryć. Mniejsza z tym, że potrafiła robić coś takiego z oknami. I tak nie mogła wysiąść. CHŁOPIEC też nie.

Brzęczenie stawało się coraz bliższe. Samochód wjeżdżał pod górę, ale... czy to na pewno był samochód? A może gigantyczna pszczoła albo osa, która nadlatuje, by go ukąsić, użądlić, zwiększyć jeszcze ból, który cierpiał?

Lepiej poczekać i zobaczyć.

Cujo wpelzł pod ganek, gdzie dawniej spędzał często upalne letnie dni. Miał tam legowisko wymoszczone zbutwiałymi jesiennymi liśćmi, które nawiał przez lata wiatr, liśćmi wydzielającymi woń, która dawniej wydawała mu się tak słodka. Teraz ta woń drażniła mu nozdrza, zatykała, dusiła i zwyczajnie nie dawała się znieść. Warknął i z pyska znowu

pociekła mu piana. Gdyby potrafił zabijać zapachy, bez namysłu zabiłby ten tutaj.

Brzęczenie było już bardzo bliskie. Po chwili w podjazd skręcił samochód. Samochód z niebieskimi bokami, białym dachem i światłami na górze.

Widok pinta należącego do zaginionej kobiety był czymś, czego szeryf, skręcając w podwórko posesji Joe Cambera, najmniej się spodziewał. George Bannerman nie był w ciemności i chociaż denerwował go punktowy styl rozumowania Andy'ego Masena (miał do czynienia ze sprawą Franka Dodda i wiedział, że w poczynaniach niektórych ludzi próżno doszukiwać się logiki), do własnych, przeważnie słusznych wniosków dochodził w podobny sposób, może tylko nie w pełni to sobie uświadamiając. I zgadzał się z opinią Masena, że jest mało prawdopodobne, by żona i syn Trentona znajdowali się właśnie tutaj. Ich samochód jednak tu stał.

Bannerman sięgnął po mikrofon zawieszony pod deską rozdzielczą, ale zaraz cofnął rękę, postanawiając, że najpierw obejrzy sobie poszukiwany wóz. Mając przed sobą jego kufer, nie widział, czy w środku ktoś jest, czy nie. Zagłówki foteli były ciut za wysokie, a Tad i Donna zsunęli się podczas snu.

Szeryf wysiadł ze swojego krążownika i zatrzasnął za sobą drzwiczki. Robiąc drugi krok, zauważył, że szyba od strony kierowcy stanowi wkleśłą masę trzymających się na słowo honoru okruczków. Serce zabiło mu mocniej, a ręka powędrowała do kolby .38 police special spoczywającego w kaburze.

Cujo z rosnącą nienawiścią obserwował MĘŻCZYZNĘ, który wysiadł z niebieskiego samochodu. To od tego MĘŻCZYZNY brał się cały jego ból - był tego pewien. To ten MĘŻCZYZNA sprawił, że bolały go stawy, a w głowie

zawodził wysoko wstrętny, śpiewny szum; to przez tego MEŻCZYZNĘ legowisko ze starych liści pod werandą tak paskudnie teraz śmierdziało; to przez tego MEŻCZYZNĘ nie mógł spojrzeć bez skomlenia i dreszczu odrazy na wodę i pomimo piekielnego pragnienia pragnął ją gryźć.

Podwinął pod siebie łapy, a gdzieś w głębi potężnej klatki piersiowej zaczął mu się rodzić warkot. Czuł już zapach MEŻCZYZNY, woń jego potu i podniecenia, soczystego mięsa obrastającego kości. Warkot pogłębił się, a potem narósł do donośnego, oszalałego charkotu. Cujo wypadł spod werandy i pognął w kierunku tego wstrętnego MEŻCZYZNY, który sprowadzał na niego ból.

Bannerman nie słyszał niskiego, wzmagającego się warczenia Cujo. Zbliżył się już do pinta na tyle, że widział gęstwą włosów dociśniętą do szyby od strony kierowcy. Przemknęło mu przez myśl, że kobieta została zastrzelona, ale w takim razie gdzie był otwór po pocisku? Szyba wyglądała na uderzoną kijem, nie przestrzeloną.

Potem zauważył poruszenie głowy. Nieznacznie - ledwie zauważalnie - ale jednak się poruszyła. Kobieta żyła. Postąpił jeszcze jeden krok... i w tym momencie rozległ się ryk Cujo, a po nim rozpętała się kakofonia wściekłego ujadania. W pierwszej chwili pomyślał

(Rusty?)

że to jego seter irlandzki, ale Rusty'ego pochował przecież cztery lata temu, wkrótce po aferze z Frankiem Doddem. Poza tym Rusty nigdy w ten sposób nie szczekał. Na kilka decydujących sekund Bannerman zamarł sparaliżowany atawistycznym strachem.

Potem odwrócił się, dobywając broni, i kątem oka dostrzegł jeszcze rozmyty zarys wyciągniętego w skoku psa -

niewiarygodnie wielkiego psa. W tej samej chwili bestia wyrznęła go z całym impetem w klatkę piersiową i rzuciła na bagażnik pinta. Stęknął. Nadgarstkiem podbitej w górę prawej ręki uderzył mocno o chromowaną rynienkę klapy bagażnika. Pistolet wysunął mu się z dłoni, koziolkując w powietrzu, przeleciał nad dachem samochodu i wylądował w wysokim zielsku po drugiej stronie podjazdu.

Pies go gryzł i Bannerman, widząc pierwsze krwawe kwiaty rozkwitające na przodzie swojej błękitnej koszuli, nagle wszystko zrozumiał. Pani Trenton przyjechała tutaj, samochód odmówił posłuszeństwa... i był tu ten pies. Masen w swojej eleganckiej, logicznej analizie punktowej nie uwzględnił psa.

Bannerman mocował się ze zwierzęciem, próbując wsunąć dłoń pod psi pysk i odepchnąć go od siebie. Poczul nagle w dole brzucha silny, paraliżujący ból. Koszula w tym miejscu była w strzępach. Krew ściekała mu strumieniem po nogawce. Szarpnął się w przód, ale pchnięty przez psa poleciał z powrotem do tyłu i wpadł plecami na pinta z taką siłą, że mały samochód zakołysał się na resorach.

Nie wiedzieć czemu zaczął sobie przypominać, czy kochali się z żoną ostatniej nocy.

Że też takie bzdury przychodzą mu do głowy. Że też...

Pies znowu zaatakował. Bannerman próbował wykonać unik, ale bestia była szybsza i nagle zelektryzował go ból, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał. Krzycząc, wcisnął ręce pod pysk psa i szarpnął w górę. Spojrzał w ciemne, szalone ślepia i na chwilę ogarnęło go omdlewające przerażenie, a przez głowę przemknęło: Cześć, Frank. To ty, prawda? W piekle było ci za gorąco?

Cujo chwycił go za dłonie, zwarł szczęki i szarpał. Bannerman zapomniał o Franku Doddzie. Zapomniał o wszystkim, co nie miało związku z ratowaniem życia. Spróbował unieść w górę kolano i wcisnąć je między siebie a psa, ale stwierdził, że nie da rady. Ledwie ruszył nogą, ból w podbrzuszu eksplodował piekielnym płomieniem.

Co on mi tam robi? Boże, co on mi robi? Vicky, Vicky...

W tym momencie otworzyły się drzwiczki pinta od strony kierowcy i ktoś wyjrzał. To była ta kobieta. Oglądał rozdeptaną przez Steve'a Kempa fotografię rodzinną i widział na niej ładną, elegancko uczesaną kobietę - z tych, za którymi obejrzyś się dwa razy na ulicy, zazdroszcząc jej mężowi, że ma ją na co dzień w łóżku.

Kobieta znajdowała się w opłakanym stanie. Pies i jej dopadł. Brzuch miała cały w zakrzepłej krwi, a spod rozerwanej nad kolaniem nogawki dzinsów wystawał przesiąknięty opatrunek. Ale najgorsza była twarz: przypominała pieczone jabłko. Z czoła zwisała jej płatami złuszczonego skóra, wargi miała spękane i zaropiałe, oczy zapadnięte w głębokie, purpurowe burchle.

Pies poniechał Bannermana i warcząc zwrócił się na sztywnych łapach w stronę kobiety. Schowała się z powrotem w wozie, zatrzasnąjąc za sobą drzwiczki.

(teraz do wozu trzeba to zgłosić trzeba to zgłosić)

Odwrócił się i pobiegł do swojego krążownika. Pies ścigał go, ale nie dogonił. Zatrzasnął za sobą drzwiczki, porwał mikrofon i wezwał pomoc, Kod 3 - funkcjonariusz prosi o wsparcie. Pomoc nadeszła. Psa zastrzelono. Wszystko dobrze się skończyło.

Trwało to zaledwie trzy sekundy i zaszło tylko w wyobraźni George'a Bannermana. Kiedy odwrócił się, żeby pójść do

swojego wozu patrolowego, nogi odmówiły mu posłuszeństwa i runął na ziemię.

(Och, Vicky, co on mi zrobił tam na dole?)

Cały świat był oślepiającym słońcem. Trudno było patrzeć. Bannerman gramolił się, orał paznokciami żwir, i w końcu zdołał podźwignąć się na czworaki. Spojrzał pod siebie i zobaczył gruby, szary bałaż jelita zwisający z rozszarpanej koszuli. Spodnie miał przesiąknięte krwią do kolan.

Nieźle. Nieźle urządził go ten pies tam na dole.

Trzymaj swoje flaki, Bannerman. Jeśli już po tobie, to trudno. Ale przedtem musisz się dorwać do tego pieprzonego mikrofonu i złożyć meldunek. A więc trzymaj flaki i leć co sił na tych swoich platfusach...

(dzieciak Jezu jej dzieciak czy jej dzieciak też tu jest?)

Przypomniała mu się córka Katrina, która w tym roku pójdzie do siódmej klasy. Zaczynały jej już rosnąć piersi. Stawała się panienką całą gębą. Lekcje gry na pianinie. Chce uczyć się jazdy konnej. A był taki dzień, że gdyby poszła sama prosto ze szkoły do biblioteki, Frank Dodd nie zamordowałby Mary Kate Hendrasen, tylko ją. Był taki dzień...

(rusz tyłek)

Wstał. Wszystko było słońcem i jasnością i miał wrażenie, że całe wnętrzości chcą mu wypłynąć wygryzioną przez psa dziurą. Samochód. Radiotelefon. Pies za jego plecami zajęty był czym innym: szczekając i warcząc rzucał się zajadle raz po raz na wgniecione drzwiczki pinta od strony kierowcy.

Bannerman, zataczając się i potykając, powlókł się w kierunku krążownika. Twarz miał białą jak papier, wargi szarosine. To był największy pies, jakiego w życiu widział, i ten pies go wypatroszył. Wypatroszył, na miłość boską. I dlaczego wszystko jest takie gorące i jasne?

Wnętrznosci prześlizgiwały mu się przez palce.

Dobrnął do drzwiczek wozu patrolowego. Słyszał trzaski wydobywające się z radia zainstalowanego pod deską rozdzielczą. Trzeba było od razu złożyć meldunek o znalezieniu poszukiwanego samochodu. Taka jest procedura. Pod żadnym pozorem nie wolno robić odstępstw od procedury, pomyślał - ale gdybym w to wierzył, nie wezwałbym nigdy Smitha w sprawie Dodda. Vicky, Katrina, przepraszam...

Chłopiec. Musi pomóc temu chłopcu.

Nogi się pod nim ugięły i byłby upadł, gdyby w ostatniej chwili nie przytrzymał się krawędzi drzwiczek.

W tym samym momencie usłyszał zbliżającego się psa. Szybciej, szybciej. Byle tylko zatrzaskać w porę drzwiczki... o Boże, byle tylko zatrzaskać za sobą drzwiczki, zanim ten pies znowu go dopadnie... o Boże...

(o Boże)

Tad znowu krzyczał, krzyczał i ścisnął sobie buzię rączkami, machając jednocześnie na boki głową. Samochód kołysał się od uderzeń Cujo szturmującego raz po raz drzwiczki.

- Przestań, Tad! Przestań... proszę cię, słoneczko, przestań!

- Chcę do tatusia... chcę do tatusia... chcę do tatusia... Nagle wszystko ucichło.

Tuląc Tada do piersi, Donna odwróciła głowę akurat w momencie, kiedy Cujo runął na policjanta usiłującego schronić się w swoim wozie. Siła uderzenia oderwała mu rękę od drzwiczek.

Dalej już nie patrzyła. Najchętniej zatkałaby sobie jeszcze czymś uszy, żeby nie słyszeć odgłosów towarzyszących wykańczaniu przez Cujo tego człowieka.

Schował się, pomyślała histerycznie. Usłyszał nadjeżdżający samochód i schował się.

Drzwi na werandę. Teraz, kiedy pies jest... zajęty... nadarza się okazja, żeby dobiec do drzwi werandy.

Sięgnęła do klamki, szarpnęła ją do siebie, pchnęła barkiem drzwiczki. Ani drgnęły. Cujo w końcu wgiął ramę tak, że zakleszczyły się na dobre.

- Tad - wyszeptała gorączkowo. - Tad, zamień się ze mną miejscami, szybko. Tad? Tad!

Chłopczyk dygotał na całym ciele. Oczy znowu miał wywrócone. - Kaczki - wybełkotał gardłowo. - Idę zobaczyć kaczki. Słowa na Potwora. Tatuś. Ach... achhh... achhhhhh...

Znowu dostał konwulsji, zaczął młócić powietrze jakby pozbawionymi kości rączkami. Chwyliła go za ramiona i potrząsała nim, wykrzykując raz po raz jego imię, starając się nie dopuścić, by zamknęła mu się buzia, starając się zapewnić mu dopływ powietrza. W głowie szumiało jej potwornie i ogarnął ją strach, że zaraz zemdleje. To było piekło, byli w piekle. Promienie porannego słońca, obojętne i bezlitosne, bombardowały samochód.

W końcu Tad uspokoił się. Oczy miał znowu zamknięte, lecz oddech bardzo przyśpieszony i płytki. Dotknęła palcami jego nadgarstka i namacała puls. Był słaby, nieregularny.

Spojrzała za okno. Pies trzymał w pysku rękę mężczyzny i potrząsał nią tak, jak szczeniaki tarmoszą szmacianą zabawkę. Co chwila doskakiwał do bezwładnego ciała. Krew... wokół było mnóstwo krwi.

Jakby wyczuwając, że jest obserwowany, Cujo obejrzał się. Z pyska kapłała mu krew. Popatrzył na Donnę z miną (czy pies ma mimikę? - przemknęło jej przez myśl), która zdawała się wyrażać stanowczość i skruchę zarazem... i Donna znowu

doznała uczucia, że poznali się już dobrze nawzajem i że żadne z nich nie spocznie, dopóki nie doprowadzą tej strasznej znajomości do jakiegoś zdecydowanego zakończenia.

Pies odwrócił się i rzucił znowu na przesiąkniętą krwią niebieską koszulę i spodnie khaki. Głowa martwego mężczyzny przetoczyła się bezwładnie w bok. Donna odwróciła wzrok, gorący kwas palił jej pusty żołądek. Pokąsana noga pulsowała bólem; rana znowu się otworzyła.

Tad... co z nim?

Jest w okropnym stanie, pośpieszył z odpowiedzią bezlitosny głos wewnętrzny. I co teraz zrobisz? Jesteś jego matką, co teraz zrobisz?

Cóż mogła zrobić? Czy pomogłaby Tadowi, wysiadając i dając się zagryźć?

Policjant. Ktoś przysłał tu tego policjanta. A kiedy nie wróci...

- Błagam - wychrypiała. - Byle szybko, błagam.

Mijała właśnie ósma rano i na zewnątrz było jeszcze stosunkowo chłodno - 24 stopnie Celsjusza. W południe temperatura na płycie lotniska w Portland dojdzie do 40 stopni. Będzie to nowy rekord.

Townsend z Andym Masenem dotarli do koszar policji stanowej w Scarborough o ósmej trzydzieści. Masen oddał Townsendowi inicjatywę. To był jego teren, nie Masena.

Oficer dyżurny powiedział im, że Steven Kemp jest już w drodze do Maine. Nie było z nim żadnych problemów, ale nadal uparcie milczał. Jego furgonetkę zbadali drobiazgowo technicy z laboratorium w Massachusetts oraz biegli sądowi. Nie znaleziono niczego, co mogłoby świadczyć o przetrzymywaniu w wozie kobiety i chłopca, ale we wgłębieniu na koło zapasowe natrafiono na małą aptekę -

marihuana, trochę kokainy w buteleczce po anacinie, trzy opakowania afrodyzjaków azotanowych oraz dwie porcje mieszanki znanej pod nazwą Czarna Piękność. To dało im pretekst do czasowego zatrzymania pana Kempa.

- Ten pinto - powiedział Andy do Townsenda, wracając do niego z dwoma kubkami kawy. - Gdzie jest ten jej pieprzony pinto?

Townsend pokręcił głową.

- Bannerman coś meldował?

- Jeszcze nie.

- No to wywołaj go. Powiedz mu, że chcę go tutaj mieć, kiedy przywiozą Kempa. To jego teren i chyba będzie musiał poprowadzić przesłuchanie. Przynajmniej oficjalnie.

Townsend wrócił po pięciu minutach z niepewną miną.

- Nie mogę się z nim połączyć, panie Masen. Ich dyspozytor mówi, że pewnie nie ma go w samochodzie.

- Jezu, pewnie siedzi na kawie w Cozy Corner. Dobrze, pal go lichu. Jest odsunięty od sprawy. - Andy Masen zapalił nowego pall malla, zakaszłał i uśmiechnął się do Townsenda.

- Chyba będziemy musieli sami zająć się tym Kempem.

Townsend też się uśmiechnął.

- No, możemy spróbować. Masen skinął głową.

- Ta sprawa zaczyna mi brzydko pachnieć, panie Townsend. Bardzo brzydko.

- Nie jest dobrze.

- Zaczynam się zastanawiać, czy Kemp nie zakopał ich w jakimś przydrożnym rowie między Castle Rock a Twickenham - powiedział Masen. - Ale złamiemy go, panie Townsend, nie takich twardzieli już się łamało.

- Tak jest - przytaknął z szacunkiem Townsend. Wierzył w Masena.

- Złamiemy faceta, choćbyśmy mieli go maglować przez dwa dni.

Townsend wymykał się co jakieś piętnaście minut, usiłując nawiązać kontakt z George'em Bannermanem. Znał Bannermana tylko trochę, ale miał o nim lepszą opinię niż Masen i uważał, że należy go ostrzec przed Masenem. Kiedy minęła dziesiąta, a Bannerman nadal się nie zgłaszał, Townsend zaczął się niepokoić. Zaczął się również zastanawiać, czy powinien powiadomić Masena o przedłużającym się milczeniu Bannermana, czy raczej zachować to dla siebie.

Roger Breakstone przyleciał do Nowego Jorku za jedenaście dziesiąta wahadłowcem Eastern Airlines, dojechał do miasta taksówką i tuż po wpół do dziesiątej zameldował się w hotelu Biltmore.

- Rezerwacja była na dwie osoby? - spytał recepcjonista.

- Wspólnik został wezwany w pilnej sprawie do domu.

- Szkoda - mruknął obojętnie recepcjonista i podsunął Rogerowi formularz do wypełnienia, a sam wdał się w rozmowę z kasjerem, opowiadając, jak udało mu się zdobyć bilety na mecz Jankesów w przyszłym tygodniu.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Roger wyciągnął się na łóżku i próbował zdrzemnąć, ale pomimo że zeszłej nocy nie zmrużył prawie oka, sen nie nadchodził. Ta śmierdząca afera z czerwonymi cukrzonymi chrupkami dla dzieciaków, a do tego jeszcze Donna pieprząca się z jakimś facetem i Vic próbujący zrobić dobrą minę do złej gry. Potem Donna znika z Tadem. Znika Vic. W tym tygodniu wszystko jakoś rozwiewa się jak dym. Najsprytniejsza sztuczka, jaką widzieliście, czary-mary, i wszystko zamienia się w wielką

kupę gówna. Bolała go głowa. Ból napływał wielkimi, ocieżałymi łupnięciami.

Wreszcie wstał. Nie chciał już być sam w łóżku z tą bolącą głową i przygnębiającymi myślami. Pomyślał, że równie dobrze może udać się do siedziby Summers Marketing & Research na rogu Czterdziestej Siódmej i Park Avenue i posiać tam trochę swego złego nastroju - w końcu za co Ad Worx im płaciła?

Zatrzymał się w holu, żeby kupić aspirynę, po czym wyszedł z hotelu. Spacer nic mu nie pomógł na głowę, ale dał szansę na odnowienie niechętnego stosunku do Nowego Jorku.

Za nic tu nie wrócę, myślał. Prędzej najmę się do ładowania kartonów z pepsi na ciężarówce, niż sprowadzę tu z powrotem Altheę i dziewczynki.

Biura Summers mieściły się na czternastym piętrze wielkiego, energożernego drapacza chmur o idiotycznej architekturze. Roger przedstawił się i recepcjonistka skinęła z uśmiechem głową.

- Pan Hewitt wyszedł właśnie na parę minut. Jest z panem pan Trenton?

- Nie, musiał wracać do domu.

- Mam tu coś dla panów. Przyszło poranną pocztą. Wręczyła Rogerowi telegram w żółtej kopercie zaadresowanej V. TRENTON/R. BREAKSTONE/AD WORX/DO WIADOMOŚCI IMAGE-EYE STUDIOS. Rob nadał go poprzedniego dnia wieczorem.

Roger rozdarł kopertę i zorientował się od razu, że to telegram od starego Sharpa i że jest bardzo długi. Przeczytał treść.

Telefon obudził Vica kilka minut przed dwunastą w południe; gdyby nie to, spałby jeszcze do wieczora. Sen miał ciężki,

nieprzyjemny, i obudził się z okropnym uczuciem dezorientacji. Znowu mu się to śniło. Donna i Tad w skalnej niszy, tuż poza zasięgiem jakiejś strasznej mitycznej bestii. Kiedy sięgał po słuchawkę, pokój zdawał się wirować.

To pewnie Donna z Tadem, pomyślał. Są bezpieczni.

- Halo?

- Vic? Tu Roger.

- Roger? - usiadł na łóżku. Koszula lepiła mu się do ciała. Połowa jego świadomości jeszcze spała i zmagła się z tym koszmarem. Światło było za silne. Ten upał... kiedy się kładł, było stosunkowo chłodno. Teraz sypialnia przypominała rozgrzany piec. Która to godzina? Ile czasu pozwolili mu spać? W domu jest tak cicho.

- Która to godzina, Roger?

- Godzina? - Roger zawiesił na chwilę głos. - No, około dwunastej. A co...

- Dwunasta? O Boże... Właśnie się obudziłem.

- Co się stało, Vic? Znaleźli się?

- Kiedy się kładłem, jeszcze nie. Ten sukinsyn Masen obiecał...

- Co za Masen?

- Facet, który prowadzi dochodzenie. Roger, muszę iść. Muszę się dowiedzieć...

- Chwileczkę, stary. Dzwonię z Summers. Mam ci coś do przekazania. Cekał tu na nas telegram od Sharpa z Cleveland. Nie zrywa kontraktu z nami.

- Co? Co? - To wszystko toczyło się za szybko jak na jego możliwości percepcji. Donna... kontrakt... Roger tokujący niemal absurdalnie radosnym tonem.

- Kiedy wszedłem do Summers, czekał tu na nas telegram. Stary ze smarkaczem nadali go na adres Image-Eye, a Rob przesłał go tutaj. Mam ci go przeczytać?

- Wystarczy, jak streścisz.

- Stary Sharp i smarkacz, każdy na swój sposób, doszli najwyraźniej do tego samego wniosku. Stary chyba uważa aferę z Zingersami za powtórkę Alamo - jesteśmy w jego oczach dobrymi facetami stojącymi na wałach i odpierającymi dzielnie ataki oblegających. Trzeba trzymać się razem, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

- Tak, wiem, że to w jego stylu - mruknął Vic, masując sobie kark. - Sukinsyn z niego, ale lojalny. Między innymi dlatego został przy nas, kiedy wynieśliśmy się z Nowego Jorku.

- Smarkacz nadal najchętniej by się nas pozbył, ale jego zdaniem nie jest to odpowiedni moment. Takie posunięcie mogłoby zostać zinterpretowane jako oznaka słabości, a kto wie, czy nawet nie poczucie winy. Dałbyś wiarę?

- Jeśli chodzi o tego paranoidalnego, nędznego dupka, to wierzę we wszystko.

- Chcą, żebyśmy przylecieli do Cleveland i podpisali nowy, dwuletni kontrakt. Nie jest to zbyt długo... kiedy umowa dobiegnie końca, smarkacz będzie już z pewnością u steru i pośle nas niewątpliwie na zieloną trawkę, ale dwa lata... tyle nam wystarczy, Vic! Za dwa lata będą nas mogli pocałować! Będziemy mogli im powiedzieć...

- Roger, ja muszę...

- ...żeby wzięli te swoje zakichane ciasta i wsadzili je sobie w dupę! Chcą też przedyskutować z nami nową kampanię i wydaje mi się, że pójdą również na łabędzi śpiew Profesora od Chrupek.

- To wspaniale, Roger, ale ja muszę się dowiedzieć, co, na miłość boską, dzieje się z Donną i Tadem.

- Tak, tak, rozumiem. Wiem, że dzwonię nie w porę, ale musiałem się tym z tobą podzielić. Inaczej rozsądziłoby mnie jak balona.

- Na dobre wiadomości nigdy nie jest nie w porę - powiedział cicho Vic. Słyszac radosną ulgę w głosie Rogera, poczuł ukłucie zazdrości, bolesne jak zgniecie ostrym odłamkiem kości, i gorzkie rozczarowanie, że nie może podzielać emocji przyjaciela.

- Vic, zadzwoń do mnie, kiedy będziesz już coś wiedział, dobrze?

- Zadzwonię, Rog. Dzięki za telefon.

Odłożył słuchawkę, wzięł mokasyny i zszedł na dół. W kuchni nadal panował straszliwy bałagan - na sam ten widok jego żołądek wykonał powolne, przyprawiające o mdłości salto. Ale na stole, przyciśnięta solniczką, leżała kartka z wiadomością od Masena.

Panie Trenton,

Steve Kemp został zatrzymany w miasteczku Twickenham w zachodnim Massachusetts. Pana żony i syna z nim nie było, powtarzam, nie było. Nie budziłem pana, kiedy nadeszła ta wiadomość, ponieważ Kemp korzysta ze swego prawa do zachowania milczenia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanie przewieziony bezpośrednio do koszar policji stanowej w Scarborough, gdzie postawi mu się zarzut wandalizmu i posiadania narkotyków. Spodziewamy się go tutaj o 11.30. Jeśli wyjdzie coś nowego, natychmiast się z panem skontaktuję.

Andy Masen

- Chromolę jego prawo do zachowania milczenia - warknął Vic. Przeszedł do living-roomu, wyszukał numer koszar policji stanowej w Scarborough i wykręcił go.

- Steve Kemp już tu jest - poinformował go oficer dyżurny. - Przywieźli go przed piętnastoma minutami. Pan Masen właśnie z nim rozmawia. Kemp zadzwonił do adwokata. Nie sądzę, żeby pan Masen mógł podejść...

- Niech pana głowa nie boli, co on może, a czego nie - przerwał policjantowi Vic. - Niech pan mu powie, że dzwoni mąż Donny Trenton i żąda, aby pofatygował swój tyłek do aparatu.

Po kilku chwilach w słuchawce odezwał się głos Masena:

- Panie Trenton, rozumiem pański niepokój, ale teraz liczy się każda minuta, bo wkrótce zjawi się tu adwokat Kempa.

- Co on panu powiedział?

- Przyznał się do zdemolowania pańskiego domu - odparł Masen po chwili wahania. - Wydaje mi się, że uświadomił sobie w końcu, że to sprawa o wiele poważniejsza od tych paru prochów ukrytych w jego furgonetce. Przyznał się do wandalizmu funkcjonariuszom z Massachusetts, którzy go tu przywieźli. Ale twierdzi, że kiedy to robił, w domu nikogo nie było, i że wyszedł stamtąd przez nikogo nie niepokojony.

- Chyba pan nie wierzy w to pieprzenie, co?

- Nie wydaje mi się, żeby kłamał - odparł ostrożnie Masen. - W tej chwili nie mogę jeszcze powiedzieć, czy mu wierzę, czy nie. Dopiero kiedy zadam mu jeszcze kilka pytań...

- A co z warsztatem Cambera?

- Posłałem tam szeryfa Bannermana. Miał natychmiast meldować, gdyby znalazł panią Trenton albo jej samochód. Do tej pory się nie odezwał...

- To chyba niczego nie przesądza, prawda? - przerwał mu ostro Vic.

- Panie Trenton, naprawdę muszę już kończyć. Jeśli dowiemy się czegokolwiek...

Vic rzucił słuchawkę na widełki i stał przez chwilę nad aparatem, oddychając szybko w upalnej ciszy living-roomu. Potem powlókł się do schodów i wszedł na górę. Przystanął niezdecydowany na podeście, po czym skręcił do pokoju synka. Pod ścianą stał rząd zaparkowanych ukosem ciężarówek Tada. Na ich widok Vicowi ścisnęło się serce. Przy łóżku na mosiężnym haczyku wisiała żółta peleryna Tada, na biurku piętrzył się równy stosik jego książeczek. Drzwi od ściennej szafy stały otworem. Vic zamknął je machinalnie i niewiele myśląc, przystawił do nich krzesło Tada.

Usiadł na łóżku i z rękoma zwieszonymi bezradnie między nogami zapatrzył się w upalny, jasny dzień.

Ślepe uliczki. Same ślepe uliczki. Gdzie oni są?

(ślepe uliczki)

W tym określeniu kryła się jakaś złowieszcza treść. Ślepe uliczki. Matka opowiadała mu, że kiedy był w wieku Tada, fascynowały go drogi bez przejazdu. Zastanowiło go, czy tego typu rzeczy się dziedziczy, czy Tada też interesują drogi bez przejazdu. Przez myśl przemknęło mu pytanie, czy Tad jeszcze żyje.

I raptem dotarło do niego, że Droga Miejska Nr 3, przy której znajduje się warsztat Joego Cambera, jest drogą bez przejazdu, ślepą ulicą.

Rozejrzał się z nagłym ożywieniem i jego wzrok przyciągnęła goła ściana nad łóżkiem Tada. Słowa na Potwora zniknęły.

Dlaczego je zdjął? A może, z siebie tylko wiadomych powodów, zabrał je Kemp? Ale jeśli Kemp tu wchodził, to dlaczego nie przewrócił do góry nogami pokoju Tada, tak jak to zrobił z parterem?

(ślepe uliczki i Słowa na Potwora)

Czyżby Donna zaprowadziła jednak pinta do Cambera? Słabo pamiętał tamtą rozmowę o szwankującym zaworze iglicowym. Powiedziała chyba wtedy, że boi się trochę Joego Cambera.

Nie. Nie Cambera. Camber próbował tylko rozbierać ją w myślach. Nie, ona bała się tego psa. Jak on się wabił?

Żartowali na temat jego imienia. Tad... Tad przywoływał tego psa.

Siedząc tak bezradny i zagubiony w tym zbyt pustym, przyprawiającym go teraz o dreszcz zgrozy pokoju, znowu usłyszał dochodzący jakby z zaświatów głosik Tada: "Cujo... chodź tu, Cujo... Cuuuuujoo...".

I nagle wydarzyło się coś, o czym Vic nie wspomniał nikomu przez resztę swego życia: zdał sobie sprawę, że słyszy głos Tada nie w wyobraźni, lecz naprawdę - wysoki, samotny, przerażony, odpływający głos, który dochodzi z wnętrza ściennej szafy.

Z piersi wyrwał mu się gardłowy okrzyk. Podciągnął pod siebie nogi, kuląc się na łóżku Tada, i wytrzeszczył oczy. Drzwi szafy otwierały się, pchając stojące przed nimi krzesło, a jego synek krzyczał: "Cuuuuuuuuu...".

Po chwili uświadomił sobie, że to nie jest głos Tada; to jego przemęczona, przeciążona wyobraźnia przetworzyła w głos Tada ciche szuranie nóg krzesła sunących po lakierowanych deskach podłogi. To było tylko szuranie i...

...i w szafie były oczy, widział oczy, czerwone, zapadnięte, straszne...

Znowu krzyknął. Krzesło nie wiadomo czemu przewróciło się, W szafie, na kupce pościeli i koców siedział pluszowy miś Tada. To szklane ślepka misia tak go przestraszyły. To był tylko pluszowy miś.

Vic wstał z łóżka i podszedł do szafy. Szyja pulsowała mu w rytm walącego jak młot serca. Poczul jakąś wydostającą się ze środka woń, ciężką i nieprzyjemną. Może to tylko kulki na mole - z pewnością częściowo tak - ale w tym zapachu było jeszcze coś... dzikiego.

Nie bądź śmieszny. To tylko ścienna szafa. Nie żadna jaskinia. Żadne legowisko potwora.

Spojrzał na pluszowego misia Tada. Miś wytrzymał jego wzrok, nie mrugnawszy powieką. Za misiem, za ubraniami na wieszakach zalegała ciemność. Mogło się w niej kryć wszystko. Wszystko. Ale naturalnie nic się nie kryło.

- Przestraszyłeś mnie, misiu - powiedział Vic.

Potwory, trzymajcie się z dala od tego pokoju, wyrecytował miś. Oczy mu błyszczały. Były z martwego szkła, ale błyszczały.

Drzwi są zepsute, i tyle, powiedział Vic. Pocił się; wielkie, słone krople potu ściekały mu po twarzy jak łzy.

Nie masz tu czego szukać, odparł miś.

- Co się ze mną dzieje? - spytał misia Vic. - Tracę zmysły? Czy tak się traci zmysły?

A pluszowy miś Tada odpowiedział:

Potwory, zostawcie Tada w spokoju.

Vic zamknął drzwi szafy i z oczyma rozwartymi szeroko jak u dziecka patrzył, jak zatrząsk unosi się i uwalnia ze swej szczeliny. Drzwi zaczęły się znowu otwierać.

Ja tego nie widziałem, powiedział sobie. Nie uwierzę, że to widziałem.

Zatrzasnął drzwi i podstawił pod nie krzesło. Potem wziął z biurka stos książeczek z obrazkami i przeniósł go na krzesło, żeby je obciążyć. Tym razem drzwi pozostały zamknięte. Vic stał tam i patrząc na zamknięte drzwi, myślał o ślepych uliczkach. Na drogach bez przejazdu ruch jest niewielki. Wszystkie potwory powinny mieszkać pod mostami albo w ściennych szafach, albo na końcach dróg bez przejazdu. Powinno się włączyć taki przepis do konstytucji.

Był teraz bardzo niespokojny.

Opuścił pokój Tada, zszedł na dół i usiadł na schodkach werandy na tyłach domu. Lekko drżącą ręką zapalił papierosa i spojrzał w niebo barwy armatniego spizu. Uczucie niepokoju narastało. W pokoju Tada coś się wydarzyło. Nie był pewien co, ale coś się tam stało. Tak. Coś.

Potwory i psy w ściennych szafach, w garażach i na końcach dróg bez przejazdu.

Dodamy to, panie profesorze? Odejmiemy? Podzielimy? Przyrównamy?

Odrzucił papierosa.

Sądził, że to Kemp, prawda? Że za wszystko odpowiedzialny jest Kemp. Kemp zdemolował dom. Kemp omal nie rozbił jego małżeństwa. Kemp wszedł na górę i spryskał swoim nasieniem łóżko, w którym od trzech lat spali Vic i jego żona. Kemp wyszarpał wielką okrągłą dziurę w sielankowej materii życia Vica Trentona.

Kemp. Kemp. Wszystko to wina Steve'a Kempa. Zwalmy na Kempa winę za zimną wojnę, za sytuację zakładników w Iranie, za niszczenie warstwy ozonowej.

Idiotyzm. Bo przecież nie wszystko dzieje się z winy Kempa, nieprawdaż? Na przykład afera z Zingersami - Kemp nie miał z nią nic wspólnego. Trudno też winić Kempa za uszkodzony zawór iglicowy w samochodzie Donny.

Spojrzał na swojego starego jaguara. Pojedzie nim gdzieś. Nie może tu zostać; oszaleje, jeśli zostanie. Wsiądzie w samochód i pojedzie do Scarborough. Dorwie Kempa i będzie nim potrząsał, dopóki ten nie puści farby, dopóki nie wyzna, co zrobił z Donną i Tadem. Chyba że wcześniej przyjedzie adwokat tego drania i przeszkodzi mu. Trzeba się będzie sprężyć.

Sprężyna. To sprężyna utrzymuje zawór iglicowy na jego miejscu. Gdyby ta sprężyna była niesprawna, zawór zacisnąłby się i zablokował dopływ benzyny do gaźnika.

Vic podszedł do jaguara, wsiadł za kierownicę i skrzywił się, sadowiac na nagrzaną skórzaną tapicerce. Ruszyć, byle szybko. Wpuścić tu trochę chłodu.

Tylko dokąd?

Do warsztatu Cambera, odpowiedział mu natychmiast głos wewnętrzny.

Ale to chyba bezcelowe, prawda? Masen wysłał tam przecież szeryfa Bannermana i kazał mu meldować natychmiast, gdyby coś wydało mu się nie w porządku, a policjant nie odezwał się, co by znaczyło...

(że dopadł go potwór)

No cóż, chyba nie zaszkodzi tam pojechać. Zawsze to lepiej niż siedzieć tu beczynnienie.

Uruchomił silnik i skierował się w dół stoku wzgórza, w stronę Drogi Nr 117, wciąż jeszcze nie wiedząc, czy skręci w nią w lewo, na Scarborough, czy w prawo, w stronę Drogi Miejskiej Nr 3.

Zatrzymał się przed znakiem "stop" i stał tam, dopóki ktoś z tyłu na niego nie zatrąbił. Wtedy skręcił odruchowo w prawo. Nie zaszkodzi przejechać się najpierw do Joego Cambera. To tylko piętnaście minut drogi. Spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia po dwunastej.

Nadszedł ten moment i Donna o tym wiedziała.

Takie momenty przychodzą i odchodzą, ale ona będzie musiała z tym żyć - a może nawet z tym umrzeć. Nikt się tu nie zjawi.

Drogą Miejską Nr 3 nie nadjedzie żaden rycerz na srebrnym rumaku - wszyscy są najwyraźniej zajęci czym innym.

Tad umierał.

Przymusiła się, by powtórzyć to głośno schrypniętym, zdławionym szeptem: "Tad umiera".

Tego ranka nie była w stanie przewietrzyć pinta. Okno od jej strony nie chciało się już otworzyć, a przez okno Tada wlewał się tylko jeszcze większy skwar. Kiedy spróbowała opuścić szybę niżej, Cujo podniósł się ze swojego stanowiska w cieniu stodoły i w mgnieniu oka był przy samochodzie od strony Tada, warcząc groźnie.

Pot przestał już ściekać po buzi i szyi małego. Wyczerpały się wszystkie jego zasoby. Chłopiec skórę miał suchą i rozpaloną. Z ust sterczał mu koniusek napuchniętego, jakby obumarłego języka. Oddech miał tak słaby, że ledwie go słyszała. Dwukrotnie musiała przykładać ucho do klatki piersiowej synka, by się upewnić, czy w ogóle jeszcze oddycha.

Sama również znajdowała się w fatalnym stanie. W samochodzie było jak w piecu. Metalowe części rozgrzały się do tego stopnia, że dotykanie ich groziło poparzeniem, tak samo było z plastikową kierownicą. Noga bez przerwy dawała o sobie znać miarowo pulsującym bólem i Donna nie

miała już żadnych wątpliwości, że ugryzienie psa zainfekowało ją czymś. Może za wcześnie było mówić o wściekłości - modliła się do Boga, żeby tak właśnie było - ale rany poczerwieniały i zaogniły się.

Cujo wyglądał, jakby skurczył się wewnątrz swego skołtunionego, pozlepianego zakrzepłą krwią futra. Oczy miał zamglone, prawie nieprzytomne; były to oczy starca dotkniętego kataraktą. Trwał na posterunku niczym jakaś stara machina zagłady wyniszczająca stopniowo samą siebie, ale nadal straszliwie niebezpieczna. Z pyska nie ciekła mu już piana; pokancerowany i pokryty strupami, wyglądał jak porowata bryła zastygłej lawy, wypluta z rozpalonych trzewi starego wulkanu.

Stary potwór trwający niewzruszenie na posterunku, pomyślała Donna.

Czy to przerażające czuwanie trwa kilka godzin, czy też całe jej życie? Czy to, co miało miejsce przedtem, było tylko snem, krótkim oczekiwaniem za kulisami? Matka, która sprawiała wrażenie zdegustowanej i znudzonej otaczającymi ją osobami, mający jak najlepsze intencje, ale nieskuteczny w działaniu ojciec, szkoła, przyjaciele, randki i potańcówki - wszystko to wydawało jej się teraz snem, tak jak snem musi się wydawać staremu człowiekowi młodość. Nic się nie liczyło, nic prócz tej ciszy i zalanego słońcem podwórka, na którym rozdano śmierć. Jeszcze więcej tej śmierci - pewnej jak wróżące nieszczęście kabałowe ósemki trefl - czekało w talii. Straszliwy potwór trwał niewzruszenie na posterunku, a jej synek odpływał, odpływał, odpływał.

Kij baseballowy. Tylko on jej teraz pozostał.

Baseballowy kij i może coś z samochodu zagryzionego policjanta, gdyby zdołała tam dobiec. Na przykład karabin.

Postępując i ciężko dysząc, walcząc z falami zawrotów głowy, od których ciemniało jej w oczach, zaczęła przenosić Tada na tył samochodu. W końcu ułożyła go na tylnym siedzeniu milczącego i nieruchomego jak worek nasion.

Spojrzała przez okno, poszukała wzrokiem baseballowego kija leżącego w wysokiej trawie i otworzyła drzwiczki.

Cujo, warujący do tej pory w mrocznej paszczy stodoły, wstał i zaczął zbliżać się do niej powoli, szorując niemal zwieszonym łbem po żwirze.

Kiedy Donna Trenton wysiadła w końcu ze swego pinta, była dwunasta trzydzieści.

Vic skręcił z Mapie Sugar Road w Drogę Miejską Nr 3 w momencie, gdy jego żona ruszała po porzucony w zielsku stary kij baseballowy Bretta Cambera. Jechał szybko, zakładając sobie, że po rozejrzeniu się po posesji Cambera musi jeszcze zdążyć do odległego o jakieś piętnaście mil Scarborough. Ledwie podjął decyzję, że najpierw przyjedzie tutaj, przewrotny głos wewnętrzny zaczął mu podszeptywać, że jest na fałszywym tropie. Nigdy w życiu nie czuł się jeszcze tak bezsilny.

Wyciskał z jaguara ponad sześćdziesiątkę i był tak skupiony na prowadzeniu, że dopiero minąwszy posesję Gary'ego Perviera uświadomił sobie, że przed domem stało kombi Joego Cambera. Pocisnął po hamulcach, pozostawiając za sobą podwójny, dwudziestostopowy ślad spalonej gumy. Jaguar zarył niemal nosem w asfalt. No tak, policjant mógł wjechać na górę do Cambera i nie zastać nikogo w domu, bo Camber był tutaj.

Zerknął we wsteczne lusterko, stwierdził, że drogą nikt nie nadjeżdża, i szybko wycofał wóz. Skręcił w podjazd Perviera i wysiadł. Podobnie jak wcześniej Joe Camber, odkrył plamy

krwi (z tym, że teraz była ona zakrzepła i przybrała kasztanową barwę) oraz rozerwaną dolną połowę siatkowych drzwi. Jego usta wypełnił nieprzyjemny, metaliczny posmak. To wszystko jakoś się wiązało. Miało coś wspólnego ze zniknięciem Donny i Tada.

Wszedł ostrożnie do środka i natychmiast uderzyła go w nozdrza ta woń - mdła, zatęchła woń rozkładu. To były dwa upalne dni. W połowie korytarzyka leżało coś, co przypominało przewrócony stolik, ale Vic był przekonany, że to nie żaden stolik. Powiedziała mu o tym ta woń. Podeszedł do tego czegoś i stwierdził, że to faktycznie nie jest stolik. To był jakiś mężczyzna. Jego gardło wyglądało, jakby poderżnięto je jakimś bardzo tępym narzędziem.

Vic cofnął się. Z krtani dobył mu się suchy, zduszony skowyt. Telefon. Musi kogoś o tym powiadomić.

Postąpił krok w stronę kuchni i zatrzymał się. Nagle wszystko zaczęło mu się układać w głowie w logiczną całość. W jednej chwili doznał olśnienia; zupełnie jakby jakieś dwa niekompletne obrazy, nakładając się na siebie, utworzyły spójną, trójwymiarową jedność. Pies. To zrobił pies.

Pinto stoi u Joego Cambera. Pinto stoi tam od samego początku. Pinto, a w nim...

O mój Boże, Donna... - pomyślał w panice.

Odwrócił się, wypadł na zewnątrz i pognął do samochodu.

Donna omal się nie przewróciła; nogi miała jak z waty. Odzyskała z trudem równowagę i schyliła się po baseballowy kij. Dopóki nie uchwyciła go pewnie w obie dłonie, nie ważyła się obejrzeć na Cujo w obawie, że znowu się zatoczy. Gdyby miała czas, żeby spojrzeć troszeczkę dalej - tylko troszeczkę - zobaczyłaby leżący w trawie służbowy pistolet George'a Bannermana. Ale nie miała na to czasu.

Odwróciła się chwiejnie i stanęła oko w oko z szarżującym na nią Cujo.

Dźgnęła rozpędzonego bernardyna grubym końcem swojej jedynej broni i serce jej zamarło, kiedy kij szarpnął się dziwnie w jej dłoniach - to pękła rękojeść. Pies odskoczył warcząc. Piersi Donny, okryte bawełnianym, białym kiedyś stanikiem, falowały w rytm jej przyśpieszonego oddechu. Teraz stanik był umazany krwią - otarła o niego dłonie po wyjęciu palców z ust Tada.

Stali naprzeciwko siebie w nieruchomym letnim powietrzu, mierząc się wzrokiem. Słysząc było tylko jej przyśpieszony oddech, niski warkot dobywający się z piersi Cujo i wesoły świergot wróbla gdzieś niedaleko. Do ich nóg lepiły się krótkie, bezkształtne cienie.

Pies zaczął się przesuwając w lewo. Donna ruszyła w prawo. Zatoczyli krąg. Trzymała kij w miejscu, gdzie, jak jej się wydawało, drewno pękło najgłębiej. Zaciskała mocno palce na szorstkiej taśmie izolacyjnej, którą owinięta była rękojeść. Cujo sprężył się do skoku.

- No chodź! - wrzasnęła na niego, i pies skoczył. Zamachnęła się kijem niczym Micky Mantle mierzący w szybką, wysoką piłkę. Nie trafiła Cujo w łeb, tak jak planowała, ale kij wylądował mu na żebrach. Dał się słyszeć głuchy łomot, coś chrupnęło. Pies wydał odgłos podobny do krzyku i zwałił się na ziemię. Wyczuła z przerażeniem, że kij pęka dalej pod taśmą izolacyjną - ale na razie jeszcze się trzymał.

Poderwała go nad głowę i z wraskiem spuściła z całych sił na zad Cujo. Znowu coś chrupnęło. Pies zawył i próbował się odczołgać, ale dopadła go znowu, waląc, tłukąc, wrzeszcząc. Była w transie, nie znała litości. Świat tańczył. Była harpią, Nawiedzoną Siostrą, była zemstą - nie za siebie się mściła,

mściła się za to, co spotkało jej synka. Pęknięta rękojeść kija pod taśmą izolacyjną wybrzuszała się i kurczyła w jej dłoniach niczym łomoczące serce.

Kij był teraz cały we krwi. Cujo wciąż próbował uskakiwać, ale ruchy miał już spowolnione. Uchylił się przed jednym ciosem - czubek kija zarył się w ziemię - ale następny wyładował mu na grzbiecie z taką siłą, że aż przysiadł na zadzie.

Pomyślała, że ma dosyć, i cofnęła się o krok czy dwa. Oddech miała świszczący, wydawało jej się, że płuca ma pełne jakiejś rozgrzanej cieczy. Ale on nagle rzucił się na nią znowu z głębokim, wściekłym charkotem - a kiedy padał na ziemię posłany tam kolejnym celnym trafieniem, stary kij w końcu pękł. Gruba część odleciała i ze śpiewnym "bim!" uderzyła o prawy przedni dekiel pinta. Donna została z ośmiocalowym kikutem w dłoniach.

Cujo z wysiłkiem gramolił się znowu na łapy. Z jego boków lała się krew. Ślepia migotały jak lampki uszkodzonego bilardu mechanicznego.

Donnie wciąż się wydawało, że pies się uśmiecha.

- No chodź! - wrzasnęła.

Zdychająca ruina Cujo, niedawno jeszcze dobrego pieska Bretta Cambera, po raz ostatni skoczyła na KOBIECĘ, sprawczynię wszystkich jego cierpień. Donna wystawiła przed siebie ułomek baseballowego kija - długa orzechowa drzazga wbiła się głęboko w prawe oko Cujo i utkwiała w mózgu. Rozległo się ciche pyknięcie - odgłos kojarzący się z rozgniataniem między palcami winogrona. Pies siłą rozpędu wpadł na Donnę i oboje runęli na ziemię. Warcząc, kłapał teraz zębami tuż przy jej szyi. Podpełzł po niej wyżej. Wyciągnęła rękę. Jego oko wypływało i ściekało po boku

pyska. Czuła na twarzy smrodliwy oddech. Chciała odepchnąć od siebie ten zniechęcony łeb, lecz zęby psa zatrzasnęły się na jej przedramieniu.

- Przestań! - krzyknęła. - Och, przestań, czy ty nigdy nie przestaniesz! Błagam! Błagam! Błagam!

Krew kapłała jej na twarz gęstymi soplami - jej krew, krew psa. Ból w ramieniu był płomieniem, który zdawał się wypełniać cały świat... a pies cał po calu przyginał ją do dołu. Odłamana rękojeść kija kołysała się i podrygiwała groteskowo, zupełnie jakby wyrastała mu z głowy, z miejsca, gdzie przed chwilą było oko.

Próbował dobrać się jej do gardła.

Czując już tam jego zęby, z ostatnim załamującym się okrzykiem wyrzuciła w górę ręce i odepchnęła go od siebie. Cujo zwałił się ciężko na ziemię obok niej.

Jego tylne łapy drapały żwir. Coraz wolniej... i wolniej... aż znieruchomiały. Oko, które mu zostało, patrzyło w gorące, letnie niebo. Ciężki jak turecki chodnik ogon przyganiał jej golenie. Cujo wciągnął powietrze w płuca i wypuścił je. Westchnął jeszcze raz. Chrapnął bulgotliwie, i nagle z pyska pociekła mu strużka krwi. Zdechł.

Donna Trenton zawyła tryumfalnie. Chciała podnieść się z ziemi, ale upadła. Dopiero za drugim razem udało jej się wstać. Postąpiła dwa chwiejne kroki i przewróciła się o ciało psa, ścierając sobie kolana do krwi. Podpełzła na czworakach do leżącego nieopodal grubego końca kija baseballowego z ociekającym psią posoką czubkiem. Podniosła go i przytrzymując się maski pinta podźwignęła znowu na nogi. Dowlokła się z powrotem do leżącego bez życia Cujo. Zaczęła go okładać kikutem kija. Każdemu uderzeniu towarzyszył głuchy łomot maltretowanego mięsa. W upalnym

powietrzu tańczyły czarne strzępy taśmy izolacyjnej. W miękkie poduszki dłoni wbijały się jej drzazgi, a po nadgarstkach i przedramionach ściekała krew. Krzyczała bez przerwy, ale z tamtym pierwszym okrzykiem tryumfu straciła głos i teraz z jej krtani wydobywały się tylko chrapliwe pochrząkiwania, podobne do tych, jakie przed śmiercią wydawał Cujo. Kij unosił się i opadał. Rozbijała Cujo na miazgę. Za jej plecami w podjazd Camberów skręcił jaguar Vica.

Nie wiedział, czego ma się spodziewać, a takiej sceny już na pewno nie brał pod uwagę. Pędził tu gnany strachem, ale na widok żony - czy to aby na pewno była Donna? - stojącej na podjeździe nad skręconym, zmasakrowanym kształtem i walącej weń raz po raz czymś, co wyglądało na maczugę jaskiniowca, jego strach przeszedł w okropną panikę, która odebrała mu niemal zdolność logicznego rozumowania. Przez jeden rozciągający się w nieskończoność moment (czego nigdy później nie przyzna nawet sam przed sobą) toczył walkę z impulsem, który nakazywał mu wrzucić wsteczny bieg i odjechać stąd czym prędzej... odjechać na zawsze. Bo scena rozgrywająca się na tym pustym, skąpanym w słońcu podwórku była potworna.

Powstrzymał się jednak, zgasił silnik i wyskoczył z wozu.

- Donna! Donna!

Chyba go nie słyszała ani nie zdawała sobie nawet sprawy, że tu jest. Jej spieczone słońcem policzki i czoło pały jaskrawą czerwienią. Lewa nogawka spodni wisiała w strzępach i była przesiąknięta krwią. A brzuch... brzuch wyglądał jak rozpruty. Baseballowy kij wznosił się i opadał, wznosił i opadał. Z bezwładnego ciała psa tryskała na wszystkie strony krew.

- Donna!

Chwycił baseballowy kij, kiedy poderwała go znowu nad głowę, i wyszarpnął go jej z rąk. Odrzucił go daleko i porwał ją za nagie ramię. Odwróciła się twarzą do niego. Oczy miała puste i zamglone, włosy potargane jak u wiedźmy, sterczące na wszystkie strony. Popatrzyła na niego... pokręciła głową... i cofnęła się.

- Donna, kochanie, Jezu miłosierny - wykrztusił.

To był Vic, ale Vic nie miał prawa tu być. To pewnie miraż. To choroba, którą zaraził ją pies, dokonuje swego niszczycielskiego dzieła i zsyła na nią halucynacje. Cofnęła się, przetarła oczy... ale on nadal tam stał. Wyciągnęła rozdygotaną rękę i zjawa ujęła ją w silne, opalone dłonie. Tak dobrze. Ręce strasznie ją bolały.

- Vuh? - wychrypiała szeptem. - Vuv... Vuh... Vic?

- Tak, kochanie, to ja. Gdzie Tad?

Zjawa była z krwi i kości. To był naprawdę on. Chciało jej się płakać, ale łzy nie popłynęły. Jej oczy poruszały się tylko w oczodołach jak przegrzane łożyska kulkowe.

- Vic. Vic? Otoczył ją ramieniem.

- Gdzie Tad, Donna?

- Samochód. Samochód. Chory. Szpital. - Teraz nawet szept przychodził jej z trudem. Tylko tego brakowało. Wkrótce będzie mogła jedynie poruszać bezgłośnie ustami. Ale to nieważne. Vic tu jest. Ona i Tad są ocaleni.

Zostawił ją i podbiegł do samochodu. Stała tam, gdzie ją zostawił, wpatrując się w zmaltretowane ciało psa. W końcu nie było tak źle, prawda? Kiedy nie pozostaje już nic innego, jak walczyć o przetrwanie, kiedy jest się doprowadzonym do ostateczności, to albo uchodzi się z życiem, albo umiera, i taka jest naturalna kolej rzeczy. Krew nie wzbudzała w niej teraz dreszczu zgrozy, tak samo mózg wypływający z

rozłupanego łba Cujo. Nic nie wydawało się teraz nie na miejscu. Vic tu był i byli ocaleni.

- O Boże - powiedział Vic słabym głosem.

Spojrzała w stronę samochodu i zobaczyła, że Vic wyjmując coś przez klapę bagażnika pinta. Worek czegoś. Ziemniaków? Pomarańczy? Czego to worek? Kupowała coś, zanim to wszystko się zaczęło? Tak, ale odwiozła zakupy do domu. Odwieźli je razem z Tadem. Przetransportowali je z samochodu do kuchni na jego wózku. A więc co...

Tad! - przypomniała sobie i podbiegła do wozu.

Vic przeniósł chłopca w mizerny cień domu i złożył go tam na ziemi. Buzia Tada była bardzo blada. Włosy rozsypywały mu się po główce jak słoma. Rączki leżały na trawie, najwyraźniej za lekkie, by przygnieść jej żdźbła do ziemi.

Vic przyłożył ucho do piersi malca. Podniósł wzrok na Donnę. Twarz miał bladą, ale spokojną.

- Od jak dawna nie żyje?

Nie żyje? Dlaczego nie żyje? Próbowала krzyknąć, ale poruszała tylko ustami jak postać z ekranu telewizora z przykręconą fonią. On nie umarł, żył, kiedy przenosiłam go na tył samochodu, o czym ty mówisz, on nie żyje? O czym ty mówisz, sukinsynu?!

Próbowала powiedzieć to wszystko swoim bezgłośnym głosem. Czyżby życie uleciało z Tada w tym samym momencie, w którym uszło życie z psa? To niemożliwe. Żaden Bóg, żaden los nie mógłby być tak potwornie okrutny.

Podbiegła do męża i odepchnęła go. Vic, kompletnie zaskoczony, klapnął pośladkami na ziemię. Przykucnęła nad Tadem. Położyła mu ręce na główce. Otworzyła mu usta, zacisnęła palcami nozdrza i wdmuchnęła swój oddech w płuca synka.

Na podjeździe ospałe letnie muchy odkryły już ścierwo Cujo oraz trupa szeryfa Bannermana, męża Victorii i ojca Katriny. Było im wszystko jedno, pies czy człowiek. Były muchami demokratycznymi. Słońce prażyło tryumfalnie. Było dziesięć po pierwszej; pola migotały i tańczyły milczącym latem. Niebo miało barwę błękitnego spłowiałego drelichu. Sprawdziała się prognoza Ciotki Ewie.

Donna użyczała synkowi swojego oddechu. Oddychała dla niego. Jej synek nie umarł; nie po to przechodziła przez to piekło, żeby stracić synka, to po prostu niemożliwe.

To niemożliwe.

Oddychała. Oddychała. Oddychała dla swojego synka.

Kiedy dwadzieścia minut później w podjazd skręcała karetka, nadal to robiła. Nie pozwoliła Vicowi zbliżyć się do chłopca. Kiedy podszedł, wyszczerzyła na niego zęby i zawarczała bezgłośnie.

Vic, otępiąły z rozpacz, bliski załamania i przekonany głęboko, że to nie może być prawda, włamał się do domu Camberów przez drzwi od werandy, do sforsowania których tak długo przymierzała się Donna. Drzwi wewnętrzne nie były zamknięte na klucz. Skorzystał z telefonu.

Kiedy wyszedł znowu na zewnątrz, Donna wciąż robiła sztuczne oddychanie usta-usta ich martwemu synkowi. Ruszył w jej kierunku, ale po kilku krokach skręcił w bok, podszedł do pinta i ponownie otworzył klapę bagażnika. Żar skoczył na niego niczym niewidzialny przeciwnik. Przewegetowali tu poniedziałkowe popołudnie, cały wtorek i dzisiaj do południa? Wprost nie do wiary.

Pod dywanikiem bagażnika, we wgłębieniu na zapasowe koło, znalazł stary koc. Strzepnął go i okrył okaleczone ciało Bannermana. Usiadł potem na trawie i zapałzył się na Drogę

Miejską Nr 3 i na zakurzone sosny za nią. Był spokojny; nie myślał o niczym.

Kierowca karetki i dwaj sanitariusze załadowali ciało Bannermana do wozu Pogotowia Ratunkowego Castle Rock. Zbliżyli się do Donny. Donna wyszczerzyła na nich zęby. Jej spękane usta poruszyły się, układając w słowa: On żyje! Żyje! Kiedy jeden z sanitariuszy spróbował podnieść ją delikatnie i odprowadzić na bok, ugryzła go. Drugi sanitariusz pośpieszył mu z pomocą. Nie dali jej rady.

Odsunęli się przestraszeni i czekali, Przeszując z nogi na nogę. Vic siedział nadal na trawniku podparty pod brodę, zapatrzony w krajobraz po drugiej stronie drogi.

Kierowca pogotowia ratunkowego przyniósł strzykawkę. Doszło do szamotaniny. Strzykawka się potłukła. Tad leżał na trawie martwy. Kałuża cienia wokół niego trochę się powiększyła.

Nadjechały jeszcze dwa wozy policyjne. Za kierownicą jednego z nich siedział Roscoe Fisher. Kiedy kierowca karetki powiedział mu, że George Bannerman nie żyje, Roscoe rozplakał się. Dwaj policjanci, którzy z nim przyjechali, podeszli do Donny. Ponownie wywiązała się szamotanina i po krótkich, ale zaciętych zmaganiach czterech spoconych, posapujących z wysiłku mężczyzn odciągnęło wreszcie Donnę Trenton od jej synka. Byłaby się im znowu wyrwała, gdyby nie pomoc płaczącego wciąż Roscoe Fishera. Krzyczała bezgłośnie, rzucając na boki głową. Przyniesiono drugą strzykawkę i tym razem udało się zaaplikować jej zastrzyk.

Z karetki wyciągnięto nosze na kółkach i sanitariusze podjechali nimi do leżącego na trawie Tada. Przenieśli na nie martwego chłopca. Przykryli go prześcieradłem. Na ten

widok Donna zdwoiła swoje wysiłki. Uwolniła najpierw jedną rękę i na oślep zaczęła rozdawać nią razy. Potem wyrwała się trzymającym ją mężczyznom.

- Donna - powiedział Vic, wstając z trawy. - Już po wszystkim, kochanie. Proszę cię, kochanie. Daj spokój, daj spokój.

Nie podbiegła do noszy, na których leżał jej synek. Podbiegła do baseballowego kija. Podniosła go z ziemi i znowu zaczęła okładać psa. Przestraszone muchy wzbiły się z jego trupa w powietrze połyskliwą czarnozieloną chmurą. Kij spadał z głuchym, strasznym łomotem, jaki czasem można usłyszeć u rzeźnika. Ciało Cujo podrygiwało przy każdym uderzeniu.

Policjanci ruszyli powoli w jej stronę.

- Nie - powiedział cicho jeden z sanitariuszy. Kilka chwil później Donna osunęła się po prostu na ziemię. Kij Bretta Cambera wyslizgnął się jej z omdlałych dłoni i odtoczył.

Pięć minut później karetka z Donna i Tadem odjechała na sygnale. Vicowi zaproponowano zastrzyk - "na uspokojenie nerwów, panie Trenton" - i chociaż czuł się zupełnie spokojny, dał go sobie zrobić z grzeczności. Podniósł z ziemi celofanowe opakowanie, które sanitariusz ściągnął z igły, i przyjrzał się uważnie wydrukowanemu na nim słowu UPJOHN.

- Robiliśmy kiedyś tym facetom kampanię reklamową - poinformował sanitariusza.

- Naprawdę? - spytał zdławionym głosem sanitariusz. Był dosyć młodym człowiekiem i czuł, że zaraz zwymiotuje. W życiu nie widział takiej jatki.

Jeden z policyjnych wozów został, żeby odwieźć Trentona do Northern Cumberland Hospital w Bridgton.

- Możecie jeszcze chwilkę poczekać? - spytał Vic. Policjanci pokiwali głowami. Ale patrzyli na niego jakoś podejrzliwie, jakby się obawiali, że jego stan może być zaraźliwy.

Vic pootwierał drzwiczki pinta. Za te od strony Donny musiał ciągnąć długo i mocno; nie mógł uwierzyć, że to pies tak je wgiął. W środku była torebka Donny. Jej bluzka. Bluzka była poszarpana, tak jakby pies wyrwał z niej kawał materiału. Na wierzchu deski rozdzielczej leżało kilka opakowań po batonikach i termos Tada, z którego wydobywał się odór skwaśniałego mleka. Pojemniczek na lunch Tada z krasnałem na wieczku. Na ten widok serce ścisnęło mu się boleśnie i wolał nie dopuszczać do siebie myśli, co to oznaczało na przyszłość - jeśli po tym strasznym, upalnym dniu będzie jeszcze jakaś przyszłość. Znalazł jedną z tenisówek Tada.

Tadder, pomyślał. Och, Tadder.

Nogi się pod nim ugięły i opadł ciężko na fotel pasażera. Patrzył między nogami na chromowaną listwę progu. Dlaczego? Dlaczego dopuszczono do czegoś takiego? Jak mogło dojść do zbiegu tylu fatalnych zdarzeń?

Uświadomił sobie nagle, że okropnie łupie go głowa. Nos miał zapchany łzami i zatoki zaczęły pulsować bolesnym tętnem. Pociągnął nosem i przesunął ręką po twarzy. Dotarło do niego, że z Tadem włącznie Cujo zabił co najmniej trzy osoby, a może i więcej, jeśli okaże się, że wśród ofiar są również Camberowie. Czy policjant, którego nakrywał kocem, miał żonę i dzieci? Prawdopodobnie tak.

Gdybym przyjechał tu chociaż godzinę wcześniej, pomyślał. Gdybym nie poszedł spać...

Byłeś taki pewny, że to Kemp! - krzyknął głos wewnętrzny. Taki pewny!

Czy wystarczyłoby, gdybym przyjechał tu piętnaście minut wcześniej? - zastanawiał się. Czy Tada żyłby teraz, gdybym nie rozmawiał tak długo z Rogerem? Kiedy umarł? Czy to w ogóle naprawdę się wydarzyło? I jak mam teraz z tym żyć i nie oszaleć? Co będzie z Donną?

Nadjechał jeszcze jeden wóz policyjny. Policjant siedzący obok kierowcy wysiadł i wdał się w rozmowę z gliniarzami czekającymi na Vica. Po chwili jeden z nich podszedł do pinta.

- Powinniśmy już ruszać, panie Trenton - powiedział cicho. - Quentin mówi, że jadą tu dziennikarze. Chyba nie jest pan teraz w nastroju do rozmowy z prasą?

- Nie - przyznał Vic i zaczął wstawać. W tym momencie na samym skraju pola widzenia mignęło mu coś żółtego. Kawalek papieru wystający spod fotela Tada. Wyciągnął go i rozpoznał Słowa na Potwora, które napisał, żeby rozproszyć nocne lęki Tada. Kartka była zmięta, naddarta w dwóch miejscach i przesączona potem; wzdłuż głębokich zgięć była niemal przezroczysta.

Potwory, trzymajcie się z dala od tego pokoju!

Nie macie tu nic do roboty.

Niech żaden potwór nie wchodzi pod łóżko Tada!

Nie zmieście się tam.

Niech żaden potwór nie chowa się w szafie Tada.

Za ciasno tam.

Niech żaden potwór nie zagląda przez okno Tada.

Nie ma się tam czego trzymać.

A kysz, wszystkie wampiry, wszystkie wilkołaki, wszystko, co gryzie.

Nie macie tu nic do roboty.

Przez całą tę noc żaden nie tknie Tada, żaden go...

Nie mógł czytać dalej. Zmiął kartkę w kulkę i cisnął nią w martwego psa. Było to sentymentalne kłamstwo, kłamstwo tak samo nietrwale, jak barwnik użyty do produkcji tych idiotycznych chrupek. To było od początku do końca kłamstwo. Świat jest pełen potworów i wszystkim im wolno kasać niewinnych i nieostrożnych.

Dał się poprowadzić do policyjnego wozu. Zabrali go z tego miejsca, tak jak wcześniej zabrali George'a Bannermana, Tada Trentona i Donnę Trenton.

W jakiś czas potem przyjechała krytą ciężarówką lekarka weterynarii. Spojrzała na zabitego psa, po czym wdziała długie gumowe rękawice i wyciągnęła piłę tarczową. Policjanci połapali się w porę, do czego zmierza, i odwrócili się od niej plecami. Lekarka odcięła bernardynowi łeb i włożyła go do białego plastikowego worka na śmieci. Jeszcze tego samego dnia łeb Cujo przesłano do Stanowego Instytutu Weterynarii, gdzie jego mózg poddany zostanie testom na wściekliznę.

Była za piętnaście czwarta tego popołudnia, kiedy Holly zawołała Charity do telefonu. Wyglądała na lekko zaniepokojoną.

- To chyba jakaś urzędowa osoba - powiedziała.

Mniej więcej godzinę wcześniej Brett uległ wreszcie niekończącym się nagabywaniom Jima juniora i dał się wyciągnąć młodszemu kuzynowi do parku miejskiego na plac zabaw.

Od tamtej pory w domu panowała cisza, jeśli nie liczyć rozmów obu kobiet wspominających stare dzieje - stare, dobre czasy. Jak to tata spadł z wozu z sianem na Tylnym

Polu prosto w ogromny, kopiasty krowi placek (ale ani słówka o tym, jak potrafił stłuc je obie tak, że nie mogły usiąść - za jakąś rzeczywistą albo wyimaginowaną przewinę); jak to przeniknęły się na gapę do starego kina Met w Lisbon Falls, żeby zobaczyć Elvisa w "Love Me Tender" (ale ani słówka o tym, jak matce zamknięto kredyt w Red & White i cała we łzach, na oczach wszystkich, wycofała się ze sklepu, zostawiając koszyk pełen zakupów); jak to mieszkający w sąsiedztwie Red Timmings zawsze próbował całować Holly, kiedy wracali razem ze szkoły (ale ani słówka o tym, że w sierpniu 1962 na Reda przewrócił się traktor i chłopak stracił rękę). Odkryły obie, że nie ma niczego zdrożnego w otwieraniu starych szaf... byle za głęboko w nich nie grzebać. Bo mogą się tam nadal czaić różne stwory gotowe ugryźć.

Charity już dwa razy chciała poinformować Holly, że nazajutrz wracają z Brettem do domu, ale nie zdobyła się na to. Obawiała się, że siostra, kiedy o tym usłyszy, pomyśli sobie, że im się tutaj nie podoba.

Teraz, siadając z filiżanką świeżej herbaty przy stoliczku, na którym stał telefon, zapomniała na chwilę o tym problemie. Była trochę zaniepokojona - nikt, bawiąc na wakacjach, nie lubi odbierać telefonów od urzędowych osób.

- Halo? - powiedziała.

Holly obserwowała blednącą twarz siostry i słuchała jej drżącego głosu:

- Co? Co takiego? Nie... nie! To pewnie jakaś pomyłka. Mówię panu, że to musi być...

Charity zawiesiła głos i słuchała. Jakieś straszne wieści muszą napływać po drucie z Maine, pomyślała Holly. Co prawda ze słuchawki nie dolatywało do jej uszu nic poza

niezrozumiałymi chrobotami, ale czytała to z tężejącej stopniowo twarzy siostry.

Złe wieści z Maine. Nie było to dla niej nowiną. Dobrze im było z Charity siedzieć o poranku w słonecznej kuchni, popijać herbatę, zagryzać cząstkami pomarańczy i rozmawiać o wślizgiwaniu się bez biletu do kina Met. Dobrze im było, ale nie zmieniało to faktu, że każdy zapamiętany z dzieciństwa dzień niósł ze sobą jakiś okruch złej wiadomości, a każdy taki okruch stanowił element układanki dawniejszego życia. Cały obraz zesztukowany z tych elementów był dla Holly tak straszny, że nie miała nic przeciwko temu, żeby już nigdy więcej nie oglądać starszej siostry. Podarte bawełniane majtki, z których śmiały się szkolne koleżanki. Zbieranie kartofli do bólu w krzyżach i ten raptowny napływ krwi do głowy, jeśli za szybko się wyprostowało. Można było od tego zemdleć. Red Timmings - jak skrupulatnie unikały z Charity poruszenia tematu ręki Reda, tak fatalnie zmiażdżonej, że trzeba ją było amputować, ale kiedy Holly się o tym dowiedziała, była rada, taka rada. Bo pamiętała, jak Red rzucił w nią kiedyś zielonym jabłkiem, trafił ją w twarz, z rozbitego nosa pociekła krew, a ona się rozplakała. Pamiętała, jak Red robił jej ze śmiechem pokrzywkę. Pamiętała te kolacje z okresów, kiedy bieda szczególnie ich przyciskała, kolacje składające się z samego zapychającego grające marsza kiszki masła orzechowego. Pamiętała też smród wychodka na podwórzu w pełni lata - to również był znak jej dzieciństwa, zapach biedy.

Złe wieści z Maine. A Charity z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu, o którym nigdy nie chciała mówić - postanowiła dalej wieść taki żywot. Po jej urodzie nie pozostało prawie śladu. Wokół oczu pojawiły się zmarszczki; piersi obwisły -

nie pomagał nawet biustonosz. Różnica wieku między nimi wynosiła zaledwie sześć lat, ale postronny obserwator mógłby określić ją na ponad szesnaście. A najgorsze ze wszystkiego było to, że Charity zdawała się nie przejmować faktem, że na podobne życie skazuje swego przeuroczego, inteligentnego syna... chyba że on sam pójdzie po rozum do głowy, chyba że przejrzy na oczy. Dla turystów, myślała Holly z gniewną goryczą, której nie wyplukały z niej dobre lata, Maine jest rajem. Ale jeśli pochodzi się z biedoty, dzień po dniu upływa tam na kolekcjonowaniu złych wieści. I pewnego dnia spogląda się w lustro i widzi w nim twarz Charity Camber. A teraz nadchodzą kolejne złe wieści z Maine.

Charity odłożyła słuchawkę. Siedziała, wpatrując się w nią, a obok parowała gorąca herbata.

- Joe nie żyje - wyrzuciła nagle z siebie.

Holly wciągnęła powietrze. Poczowała chłód na zębach. Po co tu przyjechałaś? - chciało jej się wykrzyczeć. Wiedziałam, że ściągniesz ze sobą to wszystko stamtąd, i ściągnęłaś.

- Och, kochanie - powiedziała. - Jesteś pewna?

- Dzwonił jakiś człowiek z Augusty. Nazywa się Masen. Pracuje w prokuraturze okręgowej w wydziale kryminalnym.

- Czy to był... wypadek samochodowy?

Charity spojrzała jej prosto w oczy i Holly zobaczyła, że jej siostra nie wygląda wcale na kogoś, komu przed chwilą zakomunikowano złą wiadomość - wyglądała jak ktoś, kto usłyszał dobrą wiadomość. Zmarszczki na jej twarzy wygładziły się, choć oczy miała puste. Czy za tą pustką krył się szok, czy budzenie się z długiego snu?

Gdyby widziała twarz siostry podczas sprawdzania numerów na wygranym losie loterii, może by to wiedziała.

- Charity...?

- To pies - powiedziała Charity. - To Cujo.

- Pies? - Holly z początku była zdezorientowana, nie potrafiła dopatrzeć się żadnego związku między śmiercią męża Charity a psem Camberów. Potem to do niej dotarło. Przypomniało jej się okaleczone lewe ramię Reda Timmingsa. - Pies? - powtórzyła głośniej.

Zanim Charity zdążyła odpowiedzieć - o ile w ogóle zamierzała odpowiedzieć - z podwórka doleciały wesołe głosy: cienki, piskliwy Jima juniora, a potem niższy, rozbawiony głos Brett. Twarz Charity ściągnęła się. Był to wyraz twarzy, który Holly dobrze pamiętała i którego nienawidziła, wyraz, który upodabnia do siebie wszystkie twarze - wyraz, który dawniej czuła wystarczająco często na własnej twarzy.

- Chłopiec - wykrztusiła Charity. - Brett. Holly... jak ja mam mu powiedzieć, że jego ojciec nie żyje?

Holly nie potrafiła jej odpowiedzieć. Patrzyła tylko bezradnie na siostrę i żałowała, że tych dwoje w ogóle tu przyjechało.

NIESAMOWITE TRZY DNI RZĄDÓW TERRORU. WŚCIEKŁY PIES MORDUJE CZTERY OSOBY - krzyczał tego dnia nagłówek wieczornego wydania portlandzkiego "Evening Express". Podtytuł informował: Jedyna ocalała osoba znajduje się pod opieką lekarzy Northern Cumberland Hospital. Nagłówek w "Press-Herald" z następnego dnia głosił: OJCIEC OPOWIADA O HEROICZNEJ WALCE ŻONY O ŻYCIE SYNKA. W wieczornym wydaniu temat zjechał już na dół pierwszej strony: LEKARZ ZAPEWNIA, ZE PANI TRENTON REAGUJE PRAWIDŁOWO NA KURACJĘ PRZECIW WŚCIEKLIŹNIE. A w sąsiedniej szpalcie: PIES NIE BYŁ NIGDY SZCZEPIONY, TWIERDZI MIEJSCOWY WETERYNARZ. Trzy dni po

tych tragicznych wypadkach wzmiankę na ich temat zamieszczono wewnątrz gazety, na stronie czwartej: STANOWY INSTYTUT ZDROWIA PODEJRZEWA, ŻE PIES ZOSTAŁ POGRYZIONY PRZEZ WŚCIEKŁEGO LISA ALBO SZOPA. Ostatni artykuł w tym tygodniu poinformował, że Victor Trenton nie zamierza pozywać do sądu pozostałych przy życiu członków rodziny Camberów, którzy znajdują się podobno w "głębokim szoku". Wzmianka była krótka, ale dostarczyła pretekstu do odgrzania całego tematu. W tydzień później na pierwszej stronie niedzielного wydania ukazał się artykuł podsumowujący wszystko, co się wydarzyło. Jeszcze tydzień później popularna gazeta o ogólnokrajowym zasięgu zamieściła zwięzły konspekt wydarzeń pod nagłówkiem: TRAGICZNA BITWA W MAINE. MATKA STACZA WALKĘ NA ŚMIERĆ I ŻYCIE Z BERNARDYNEM-ZABÓJCĄ. I to był koniec zainteresowania mediów całą sprawą.

Tej jesieni centralne Maine opanował paniczny strach przed wścieklizną. Ale ekspert zapewniał, że to tylko plotki, a straszne wydarzenia w Castle Rock były tylko incydentem, który się na pewno nie powtórzy.

Donna Trenton leżała w szpitalu przez blisko cztery tygodnie. Przeszła bez większych problemów bardzo bolesny cykl kuracji po pokąsaniu przez wściekłego psa, jednak ze względu na niebezpieczeństwo nawrotu choroby - oraz głęboką depresję psychiczną - znajdowała się pod ścisłą obserwacją.

Pod koniec sierpnia Vic przywiózł ją do domu.

Spędzili cichy, dżdżysty dzień w domu. Wieczorem, kiedy siedzieli przed telewizorem, właściwie nie bardzo zwracając

uwagę na to, co dzieje się na ekranie, Donna zapytała Vica o Ad Wora.

- Od tej strony wszystko w porządku - odparł Vic. - Roger pchnął sprawę ostatniej reklamówki z Profesorem od Chrupek w pojedynkę... oczywiście z pomocą Roba Martina. Rozkręcamy teraz nową dużą kampanię reklamową całego asortymentu Sharpa. - Była to niezupełnie prawda: kampanię rozkręcał Roger. Vic bywał w biurze trzy, czasem cztery dni w tygodniu, a i wtedy albo obracał ołówek w palcach, albo gapił się na swoją maszynę do pisania. - Ale ludzie Sharpa pilnują skrupulatnie, aby nic, co robimy, nie wyszło poza dwuletni okres, na jaki podpisaliśmy kontrakt. Roger miał rację. Chcą się nas pozbyć. Jednak za dwa lata nie będzie to miało żadnego znaczenia.

- Cieszę się - powiedziała. Miewała teraz jaśniejsze okresy, okresy, w których przypominała dawną siebie, ale przeważnie była apatyczna. Straciła dwadzieścia funtów i zrobiła się bardzo chuda. Cery też nie miała za zdrowej. Kruszyły się jej paznokcie.

Patrzyła przez chwilę w telewizor, a potem spojrzała na Vica. Płakała.

- Donna - mruknął. - Och, kochanie. - Objął ją i przytulił. Odniósł wrażenie, że jest miękka, a zarazem jakaś usztywniona. W zbyt wielu miejscach wyczuwał pod tą miękkością wystające kości.

- Myślisz, że będziemy mogli dalej tu mieszkać? - wykrztusiła łamiącym się głosem. - Będziemy mogli tu żyć, Vic?

- Nie wiem - odparł. - Wydaje mi się, że powinniśmy dobrze się nad tym zastanowić.

- Może powinnam raczej spytać, czy zamierzasz żyć dalej ze mną. Jeśli powiesz, że nie, zrozumiem. Bardzo dobrze zrozumiem.

- Niczego tak nie pragnę, jak żyć z tobą. Wiedziałem to chyba przez cały czas. Może była taka godzina - zaraz po tym, jak przeczytałem list od Kempa - kiedy nie wiedziałem. Ale to był jeden jedyny raz. Kocham cię, Donna. Zawsze cię kochałem.

Teraz ona otoczyła go ramionami i przytuliła się mocno. Łagodny letni deszczyk uderzał o szyby, rzucając na podłogę ruchome, szaro-czarne mozaiki cienia.

- Nie potrafiłam go obronić - powiedziała. - Wciąż o tym myślę. Nie potrafię tego zapomnieć. Przeżywam to wciąż od nowa... i od nowa... i od nowa. Gdybym wcześniej pobiegła do tamtej werandy... albo po ten kij baseballowy... - Przełknęła ślinę. Kiedy wreszcie się odważyłam wysiąść, było już... za późno. Nie żył.

Mógł jej przypomnieć, że przez cały czas miała na uwadze dobro Tada, nie swoje. Że nie pobiegła do tamtych drzwi, bo bała się, co stanie się z Tadem, jeśli pies dopadnie jej, zanim zdąży schronić się w domu. Mógł powiedzieć, że gdyby spróbowała stawić czoło psu wcześniej, kiedy nie był jeszcze tak osłabiony, wynik pojedynku byłby prawdopodobnie zupełnie inny - i tak Cujo omal jej w końcu nie zagryzł. Wiedział jednak, że słyszała już te argumenty po wielekroć od niego i od innych i że cała logika świata nie uśmierzy bólu promieniującego od niemego pliku książeczek do kolorowania albo od pustej, nieruchomej huśtawki zwisającej smętnie na podwórku za domem. Żadna logika nie uśmierzy tego straszliwego poczucia osobistej porażki Donny. Mógł to

uczynić tylko czas, a czas nie wywiązał się sumiennie z tego zadania.

- Ja też nie potrafiłem go obronić - powiedział.

- Ty...

- Byłem przeświadczony, że to Kemp. Gdybym wcześniej tam przyjechał. Gdybym nie poszedł spać, gdybym przynajmniej nie rozmawiał tak długo z Rogerem przez telefon.

- Nie - przerwała mu łagodnie. - Nie mów tak.

- Muszę to z siebie wyrzucić. Wydaje mi się, że ty też. Musimy się po prostu z tym pogodzić. Ludzie tak robią w podobnych sytuacjach. Po prostu godzą się ze stratą i żyją dalej. I musimy pomagać sobie nawzajem.

- Bez przerwy mam wrażenie... wydaje mi się, że jest w każdym kącie.

'- Tak. Ja też.

Przed dwoma tygodniami Vic z Rogerem pozbiali wszystkie zabawki Tada i odnieśli je do Armii Zbawienia. Potem wrócili tu i prawie się do siebie nie odzywając, wypili po kilka piw przed telewizorem, w którym leciała transmisja z jakiegoś meczu baseballowego. A kiedy Roger poszedł do domu, Vic wszedł na górę, usiadł na łóżku w pokoju Tada i płakał, dopóki nie zabrakło mu łez. Płakał i chciał umrzeć, ale nie umarł i następnego dnia poszedł znowu do pracy.

- Zaparz nam kawy - powiedział i klepnął ją lekko w pupę. - Ja rozpalę w kominku. Zimno tu jakoś.

- Dobrze. - Wstała. - Vic...? - Co?

- Ja też cię kocham - wykrztusiła zdławionym głosem.

- Dzięki - mruknął. - Chyba tego potrzebowałem.

Uśmiechnęła się blado i poszła robić kawę. Przebrnęli jakoś razem przez ten wieczór, chociaż Tad nadal nie żył.

Przebrnęli również przez następny dzień. I jeszcze następny.

Pod koniec sierpnia ani we wrześniu nie było lepiej, ale kiedy liście pożółkły i zaczęły opadać, ich samopoczucie trochę się poprawiło. Trochę.

Charity siedziała cała w nerwach i próbowała tego nie okazywać. Kiedy Brett wrócił ze stodoły i otrząsnąwszy śnieg z butów wszedł do kuchni, siedziała przy kuchennym stole i piła jak gdyby nigdy nic herbatę. Obrzucił ją tylko przelotnym spojrzeniem. Przez ostatnie sześć miesięcy stracił nieco na wadze i trochę urósł, zrobił się jakiś tyczkowaty i niezgrabny. Stopni na pierwszy półokres nie przyniósł najlepszych i zarobił dwie nagany - obie za bójki na szkolnym boisku; prawdopodobnie jeszcze przeżywał letnią tragedię. Ale stopnie na koniec okresu miał już o wiele przyzwoitsze.

- Mamusiu? Mamo? Czy to...

- Alva go przyniósł - powiedziała. Odstawiła filiżankę z herbatą na spodeczek tak ostrożnie, że nawet nie zabrzączała.

- Nie musisz go zatrzymywać.

- Był szczepiony? - spytał Brett i trochę ją zabolalo, że akurat o to zapytał najpierw.

- Był - przytaknęła. - Alva próbował wcisnąć mi go bez szczepienia, ale kazałam mu pokazać rachunek od weterynarza. Wyszło dziewięć dolarów. Nosówka i wścieklizna. A do tego tubka kremu na kleszcze i do smarowania uszu. Jeśli go nie chcesz, Alva odda mi te dziewięć dolarów.

Z pieniędzmi było teraz u nich krucho. Przez jakiś czas nie miała nawet pewności, czy dadzą radę utrzymać dom i czy w ogóle warto próbować go utrzymać. Dostali niewielką sumkę z polisy ubezpieczeniowej na życie. Pan Shouper z Casco Bak z Bridgton wyjaśnił jej, że jeśli włoży te pieniądze na specjalne konto terminowe, to razem z pieniędzmi, które

zostały z wygranej, starczy im na spłacanie zaległych rat hipotecznych przez najbliższe pięć lat. Dostała dobrą pracę w dziale pakowania i ekspedycji jedynej w Castle Rock zakładu przemysłowego z prawdziwego zdarzenia - Tracę Optical. Ze sprzedaży narzędzi Joego - z nowym wyciągiem łańcuchowym włącznie - uzyskali dodatkowe trzy tysiące dolarów. Mogą utrzymać dom, wyjaśniła Brettowi, ale będzie ich to kosztowało wiele wyrzeczeń. Mogą też wynająć mieszkanie w miasteczku. Brett przespał się z tym problemem i nazajutrz okazało się, że chce tego samego, co ona - utrzymania domu.

- Jak się wabi? - spytał Brett.

- Nie ma jeszcze imienia. Niedawno został zabrany od matki.

- Rasowy?

- Owszem - odparła i roześmiała się. - Wiele. Również się uśmiechnął, choć jakoś z przymusem. Lepiej już tak, pomyślała Charity, niż wcale.

- Może wejść do domu? Śnieg znowu zaczął padać.

- Może, ale najpierw rozłóż na podłodze gazety. Jak nasusia, będziesz po nim sprzątał.

- Dobrze. - Otworzył drzwi, żeby wyjść.

- Jak go nazwiesz, Brett?

- Nie wiem - odparł Brett. Nastąpiła długa, długa chwila milczenia. - Jeszcze nie wiem. Będę się musiał zastanowić.

Choć był odwrócony od niej plecami, wiedziała, że płacze, i ledwie się powstrzymała, by do niego nie podejść. Ale stawał się dużym chłopcem, i chociaż serce ją bolało, rozumiała, że duzi chłopcy nie chcą, żeby matki widziały, jak płaczą.

Brett wyszedł przed dom i wrócił z psem na rękach. Psiak pozostał bezimienny aż do wiosny, kiedy to nie wiedzieć czemu zaczęli wołać na niego Willie. Był małym, żywotnym,

krótkowłosym psem i najbardziej przypominał teriera. Po prostu wyglądał na Williego. I tak już zostało.

Nieco później tej samej wiosny Charity dostała w pracy małą podwyżkę. Zaczęła odkładać po dziesięć dolarów tygodniowo. Na college Bretta.

Wkrótce po dramatycznych wydarzeniach na podwórku Camberów szczątki bernardyna poddano kremacji. Popioły wywieziono śmieciarką do zakładów przetwarzania odpadów w Augusta. Być może nie od rzeczy będzie powiedzieć, że Cujo zawsze starał się być dobrym psem. Starał się robić wszystko, o co prosili go lub czego od niego oczekiwali jego MĘŻCZYŻNA, jego KOBIECZA, a przede wszystkim jego CHŁOPIEC. Gdyby było trzeba, oddałby za nich życie. Nigdy nie chciał nikogo zabijać. Coś upatrzyło go sobie na swoją ofiarę - być może przeznaczenie, być może ślepy los, a może tylko choroba zwana wścieklizną, wyniszczająca układ nerwowy. Świadoma wola nie miała tu nic do rzeczy.

Małej pieczary, do której Cujo zagonił królika, nigdy nie odkryto. W końcu, z jakichś bliżej nieokreślonych przyczyn, nietoperze wyniosły się stamtąd. Królik nie potrafił się wydostać i zdechł z głodu w powolnych, bezgłośnych męczarniach. Jego kostki, o ile mi wiadomo, spoczywają tam nadal wraz z kośćmi innych małych zwierząt, które miały nieszczęście wpaść do dziury przed nim.

Możecie wierzyć mi,

Możecie wierzyć mi,

Możecie wierzyć mi,

Stary Blue odszedł tam, gdzie odchodzą wszystkie dobre psy.

Piosenka ludowa

wrzesień 1977 - marzec 1981

1 Chodzi o Jimmy'ego Cartera, który urodził się w Georgii, w rodzinie farmerskiej.

2 Gra słów: lekceważące przezwisko Reagana (wym. Rej-Gan) i jednocześnie pistolet laserowy Ray Gun, używany przez bohaterów komiksów i filmów Science fiction (jest to również aluzja pod adresem Reagana, który za młodu był aktorem).

3 Omnibus - amerykańska odmiana gry w kierki, w której za wzięcie lewy z damą pikową dostaje się trzynaście punktów minusowych.

4 Narnia - fantastyczna kraina z cyklu powieści Clive'a Staplesa Lewisa, do której wchodzi się przez szafę.

5 YMCA - Young Mens Christian Association (Związek Męskiej Młodzieży Chrześcijańskiej).

6 Chodzi o córkę Cartera, czternastoletnią wówczas Amy Lynn.